

AGNIESZKA GŁADZIK

Marianna Palińska jest jedną z kobiet, które przetrwały obóz koncentracyjny. Po wojennej traumie, na ruinach dawnego świata, musi odbudować swoje życie.



DALEKO OD MORZA



FILIA

AGNIESZKA GŁADZIK

DALEKO
OD MORZA

FILIA

PROLOG



Tamtego roku wydawało się, że cała Europa jest w ruchu. Na ulicach zrujnowanych miast roilo się od ludzi, którzy gromadzili się na dworcach i w opuszczonych budynkach, stroniąc od dawnych ciemieżycieli, jednocześnie im złorzecząc. Marianna niewiele pamiętała ze swojej przeprawy przez Niemcy, w jej umyśle zachowały się jedynie strzępy słów, pojedyncze obrazy. Ponure wnętrze fabryki samolotów w Neustadt-Glewe wypełnione bladymi postaciami w pasiakach. Strażnicy codziennie wynoszący kolejne, skrajnie wycieńczone osoby. I jej choroba.

Początkowo sądziła, że to od rany na lewym udzie, pamiętki przymusowego „leczenia”, jakiemu została poddana w Ravensbrück, jednak jedna z więźniarek, dawna lekarka, wyprowadziła ją z błędu. Tyfus. Powinna była się domyślić, przecież pracowała ponad rok jako karmicielka wszy. Pozostałe Polki zaglądały do niej na rewir i szeptały między sobą. Ich głosy tworzyły przyjemny szum zagłuszający wcześniejsze wspomnienia, pełne wstydu oraz samooskarżeń. Ktoś przemycał dla niej zastrzyki wzmacniające. Gorączka nie ustępowała.

Pewnego popołudnia towarzyszki pomogły dziewczynie wstać, pomalowały ją i uczesały. „Musisz wytrzymać, choćby nie wiem, co się stało” – przestrzegła ją lekarka. Nogi się pod nią uginały, lecz dzielnie zniosła spojrzenie strażnika. Wypuścili ją razem z pozostałymi, sprawnymi fizycznie więźniarkami. Kobiety dostały się pod opiekę Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Jeden rzut oka wystarczył, by sanitariusze zakwalifikowali ją do grupy ciężko chorych i wkrótce potem wywieziono ją samochodem do Danii, a następnie promem do Malmö. W pamięć wrył się jej

śnieżnobiały lakier pojazdu z wielkimi emblematami Czerwonego Krzyża na bokach. Dookoła pobrzmiwały jeszcze odgłosy walki, czasem miała wrażenie, że kule niedługo dosięgną i sanitariuszy. Szwedzi jednak nie zdradzali żadnych oznak niepokoju, niestrudzenie pocieszając swoich podopiecznych.

Z promu w Malmö wysiadła już o własnych siłach, lecz lekarze, pomimo protestów dziewczyny, skierowali ją na dalszą kwarantannę. Gdy patrzyła przez okno ośrodka rehabilitacyjnego w Kristianstad, jej myśli koncentrowały się na powrocie do domu.

Do pokoju, który współdzieliła z dwoma dawnymi współwięźniarkami z obozu, zapukała Hedda, jedna z pielęgniarek, działająca w Lottcie[1].

– Poczta – powiedziała zdawkowo, rozdzielając korespondencję. Zatrzymała się przy Mariannie i ponownie rzuciła okiem na wypisane na kopercie dane adresata. – Chyba wreszcie udało się znaleźć któregoś z twoich krewnych, moja droga. – W głosie Szwedki wybrzmiała sympatia.

Marianna podziękowała i wzięła od niej przesyłkę. Nie mogła powstrzymać drżenia rąk. List zaadresowano niechlujnym, nierównym pismem, którego nie potrafiła rozpoznać. Wpatrywała się przez dłuższą chwilę w kopertę, jakby usiłowała odgadnąć treść kryjącego się w niej listu.

– Nie będziesz wiedziała, dopóki nie przeczytasz – powiedziała Stanisława, dawna nauczycielka z gimnazjum dla panien oraz jedna z inicjatorek tajnych kompletów w obozie, unosząc wzrok znad książki.

Marianna westchnęła cicho i odłożyła kopertę na stolik nocny. Ukryła twarz w dłoniach, usiłując zebrać się na odwagę.

– Kiedy cię wywieźli? – zapytała Stanisława.

– Pod koniec czterdziestego trzeciego. Niosłam ważne meldunki. Ktoś musiał mnie wydać, ponieważ naprawdę uważałam i pilnowałam, czy nikt mnie nie śledzi. Moje aresztowanie nie mogło być dziełem przypadku.

Stanisława uniosła dłoń.

– Nie musisz niczego tłumaczyć, każda z nas ma swoje podejrzenia i pewne „luki” w historii, które chciałaby wypełnić. Czterdziesty trzeci mówisz. Dwa lata to dużo czasu, a podczas wojny to niemal epoka w dziejach ludzkości – stwierdziła. – Niemniej pamiętaj, że druga strona żywiła te same lęki i nadzieje, co ty, a ich rezultatem – pokazała głową na leżącą na stoliku kopertę – jest ten list.

Na ustach Marianny pojawił się słaby uśmiech.

– Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego tak dobrze odnajdowała się pani w roli pedagoga – odparła.

Dawna nauczycielka wzruszyła ramionami.

– W pewnym sensie nigdy nie przestaniesz być moją uczennicą. A teraz, jeśli pozwolisz, udam się na krótki spacer – powiedziała, wyprostowała się i z godnością ruszyła przed siebie, utykając na prawą, niegdyś pokrytą wrzodami nogę.

Marianna rozerwała kopertę. Wewnątrz znalazła dwie kartki wypełnione nieco równiejszym, choć dalej niespełniającym podstawowych wymogów kaligrafii charakterem pisma. Od razu rozpoznała, że list napisał jej przyjaciel z czasów studiów, Jędrzej.

Warszawa, 10 września 1945 r.

Droga przyjaciółko!

Z wielkim trudem udało mi się ustalić miejsce Twojego pobytu, a i nie obyło się przy tym bez wykorzystania dawnych znajomości. Choć klimat polityczny bez wątpienia uległ zmianie, to jedna rzecz wydaje się niezniszczalna – siła odpowiednio zasianego pochlebstwa, strategicznie wyświadczonej postugi, niezmiennie determinują pozycję jednostki w każdym społeczeństwie. Niezmiernie ucieszyła mnie wiadomość, że udało Ci się przetrwać niemiecką niewolę i mam nadzieję, że już wkrótce Twój stan zdrowia umożliwi Ci powrót do ojczyzny.

Obecnie przebywam w Warszawie, jednak już wkrótce przeniosę się do Krakowa, gdzie mam zamiar dokończyć studia medyczne i rozpocząć pracę jako chirurg. Pamiętasz może, jak chodziliśmy

razem na zajęcia, jak uczyliśmy się nocami do egzaminów, co rusz kontrolowani przez Twoją staroświecką, poczciwą stryjenkę? Właśnie te wspomnienia pomogły mi przetrwać najcięższe chwile, gdy maszerowałem z Wojskiem Polskim na Berlin.

Chciałbym móc Ci cokolwiek powiedzieć o losach Twojej rodziny, lecz niestety moja wiedza jest fragmentaryczna. Twojego stryja i stryjenkę aresztowano na początku czterdziestego czwartego, ludzie plotkowali, że wywieziono ich do jednego z obozów, lecz nie byłem w stanie zweryfikować tych informacji. Jeden z naszych znajomych, przebywający jeszcze we Lwowie, potwierdził, że waszą kamienicę obecnie zamieszkują Ukraińcy. O starych właścicielach nic nie wiadomo.

Brat Twój zbiegł tej samej nocy, gdy aresztowano państwa Palińskich. Gdzie się ukrywał później, trudno powiedzieć, jednak spotkałem niedawno jednego z jego przyjaciół w Warszawie, opowiadał mi o swoich planach osiedlenia się na Ziemiach Zachodnich, a konkretniej w Szczecinie...

W dalszej części listu Jędrzej opisał losy pozostałych studentów z ich rocznika tym samym, nazbyt skłonny do ozdobników stylem. Marianna przejrzała kolejne akapity, szukając informacji o osobach tworzących jej dawne życie, niestety, znalazła jedynie ogólniki. Uwadze dziewczyny nie uszedł fakt, że Jędrzej zręcznie omijał jakiegokolwiek wzmianki o sytuacji politycznej w kraju, wyraźnie też unikał tematu osób walczących w podziemiu. Złożyła list i zamyśliła się na chwilę. Nowiny docierające do więźniarek nie były szczególnie zachęcające. Mówiono o prześladowaniach, aresztowaniach dawnych działaczy podziemia oraz o panoszących się wszędzie, stosujących sowieckie metody komunistycznych agentach. Dla Marianny największym szokiem okazało się przesunięcie granic, usuwające jej rodzinny Lwów z terytorium Polski. Przez okres swojego uwięzienia przy życiu utrzymywała ją wiara w powrót do domu, teraz jednak wychodziło na to, że nie dość, iż została sierotą, to na dodatek pozbawiono ją ojczyzny. „Po

cóż mam zatem wracać?” – pomyślała z goryczą. – „Być może raczej mają ci, którzy mówią, że przegraliśmy wojnę i powinniśmy teraz, w miarę możliwości, odbudować swoje życie na emigracji? Jestem jeszcze dość młoda, być może gdzieś w Anglii albo w Ameryce...” – myślała, lecz wtem przed oczami ukazała się jej scena ze swojego ostatniego wieczoru spędzonego we Lwowie.

W mieszkaniu Ignacego, brata dziewczyny, odbyło się zebranie podległej obwodowi Żółkiew komórki AK, do której należeli. Wtedy dowiedziała się o przydzieleniu jej nowego zadania – miała przewieźć poufne informacje i przekazać je swojemu kontaktowi w Warszawie. Jako eskortę dostała dwóch doświadczonych żołnierzy, byłego podporucznika Wojska Polskiego o pseudonimie „Modry” i wojskowego kierowcę znanego pod pseudonimem „Albinos”. Polecenia przekazano im na osobności, w pośpiechu. Kiedy Marianna wróciła do pokoju gościnnego, zauważyła, że zgromadzeni wyglądali na podenerwowanych, a zamiast prowadzić ożywioną dyskusję, wymieniali jedynie zdawkowe uwagi. Ignacy odciągnął ją na bok. Weszli do niewielkiej kuchni.

– Obiecaj mi coś – powiedział cicho, kładąc dłonie na ramionach siostry. Zielone oczy utkwił w jej twarzy. – Obiecaj, że gdy to wszystko się skończy, odnajdziesz mnie.

Marianna odwzajemniła uważne spojrzenie brata.

– Ignac, Ty chyba nie wplątałeś się...

– Oczywiście, że nie, ale wiesz, jak jest – wszedł jej w słowo.

„Za szybko i zbyt stanowczo” – odnotowała Marianna, lecz postanowiła nie kontynuować tego tematu. Będzie na to dużo czasu, gdy wróci, być może z kolejnym zadaniem albo równie istotnym meldunkiem.

Skinęła głową. Ignacy rozpogodził się nieco, choć przez resztę wieczoru jego wzrok błędził po pomieszczeniu, on sam zaś wydał się gościom nieobecny duchem.

„Diabli by wzięli dawne obietnice!” – pomyślała ze złością Marianna, choć wiedziała, że nie złamie danego bratu słowa. Następnego dnia zbierało się konsylium lekarskie mające zdecydować o dalszych losach pacjentek. Nadszedł najwyższy czas, by zadać im to jedno szczególne pytanie.

* * *

– Cóż, panno Palynska, stan pani zdrowia nie jest tak zadowalający, jak byśmy tego pragnęli – rzekł doktor Aberg. – Aczkolwiek jesteśmy skłonni przychylić się do pani prośby i wypisać panią na początku października.

– Dziękuję za wyrozumiałość – odpowiedziała Marianna i lekko skinęła głową.

Aberg obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

Już zbierała się do wyjścia, gdy zatrzymał ją głos jedynej kobiety w konsylium, Sigrid Sacklund:

– Czy zamierza pani pracować jako lekarz? Z tego, co czytałam, posiada pani dyplom ukończenia Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu we Lwowie, wydany jeszcze w roku 1939.

Przez ciało Marianny przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

– Tak, rozważam taką możliwość – odpowiedziała z wahaniem w głosie. – Choć nie wiem, czy moje kwalifikacje zostaną uznane.

Szwedka spojrzała na nią pytająco.

– Mój dyplom został antydatowany, studia ukończyłam, korzystając z tajnego nauczania na dwa miesiące przed zesłaniem do obozu – wyjaśniła zdawkowo Marianna.

– Och... – odparła lekarka. – W każdym razie, mam nadzieję, że kiedyś zobaczymy się na jednej z konferencji lekarskich. Proszę nie pozwolić, by pani talent i dotychczasowa praca poszły na marne.

Marianna kiwnęła uprzejmie głową i wymknęła się z sali. Zdała relację z rozmowy Stanisławie. Nauczycielka nie wyglądała na zaskoczoną.

– Dokąd się udasz? – zapytała, jak zawsze rzeczowo.

– Dwunastego będę w Gdyni, potem nie wiem – przyznała szczerze Marianna.

Stanisława sięgnęła do swojej szafki. Otworzyła górną szufladę i zaczęła przeglądać znajdujące się w środku papiery. W końcu wyciągnęła kartkę z adresem i podała ją Mariannie.

– Jedna z naszych towarzyszek, a moja dobra znajoma jeszcze z czasów przedwojennych, Helena Przeclawska, osiedliła się w Sopocie z nadzieją na... W sumie w jej wypadku trudno powiedzieć na co – rzekła. – Z artystami nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie powołaj się na mnie, a pomoże ci coś znaleźć. Zawsze miała talent do oczarowywania odpowiednich osób.

Marianna złożyła karteczkę i wsunęła do kieszeni w spodniach.

– Dzieciaku, nie miej takiej marsowej miny, jeszcze całe życie przed tobą. Może tutaj, pośród tych samych, umęczonych twarzy tego nie dostrzegasz, ale po powrocie do kraju wszystko zacznie się układać – przekonywała Stanisława, zaciskając rękę na prawej dłoni Marianny.

– Oczywiście, ma pani rację. – Dziewczyna zamarkowała uśmiech.

Czekały ją jeszcze dwa tygodnie życia w zawieszeniu. Powoli w głowie Marianny zarysowywał się plan: odzyskać niezbędne dokumenty oraz zaświadczenia, zgłosić się do najbliższej Akademii Medycznej, nostryfikować dyplom, rozpocząć praktyki. Znaleźć Ignacego.

[1] Szwedzka Pomocnicza Organizacja Kobiet.

CZEŚĆ PIERWSZA

SOPOT



Kastelholm przyplłynął do Gdyni. Marianna czekała na pokładzie, w jednej dłoni ścisnęła niewielką walizkę z ubraniami podarowanymi jej przez działaczy Czerwonego Krzyża, drugą opierała na barierce. Prawie cały port został zniszczony, funkcjonowała jedynie niewielka jego część. Na plaży leżały porzucone czołgi i łuski po nabojach, między nimi biegali chłopcy z odwagą zagląający do wnętrza pojazdów, a także kopiący w piasku w poszukiwaniu interesujących ich przedmiotów. Po zejściu na ląd Mariannę i pozostałych repatriantów skierowano do punktu PUR^[2], natomiast pasażerów, niezdolnych do samodzielnego poruszania się, przewieziono do niego samochodami. Tam poddano ich kontroli lekarskiej i zweryfikowano posiadane przez nich dokumenty. Urzędnik chciał skierować Mariannę do obozu emigracyjnego, lecz dziewczyna stanowczo zaprotestowała.

– Moja ciotka osiedliła się już w Sopocie i pragnę do niej dołączyć – oznajmiła, przedkładając kartkę z adresem.

Urzędnik zanotował dane przyjaciółki pani Stanisławy i niechętnie wypuścił Mariannę ze słowami:

– Musicie się z ciotką niezwłocznie zgłosić do Urzędu Repatriacyjnego w Sopocie.

Dziewczyna skinęła głową, schowała wydane jej tymczasowe zaświadczenia do torby i ruszyła w stronę centrum.

Gdynia, która wreszcie odzyskała dawną nazwę oraz herb, wyglądała na prawie nienaznaczoną wojną. Poza zabudowaniami portowymi i nielicznymi kamienicami położonymi blisko nabrzeża, miasto zdawało się ocaleć w formie, która cieszyła oczy

Polaków przed okresem okupacji. Gdziekolwiek tylko można było dostrzec pozostałości barykad, często wzniesionych na wrakach trolejbusów.

Marianna dotarła do ulicy Świętojańskiej, głównej arterii miasta. Zadarła głowę, przyglądając się modernistycznej, nieznannej jej zabudowie. Proste, nowoczesne bryły kamienic przyciągały wzrok i podobały się dziewczynie, jednak odstręczały ją szare, jednakowe elewacje budynków. Zasięgnęła języka i dowiedziała się, że najłatwiej będzie dostać się do Sopotu konnym tramwajem. Wsiadła w takowy na placu Kaszubskim i z ulgą zajęła wolne miejsce z tyłu, odczuwając trudy długiego spaceru. Jej noga, po wielokrotnym łamaniu i przeszczepach kości oraz jątrzeniu ran, wciąż dawała o sobie znać ostrym, trudnym do zniesienia bólem.

Nim panna Palińska dotarła pod wskazany na kartce adres, zdążył już zapaść zmrok. Na ulicach rozpalano lampy gazowe, które oświetlały łagodnym, nieco przydymionym światłem okazałe rezydencje. Marianna zauważyła, że większość przydomowych ogródków opanowała bujna roślinność niemal całkowicie zasłaniająca budowle. Na ogrodzeniach wisiały tabliczki z nabazgrołonym napisem „Min niet”, co w połączeniu z opustoszałą okolicą i nielicznymi światłami w oknach sprawiało wrażenie, jakby cały zakątek został żywcem wyjęty z wiktoriańskiej powieści grozy. Marianna rzuciła kontrolne spojrzenie na kartkę. „Czyżewskiego/Cecilienstrasse 8” – przeczytała. Wzrok dziewczyny najpierw padł na okazały dom w stylu klasycystycznym, lecz tabliczka poinformowała ją, iż znajduje się pod numerem 7. Przeszła kilka metrów i ujrawszy cel swojej podróży, westchnęła z ulgą, stanęła bowiem przed śnieżnobiałą, przypominającą zamek willą.

Po lewej stronie znajdowała się strzelista wieża z dużymi, fantazyjnie wykrojonymi oknami, zwieńczona stalową sygnaturką. Główna część budynku została wzniesiona na planie prostokąta, a kończył ją wysunięty w stronę ogrodu ganek.

Miejsce wyglądało na zadbane, trawę niedawno skoszono, a krzewy przycięto. Marianna pchnęła drzwi furtki i podeszła do umieszczonych tuż przy wieży drzwi wejściowych z ciemnego, lakierowanego drewna. Załomotała zdecydowanie i głośno. Otworzył jej wysoki mężczyzna w mundurze nieznanej dziewczynie formacji.

– Tak? – zapytał, unosząc brew.

– Szukam pani Heleny Przeclawskiej. Jestem... Przysłała mnie dawna przyjaciółka pani Heleny – odparła Marianna, nie chcąc zdradzać zbyt wiele szczegółów dotyczących swojej osoby. Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem, jakby chciał ocenić, czy mówi prawdę. Jego spojrzenie zatrzymało się na krótkich włosach dziewczyny, a potem na prawej nodze, którą Marianna trzymała lekko zgiętą, gdyż taka pozycja zmniejszała odczuwany przez nią dyskomfort.

– Poproszę ją – powiedział po chwili i zamknął drzwi.

Marianna odstawiła torbę na ziemię i otuliła się mocniej płaszczem. Wieczorna bryza była nieprzyjemnie chłodna. Szczęśliwie nie musiała czekać długo, nim zza drzwi dobiegł dźwięk nerwowych, pośpiesznych kroków i w wejściu pojawiła się Helena. Jej wysoka, wyprostowana sylwetka kontrastowała ze zgarbioną i wycofaną Marianną, lecz kobieta nie okazała wyższości. W szarych oczach Przeclawskiej iskrzyła się ciekawość i coś w rodzaju niepokoju. Padający na twarz Heleny cień nie pozwalał do końca odczytać jej emocji, lecz bujna peruka z jasnozłotych włosów i zmyślnie zaprojektowane ubranie powiedziało dziewczynie wystarczająco dużo.

– Stanisława Gąsłarz dała mi pani adres i poleciła, bym zwróciła się do pani z prośbą o przenocowanie – powiedziała Marianna, podając kobiecie kartkę z adresem.

Helena schwyła papier.

– Rozumiem – odparła, nawet nie spojrzawszy na kartkę. Miała przyjemny, niski głos. – Jesteś jedną z jej podopiecznych? – zapytała.

Marianna wyciągnęła łańcuszek spod bluzki, na końcu którego znajdowała się blaszka z wybitym numerem i pokazała go Helenie. Kobieta przymknęła na moment oczy.

– Jest jeszcze jeden pokój na górze, możesz go tymczasowo zająć. Luksusów nie obiecuję, nie radzę sobie źle, ale czasy są ciężkie – powiedziała kobieta. – Podaj mi swoją walizkę, pomogę ci.

Marianna wręczyła kobiecie torbę i weszła za Heleną do środka. Kątem oka zauważyła, że w salonie na parterze zebrało się całkiem liczne towarzystwo, obecnie pochłonięte żywiołową dyskusją.

– Chodź, chodź. – Helena pociągnęła ją za ramię. – Idziemy na górę. Dasz radę?

Marianna skinęła głową. Ból nogi nasilał się, jednak nie chciała okazać słabości.

– Nie interesuje pani, kim jestem? – zapytała.

Helena prychnęła pod nosem.

– Moja droga, w swoim życiu poznałam zbyt wiele imion i życiorysów, które później musiałam wykreślić z pamięci, żeby teraz dodawać do nich kolejne. W tej chwili to, kim jesteś, nie ma znaczenia. A o tym, czy coś się w tej kwestii kiedyś zmieni, zadecydujesz sama. Jedyne, czego nie chcę poznać, to twoja przeszłość. Ją musisz zostawiać za progiem tego domu – odrzekła.

Marianna przytaknęła. Helena wydała się usatysfakcjonowana jej reakcją. Weszły do przestronnego pomieszczenia na poddaszu. Znajdowało się tam niewiele mebli: w rogu stało łóżko na stalowej ramie, tuż obok stolik nocny i szafka. Pod oknem ustawiono proste biurko i taboret.

– Cud, że chociaż to uchowało się przed Sowietami – skomentowała skromne umeblowanie pokoju Helena. – Jak już mówiłam, zapomnij o zbytku. Jutro z samego rana pójdziemy do PUR-u, mam tam znajomego, więc bez problemu wyda ci zezwolenie na osiedlenie się tutaj.

Marianna usiadła na brzegu łóżka i zadarła głowę. Sufit był czysty, wybielony, bez oznak zagrzybienia. Ściany wyglądały na

grube oraz solidne. Spuściła wzrok, a wtedy na podłodze dostrzegła wyszorowane deski.

– Tak bogata nie byłam już od dawna – powiedziała i dopiero wtedy zorientowała się, że została sama. Helena wymknęła się niepostrzeżenie z pokoju. Marianna z uśmiechem opadła na twarde materac, wsłuchując się w rytm bicia własnego serca.

* * *

– Egzaminy wstępne dla kandydatów rozpoczynają się w poniedziałek – powiedziała sekretarka, gdy tylko Marianna weszła do pomieszczenia. – Może pani zostawić u mnie swoje podanie – dodała, rzucając dziewczynie beznamiętne spojrzenie znad grubych oprawek okularów.

Marianna odruchowo poprawiła popielatą plisowaną spódnicę i zacisnęła dłoń na modnej, pożyczonej od Heleny torbie.

– Właściwie to otrzymałam już dyplom. – Podała sekretarce teczkę z dokumentami z Uniwersytetu Jana Kazimierza. – Nie wiem tylko, czy ma on teraz jakąkolwiek wartość.

Sekretarka przeczytała przedłożone przez Mariannę zaświadczenie, a następnie przejrzała pozostałe papiery. Skinęła głową i wskazała dziewczynie stojące przy ścianie krzesło.

– Proszę usiąść, panno Palińska. Musimy poczekać na doktora Grzegorzewskiego.

Marianna spoczęła na wyznaczonym miejscu i, przymknąwszy oczy, zaczęła naprężyć oraz rozkurczać mięśnie prawej nogi. Lekarze w Szwecji zalecili jej oszczędzanie kończyny, lecz dziewczyna odkryła, że systematyczne ćwiczenia zmniejszyły odczuwane przez nią napięcie. Sekretarka wróciła do swoich zajęć i pomieszczenie wypełnił klekot maszyny do pisania, co jakiś czas przerywany wizytą kolejnej młodej osoby pragnącej dowiedzieć się czegoś więcej o przyjęciach na nowo utworzoną Akademię Lekarską. Wreszcie do sekretariatu weszła grupa dyskutujących żarzycie mężczyzn. Wielu spośród nich miało śpiewną, wschodnią wymowę. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym pożegnali się

i w pomieszczeniu został jedynie przystojny, dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku.

– Czy były jakieś telefony do mnie? – zapytał sekretarkę, oddając jej stertę złożonych w schludny plik papierów.

– Kilka, w tym dwa z ministerstwa – poinformowała go kobieta. – I mamy też panią w sprawie nostryfikowania dyplomu – dodała, podając mężczyźnie dokumenty Marianny i dyskretnym gestem pokazując na dziewczynę.

– Zapraszam panią do mojego gabinetu – powiedział mężczyzna, odwracając się do Marianny.

Przeszli do pomieszczenia obok. Wnętrze było wypełnione książkami i wysokimi, opierającymi się o ścianę stosami teczek. Jedynie centralna część, w której stało imponujące biurko z lakierowanego drewna, przypominała o funkcji przezeń spełnianej.

– Doktor Grzegorzewski, organizator Akademii Lekarskiej w Gdańsku – przedstawił się mężczyzna, podając Mariannie dłoń.

– Marianna Palińska – odparła i uściśniła dłoń rektora.

– Studiowała pani we Lwowie i skończyła tam Wydział Lekarski w roku... 39? – powiedział mężczyzna, patrząc na zaświadczenie Marianny. – Widzę podpisy profesora Bulandy i dziekana Zalewskiego, hmm...

– Skończyłam studia w ramach tajnego nauczania – wyjaśniła dziewczyna. – Załączyłam szczegółowe informacje dotyczące zaliczonych przedmiotów i wykładowców.

Rektor Grzegorzewski skinął głową.

– Odbyła pani potem praktyki? – zapytał.

– Nie. Niedługo potem zostałam aresztowana i wywieziona do Niemiec – odparła Marianna. Postanowiła przemilczeć swoją pracę w obozowym rewirze, bo trudno ją było uznać za niesienie pomocy chorym. – Chciałabym rozpocząć praktyki i uzyskać odpowiednie kwalifikacje do wykonywania zawodu.

Doktor przez dłuższą chwilę przyglądał się wykazowi przedmiotów dołączonemu do zaświadczenia, po czym odparł:

– Cóż, jeśli chodzi o zdawanie egzaminów, to placówka w Gdańsku zaczyna od zera, więc nie będę pani w stanie przyjąć ponownie na ostatni rok. I szczerze powiedziawszy, nie widzę w tym sensu, biorąc pod uwagę fakt, że zakończyła już pani swoją edukację. Mogę natomiast wysłać te dokumenty do ministerstwa z prośbą o uznanie zdobytych kwalifikacji, ale to może potrwać. Czy ma się pani gdzie zatrzymać?

– Mieszkam u ciotki w Sopocie – odparła Marianna, zbierając siły, by zadać najistotniejsze z jej punktu widzenia pytanie. – Czy jest możliwość, żebym była w jakiś sposób użyteczna dla uczelni? – zapytała nieśmiało, niemal natychmiast ganiąc się w myślach za niezręczne przedstawienie prośby.

Doktor zaśmiał się cicho.

– Myślę, że pani umiejętności przydadzą się bardziej w szpitalu miejskim niż przy zadaniach administracyjnych na uczelni. Nawet jeśli na razie chwilowo nie posiada pani jeszcze uprawnień – powiedział. – W obecnej sytuacji liczy się każda para rąk.

Marianna skinęła głową. Podała rektorowi dłoń na pożegnanie, jednocześnie tłumiąc grymas bólu.

* * *

Chirurg, z którym rozmawiała w szpitalu, nie dał się tak łatwo zwieść.

– Miała pani jakiś uraz nogi ostatnio? Źle złożone złamanie, postrzał? – zapytał, uważnie taksując dziewczynę spojrzeniem. – W takim stanie niełatwo będzie pomagać pacjentom. Pani sama potrzebuje doktora – dodał, nie uzyskawszy odpowiedzi.

Gdy dotarła do szpitala klinicznego, okazało się, że na miejscu pracowało jedynie trzech lekarzy i garstka personelu, głównie ochotników, a placówka miała ledwie osiemdziesiąt łóżek. Pomimo to poczekalnia pękała w szwach, a zespół pracował niemal na okrągło, by sprostać potrzebom mieszkańców miasta. Choć osoba, która odpowiadała za zarządzanie szpitalem, była akurat nieobecna, sanitariuszki skierowały Mariannę do jednego z lekarzy, bo jak same powiedziały: „za bardzo potrzebujemy rąk

do pomocy, żeby czekać na oficjalne pozwolenia”. I tak oto trafiła do chirurga Duchlińskiego.

– Wielokrotne złamanie w tym samym miejscu i celowe jątrzenie ran – odparła wreszcie.

Podniosła lewą nogę i, oparłszy ją o łóżko, podwinęła spódnicę. Lekarz delikatnie ucisnął miejsce, w którym kończyna była zdeformowana. Dziewczyna syknęła cicho i zacisnęła mocno zęby, szykując się na nadchodzącą falę bólu i upokorzenia. W jej głowie rozbrzmiały surowe, wydawane rzeczową, monotonna niemczyzną polecenia, kierowane do obozowych sanitariuszek. Jednak zamiast tego chirurg łagodnie rozmasował mięśnie, a jego twarz nie wyrażała pogardy, lecz zaniepokojenie pomieszane z zainteresowaniem.

– Spokojnie, to wszystko jest już za tobą – powiedział cicho, puszczając jej kończynę.

Marianna z trudem zahamowała napływające do oczu łzy. Przyływ wzruszenia nie był co prawda tak silny jak wówczas, gdy szwedzcy sanitariusze po raz pierwszy zwrócili się do niej jak do istoty ludzkiej, jednak w zachowaniu mężczyzny wyczytała coś, czego nie doświadczyła od kilku lat, mianowicie zainteresowanie nią jako osobą. Lekarz, dostrzegając zmieszanie Marianny, odwrócił się na chwilę, dając dziewczynie czas na ochłonięcie.

– Najbardziej dokucza po długotrwałym wysiłku – powiedziała w końcu.

Chirurg oparł czoło o dłoń i mocno potarł. Marianna mimowolnie zauważyła, że nosi obrączkę.

– Moglibyśmy spróbować zoperować...

– Żadnych operacji, doktorze. Jestem to w stanie wytrzymać, zaakceptowałam już stałą obecność bólu w moim życiu – rzekła Marianna i uśmiechnęła się krzywo. – Jedyne, o co proszę, to o jakieś pożyteczne zajęcie, mam już dość bycia dla otoczenia balastem – w jej głosie pobrzmiwała determinacja.

Chirurg zawahał się i jeszcze raz ukradkowo spojrzął na nogę dziewczyny.

– Izba przyjęć, względnie praca w laboratorium. Na salę operacyjną się nie nadajesz, chyba że w charakterze pacjentki, zresztą i tak brakuje ci przede wszystkim doświadczenia – odparł.

Marianna uśmiechnęła się, tym razem szczerze.

– Kiedy mogę zacząć? – zapytała.

– Natychmiast. Zaprowadzę cię do pokoju sanitariuszek, pokażą ci, co i jak. Będiesz pod ich pieczęcią, przynajmniej do czasu, aż twój dyplom zostanie uznany – odrzekł chirurg. – Poczekaj chwilę – polecił, widząc, że Marianna zbiera się do wyjścia. Podszedł do ustawionej w rogu sali gabloty, wyciągnął klucz z kitla, przekręcił i wyciągnął niewielką buteleczkę oraz strzykawkę. Podał je dziewczynie.

– Gdyby ból stał się niemożliwy do zniesienia – oznajmił, patrząc na nią wyczekująco. Przytaknęła i schowała strzykawkę oraz butelkę do torby.

Do Sopotu wróciła późnym wieczorem, z wysiłkiem powłóczę nogami. Droga z częściowo spalonego dworca do domu Heleny wydawała się nieznośnie długa. Sanitariuszki w szpitalu miejskim od razu zaprzęły ją do pracy i całe popołudnie oraz część wieczoru spędziła, wykonując badania wstępne, szyjąc rany i pomagając przy sporządzaniu dokumentacji. Instytucja była w opłakanym stanie, brakowało niemal wszystkiego, toteż karty pacjentów sporządzała na odwrocie dawnej niemieckiej dokumentacji, a przygotowując opatrunki, korzystała ze wszystkiego, co było pod ręką. Duży problem stanowiło również poruszanie się po zrujnowanym mieście. Żeby wrócić do domu, Marianna musiała dojść na przystanek tramwajowy w Bramie Oliwskiej. Ponieważ przemieszczanie się po mieście po zmroku było szczególnie niebezpieczne, na przystanek odprowadziła ją koleżanka z mężem. Kursujący wahadłowo, przepełniony tramwaj zabierał ją jedynie do Wrzeszcza, stamtąd musiała organizować sobie dalszą podróż do Sopotu. Czowała zmęczenie, lecz na długie godziny zapomniiała o swoich problemach z nogą. Ponadto, po raz pierwszy od dawna, poczuła coś więcej niż obojętność

i zniechęcenie. Dodawało jej to sił, by stawić czoła własnym ograniczeniom.

* * *

W weekend ulica Rokossowskiego tętniła życiem. Marianna spacerowała u boku świetnie ubranej Heleny, z ciekawością rozglądając się na boki, i jednocześnie robiąc wszystko, byleby tylko nie zwrócić na siebie uwagi. Przeclawska wcześniej niemalże zmusiła ją do włożenia bawełnianej, rozkloszowanej sukienki z dekoltem w łódkę i pomalowania twarzy.

– Wyglądam jak pajac – oznajmiła Marianna, przeglądając się w dużym lustrze w salonie. – Jak karykatura człowieka rodem z hitlerowskiej propagandy – dorzuciła, przebiegając palcami po naprężonej skórze na policzkach i uważnie studiując sterzące kości policzkowe.

Helena skrzywiła się, gdy usłyszała te określenia.

– Nadal jesteś odrobinę za szczupłą, ale szybko odzyskujesz kształty – odparła, nerwowo szarpiąc frędzle nonszalancko zarzuconego na ramiona szalika. – Masz zdrowy, młodzieńczy koloryt i ładne, ciemne włosy.

Marianna odruchowo sięgnęła dłonią do sięgających ledwie za ucho pukli włosów. Przyzwyczaiła się, że skóra jej głowy była porośnięta krótkimi, szpetnie obciętymi strąkami, toteż oduczyła się patrzenia na siebie i dotykania swojego ciała. Teraz powoli powracała do zapomnianych rytuałów, do starannego układania i pielęgnowania odrastających włosów, do rygorystycznej inspekcji znamion na ciele i liczenia wystających żeber. Co prawda unikała patrzenia na miejsca intymne, jednak nie uszło jej uwadze, że stała się krągłejsza i w niektórych dniach bardziej drażliwa, miewała również skąpe plamienia. Ten powrót do kobiecości był dla Marianny kwestią wstydliwą, lecz patrząc teraz na swoje odbicie w lustrze, nie mogła zaprzeczyć, że odzyskiwała i tę, najbardziej niewygodną ze wszystkich, część swojej osoby.

– Chyba jestem gotowa – oznajmiła, odwracając się do Heleny. Złowiła zamyślane spojrzenie kobiety i opuściła wzrok.

Przećławska podała Mariannie kapelusz i płaszcz, po czym wyruszyły na niedzielny spacer.

Dziewczyna z zadumą obserwowała barwny korowód postaci odzianych w gustowne stroje, przewijających się przez główną ulicę miasta. Grupki żołnierzy w reprezentacyjnych mundurach i dobrze ubrane rodziny wysoko postawionych urzędników mieszały się z niepewnie rozglądającymi się na boki, kaleczącymi polski autochtonami i przesiedleńcami z kresów, którzy usiłowali ukryć skromny ubiór pod nieco zbyt grubymi płaszczami. Co modniejsi z nich mieli kreacje uszyte ze starych zasłon i pledów, młodzieńcy albo nosili pozbawione dystynkcji mundury, albo białe koszule z kołnierzem à la poeci doby romantyzmu. Helena co rusz spotykała znane sobie osoby, poczynając od artystów, przez urzędników najróżniejszego szczebla, aż po osobników o podejrzanym aparycji i niezbyt przyjemnym zapachu. Rozmowy, jakie przeprowadzała, również wahały się od przelotnej wymiany zdań po lekki flirt, głównie z oficerami. Marianna czasem wręcz odwracała się i podchodziła do wystawy najbliższego sklepu tudzież cukierni, udając, że coś ją w tym widoku zaabsorbowało, by ukryć swoją irytację połączoną ze zmieszaniem. Wreszcie kobiety zawędrowały pod pracownię fotograficzną Władysława Skoczylasa i stanęły przed znajdującą się tuż obok drzwi wejściowych gablotą z wybranymi zdjęciami.

– Przegląd miejscowych piękności – zauważyła Helena, zapalając papierosa. – Podobno musisz się spodobać, żeby zechciał ci w ogóle zrobić zdjęcie. Zainteresowana?

Marianna z przerażeniem potrząsnęła głową, co wywołało atak śmiechu u Przećławskiej.

– Pani Palińska? – Usłyszała nagle i zobaczyła, że podchodzi do niej chirurg ze szpitala klinicznego. U jego boku, niczym cień, snuła się niska, nieco tęga kobieta o rumianej twarzy i łagodnych, dużych oczach. Helena spojrzała pytająco na Mariannę.

– Doktor Przemysław Duchliński, chirurg, a to moja żona, Wiesława – przedstawił się mężczyzna, spoglądając na swoją żonę.

– Pani Helena Przeclawska, aktorka – powiedziała Marianna. – Z panem doktorem pracuję w szpitalu miejskim.

Helena skinęła uprzejmie głową.

– Pani jest sanitariuszką? – zapytała żona chirurga.

– Pani Palińska jest świeżo po studiach i u nas nabywa praktyki, chociaż nie wiem, w jakiej dziedzinie chciałyby się w przyszłości rozwijać – odparł szybko Duchliński, ukradkowo spoglądając na Mariannę.

– Na razie w żadnej konkretnej, ale jeśli miałabym wybierać, to najbardziej interesuje mnie pediatria.

– To dobra specjalizacja dla kobiety – rzuciła zdawkowo Wiesława i zerknęła ostentacyjnie na zegarek. – Spóźnimy się – powiedziała do męża.

Duchlińscy pożegnali się i oddalili spiesznym krokiem w stronę molo.

– Temu to ja nie zazdroszczę – skwitowała Helena, opierając ręce na biodrach.

– Co proszę? – zapytała Marianna, wciąż analizując w myślach pobłażliwą uwagę doktorowej dotyczącą pediatrii.

– Nie zauważyłaś? – zdumiała się Helena. – Prawie na nią nie patrzył, zachowywał się, jakby była obcą, natrętną osobą, natomiast nas świdrował wzrokiem. Skłamałabym, mówiąc, że jest pierwszym tego typu mężczyzną, którego tu poznałam, ale on aż pachnie desperacją.

Marianna nie odpowiedziała. Wkrótce potem napotkały grupkę znajomych Przeclawskiej i dały się zaprosić na wieczór karciany. Mieszkanie było brudne, a w kuchni kręciła się młoda Niemka z chustką na głowie. „Gospodyni”, jak wyjaśnili gospodarze. Na stole stały jedynie ogórki i butelka nielegalnie zakupionego bimbru, lecz towarzystwo bawiło się wyśmienicie. Marianna usiłowała brać udział w grze, lecz jej myśli wciąż natrętnie powracały do wcześniejszego spotkania i pierwszej wizyty w klinice. I choć nie chciała dostrzec powiązania między tymi

sytuacjami, to umysł podsuwał jej najróżniejsze, wymyślne interpretacje. Położyła się spać późno, z mętlikiem w głowie.

* * *

Świtało, gdy Marianna zmierzała w stronę szpitala miejskiego przy ulicy Klinicznej. Dotychczas z reguły korzystała z transportu dla pracowników portowych, lecz dziś spóźniła się i była zdana na siebie. Przechodziła przez zrujnowane centrum Wrzeszcza, próbując wypatrzeć trasę z najmniejszą liczbą przeszkód do pokonania i jednocześnie nie zwracając na siebie uwagi wszechobecnych mężczyzn. Stali w grupkach, po trzech, czterech; niektórzy rozkładali dobra z szabru na kawałkach plandek i oferowali je przechodniom, inni zaś, znudzeni, siedzieli na zwaliskach gruzów, obserwując ludzi i wymieniając głośno uwagi na ich temat.

– Ej, ty! – wrzasnęli do Marianny. – Może wrócisz do nas po zmroku? Pokażemy ci, do czego została stworzona kobieta!

Dziewczyna opuściła głowę i umknęła w jedną z bocznych, mniej zniszczonych uliczek. Czasem mijały ją pojedyncze osoby, które w koszach przenosiły różnego typu towary do wystawienia na prowizorycznym rynku przy dawnej głównej arterii dzielnicy, lecz poza tym okolica była opustoszała. Marianna przyspieszyła kroku i dotarła do rozwidlenia, gdzie kameralna uliczka łączyła się z drogą, przy której stały imponujące, kilkupiętrowe, bogato zdobione kamienice.

Uwagę dziewczyny przykuła następująca scena: dwoje starszych ludzi powoli wyszło z jednej z niezniszczonych kamienic przy ulicy Jaškowa Dolina, ciągnąc za sobą prowizoryczne, wypchane wózki z przedmiotami osobistymi. Starsza kobieta odwróciła się i rzuciła ostatnie spojrzenie na swój dawny dom. Na jej naznaczonej wiekiem twarzy pojawiły się łzy. Mężczyzna podszedł do niej, delikatnie musnął policzek żony opuszkami palców i powiedział coś szeptem. Staruszka otarła łzy i para powoli zaczęła iść w stronę Oliwy, a łoskot toczących się po nierównym chodniku wózków odbijał się echem po okolicy. Marianna zauważyła leżące

na ziemi, oprawione w ładną, metalową ramkę zdjęcie, które musiało wypaść z ekwipunku obserwowanego przez nią małżeństwa. Podniosła przedmiot, podbiegła do staruszki i wręczyła jej ramkę. Kobieta przesunęła dłonią po szkłe, jakby usiłowała zetrzeć kurz z fotografii, a następnie przeniosła wzrok na Mariannę.

– Żadne z nich nie wróciło – powiedziała staruszka, pokazując dziewczynie zdjęcie, na którym uwieczniono dwóch młodych mężczyzn w mundurach oficerów Wehrmachtu oraz dziewczynę w stroju sanitariuszki.

Marianna wyciągnęła kilka banknotów, które miała w kieszeni i podała je kobiecie, lecz staruszka odtrąciła jej dłoń.

– Niech cię Bóg błogosławi, dziecko – rzekła, jednak w jej oczach dziewczyna nie dostrzegła żadnych emocji. Gościła tam jedynie pustka.

Małżeństwo wznowiło swoją wędrówkę. Panna Palińska odprowadziła ich wzrokiem, po czym ruszyła dalej. Wkrótce napotkała kolejne grupki Niemców niosących swój dobytek na plecach. Przeważnie szli w milczeniu, z wzrokiem wbitym w ziemię. Jedynie dzieci, wychudłe, odziane w schodzone ubrania rozglądały się uważnie dookoła i próbowały zaczepiać przechodniów, lecz szybko były uciszane przez swoich opiekunów. Marianna miała wrażenie, że znalazła się pośrodku ponurej procesji nieumarłych, tak zły był stan większości z nich.

Gdzieś tam gromadziły się grupki gapiów, obserwujące i komentujące między sobą całe zajście. Dało się słyszeć głośne gwizdy, padały też wyzwiska. Marianna przyspieszyła kroku. Wkrótce dotarła do obozu przejściowego przy dawnej Hindenburg Allee, odbiła na północ i kilkanaście minut później znalazła się w szpitalu. Włożyła fartuch i dołączyła do porannego obchodu.

– Gdzie oni kierują tych wszystkich Niemców? – zapytała w wolnej chwili swoją koleżankę, Anielę.

Sanitariuszka wzruszyła ramionami.

– Chyba najpierw do obozu w Narwiku, a potem do siebie – odparła obojętnym głosem. – Dostają nakaz i wędrują ze wszystkim, co są w stanie udźwignąć.

– Powinni się cieszyć, że mogą cokolwiek wziąć – wtrąciła Róża, młoda sanitariuszka o pięknych, platynowych włosach. – Pamiętam, jak wysiedlali moich sąsiadów, to te ich baby z Bündu wydarły im nawet pościel z bagażu. Niech poczują nasz ból.

Pozostałe zgromadzone w pomieszczeniu kobiety pokiwały głowami.

– Prawda jest taka, że muszą iść precz, chociażby z tego względu, że już teraz jest problem z przydziałem mieszkań. Jakby ich i tych pseudo-Polaków, byłych „gdańszczan” wywalić, to nasze chłopaki przyjeżdżające do pracy w porcie nie musiałyby waletować po kątach w przepełnionych izbach, tylko mieliby zapewnione godne warunki – dorzuciła Aniela, utkwivszy wzrok w Mariannie.

Zapadła niezręczna cisza.

– Palińska, chodź ze mną – rzekła nagle Krystyna, jedna z najbardziej doświadczonych pracownic na oddziale.

Wyszły na korytarz.

– Współczuciem dla Niemców tu sobie sympatii nie zaskarbisz – zawyrokowała, mrużąc oczy.

Marianna podwinęła rękaw i pokazała koleżance swoje przedramię. Krystyna syknęła cicho i odwróciła wzrok.

– Sądzę, że jeśli byłam w stanie zachować w sobie resztki współczucia, to inni powinni tym bardziej móc wykrzesać z siebie odrobinę empatii – powiedziała twardo.

– Nam też było ciężko – odparła Krystyna. – W czasie okupacji wszystkim było ciężko i nikogo nie obchodziły przeżycia innych. A teraz wojna się skończyła i trzeba zapomnieć. Nie daj się pozbawić szansy na nowe życie przez kresowy sentymentalizm, niezależnie od tego, jak bardzo wierzysz w swoją rację – dodała i wróciła do pomieszczenia socjalnego.

Marianna wzięła głęboki wdech i oparła się o ścianę. Poczowała nagły przypływ bólu i jej myśli odruchowo powędrowały w stronę schowanej w torbie morfiny. „Dlaczego nie? Czemu nie miałabym zapomnieć, chociaż ten jeden raz?” – pomyślała, a jej dłonie zacisnęły się w pięści.

– Wszystko w porządku? – Usłyszała znajomy głos. Podniosła głowę i ujrzała doktora Duchlińskiego przypatrującego się jej uważnie.

– Tak, tak – powiedziała szybko, nienaturalnie pogodnym głosem. – Drobne nieporozumienie. Czasami jestem zbyt impulsywna i potrzebuję wtedy chwili spokoju.

Brwi chirurga powędrowały do góry.

– Ekhem – odchrząknął, rzucając kontrolne spojrzenie w stronę pomieszczenia sanitariuszek. – Być może nie do końca przemyśleliśmy umieszczenie pani tutaj, biorąc pod uwagę posiadane kwalifikacje. Gdyby to pomogło, mógłbym porozmawiać o przeniesieniu pani do jednego z gabinetów – dodał po chwili.

Marianna potrząsnęła głową, choć pierwsza odpowiedź, jaka przyszła jej do głowy, brzmiała: „tak”.

– Wtedy pomyślą, że z jakiegoś względu zasłużyłam sobie na szczególne traktowanie. Tak rodzą się plotki – odparła i prawie natychmiast pożałowała swojej szczerości. Nierozsądnie było doszukiwać się niezręczności w sytuacji, która, jak na razie, wyglądała na kłopotliwą wyłącznie w jej wyobraźni.

Twarz Duchlińskiego stężała.

– Czy ma to dla pani jakiegokolwiek znaczenie? Po tym, co wszyscy przeżyliśmy, stwierdzam, że bardzo niewiele rzeczy w ogóle mnie rusza – odrzekł, a w jego głosie słychać było znużenie i apatię.

Marianna zdobyła się na uśmiech.

– Nigdy nie uważałam, że osobiste nieszczęścia uprawniają mnie do nadużywania życzliwości innych albo naginania zasad. Niemniej, dziękuję doktorowi za okazane mi zainteresowanie i mam nadzieję, że kiedyś będziemy mogli odnosić się do siebie jak

koledzy po fachu – powiedziała, prostując się i patrząc rozmówcy prosto w oczy.

– Rozumiem – odpowiedział Duchliński. – I liczę na to, że zdoła pani wyjaśnić to nieporozumienie – dorzucił. – A teraz chyba oboje musimy wracać do pracy.

Marianna skinęła głową i z satysfakcją odnotowała, że chirurg spojrział na nią z szacunkiem.

* * *

Druga połowa listopada przyniosła wyczekiwaną decyzję ministra zdrowia o uznaniu uprawnień zdobytych przez Mariannę we Lwowie. W tym samym tygodniu podjęła pracę jako lekarz stażysta na oddziale dziecięcym w Szpitalu Miejskim w Gdańsku i otrzymała przydział mieszkaniowy w okolicy. Przysługiwały jej dwa pokoje w dużej, secesyjnej kamienicy przy Marienstrasse. Mieszkanie, oryginalnie sześciopokojowe, miała dzielić z rodziną pewnego, pochodzącego z Warszawy, urzędnika średniego szczebla.

Dziewczyna poczuła, jak ją mdli, gdy po wprowadzeniu się do mieszkania odkryła, że piec w kuchni jest jeszcze ciepły, a w jadalni nakryty stół oczekiwał na domowników. Przeprowadziła szybką inspekcję wszystkich pomieszczeń i zebrała nieliczne, pozostawione przez poprzednich mieszkańców przedmioty osobistego użytku. Zapakowała je do kartonu, który następnie ukryła na dnie szafy w swojej sypialni. Usiadła na obitym miękką tkaniną krześle, wyciągnęła kupiony od sowieckiego podporucznika pistolet i położyła broń na biurku. Otworzyła pożyczoną od Heleny książkę Cata-Mackiewicza, lecz nie mogła skupić się na lekturze. Nie była w stanie określić, co przeszkadza jej bardziej: dawno już zapomniane tykanie zegara w oddali czy poczucie, że jest intruzem we własnym domu. Sprzęty utrzymane w dobrym stanie, kolorystycznie dobrane zasłony i dywany wciąż przypominały Mariannie o tym, że jej obecny komfort został okupiony niedolą rodziny, która tu przed nią mieszkała. „Wszak wszelki dobrobyt na świecie jest

rezultatem uciskania jednej grupy przez drugą, z czego ta, która odnosi korzyści, jest zawsze mniej liczna” – pomyślała, by powołać się na racjonalne argumenty przemawiające za jej prawem do tego miejsca.

Nadszedł wieczór. O tej porze słuchałaby z Heleną audycji Cioci Hali w Polskim Radiu Gdańsk, paląc przy tym papierosy i naprawiając ubrania. Teraz, skonfrontowana z samotnością, snuła się po pokojach, podśpiewując pod nosem szlagiery Hanki Ordonówny, okazjonalnie popijając z ostatniej butelki nielegalnie zakupionego bimbru. Odpisała także na kolejny list Jędrzeja. Chłopak zachęcał ją do przyjazdu do Krakowa.

– Nie zostanę niczyją żonką, ty napuszony karierowiczu – mruknęła pod nosem, stawiając zamasyście kropkę wieńczącą ostatnie zdanie.

Zaraz po przybyciu do Gdańska zaczęła intensywnie korespondować z rodziną i dawnymi przyjaciółmi. Niektóre listy pozostały bez odpowiedzi, w kilku wypadkach otrzymała krótkie zawiadomienia o śmierci adresata, lecz bardzo dużo osób odpisywało. Ludzie byli złaknieni kontaktu i wiadomości, a choć najczęściej pisali o rzeczach trywialnych, Marianna zwracała uwagę na każdy strzępek informacji, jaki mógłby ją naprowadzić na miejsce pobytu jej brata. Często jednak, jak miało to miejsce w przypadku korespondencji z Jędrzejem, dziewczyna odnosiła wrażenie, że niedostatecznie się stara i tak naprawdę nie podejmuje realnych prób odnalezienia rodziny, a jedynie usprawiedliwia się w swoich oczach. W tych chwilach nie raz dawała upust trzymanemu w sobie gniewowi. A tego wieczoru negatywne odczucia zintensyfikowało wrażenie bycia osaczoną w nieznanym sobie miejscu. Miała ochotę zniszczyć to mieszkanie, zachować się jak żołnierz-zdobycyca, wyrzucić albo sprzedać pozostawione sprzęty, zerwać podłogę i pociąć idealnie równe tapety. Jednak wyuczony szacunek oraz współczucie powstrzymały ją przed dokonaniem aktu destrukcji.

Rano, w sobotę, zaskoczeni lokatorzy, którzy dopiero co przenieśli się z Warszawy, minęli niedoszlą sąsiadkę taszczącą po schodach dwie wypchane torby. Natomiast Helena, ponownie widząc Mariannę w progu swojego domu, nie wydawała się szczególnie zaskoczona.

– Zwyczajnie nie mogłam – powiedziała dziewczyna. – Tamto miejsce... pachniało jeszcze tymi ludźmi, czuło się ich obecność na każdym kroku.

– Nie to, co w pustych, obrabowanych ścianach – odparła ironicznie Helena, wpuszczając lekarkę do środka.

Marianna postawiła walizki w przedpokoju i uściskała przyjaciółkę.

– Przynajmniej nie jestem pierwszą, która ich okradła – odcięła się.

* * *

Nazajutrz, gdy Marianna schodziła ze schodów, zauważyła smukłą sylwetkę Heleny rzucającą długi cień na posadzkę. Kobieta stała na werandzie, patrząc przez okno gdzieś w dal i obracając cienką, damską lufkę między palcami. Odziana jedynie w cienki, sięgający ledwie za kolano satynowy szlafrok, bez peruki na głowie przywodziła na myśl porzuconą porcelanową lalkę, wypatrującą z utęsknieniem swojego dawnego właściciela.

– Wiem, że tu jesteś – powiedziała, a jej ciało zafalowało łagodnie. Nie odwróciła się jednak w stronę Marianny. – Cokolwiek sobie myślisz, ani mi się waży okazywać jakiegokolwiek współczucie.

Przyłożyła papieros do ust, zaciągnęła się mocno i wypuściła dym.

– Czy coś się stało? Czy mogę ci w czymś pomóc? – zapytała Marianna i podeszła do Heleny. Szlafrok kobiety był niechlujnie zawiązany, przez co eksponował wychudłą klatkę piersiową zwieńczoną małymi, nieco spiczastymi piersiami, nieznacznie odznaczającymi się pod lejącym się materiałem.

– Stało się dokładnie to, co przewidywałam na samym początku. Czas niestety robi swoje i dawne sztuczki już nie działają – odparła Helena. Widząc zaskoczoną minę Marianny, zachichotała pod nosem. – Ach, nie przejmuj się tym, moja droga, w świecie artystów jest to absolutnie normalne. Raz nas ubóstwiają, innym razem... – Wzruszyła ramionami. – Atmosfera nieszczególnie napawa mnie optymizmem, niemniej nie znaczy to, iż zamierzam się poddać.

– Chodzi o szkołę muzyczną? – dopytała Marianna, mglisto przypominając sobie plan przyjaciółki dotyczący ożywienia życia kulturalnego w Sopocie.

Helena prychnęła pod nosem.

– „Niska użyteczność społeczna” i „marnowanie potrzebnej obywatelom przestrzeni na burżuazyjne rozrywki” – rzekła z przekąsem. – Ale czego można się spodziewać po bandzie wypucowanych proletariuszy, którzy jeszcze dwa lata temu sprząтали w naszych domach i pracowali na nasze utrzymanie? Większość z nich to na dodatek cholerni analfabeci! W uzasadnieniu odmowy przyznania mi lokalu pod szkołę znalazłam kilka błędów ortograficznych. Po twojej minie wnoszę, że tobie nie idzie lepiej?

Marianna potrząsnęła głową.

– Żadnych wieści – odparła.

– Ostatnio przybył nowy transport z Lwowa – podsunęła Helena.

– Rozpytywałam na dworcu. Tak samo jak poprzednim razem i jeszcze wcześniejszym. Nikt nic nie wie, nikt nie kojarzy Palińskich – odparła Marianna.

Helena ponownie zaciągnęła się papierosem.

– Zbliża się zima, w mieście brakuje pracy i wolnych lokali. Nie chcę cię zniechęcać, ale chodzą pogłoski, że kolejne transporty mogą być przekierowywane do innych miast – powiedziała.

Marianna westchnęła ciężko i utkwiała wzrok w wiszącej nad Sopotem mgłą. Przedwczoraj otrzymała list z Czerwonego Krzyża,

w którym poinformowano ją o aresztowaniu jej stryja przez Gestapo i przewiezieniu go do jednego z obozów. Według organizacji, mężczyzna przeżył i przebywał obecnie w obozie przejściowym. O ciotce i bracie nie wspomniano. Marianna wahała się, czy nawiązać kontakt z krewnym, którego zaufanie zawiodła, lecz ostatecznie przełamała się i napisała do niego, podając swój obecny adres zamieszkania. Wiedziała, że miną tygodnie, nim otrzyma odpowiedź, lecz obawiała się jej tak samo, jak i ponownego zjednoczenia z rodziną. Nie wiedziała, jak miałyby wytłumaczyć podjęte przez siebie decyzje, ani tym bardziej czy kiedykolwiek uzyska wybaczenie.

– Wiesz, czego nam potrzeba? – zagała po chwili Helena.

Marianna odpowiedziała jej beznamiętnym spojrzeniem.

– Towarzystwa i dobrej zabawy. Zorganizujemy przyjęcie, jakiego nasi znajomi nie widzieli od czasów przedwojnia – wyjaśniła z błyskiem w oku Helena.

* * *

Z kuchni dobiegał przyjemny aromat pieczonego mięsa. Marianna zrzuciła niewygodne pantofle i weszła do pomieszczenia, niosąc wypełniony warzywami wiklinowy kosz.

– Postaw go na blacie za mną – poinstruowała ją Helena. W zdobnym turbanie na głowie i zawiązanym na kokardę fartuchu z falbankami wyglądała niczym wzorcowa, a zarazem nowoczesna pani domu. Obok kuchenki gazowej rozłożyła grubą niemiecką książkę kucharską i ze skupieniem na twarzy studiowała znajdujące się w niej przepisy.

– Do diaska, nigdy nie byłam w tym dobra! – warknęła pod nosem. – Chciałam uraczyć naszych gości jakimiś pomorskimi specjałami, ale zapomniałam o tym, że kuchnię zawsze uważałam za domenę zdradzanych żon i kiepsko opłacanych kucht. Nie mówiąc już o moim wstręcie do języka niemieckiego – wyjaśniła, zerkając na Mariannę.

Dziewczyna spojrzała na bulgoczącą smętnie w garnku breję i uniosła brwi.

– Jak chcesz serwować kuchnię pomorską, to nie powinnaś podać ryb? – zapytała zdezorientowana. – Nawet nie wiedziałam, że można dostać mięso.

– Bo nie można, chyba że uda ci się coś kupić bezpośrednio od rolnika. A ryb nie zamierzam skrobać – odburknęła Helena.

Marianna uśmiechnęła się w duchu. Ściągnęła płaszcz, szal oraz rękawiczki, które położyła na krześle nieopodal wyjścia do jadalni.

– Nakryj stół i przypilnuj reszty spraw, a ja mogę zająć się gotowaniem – oznajmiła.

Na twarzy Heleny pojawił się wyraz ulgi.

– Goście przyjdą za niecałą godzinę, nie sądzę, że się wyrobisz bez pomocy – orzekła sceptycznie.

Marianna machnęła dłonią.

– Nieważne. To ty będziesz gwiazdą wieczoru. Ja pozostanę „źle opłacaną kuchcią” – odgryzła się.

Helena zrobiła kwaśną minę, lecz w jej oczach błysnęła iskierka radości. Ucałowała Mariannę w policzek i niemal wybiegła do salonu. W tym samym czasie dziewczyna zaczęła obierać, a następnie kroić warzywa. Potem ułożyła je w rondelku i zalała odrobiną domowego wina. Ostrożnie zebrała szumy z gotowanego przez Helenę rosółu i dołała chochlę wywaru do warzyw. Zeszła do spiżarni, z której wróciła z mlekiem i jajkami.

Do drzwi zaczęli dzwonić pierwsi goście. Ponieważ kuchnia znajdowała się na tyłach domu, do uszu Marianny docierały jedynie stłumione głosy, czasem pojedyncze, głośniejsze wypowiedziane zdania. Pracowała dalej, przypominając sobie popołudnia spędzane z ciotką na lepieniu cepelinów i pielmieni, przygotowywaniu zaczynu na ciasta oraz gotowaniu budyniu z dyni. Pomimo swojej majątności pani Palińska uważała, że każda gospodyni powinna umieć gotować, toteż zatrudniała pomoc jedynie, gdy szykowano przyjęcie dla dużej liczby gości. Przykładała również wagę do ekonomicznego prowadzenia gospodarstwa i starała się przekazać swoją wiedzę i umiejętności

bratanicy męża. Marianna z ochotą chłoneła tę wiedzę, starając się odnajdywać interesujące ją aspekty w pozornie nudnych i powtarzalnych czynnościach.

Wkrótce dołączyły do niej trzy ochotniczki i razem uporały się z pilnowaniem oraz podawaniem kolejnych talerzy z daniami i przekąskami. Gdy ostatnie wypełnione blinami naczynie opuściło kuchnię, Marianna poczuła nieprzyjemne mrowienie w nodze. Przeprosiła swoje towarzyszki i przemknęła niepostrzeżenie przez przylegającą do kuchni jadalnię. Nie mając sił, by wspiąć się po schodach, weszła do pokoju Heleny i zamknęła drzwi. Położyła się na łóżku przyjaciółki i, głęboko oddychając, rozmasowała obolałą kończynę. Nieprzyjemne napięcie ustąpiło. Podniosła się i skontrolowała swój wygląd w lustrze. Sweter z musztardowej włóczki i nieco szkolna, plisowana spódnica ze śliskiego materiału sprawiały, że przypominała uczennicę liceum. Zaczesała opadające smętnie włosy do góry i spięła wziętymi z gablotki Heleny spinkami. Fryzura uwydatniła owal twarzy Marianny, jednocześnie pozbawiając ją infantylnego wyglądu. Wciągnęła powietrze do płuc i zdecydowała się dołączyć do gości.

Wchodząc do salonu, doznała lekkiego szoku. Poza znanymi jej z kortów i wyścigów konnych oficerów i urzędników, w pomieszczeniu znaleźli się również sąsiedzi z okolicznych budynków oraz przyjaciele-artysty Heleny, zaś w rogu pomieszczenia, przy ścianie stał chirurg Duchliński. Uważne, ciemnobrązowe oczy lekarza śledziły ruchy pozostałych gości.

– Ach, jest i bohaterka dzisiejszego wieczoru! – wykrzyknęła Helena, wskazując na Mariannę.

Duchliński obrócił gwałtownie głowę w stronę młodej lekarki. Zmierzył ją spojrzeniem i szybko opuścił wzrok. Marianna zignorowała go i z ulgą dała się wciągnąć w zajmującą rozmowę dotyczącą kuchni regionalnych. Wesolą pogawędkę przerwało przybycie Remigiusza Hoffmana z żoną. Mężczyzna zamieszkiwał w tak zwanym „sowim domu”, o prawo do którego obecnie toczył

się spór pomiędzy nim a jednym z urzędników, także obecnym na przyjęciu.

– Drodzy państwo Hoffmanowie, tak się cieszę, że udało wam się dzisiaj do nas dołączyć! – przywitała ich Helena, wylewnie witając się z nowo przybyłymi. – Może zasiedlibyśmy do brydża? – rzuciła w stronę reszty towarzystwa.

Odpowiedziały jej skwapliwe pomruki aprobaty.

– Kto gra pierwszy? – zapytała Helena.

Marianna podniosła rękę do góry, licząc że znajdzie się w parze z przyjaciółką. Przeclawska uśmiechnęła się szeroko i zwróciła do gości:

– Kto ma ochotę dołączyć do mojej uroczej współlokatorce? – zapytała, trzepocząc niewinnie rzesami i omiatając towarzystwo wzrokiem. Podniosło się parę dłoni. – Może pan, panie doktorze? – zapytała Duchlińskiego.

Chirurg spojrział na gospodynię zdumiony, jakby właśnie wyrwała go z transu.

– Ależ oczywiście – odparł.

Drugą parę stworzyła Helena z panem Hoffmanem, ku niezadowoleniu majora Rzeplińskiego, który przysiadł na stojącej nieopodal kanapie i utkwiał drapieżne spojrzenie w domniemanym rywalu. Pozostali goście podzielili się na mniejsze grupki, część zaczęła majstrować przy radiu, inni zaś przypatrywali się grze. Marianna próbowała unikać wzroku doktora Duchlińskiego, jednak miała wrażenie, że chirurg cały czas ją obserwuje, co sprawiało, iż nie mogła skoncentrować się na brydżu. Zamoczyła usta w domowym winie, lecz słodkawy smak napoju zemdleł ją, toteż szybko odstawiła kieliszek i zwróciła się do Hoffmana:

– Z tego co słyszałam, jest pan naukowcem.

Mężczyzna przytaknął.

– Wykładałem architekturę na Technische Hochschule Danizg, czy jak obecnie się mówi „na Politechnice”. Teraz nie mam stałego zatrudnienia, niemniej liczę, że moje nowe papiery coś zmienią w tej kwestii – odparł, kładąc kartę na stół.

Marianna ułożyła swoje karty kolorami.

– O jakich papierach pan mówi ? – zapytał Duchliński, dokładając damę kier.

– Dokumenty potwierdzające moją polskość – odparł Hoffman. – Mnie i mojej rodzinie udało się pomyślnie przejść procedurę weryfikacyjną. Zresztą, absurdem byłoby, gdyby stało się inaczej, wszak nasi przodkowie to rodowici Polacy.

– Czy uważa się pan za Polaka? – Chirurg szedł za ciosem.

Dawny wykładowca odchrząknął znacząco.

– Uważam się za tego, za kogo w danym momencie wypada się uważać. Przedwczoraj byłem gdańszczaninem, wczoraj obywatelem Trzeciej Rzeszy, a dziś równie dobrze mogę być Polakiem. Tego typu określenia brzmią dumnie, lecz w swej istocie nie definiują nas. Liczy się region, z którym jesteśmy związani, a ten, do kogo obecnie ten skrawek ziemi należy... – wzruszył ramionami – przypina nam odpowiednią łatkę.

– Oportunista! – parsknął ktoś z tyłu. Hoffman odwrócił się na krześle i spojrzał na czerwonego ze wściekłości urzędnika Janickiego. – Oportunista i hitlerowski sprzedawczyk!

– Napadasz mnie w moim domu i wywlekasz na ulicę, a potem odmawiasz uznania prawomocnego orzeczenia i zwrócenia mi mojej własności. I kto tu jest oportunistą? – zapytał chłodno Hoffman.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Marianna ledwie uchwyciła moment, w którym Janicki rzucił się na dawnego wykładowcę. Niemal natychmiast interweniował major i kilku innych gości. Rozdzielili zwaśnionych mężczyzn, lecz przyjemny nastrój bezpowrotnie minął. Urzędnik wyrwał się z chwytu wojskowego i splunął pod stopy Hoffmana.

– Kanalia! – wrzasnął, po czym opuścił pomieszczenie, trzaskając drzwiami.

Zapadła niezręczna cisza, przerywana tłumionymi szlochami pani Hoffman.

– I jak tu żyć pod jednym dachem, kiedy między nami taka nienawiść? – wyjęczała.

Helena podeszła do kobiety i pomogła jej doprowadzić się do porządku. Goście powoli zaczęli się rozchodzić, rzucając nieśmiało słowa pożegnania i dziękując za „udany wieczór”.

– Pani też powinna się już położyć. – Usłyszała Marianna. Duchliński delikatnie musnął jej dłoń palcami i skinął lekko głową.

Po posprzątaniu salonu i wysłuchaniu do końca lamentu pani Hoffman, Marianna udała się do swojego pokoju na poddaszu. Ściągnęła ubranie i złożyła je na krześle. Przemyślała twarz w misce wody i dokładnie ją wytarła. Zaczęła studiować swoją skórę w lustrze, gdy kątem oka dostrzegła irytujący ją szczegół. Pod krzesłem leżał jakiś śmieć. Podeszła i podniosła go z podłogi. Zwitek papieru, musiał wysunąć się z kieszeni spódnicy. Rozprostowała kartkę i odczytała wiadomość:

Hipodrom, niedziela, południe. D.

* * *

Od Heleny pożyczyła rower, solennie obiecując, że będzie go pilnować niczym oka w głowie i ruszyła w stronę Karlikowa. Nieuchronnie zbliżała się zima, chłodne powietrze bezlitośnie przedzierało się przez ocieplany płaszcz Marianny, przewiewając wrażliwe na zmiany temperatury ciało kobiety. Odrzuciła głowę do góry i spojrzała na niebo. W tym momencie czuła się szczęśliwa, że jest wolna i jej życie nie podlega już rygorystycznym, obozowym zasadom. Odzyskała poczucie kontroli, które, pomimo zaobserwowanych przez nią zmian i napotykaných trudności, dawało kobiecie siłę, by wstawać rano i decydować o sobie.

Hipodrom znajdował się w niewielkiej odległości od Dolnego Sopotu i już wkrótce na horyzoncie dostrzegła wzgórze morenowe. Marianna odbiła na północ, wjeżdżając na ulicę Polną. W zasięgu wzroku dziewczyny pojawiły się trybuny i niskie, parterowe budynki. Zsiadła z roweru i, prowadząc pojazd, weszła na teren

dawnego toru wyścigów konnych. Nagle wyrósł przed nią milicjant.

– A towarzyska jaki ma powód, by tutaj przebywać? – zapytał, opierając dłonie na biodrach. – To teren UNRRA, a wy nie wyglądacie mi na wolontariuszkę – dorzucił po chwili, dość jednoznacznie przesuwając wzrokiem po sylwetce Marianny. Kobieta zagryzła zęby, by stłumić cisnące się na usta słowa zdradzające obrzydzenie, jakie w niej wywołał. – Prędeż na taką, co szuka okazji, hmm?

– Doktor Palińska jest ze mną. – Dziewczyna usłyszała głos Duchlińskiego i odczuła ulgę. Chirurg wyłonił się zza jednego z budynków. – Zgodziła się mi dzisiaj pomóc, mam nadzieję, że nie robiliście jej trudności?

Na twarzy milicjanta pojawił się przelotnie grymas niezadowolenia, jednak mężczyzna natychmiast zszedł z drogi Mariannie.

– Proponuję zamknąć twój rower w jednym z pomieszczeń gospodarczych, w innym wypadku któryś z kręcących się w okolicy cwaniaczków może się na niego połasić – rzekł chirurg, zniżając głos.

Odstawili pojazd i udali się do stajni. Ze środka dobiegały wesole rozmowy w języku angielskim. Wewnątrz krzątało się kilku grubo odzianych mężczyzn. Część z nich sprzątała boksy, inni zaś zajmowali się zwierzętami. Na widok Duchlińskiego wesóło zakrzyknęli: „*Good afternoon, doctor!*”. Chirurg zamienił kilka słów z jednym z mężczyzn, krępy, acz rozbudowanym w barkach brunetem, jednak nieznamość języka uniemożliwiła Mariannie branie udziału w rozmowie. Z ciekawością natomiast i pewnym wzruszeniem obserwowała starannie wypielęgnowane konie, przypominając sobie, jak wiele z tych majestatycznych zwierząt widziała martwych, rozkładających się na drogach w Niemczech i Polsce.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Duchlińskiego, gdy skończył rozmowę.

– To tak zwani „morscy kowboje”, w większości farmerzy z Ameryki, wolontariusze, którzy sprowadzają konie i bydło do Europy. Ich zadaniem jest dbanie o zwierzęta w czasie przeprawy i przez jakiś czas w miejscu docelowym. W ten sposób UNRRA chce pomóc odtworzyć populację tych zwierząt w krajach najbardziej dotkniętych wojną – odparł Duchliński, po czym zaprowadził Marianną do boksu, w którym stała jasna klacz. Chirurg wszedł do środka i poprosił swoją towarzyszkę, by podała mu zgrzebło.

– Jest piękna – rzekła dziewczyna, delikatnie dotykając grzbietu zwierzęcia.

– W moim rodzinnym majątku hodowaliśmy konie – powiedział Duchliński. Stał po drugiej stronie i kolistymi ruchami zaczął masować klacz, zrzucając przy tym osiadły na włosiu brud. Marianna cofnęła się po szczotkę do czesania sierści i również przystąpiła do pracy. – Jeszcze przed wyjazdem na studia każdego dnia udawałem się na przejażdżkę po okolicznych lasach – podjął po chwili chirurg. – Niewiele rzeczy w moim późniejszym życiu mogło się równać z tamtym poczuciem wolności i bez troski – dodał, zaciskając nienaturalnie usta.

– Zatem przychodzi pan tutaj, by choćby na chwilę poczuć się tak jak wtedy? – zapytała Marianna.

Duchliński zaśmiał się ponuro.

– Przychodzę tutaj, żeby pomyśleć. Moja żona nienawidzi koni i nigdy nie postawiłaby stopy na terenie hipodromu. Tak się akurat złożyło, że jeden z pracowników UNRRA złamał w paskudny sposób nogę i to ja ją nastawiałem. Dzięki temu dostałem pozwolenie na przebywanie tutaj: doglądam pacjenta i jednocześnie mogę się rozkoszować spokojem. Szokuje cię to, nieprawdaż? – rzekł, wpatrując się uważnie w twarz Marianny.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Duchliński przysunął się bliżej i nachylił w stronę towarzyszki.

– Jak na pannę z dobrego domu masz zaskakująco otwarty umysł. Czuję, że mogę być z tobą szczerzy i nie będziesz mnie

osądzać – zauważył.

Marianna zaczerwieniła się. Wiedziała, że powinna to odebrać jako komplement, ale zawstydził ją. Dodatkowo uczucie zmieszania spotęgowało odkrycie, którego właśnie dokonała: Duchliński jej się podobał.

– Cóż, nie ma sensu trzymać się zasad wywodzących się z nieistniejącego już świata – odparła.

Chirurg potaknął.

– Masz rację... – powiedział i zrobił pauzę, jakby nagle się zawahał. – Nawiązując do twojej myśli, pozwolisz, że zadam ci pytanie. Czy miałabyś ochotę na krótką przejażdżkę po okolicy? – Spojrzał na nią wyczekująco.

* * *

„Hubertusallee” – przeczytała w myślach Marianna, wyłapując nieusuniętą jeszcze tabliczkę z nazwą ulicy, przytwierdzoną do elewacji jednej z okolicznych willi. Jednym z pierwszych impulsów napływających do miasta osadników było wymazywanie wszelkich śladów obecności dawnych mieszkańców. Z dnia na dzień z krajobrazu zarówno Sopotu, jak i Gdańska znikwały kolejne szyldy zakładów i tablice z nazwami ulic, zaś ich miejsce wypełniały polskie nazwy.

Początkowo wybrali się w okolice pasa nadmorskiego, jednak później Duchliński gwałtownie odbił na południe i zaczęli zagłębiać się w miejską tkankę Sopotu. Z uwagi na ograniczoną mobilność i nawał pracy Marianna nigdy wcześniej nie miała okazji dobrze poznać swojego miejsca zamieszkania. Przejeżdżając obok okazałych domów, niejednokrotnie wzorowanych na romantycznych zamkach, tudzież willi, poczuła się przytłoczona bogactwem okolicy. Podobnie jak w Gdyni dziewczyna odniosła wrażenie, jakby ktoś umieścił ją w zupełnie innych realiach, gdzie nowoczesność oraz życie w harmonii z naturą nie były przeciwstawnymi sobie pojęciami. Choć jej krewni nie należeli do ludzi ubogich, a ona sama miała w zwyczaju spędzać wakacje poza miastem, to nigdy przedtem nie widziała miejsca, które

zostało wręcz zaprojektowane, by zapewniać mieszkańcom wypoczynek, jednocześnie nie odcinając ich od zdobyczy cywilizacji. Inni zdawali się też być ludzie, młodzi, dynamiczni, szukający swojej ścieżki i wykorzystujący specyficzną atmosferę rozluźnienia dla swoich celów. „I oto jestem ja, do szpiku kości przesiąknięta tradycją, a jednak łaknąca swobody, ciekawa tego, co stanie się po przekroczeniu pewnych granic” – pomyślała.

Duchliński zatrzymał się przed domem, który swoim wyglądem przypominał przewrócony statek. Budynek okalał niewielki zagajnik, zaś konary drzew rzucały długie cienie na elewację, nadając miejscu baśniowy, nieprzystający do otoczenia klimat. Wrażenie to pogłębiał osadzony na dachu oraz okalającym całe drugie piętro balkonie szron. Chirurg zeskoczył z konia i otworzył bramę. Wprowadzili zwierzęta na teren posesji i zostawili przywiązane na tyłach domu, gdzie gęsto rosnąca roślinność utrudniała dostrzeżenie ich przez niepowołane osoby. Następnie Duchliński zaprosił Mariannę gestem do domu. Dziewczyna poczuła, jak powracają do niej wszystkie wątpliwości i przystanąła.

Przed oczami mignęła jej twarz strażniczki, unosząca się nad nią szyderczo, z brzytwą wiszącą złowrogo nad bujnie porośniętą głową dziewczyny. Mogłaby przysiąc, że znów słyszy stwierdzenie: „Obiekt gotów do dalszych badań” i zaraz na jej nodze zacisną się czyjeś dłonie, beczelnie przesuwające się raz w górę, a raz w dół. Wtedy też przypomniała sobie o swoim kalectwie oraz związanej z nim niezgrabności i poczuła, jak na jej twarz wypływa rumieniec. Wtem nastąpiło coś, czego zupełnie się nie spodziewała: Duchliński zaprowadził ją na poddasze, stanął pośrodku pomieszczenia, po czym oznajmił:

– Witaj w mojej pracowni.

Marianna zamarła. Przestrzeń była niemalże pusta, nie licząc opartych o ściany, oprawionych w ramy fotografii. Podeszła bliżej i utkwiała wzrok w zdjęciach chirurga. Większość z nich przedstawiała ludzkie twarze, choć nie w tradycyjnym,

schlebiającym modelom ujęciu. W kolekcji znajdowały się oblicza piękne i szpetne, radosne, a także udręczone bólem, pozornie pozostające bez żadnego związku ze sobą.

– Spójrz w drugą stronę – poradził jej Duchliński.

Obróciła się i dostrzegła następną grupę fotografii przedstawiających te same osoby, jednak tym razem uchwycono również ich sylwetki. Marianna przesunęła wzrokiem po kilku najbliższych i nagle okazało się, że radosne oblicze dziewczyny miało związek z trzymanym przez nią zdobyczym futrem, a emanująca spokojem twarz starca należała do koczującego na ulicy przesiedleńca. Rozpatrywane osobno dwie serie zdjęć można było uznać za poprawne, dobrze zrealizowane pod względem technicznym, lecz artystycznie mało interesujące. Dopiero po poznaniu ich razem, jedna po drugiej, odkrywało się, że wizja chirurga była spójna i zyskiwała na oryginalności.

– Zacząłem je robić tuż po przeprowadzce do Gdańska. Kupiłem sprzęt od Niemca, niemal za bezcen, a znajomy użyczył mi miejsca na urządzenie pracowni – wyjaśnił Duchliński. Przyglądał się Mariannie, najwyraźniej oczekując jej reakcji. Dziewczyna wciąż wpatrywała się w fotografie, urzeczona uchwyconą przez nie głębią uczuć, gdy nagle coś ją tknęło i obróciwszy się twarzą do chirurga, zapytała z cichą nadzieją w głosie:

– Czy mogę ci zapozować?

Duchliński zamrugał oczami, najwyraźniej zdziwiony propozycją Marianny.

– Cóż... – odchrząknął. – Z reguły sam dobieram sobie modeli, w dodatku takich, w których widzę jakąś dwuznaczność. Coś, na co nikt nie zwróciłby uwagi, chyba że zostanie to uwypuklone – wyjaśnił.

– Jak moja noga? – zapytała Marianna.

Duchliński zastanowił się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– To by miało sens – przyznał i skrzywił się nieco. – Nie chciałbym cię jednak postawić w niezręcznej sytuacji. Musiałabyś ją pokazać... w całości – dorzucił.

Marianną targały sprzeczne uczucia. Jakaś część jej była zażenowana tym pomysłem i pragnęła czym prędzej opuścić pracownię, inna zaś zachęcała ją do zaufania Duchlińskiemu. W jego zachowaniu nie dostrzegła ani krzty fałszu, jedynie chęć bycia zrozumianym. Poza tym, jeśli miała ostatecznie zaakceptować swoje kalectwo, musiała wyzbyć się wstydu. Skoro patrząc w lustro, wciąż widziała piękno, to dlaczego miałyby się bać oceny?

– Myślę, że dam sobie z tym radę – odpowiedziała, przywołując na twarz uśmiech.

Duchliński rozejrzał się po poddaszu. Zatrzymał wzrok na przestrzeni nieopodal okna.

– Pójdę po sprzęt. Mogłabyś ustawić się tam. – Wskazał na wybrane przez siebie miejsce. – I zwrócić się w stronę okna?

Marianna posłusznie wypełniła polecenie. Chirurg rozstawił statyw i aparat.

– Zdejmij kurtkę – polecił.

Dziewczyna ściągnęła okrycie wierzchnie i oddała je Duchlińskiemu.

– A teraz podciągnij wysoko spódnicę – powiedział. – I nie odwracaj twarzy od okna!

Marianna uniosła materiał spódnicy, odsłaniając okaleczoną kończynę. Zadrzała, czując nagły przypływ wstydu. Po jej policzkach spłynęły gorące łzy. Usłyszała pstryknięcie aparatu.

– A teraz spójrz w moją stronę. – Głos Duchlińskiego był łagodny, pełen zrozumienia.

Odwróciła czerwoną, spuchniętą od łez twarz. Rozległo się drugie kliknięcie. Zaraz potem chirurg podszedł do niej i narzuciwszy jej kurtkę na ramiona, przytulił ją mocno.

* * *

Chłopiec zwijał się z bólu na kozetce szpitalnej. Co chwila unosił się, by spojrzeć na prowizorycznie unieruchomioną kończynę. Obok niego siedziała postawna kobieta. Miała na głowie kraciastą chustę.

– Mówiłam ci, ty powsinogo, żebyś się nie włóczył! Mówiłam! – syczała wściekle, bijąc dziecko po drobnych, zbieleńszych z wysiłku dłoniach. Kobieta uspokoiła się nieco na widok kroczącej ku niej Marianny. Dziewczyna położyła dłoń na czole chłopca i uważnie przyjrzała się uszkodzonej kończynie. Noga była mocno spuchnięta, a przez opatrunek przesiąkała krew.

– Jak to się stało? – zapytała matkę.

– Pani doktor wie, że z chłopcami bywa różnie. Zakazuje się im czegoś, a oni i tak swoje. Poszedł włóczyć się po ruinach w śródmieściu, wszedł do jakiejś rudery i podłoga się zapadła. Żeby pani wiedziała, pani doktor, ileśmy się go naszukali z mężem. – Kobieta pokręciła głową. – Dobrze, że nie dopadły go te widma, co to się tam włóczą, bo jeszcze byśmy go znaleźli zarżniętego, jak jakąś zwierzynę ofiarną!

– To nie są widma, to moi przyjaciele! – zaprotestował chłopiec.

Marianna uniosła w zdumieniu brwi. Spojrzała pytająco na kobietę.

– Niemieckie bachory – wyjaśniła niechętnie matka dziecka. – Sieroty wojenne ukrywające się w ruderach, w których nikt nie chce zamieszkać. Mówiłam ci, że masz się z nimi nie zadawać! – powiedziała ostrym tonem do syna. – Jeszcze się czymś zarazisz albo gorzej! Skaranie boskie mam tylko z tobą!

Marianna postanowiła nie kontynuować tej rozmowy. Ponieważ aparatura rentgenowska została wywieziona przez Sowietów, lekarka musiała ostrożnie zbadać kończynę chłopca. Kość wyglądała na złamaną w dwóch miejscach, przy czym odłamek przemieścił się do boku, przebijając skórę.

– Będziemy musieli nastawić chirurgicznie – orzekła.

Dziecko wciągnęło głośno powietrze i skinęło głową. Marianna poprosiła pielęgniarkę o sprowadzenie chirurga i ledwie powstrzymała uśmiech, gdy w sali pojawił się Duchliński. Nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele od ostatniego spotkania, jednak dziś rano chirurg pokazał jej wywołane zdjęcia. Czuł dumę

z osiągniętego efektu. Ich konwersacja trwała ledwie kilka minut, jednak wprawiła dziewczynę w dobry nastrój.

– Najlepiej byłoby go znieczulić – powiedział Mariannie po dokładnych oględzinach. – Proszę przygotować salę zabiegową – polecił sanitariuszce.

Dziewczyna poprosiła matkę dziecka o zaczekanie na korytarzu. Kobieta ponownie zrugła syna, lecz posłusznie opuściła pomieszczenie.

– Chciałabyś mi asystować? – zapytał Duchliński.

Marianna przytaknęła. Chłopiec został przewieziony na salę zabiegową, gdzie przygotowano już zestaw do intubacji. Dziewczyna włożyła fartuch, dokładnie umyła ręce i dołączyła do Duchlińskiego.

– Zbadaj krtań przy pomocy laryngoskopu – polecił Mariannie.

Skinęła głową i wzięła przyniesioną przez pielęgniarkę walizkę z przywiezionym przez chirurga zestawem do intubacji i wyciągnęła z niej małe, przypominające nieco kilof, urządzenie. Poprosiła chłopca, żeby wysunął język i ostrożnie wprowadziła przyrząd do środka.

– Jest w porządku – oceniła. – Nagłośnia dobrze widoczna.

Duchliński skinął głową.

– Możesz kontynuować – odparł.

– Podaję heksobarbital – powiedziała Marianna, biorąc strzykawkę z lekiem usypiającym.

Chłopiec zadrżał lekko i po chwili zapadł w sen. Lekarka ostrożnie wprowadziła rurkę intubacyjną przez usta. Duchliński przystąpił do działania, czasem prosząc o asystę. Zabieg nie trwał długo, lecz po jego zakończeniu Marianna musiała usiąść, ponieważ ból nogi stał się nie do wytrzymania. Zrobiła to jednak dopiero, gdy chirurg się oddalił.

Chłopiec przebudził się po godzinie, jęcząc z bólu.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła go Marianna. Nagle poczuła, jak na jej przedramieniu zaciska się drobna dłoń dziecka.

– Niech pani ich znajdzie – wychrypiał chłopiec. – Joerga i Matthiasa. Oni tam marzną.

Marianna poczuła, że do jej oczu napływają łzy.

– Spokojnie, nie pozwolę, by coś im się stało – obiecała.

* * *

Było już ciemno, gdy wychodziła ze szpitala. Okolice placówki, oświetlane lampami gazowymi, pograżyły się w półmroku, zaś niska temperatura i błotniste, nierówne ulice nie zachęcały do dłuższego przebywania na zewnątrz. Mimo to, zamiast iść od razu na tramwaj, Marianna skierowała się w stronę śródmieścia. Nie czuła się szczególnie pewnie, toteż wcisnęła zmarznięte ręce do kieszeni płaszcza i szła zwawym, zdecydowanym krokiem. Dla bezpieczeństwa nosiła ze sobą pistolet, zręcznie ukryty przed potencjalnymi kieszonkowcami. Wiedziała, że w wypadku ataku nie będzie miała szansy na ucieczkę, pozostawała jej więc tylko obrona.

Już wkrótce nikłe oświetlenie miejskie przygasło i Marianna wkroczyła w strefę niemal całkowitego zaciemnienia. Do uszu kobiety docierały nieprzyjemne dźwięki chrobotania i podgryzania – to wszechobecne szczury i myszy, które przejmowały kontrolę nad miastem w godzinach wieczornych, wpełzały do ruin, wyszukując resztek jedzenia oraz niepochowanych jeszcze ciał. Marianna modliła się, by przez przypadek nie nadepnąć na żadnego z gryzoni, nie mieć kontaktu z ich brudnym futerkiem i obślizgłymi ogonami. Nagle w oddali usłyszała śmiechy. Zamarła i przylgnęła do pobliskiego drzewa, zaś jej dłoń odruchowo powędrowała w stronę broni. Nagle poczuła zaciskające się na jej szyi ramię. Bezskutecznie próbowała się wyszarpnąć. Napastnik zmusił ją do ukłęknięcia na zabłoconej drodze, dysząc chrapliwie do jej ucha.

– Zupełnie postradałaś zmysły, kobieto. – Usłyszała znajomy głos.

– Major Rzepliński? – wyjąkała zaskoczona.

Wojskowy rozluźnił chwyt. Rozbłysło światło latarki i lekarka mogła potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Byłem w okolicy szpitala i zobaczyłem, jak wychodzisz. Dobrze, że poszedłem za tobą. Co ci strzeliło do głowy, żeby włóczyć się w okolicach śródmieścia o tej porze? – zapytał.

Marianna podniosła się i strzepnęła błoto z kolan.

– Jeden z moich pacjentów poinformował mnie o grupie dzieci ukrywającej się wśród ruin nieopodal Bazyliki Mariackiej – wyjaśniła.

Major prychnął pod nosem. W ostrym świetle latarki lekarka dostrzegła, że skóra oficera ma niezdrową, żółtawą barwę, a jego zęby potrzebują natychmiastowej interwencji dentystycznej.

– I dysponując taką wiedzą, postanowiłaś się przespacerować sama, przez morze ruin i uratować grupkę sierot? – zapytał kpiąco. – Ponieważ oczywiście tylko oni tam koczują i z pewnością jedna, nieuzbrojona kobieta do nich dotrze, a następnie bezpiecznie stamtąd wyprowadzi.

Marianna oddychała głęboko, usiłując zachować spokój, lecz gniew narastał w niej z każdą sekundą.

– Nie jestem naiwna, majorze – oznajmiła chłodno. – Gdybym sądziła, że milicja może mi pomóc, zwróciłabym się do niej bez wahania. Jednak informując milicjantów, uczyniłabym tym dzieciom więcej szkody niż pożytku. Jest niemalże zima, do diaska! – Uderzyła w dramatyczniejsze tony. – Nie pozwolę im tam zamarznąć!

Major westchnął głośno i rozłożył ręce.

– Podziwiam odwagę i bezinteresowność, bo to dwie cechy, które całkowicie odróżniają cię od twojej przyjaciółki. – Mariannie nie spodobała się nagła spolegliwość wojskowego. – Ale nie mogę pozwolić, byś poszła tam sama. – Mężczyzna zdecydowanym ruchem zagroził jej drogę.

Lekarka poczuła, jak krew odpływa jej z kończyn, a skórę pokrywa gęsia skórka. Wiedziała, że major był stałym gościem Heleny, ostatnio jednak jego uwaga coraz częściej skupiała się na

współlokatorach aktorki. Mogłaby przysiąc, że wojskowy chyba zamieszkał w okolicy, gdyż widywała go niemal codziennie, przed lub po powrocie z pracy. Często pomagał jej nieść cięższe rzeczy lub ułatwiał dostanie się do transportu. „Boże, chyba nie chodzi o...” – przemknęło jej przez myśl, jednak nie pozwoliła, by świadomość możliwych intencji majora przyćmiła jej trzeźwą ocenę sytuacji. „Pokaż zdecydowanie” – nakazała sobie w myślach.

– To będzie pan musiał iść ze mną – oznajmiła.

Mężczyzna ustąpił. Dalsza część drogi upłynęła w milczeniu, gdyż oboje byli zbyt skupieni na pokonywaniu przeszkód i nie mieli tym samym czasu na pogawędki. Wreszcie dostrzegli ruiny, spomiędzy których błyskały pojedyncze światła. Część domów jeszcze stała i na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, gdzie zostały uszkodzone, jednak z bliska Marianna dostrzegła rozprute ściany i dachy, budynki pozbawione górnego piętra, wypalone do gołej cegły. Czasem z dawnych dumnych rezydencji kupieckich pozostała tylko jedna ściana i góra gruzów dookoła. Gdzieniedzie, zwłaszcza na górnych piętrach, w głębi przesuwwały się cienie. Marianna zauważyła, że z jednego z mieszkań na drugim piętrze, obecnie pozbawionego okien i ścian, bacznie obserwuje ją kilkuletnia dziewczynka, okutana w brudny, ciemnoczerwony koc. Po chwili dziecko zabrała odziana w łachmany kobieta i zasłoniła okno brudną szmatą.

Sporo osób, od których często bił nieprzyjemny zapach przetrzawionego alkoholu, krążyło po zrujnowanych budynkach, usuwając gruzy, odgrzebując różnego typu przedmioty i wrzucając je do ciągniętych ze sobą wózków.

– Pochyl głowę i staraj się na nich nie patrzeć – polecił major.

Marianna posłusznie wbiła wzrok w nierówne podłoże zapaskudzone błotem i wyrzucanymi z okolicznych „lokali” nieczystościami. Starła się oddychać przez usta, aby nie czuć wszechobecnego smrodu unoszącego się nad gruzowiskiem. Odbili na lewo od Długiego Targu, w stronę bazyliki. Dawniej musiała tędy biec ulica, lecz teraz kluczyli pomiędzy zwaliskiem cegieł

i połamanego drewna, często przeskakując z jednej niezbyt stabilnej kupki cegieł na drugą. Lekarka zobaczyła leżącą obok gruzowiska półnągą staruszkę. Chciała do niej podbiec, lecz major przytrzymał ją za ramię.

– Już nie żyje. Zostaw ją, może mieć tyfus – szepnął, po czym przyciągnął dziewczynę do siebie, widząc że podłoże jest niestabilne. – Nie patrz, staraj się nie widzieć – mówił dalej, pomagając Mariannie zejść z rumowiska.

A jednak nie mogła nie dostrzec wynędzniałych twarzy, patrzących tępo przed siebie, nie mogła nie słyszeć zawodzenia, tudzież szaleńczych pomruków włączających się po okolicach ludzi. Niektórzy, odziani w wielokrotnie łataną ubrania, uciekali na jej widok, inni wygrażali pięściami, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Poczowała ucisk w żołądku, gdy przypomniała sobie swoje dawne towarzyszki, równie wymizerowane, wrzucone w otchłań, w której czas stał w miejscu, a cierpienie narastało z każdym oddechem.

– Chyba ich widzę – powiedział major, mrużąc oczy.

Marianna zadarła głowę, jednak nie zauważyła niczego szczególnego.

– Piwnica – podpowiedział z nutą rozbawienia w głosie. – Przed chwilą wbiegło do niej dwóch młokosów z jakimś zawiniątkiem.

– Nie zwróciłam na to uwagi – przyznała.

– Bo za bardzo się skupiasz na sobie i swoich przemyśleniach, zamiast obserwować, co się dzieje dookoła – zganił ją Rzepliński. – Dlatego wcześniej tak łatwo było mi cię zająć od tyłu. Każdy mógłby to zrobić.

Lekarce zrobiło się wstyd. Major natomiast załomotał do drzwi piwnicy. Gdy nie usłyszał żadnego odzewu, po prostu je wyważył.

– Odłóżcie broń! – krzyknął.

Marianna weszła do środka za wojskowym. Wewnątrz znajdowało się czterech chłopców w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Siedzieli na brudnych, przywleczonych z pobliskich domów materacach, pośrodku zaś przygotowali prowizoryczne

palenisko. Najstarszy z nich był uzbrojony w stary rewolwer, którym mierzył w majora. Dłoń chłopca chybotąca się, więc ustabilizował chwyt drugą ręką.

– Odłóż to! – ponowił rozkaz major.

– *Legen Sie die Waffe weg!* – zainterweniowała Marianna, widząc, że chłopiec nie rozumie po polsku. – *Sie sind sicher, dein Kollege hat mich geschickt.*

Chłopiec powoli opuścił broń. Major zabrał mu rewolwer i schował za pas, po czym zwrócił się do Marianny:

– Nie mówiłaś, że chodzi o małych, niemieckich łobuzów. Sierocińce są przepelnione, zapewne wylądują w obozie przejściowym.

Lekarka stanowczo zaprotestowała, lecz wojskowy uniósł dłoń.

– Nie ma innego wyjścia. Przecież tu nie przeżyją zimy – uciał wszelkie dyskusje. – Musisz ich przekonać, żeby poszli z nami.

Marianna z bólem serca opowiedziała chłopcom o czekających na nich na dworcu krewnych, którzy zabiorą ich do ciepłych, bezpiecznych domów. Jeszcze gorzej się poczuła, gdy major przekazał ich milicjantom patrolującym Dworzec Główny.

– Daj już spokój – powiedział Rzepliński. – Nie mogliśmy postąpić inaczej. Gdy wszystko się unormuje, znajdą dom, który im obiecałaś.

Lekarka ugryzła się w język, by nie odpowiedzieć, że z pewnością wymyśliłaby lepsze rozwiązanie, gdyby nie niechciana interwencja majora. W głębi duszy wiedziała, że niesłusznie go oskarża i przypuszczalnie historia miałaby podobny finał niezależnie od jego udziału, jednak nie mogła się wyzbyć wrażenia, iż jej „najlepsze, co mogła zrobić” jest w istocie barbarzyństwem.

* * *

Usiadła na ławce w szpitalnej stołówce i, czekając na swój przydział, wyciągnęła chusteczkę z kieszeni fartucha, po czym przetarła swoje nowe trzewiki od „cioci Unrry”. Była przemęczona po nocnej eskapadzie, a na dodatek ciężarówka, którą zazwyczaj

dojeżdżała w okolice szpitala, zepsuła się na wysokości Oliwy i została zmuszona do ponad godzinnego marszu w deszczu i błocie.

Na domiar złego musiała przeciąć przez główną arterię Wrzeszcza, nieuprzątniętą jeszcze, której każdy wolny skrawek zajmowali handlarze i nagabywacze. „Czasomierze!”, „Damki, nowe daaamki!”, „Futra niemieckie, gustownie wykonane!” wykrzykiwali donośnym głosem co obrotniejsi sprzedawcy. Wśród nich znajdowało się sporo wynędzniałych Niemek w osobliwych turbanach na głowach wyprzedających swój dobytek za kartki żywnościowe. Najbardziej drażniące były jednak prowizoryczne stragany, często zbudowane z kawałka plandeki rozłożonego na ceglach, oferujące żywność. A sprzedawano tam niemal wszystko: od płodów ziemi, przez wędzonki po pseudokawę i skondensowany sok grapefruitowy z amerykańskich paczek. Niestety, zakupienie tego typu dóbr na „wolnym rynku” kosztowałoby Mariannę znaczną część jej skromnego, miesięcznego wynagrodzenia. W duchu więc klęła za każdym razem, gdy czuła zapach gotowych potraw lub świeżo palonej kawy zbożowej. Na dyżur dotarła zmęczona i głodna, w perspektywie mając niezbyt pożywny posiłek w stołówce.

Wreszcie wydano jedzenie. Z uwagi na braki w talerzach i sztućcach niejednokrotnie musiała czekać, aż pierwsza grupa pracowników skończy jeść i naczynia zostaną umyte. Odebrała talerz z zupą oraz kawałek chleba, po czym wróciła do ławy. Potrawa była wodnista, z małymi, ledwie wyczuwalnymi kawałkami warzyw, zaś pieczywo, ciemne i wilgotne w środku, wyraźnie niedopieczone. Przemieszała wywar łyżką, lecz nie mogła zmusić się do jedzenia. Z reguły nie miała czasu na zastanawianie się nad własnym odżywianiem, jednak dziś doskwierał jej wyjątkowy głód. Odsunęła od siebie talerz, zebrała swoje rzeczy i wyszła przed szpital. Sprawdziła kieszenie i znalazła zwitek banknotów, zapłatę, jaką często wręczali jej pacjenci podczas wizyt domowych, które stanowiły podstawę

utrzymania Marianny. Upewniwszy się, że dysponuje wystarczającymi środkami, podeszła do zbitego z kilku desek stoiska, przy którym pulchna gospodyni codziennie sprzedawała domowe pyzy i placki ziemniaczane.

– Talerz pyz, poproszę – powiedziała, wręczając kobiecie dwadzieścia pięć złotych. W zamian otrzymała owinięty w gruby papier obiad. Wróciła do środka, usiadła w dzielnym z innymi lekarzami pomieszczeniu i wyciągnęła danie. Choć miała świadomość, że sprzedawane na ulicy jedzenie przygotowywano w niehigienicznych warunkach i często było przyczyną mniej lub bardziej poważnych zatruć, to zjadła pyzy ze smakiem, a prowizoryczne naczynie skrzętnie zwinęła i wcisnęła do kosza na śmieci.

Po chwili w pomieszczeniu rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała Marianna, poprawiając się na krześle.

Do gabinetu weszło dwóch milicjantów. Ubrani w stare, spłowiałe niemieckie mundury przypominali maruderów i jedynie „kury” na ich czapkach sugerowały, że należeli do służb porządkowych.

– Towarzyszko – powitali ją oficjalnie. – Mamy obowiązek poinformować o tym, że wykryto kilka kolejnych przypadków zachorowań na tyfus na terenie obozu w Narwiku. W związku z tym władze upraszają, by z każdej placówki medycznej zgłosili się chętni do przeprowadzenia badań ludności przebywającej na terenie obozu.

Twarz Marianny stężała. Do gabinetu weszli, najwyraźniej powiadomieni przez pielęgniarki, pozostali lekarze i natychmiast zaczęli dopytywać o przyczynę tej niespodziewanej wizyty. Widząc zakłopotanie swoich kolegów, dziewczyna powiedziała do milicjantów:

– Mogę się zaraz udać do Narwiku, jeśli jest taka potrzeba.

Duchliński zaprotestował, lecz Marianna go uciszyła, mówiąc:

– Mam najmniej doświadczenia, więc pozostali pacjenci nie odczują aż tak bardzo mojej nieobecności. Poza tym przeszedł

tyfus w obozie, więc się nie zarażę.

Koledzy milcząco przyjęli argumenty Marianny. Dziewczyna spakowała niezbędne narzędzia do małej, poręcznej walizki i udała się z milicjantami do stojącej przed szpitalem ciężarówki.

* * *

– Wszyscy chorzy, których udało nam się wychwycić, zostali umieszczeni w baraku sanitarnym – wytłumaczył Mariannie towarzyszący jej na terenie obozu strażnik. Lekarka skinęła głową. – Dotychczas zajmował się nimi taki jeden Niemiec, który twierdził, że studiował medycynę – dodał mężczyzna.

Marianna utkwiała wzrok we wskazanym przez mężczyznę miejscu i usiłowała nie patrzeć na tak znajomy jej widok. Kilkanaście drewnianych baraków, umieszczonych za ogrodzeniem z drutem kolczastym, tonęło w wypełniającym plac błocie i nieczystościach. Prowizoryczne schronienie nie było w stanie pomieścić wszystkich przesiedlanych Niemców, toteż wielu z nich przebywało na zewnątrz. Siedzieli na walizkach, przeważnie w małych grupkach, by choć w ten sposób się ogrzać. Poważną część zgromadzonych stanowili ludzie starsi, niedołężni, często spoglądający w przestrzeń przed sobą niewidzącym wzrokiem. Nieliczne dzieci, pierwsze ofiary głodu i mrozu, apatycznie snuły się po placu, wymachując małymi, groteskowo wychudzonymi rękoma.

– Jak długo ich tu trzymacie? – zapytała strażnika.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To zależy. Czasem trafiają do najbliższego transportu, innym razem może być to kilka, kilkanaście tygodni. Jeśli są zdolni do pracy, wysyłamy ich do odgruzowywania miasta, w innym wypadku po prostu czekają. Jak nasi za granicą – dodał pospiesznie strażnik. – Jedzenie dostają, nikt się nad nimi szczególnie nie zneęca. To więcej, niż wielu naszych mogłoby powiedzieć, pani doktor.

– Istotnie – przytaknęła Marianna, wracając na chwilę myślami do swojego stryja. Czy również czekał w tych samych barakach,

z tymi samymi ludźmi, aż wreszcie będzie mógł wrócić do domu? Czy i jego egzystencja wyglądała na równie pozbawioną sensu, co zgromadzonych tu ludzi? Czy też nikt nie zwracał uwagi na jego wiek, na przypadłości z nim związane, preferując młodszych? Czy jego również oceniono jako nieprzydatną społeczeństwu, znajdującą się na ostatnim miejscu w nowej hierarchii ważności jednostkę?

Strażnik otworzył drzwi do baraku, w którym znajdowali się chorzy i podał Mariannie torbę z przyrządami lekarskimi. Podziękowała mu i odwróciła się w stronę swoich pacjentów. Wnętrze było ogrzewane piecem kaflowym, a oświetlenie dawały staromodne lampy naftowe stojące nieopodal pryczy. Drewniana, niedokładnie wyszorowana podłoga jęczała przy każdym kroku. Chorych stłoczono na pryczach na samym końcu baraku, oddzielając ich od niedołącznych, starszych osób.

– Przynajmniej przenieśli ciężarne do innego baraku – poinformował ją wysoki, wymizerniały mężczyzna o przenikliwych, błękitnych oczach. – Widziałem oburzenie w pani oczach – dodał.

Marianna spojrzała przelotnie na swojego rozmówcę. Miał młodą twarz, choć już poszarzałą od niewłaściwej diety i traumatycznych przeżyć.

– Pan musi być tym studentem medycyny, o którym mi mówiono – powiedziała. – Marianna Palińska. – Wyciągnęła rękę na powitanie. Mężczyzna uściskał ją niepewnie. – Co może mi pan powiedzieć o pacjentach? – zapytała, zwracając głowę w stronę leżących na pryczach osób.

– U większości wystąpiła różowa wysypka na brzuchu i wysoka, narastająca gorączka. Doszło też do powiększenia węzłów chłonnych i wątroby. Innych przeniesiono, gdy zaczęli się uskarżać na bóle brzucha – odparł mężczyzna.

Marianna usiadła przy jednej z pryczy i ostrożnie zbadała leżącą na dole kobietę. Chora otworzyła zaczerwienione,

opuchnięte oczy i spojrzała na lekarkę obojętnie. Dziewczyna pomogła jej usiąść, a następnie podała kobiecie kubek z wodą.

– Dopilnuj, żeby zjadła swój obiad – poleciła Niemcowi.

Wspięła się na zawieszoną wyżej pryczę do oddychającego ciężko mężczyzny w średnim wieku. Jego puls był słaby, ledwie wyczuwalny. Marianna przymknęła oczy i zakryła go kocem. Kursowała tak między łózkami, od czasu do czasu wydając swojemu pomocnikowi krótkie polecenia. Wreszcie zatrzymała się przy pryczy starca o pogodnym wyrazie twarzy.

– Ach, jak dobrze jest zobaczyć coś ładnego przed śmiercią – zagaił. Mówił płynnie po polsku, choć z niemieckim akcentem. Marianna uśmiechnęła się do chorego.

– Założę się, że zobaczy ich pan jeszcze wiele – odparła, kładąc dłoń na czole starca. Mężczyzna pokręcił głową.

– Czy ja wiem, moja droga, czy ja wiem... Urodziłem się i wychowałem tu, w Gdańsku, i nigdy nie uważałem się za Niemca, tylko za gdańszczanina. Teraz za to chcę mnie odciąć od mojego portu, od znanych mi ścieżek i ogrodów, by wysłać do kraju, który jest mi obcy. Tu byłem wiceprezesem banku, tu miałem dzieci i je pogrzebałem. Co mnie czeka tam? Będę obcym pośród obcych. Nie, moja droga, starych drzew się nie przesadza – powiedział. W jego głosie nie słyhać było rozgoryczenia, tylko tęsknotę i głębokie zamyślenie. Nagle pociągnął Mariannę za rękaw. – Widzisz tamtą kobietę na pryczy naprzeciwko, tam u góry? – zapytał, nagle ożywiony. Lekarzka skinęła głową. Starzec zachichotał. – Chodziliśmy razem do szkoły, ona i ja, a potem ubzdurzyła sobie, że powinniśmy wziąć ślub. Ponieważ nie była zbyt urodziwa, łagodnie usiłowałem jej to wyperswadować, ale gdy zaczęła nalegać, coś we mnie pękło i zwymyślałem ją od najgorszych. Myślałby człowiek, że się podda, ale nie! Poszła na studia i została jedną z pierwszych „uczonych” w naszym mieście, da pani wiarę? – Mężczyzna uśmiechnął się pogodnie. – Z czasem pogodziliśmy się i zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi, a w wieku dojrzałym... Cóż, czasem zdarzało mi się myśleć nad tym, jak

moje życie by się potoczyło, gdybym je spędził u boku takiego żywego srebra jak ona, zamiast posłusznej kobiety pokroju mojej żony. Ech, co z nią będzie, pani doktor? Przeżyje?

Marianna pokręciła głową. Starzec zasepił się i opuścił wzrok.

– Tak to jest, człowiek trzyma się życia, a ci, dla których żył, odchodzą – skonstatował. Lekarka podała mu wodę. – Dziękuję, że mnie pani wysłuchała. To było jedyne lekarstwo, jakiego potrzebowałem.

Marianna pożegnała się z nim i wróciła do swojego asystenta.

– Część z nich nie przeżyje nocy – powiedziała krótko. – Reszcie należy zaaplikować leki i uzupełnić płyny.

Były student rozłożył ręce.

– Nie mamy żadnych medykamentów, musiałyby się pani zwrócić z prośbą o nie do komendanta – odparł.

Poleciła mężczyźnie czuwać nad pacjentami, sama natomiast udała się do władz obozu. Na miejscu powiedziano jej, że jak dotąd nie otrzymano oczekiwanej dostawy leków, więc pojechała do najbliższego szpitala, prosząc o udostępnienie choćby odrobiny środków, jednak spotkała się ze stanowczą odmową. Próbowwała również u władz miejskich, lecz bez skutku. W końcu postanowiła poprosić o pomoc Sowieców. Tam, o dziwo, nie musiała się długo tłumaczyć, bowiem oficer, z którym rozmawiała, szybko jej przerwał, wydając polecenie swojemu podwładnemu:

– Dajcie jej to, czego potrzebuje.

Wróciła do obozu wieczorem, niosąc paczkę z zaopatrzeniem medycznym. Przywitał ją zmęczony student. Zaczęli podawać lekarstwa. Marianna zauważyła dwie puste prycze.

– Leżał tu ten mężczyzna, z którym pani rozmawiała wcześniej i ta kobieta o dumnym wyrazie twarzy. Umarli jedno po drugim, krótko przed pani przybyciem – poinformował ją chłopak.

Marianna usiadła na chwilę na pustym łóżku starca i ukryła twarz w dłoniach, lecz wtem na jej twarzy pojawił się uśmiech. „W ostateczności śmierć też może być w pewnym sensie postawieniem

na swoim, wyrazem sprzeciwu wobec krzywd, których doznajemy”
– pomyślała.

* * *

– Powinnaś je spisywać – orzekł Duchliński.

Marianna spojrzała na chirurga pytająco. Relacjonowała mu właśnie półgębkiem wydarzenia z obozu dla uchodźców i spodziewała się obojętności albo nagany, ale z pewnością nie zainteresowania.

– Historie tych ludzi. Teraz nikt na to nie spojrzy, ale może kiedyś kogoś zainteresują. Z twoich opowieści wyłania się inny obraz niż ten, którym nas karmią. A poza tym masz talent. Te dwie rzeczy pokazują, że powinnaś to robić – wyjaśnił.

Kołysali się w rytm piosenki Fogga pt. *Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci*. Była połowa grudnia i na ulicach leżał śnieg, nie przeszkadzało to jednak mieszkańcom Gdańska w zabawie na tak zwanych „dechach”. Odziani w wełniane płaszcze w jodełkę, w ciężkich skórzanych butach, wirowali na prowizorycznym parkiecie pomiędzy oświetlającymi całość lampami naftowymi ustawionymi na jego krańcach. Tu i ówdzie spod grubych okryć wierzchnich migwały uszyte z zasłon, tudzież tkanin obiciowych spódnice lub wypłowiałe spodnie mundurowe, jednak mało kto zwracał uwagę na wyzierające zewsząd ubóstwo. Ludzie tańczyli i cieszyli się, spędzali czas w towarzystwie i na hucznych zabawach, napawali się życiem, którego tak długo im odmawiano.

Marianna czuła się dziwnie lekko i po raz pierwszy od dawna nie uciekała myślami w przeszłość. Całą sobą chłoneła przeżywaną właśnie chwilę. Nic porozumienia, jaka nawiązała się między nią a Duchlińskim podczas sesji zdjęciowej, rozwinęła się w przyjaźń, a może nawet coś więcej, ale o tym dziewczyna wołała nie myśleć. Wtem zmieniono płytę i z głośnika popłynęła *Chattanooga Choo Choo* Glena Millera. Powolne podrygi w mig przekształciły się w żywe płąsy rodem z zagranicznych musicali.

– Muszę chwilę odpocząć – szepnęła Marianna i oboje zeszli z parkietu. Usadowili się na uformowanych w zgrabny murek

cegłach. Duchliński wyciągnął piersiówkę, pociągnął łyk i podał dziewczynie. Marianna potrząsnęła głową. Chirurg zaśmiał się cicho, po czym na chwilę zamarł, obserwując wirujące na parkiecie pary.

– Zupełnie jakby ktoś nas zawiesił we śnie, w którym dopuszczone są wyłącznie dwa stany: skrajnej ekscytacji i pracy ponad siły. A my poruszamy się w nim, rozpychając rękoma, łapczywie chwytając każdą cząstkę noszącą znamiona tego, co dawniej uważaliśmy za normalne. Jednak w chwili, gdy ją zdobędziemy, marnieje i zamienia się w ponury żart – rzekł zamyślony.

Marianna zagryzła dolną wargę, instynktownie przeczuwając, że nadchodzi moment przełomowy w jej relacji z Duchlińskim i najchętniej przerwałaby tę rozmowę, byleby tylko do niego nie doszło. Z drugiej strony, czuła narastającą w sobie nadzieję, radosne oczekiwanie na rzecz, której nie potrafiła nawet nazwać.

– Nawet nie wiesz, jak wiele dałabym za taki „skażony” moment normalności jeszcze rok temu – odparła, wpatrując się w palce swoich dłoni. – Myślę, że jego autentyczność nie miałyby wtedy dla mnie żadnego znaczenia, wystarczyło, aby w moich oczach uchodził za prawdziwy.

Duchliński złapał ją za dłoń i mocno zacisnął na niej palce.

– Widzisz, ty masz prawo cieszyć się tym, co jest teraz, masz prawo zacząć od nowa, ale ja? – prychnął cicho. – Zostałem powołany, we wrześniu nas rozbili, uciekłem z obozu jenieckiego. Przebiłem się do domu i siedziałem cicho. Staralem się pomagać ludziom, ale też zbyt nie ryzykowałem, nie opowiadałem się po żadnej ze stron. Moja wcześniejsza egzystencja nie uległa brutalnej zmianie, zwyczajnie usiłowałem utrzymać się na powierzchni. Dopiero pod koniec uświadomiłem sobie, jak bardzo nienawidzę samego siebie za swoją postawę, jak zbrzydło mi wsłuchiwanie się w głos rozsądku mojej rodziny.

– A potem przyjechałeś tu – dokończyła Marianna.

Duchliński uśmiechnął się ponuro. Na pociągłą twarz chirurga padł długi cień, wyostrzając dodatkowo rysy i przydając jego obliczu filozoficzny wyraz.

– Wydawało mi się, że mogę jeszcze mieć wkład w coś istotnego, ale zamiast tego... popełniam te same błędy, co poprzednio – odpowiedział, pochylając głowę.

Marianna przymrużyła oczy i starannie przeanalizowała tę wypowiedź w myślach. W tym samym czasie okazało się, że jeden z uczestników zabawy był muzykiem i zaczął przygrywać tańczącym na gitarze. Zgromadzeni klaskali i podśpiewywali w rytm popularnych szlagierów.

– Ostatnio prawie w ogóle nie widzę się ze swoją rodziną – powiedział nagle Duchliński. Zerknął na Mariannę i niemal natychmiast opuścił wzrok. – Jesteśmy dla siebie niemal obcymi ludźmi. Czasem się zastanawiam, czy nie powinienem wystąpić o rozwód.

Lekarka zaniemówiła. Dotychczas unikała snucia jakichkolwiek planów dotyczących związku z Duchlińskim. Po prostu cieszyła się z choćby chwilowego szczęścia. Teraz jednak, słysząc o zamiarach chirurga, poczuła niepewność. Co więcej, zaczęła sobie uświadamiać, że ich relacja rozwijała się w tempie, na które nie była przygotowana. Zdała sobie sprawę z potencjalnego nieszczęścia porzuconej rodziny chirurga i jej własnej, którą zaniedbałaby, koncentrując się na swoich potrzebach. W istocie to nie względy moralne ciążyły Mariannie najbardziej, lecz odkrycie, że oto jedna z najistotniejszych decyzji w jej życiu miałyby zostać podjęta równie niefrasobliwie i szybko. „Zatem nie miałyby być nic więcej? Żadnego etapu pośredniego, tylko przeskok dziewczyna-kobieta? Czyli tak naprawdę nigdy się nie uwolniłam od mieszczańskiej mentalności?” – myślała. Uśmiechnęła się blade.

– To poważna decyzja – wykrztusiła wreszcie.

– Być może tak byłoby lepiej zarówno dla nich, jak i dla mnie – odparł Duchliński i uśmiechnął się do Marianny. Dziewczyna

poczuła bolesne ukłucie w sercu. – Chodź. Jeszcze jeden taniec, zanim odwiozę cię do domu.

Tańczyli do prostego mazurka, jako jedna z ostatnich, najbardziej zahartowanych par, jednak tym razem zachowując większy dystans względem siebie. Wyznanie chirurga sprawiło, że oboje poczuli się nieswojo, jakby jakieś niedopowiedzenie stało się między nimi. Gdy melodia dobiegła końca, wokół rozległy się brawa. Marianna i Duchliński ukłonili się obserwującym ich osobom. Dziewczyna podniosła głowę i zobaczyła, że wśród oklaskujących stała Helena z majorem Rzeplińskim. Pochwyciwszy wzrok przyjaciółki, aktorka skinęła niemal niezauważalnie głową, lecz na jej czole zarysowała się pojedyncza, pionowa kreska.

* * *

Następnego wieczoru Marianna została wezwana przez sąsiadów do nagłego przypadku. Pacjent, głowa rodziny, chorował na cukrzycę i jego stan gwałtownie się pogorszył. Kiedy zdjął skarpety i pokazał lekarce swoje stopy, dziewczyna aż się wzdrygnęła. Pouczyła załamana żonę mężczyzny, by pilnowała przestrzegania zaleceń i dbała o dietę małżonka, lecz nie miała złudzeń. Wkrótce obie stopy będą się nadawały wyłącznie do amputacji. Zniechęcona i zmęczona opuściła mieszkanie pacjenta i zaczęła powoli iść w kierunku domu, jednak zatrzymała się, widząc nieznaną postać krążącą po ulicy.

Był to barczysty, wychudzony mężczyzna o nerwowych ruchach. Jego pozbawiony oznaczeń mundur wyglądał schludnie, aczkolwiek zdawał się być o dobry rozmiar za duży. Człowiek nieustannie spozierał na boki, jakby spodziewał się zostać nakrytym przez niepowołane osoby. Marianna sięgnęła do kieszeni, upewniając się, że ma przy sobie pistolet i pewnym krokiem wyszła na ulicę. Mężczyzna natychmiast ją spostrzegł i przystanął w połowie drogi, zadzierając głowę do góry.

– Wrony się zbierają – oznajmił, przykładając dłoń do czoła, jakby usiłował chronić oczy przed słońcem.

Marianna stanęła jak wryta. Mężczyzna zerknął na nią i ponownie wlepiwszy wzrok w niebo, kontynuował:

– Wrony się zbierają, jest ich już cała chmara. Niedługo wylecą na żer.

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Uciekła. Wbiegła do willi i z okien werandy wyjrzała na ulicę. Nikogo tam nie było.

„Zatem wszyscy są martwi. Umarli, zanim zdążyłam do nich dotrzeć, umarli zanim zdążyłam im powiedzieć, że ja jedna się jeszcze ostałam” – pomyślała, wlekąc się po schodach na poddasze.

Wewnątrz panował mrok i chłód. Kilka dni temu Helena i jej przyjaciele pomogli Mariannie wstawić niewielką „kozę” do środka. Lekarka podeszła do piecyka, wrzuciła węgiel i rozpalnęła do środka. Roznieciła ogień. Przez moment patrzyła, jak płomienie liżą suche patyki i drewno, po czym usiadła na skraju łóżka. Przeszyło ją bolesne ukłucie, które rozlało się na całą nogę, wręcz paraliżując dziewczynę. Załkała cicho. Wzięła leżące na prowizorycznym stoliku nocnym niewysłane listy i podarła na drobne kawałki. Pokuśtykała do pieca i pozwoliła, by ogień dokończył dzieło zniszczenia.

– Nie mam już siły, nie mogę, nie mogę! – jęknęła. Przyciągnęła nogę do siebie i zaczęła łagodnie się kołysać, lecz nie znalazła ukojenia. Sięgnęła po swoją torbę i wydobyła fiolkę z morfiną. Nabrała kilka kropel do strzykawki, odsłoniła ciało i wbiła igłę pod jeden z mięśni.

* * *

– Czy widział ktoś doktora Duchlińskiego? – zagadnęła następnego dnia jedną z pielęgniarek. Kobieta potrząsnęła głową. Zapytała jeszcze salowej i kilku innych osób, niestety nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie obecnie przebywa chirurg. Wreszcie podczas pory obiadowej oświecili ją jej koledzy.

– Wyjechał. Stwierdził, że na prowincji jest dużo bezpieczniej. – Usłyszała.

Później jedna z sanitariuszek rzuciła nieco światła na sprawę nagłego zniknięcia chirurga.

– Było u niego kilka razy dwóch takich podejrzanych typków. Przypuszczam, że jakaś tajna milicja albo inna tego typu zaraza. Po ich ostatniej wizycie, dwa dni temu, wyszedł roztrzęsiony z gabinetu i już nie wrócił, jego żona przyszła zabrać rzeczy osobiste i narzędzia doktora – powiedziała Mariannie w zaufaniu, podczas przerwy na papierosa.

– Dziwna sprawa – skwitowała lekarka, udając, że temat Duchlińskiego niekoniecznie wzbudza jej zainteresowanie. Oddziałowa rzuciła niedopalonego papierosa na ziemię i rozdeptała obcasem.

– Ano, dziwna. Z drugiej strony, co tu się dziwić, obiecywano nam, że życie tutaj będzie wyglądało zupełnie inaczej, a tymczasem musimy walczyć o wszystko, niemal jak za Niemca – rzekła.

Marianna była rozbita. Uleciał z niej entuzjazm, a jego miejsce zajęło narastające poczucie niepokoju. Jeśli obserwowali chirurga, z pewnością musieli wiedzieć także i o niej. Zatem gdyby pogłoski o prześladowaniach dawnych członków podziemia się potwierdziły, to naraziła nie tylko siebie, ale także przyjaciół, gdziekolwiek teraz przebywali. Poza wstydem rodził się w niej również gniew, gdyż nagle zdała sobie sprawę z własnej naiwności. Ciotka przestrzegała ją przecież przed nieprzemyślanym wchodzeniem w związki z mężczyznami mającymi znaczącą przewagę pod względem statusu, majątku czy też wieku, powtarzając: „Nawet jeśli podobne stosunki zakończyłyby się małżeństwem, to nie byłoby ono w dalszej perspektywie szczęśliwe, ponieważ w końcu zorientowałabyś się, że nie chcesz przez całe życie grać roli uczennicy poszukującej mentora”. Ona zaś mimowolnie opuściła gardę, zachęcona uprzejmością i zrozumieniem chirurga, choć nie miała pewności, że podzielał jej uczucie. Zachowała się jak podłotek snujący dalekosiężne plany na podstawie kilku uśmiechów i schadzek. Teraz natomiast ta radosna bańka,

w której się zamknęła, pękła, ukazując dziewczynie jej ponurą egzystencję złożoną z ciężkiej, często niebezpiecznej pracy i samotnie spędzanych godzin na zimnym, ciemnym poddaszu.

Przygnębiona, wróciła ciężarówką do Sopotu, licząc na to, że uda się jej porozmawiać z Heleną, lecz w domu czekała na nią niespodzianka. Jej przyjaciółka siedziała na sofie w salonie, przyglądając się paznokciom u rąk. Co chwila unosiła głowę, nerwowo wyglądając przed siebie, jakby oczekiwała na jakąś wizytę.

– Dobrze, że jesteś! – Zerwała się na równe nogi, gdy tylko ujrzała Mariannę. – Mam ci coś ważnego do zakomunikowania. – Głos Heleny zabrzmiał sztucznie, jakby powtarzała wyuczoną wcześniej formułkę.

– Tak? – zapytała Marianna, nie przekraczając progu salonu.

Pierś aktorki zafalowała.

– Wychodzę za mąż. Za majora Rzeplińskiego – wyrzuciła z siebie szybko.

Marianna zamrugnęła oczami.

– To jest dość... niespodziewany obrót spraw – powiedziała ostrożnie.

Helena gorliwie potaknęła.

– Tak też może się wydawać, patrząc na całą sytuację z boku, jednakże oboje podjęliśmy tę decyzję w pełni świadomie, mając na względzie najlepszy interes nas obojga – dodała aktorka. Jej szczupła, odziana w wymyślną suknię uszytą ze zdobycznego materiału, figura przypominała kruchy, cudem zachowany manekin wystawowy. „Czyli ta gra w wyzwolenie, swobodne flirty, wyśmiewanie się z konwencji i obyczajów, odważne wystąpienia, słowem wszystko było jedynie wymyślnym zabiegiem, który zakończył się dokładnie tak, jakby to miało miejsce przed wojną: statecznym małżeństwem” – pomyślała Marianna i ze zdumieniem odkryła, że udzielił jej się cynizm otoczenia.

– Rozumiem twoją motywację, Heleno i życzę ci szczęścia – odparła, lecz nie mogła się zdobyć na uśmiech.

– Dziękuję, ja... – zaczęła, nim zdusił ją spazm płaczu. Usiadła na sofie, odwrócona plecami do Marianny. – Major przyjdzie wieczorem z tobą porozmawiać w tej drugiej sprawie – skończyła po chwili.

Lekarka skinęła głową i zostawiła przyjaciółkę samą.

* * *

Marianna kończyła właśnie *Sól ziemi*, gdy do pokoju zapukał Rzepliński. Major, ku zdziwieniu lekarki, ubrany był po cywilnemu, w elegancki, dobrze skrojony garnitur w ciemnoniebieskie prążki. Wygolony na gładko, wyglądał młodziej niż podczas ich ostatniego spotkania. Nie zauważyła również śladów podejrzanego zaczerwienienia skóry ani ogólnego zmęczenia, wręcz przeciwnie, rzadko kiedy widywała kogokolwiek równie odprężonego.

– Ach, widzę, że czytasz jedną z moich ulubionych książek – powiedział uprzejmie. – Szkoda, że Wittlin nie dostał za nią Nobla. Podoba ci się?

– Czuć w niej ducha pacyfizmu, a tego nigdy za wiele – odparła wymijająco. – Podobno ma mi pan coś do przekazania, majorze?

Rzepliński rzucił Mariannie długie spojrzenie.

– Podoba mi się twoja śmiałość i pragmatyzm. Szkoda tylko, że towarzyszą one fatalnemu gustowi, jeśli idzie o mężczyzn – powiedział, a jego usta rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu. Lekarka niemal zatrzęsała się z oburzenia. – Przez jakiś czas żywiłem wobec ciebie pewne nadzieje, ale twój romans kazał mi się dwa razy zastanowić nad słusnością moich działań. Brak pokory potrafi być tak samo czarujący, jak i irytujący.

– Stąd nagły wyjazd doktora Duchlińskiego poprzedzony wizytami odpowiednich służb? – zapytała Marianna.

Major zmarszczył czoło.

– Jestem człowiekiem honoru, nawet jeśli w tej chwili myślisz o mnie inaczej, Marianno. Nie nasłałem nikogo na doktora, ale weź pod uwagę fakt, że wasze stosunki nie były owiane szczególną

tajemnicą – odparł. – Zresztą doskonale to potwierdzają znalezione w jego pracowni zdjęcia.

Marianna prychnęła pogardliwie.

– Z pewnością ustawiłaby się cała kolejka ludzi gotowych mu zaszkodzić – zakpiła.

Major dotknął dłonią czoła i westchnął głęboko.

– Jesteś inteligentną kobietą, ale dopiero niedawno wróciłaś do Polski, do swojego życia. Zachłysnęłaś się nim, jestem w stanie to zrozumieć, niemniej dla większości ludzi wojna skończyła się dużo wcześniej i etap, kiedy wszystko było dozwolone, przeminął. W kwestiach zasadniczych ludzie się nie zmienili i dla większości z nich usiłowałaś rozbić rodzinę znanego i szanowanego lekarza – rzekł spokojnie. – A na dokładkę nieszczególnie kryjesz się ze swoimi proniemieckimi sympatiami, co nie zjednuje ci przyjaciół.

Marianna spojrzała na niego pustym wzrokiem. Powoli zaczynał do niej docierać obraz jej osoby, kreślony właśnie przez Rzeplińskiego i aż się wzdrygnęła.

– To nie ma nic wspólnego z Niemcami, natomiast wszystko z fundamentalną, ludzką uczciwością – odparła. – Po to tu jesteś? Żeby wyrzucać mi moje poglądy?

– Żeby ci pomóc – odparował szybko major. – I pomóc Helenie, która się o ciebie niepokoi. Dlatego chciałbym cię prosić, żebyś rozważyła opuszczenie Gdańska, nawet tymczasowo.

Lekarka przełknęła głośno ślinę.

– Zatem wyrzucasz mnie z własnego domu.

– Znikąd cię nie wyrzucam – zirytował się major. – Jedyne sugeruję najlepsze dla wszystkich rozwiązanie.

– Oczywiście. Znakomicie. Wyjadę, skoro moja obecność jest tobie wstrętną. A teraz opuść mój pokój – wycodziła przez zęby.

Major cofnął się do drzwi i na chwilę odwrócił się w jej stronę, jakby chciał coś jeszcze dodać, lecz widząc rozwścieczony wyraz twarzy lekarki, zrezygnował. Po chwili z dołu dobiegły Mariannę stłumione odgłosy rozmowy między Rzeplińskim a Heleną. Żeby się czymś zająć, dziewczyna sięgnęła po otrzymane niedawno listy,

do których nie zdążyła wcześniej zajrzeć. Jeden z nich zaadresowany został znanym jej, choć nieco chwiejnym charakterem pisma. Rozerwała kopertę i przebiegła wzrokiem po treści korespondencji:

Najdroższa bratanico!

Ucieszyły mnie niezmiernie wieści od Ciebie, a świadomość, iż mam jeszcze jedną pokrewną mi duszę na tym świecie, znacząco przyczyniła się do poprawy mego zdrowia. Nie chcę Cię, moja droga, zadrećzać krótkim, nieadekwatnym opisem własnych przeżyć ani zasypywać suchymi faktami o losach naszych krewnych. Przekazywanie takowych informacji listownie nie oddaje nawet w połowie ich powagi, ponadto jest też aż nazbyt brutalne. Nie chcę splotać egzystencji twojej ciotki, kuzynek i dziadków ubogimi słowami, postanowiłem więc, jak i zresztą sama uczyniłaś, ograniczyć się jedynie do stanu obecnego.

Zaproponowano mi objęcie posady w Urzędzie Miejskim w Szczecinie, co też skwapliwie uczyniłem. Przydzielono mi wygodny dom nieopodal parku, usytuowany nieopodal centrum. Miasto zostało niewątpliwie okaleczone, niemniej ten stan rzeczy dotyczy najbardziej okolic portu i starego miasta. Dzielnice położone na uboczu przetrwały w dość przyzwoitym stanie. Wielu moich znajomych zdecydowało się na osiedlenie we Wrocławiu, przez co me obecne towarzystwo składa się przeważnie z Polaków z Mazowsza i Małopolski, ale tak w pewnym sensie jest lepiej. Nowe obce miasto, inni ludzie skutecznie odciągają myśli od utraconego domu.

Nie wiem, moja droga, jak mocno czujesz się związana z Gdańskiem, jednak wielką pociechą byłoby mieć Cię przy sobie.

Załączam adres w nadziei, że już wkrótce się zobaczymy.

Twój stryj,

Edmund Paliński

* * *

Dołączyła do ludzi koczujących na dworcu kolejowym w Gdyni Głównej. Nikt nie był w stanie określić, kiedy pociąg przyjedzie i jakiej będzie relacji, jednak nie zniechęcało to podróżnych. Opatuleni grubymi płaszczami siedzieli w grupach, czekając na wieści. „O ironio, zaczęłam z jedną nędzną walizką i z nią przychodzi mi kontynuować moją odyseję” – pomyślała Marianna, zaciskając dłonie na rączce od bagażu. Przez trzy miesiące jej dobytek się nie powiększył, może z wyjątkiem zdobycznych butów z paczek UNRRA. Wyszła na skraj peronu i zadarła głowę. Na przejrzystym niebie jaśniała wielka niedźwiedzica. Pomimo mrozu i niewygody Marianna była szczęśliwa. Ktoś szturchnął ją w ramię. Odwróciła się i przyjęła kubek z podejrzaną zawartością od nieznajomej kobiety.

– Wesółych świąt! – Usłyszała.

Marianna uniosła kubek do góry.

– Wesółych świąt! – odparła i wychyliła jego zawartość.

[2] Państwowy Urząd Repatriacyjny.

CZEŚĆ DRUGA

1946. SZCZECIN



Mróz trzaskał pod podeszwami butów, a na obrębionych futerkiem rękawach osadzały się kryształki lodu. Przypominało to obraz niczym z amerykańskiego filmu: twarz heroiny była skąpana w łagodnym świetle poranka, jej długie, lśniące włosy spływały spod białej czapki, przyozdobione drobnymi płatkami śniegu. Stała sama nad brzegiem zamarznętego jeziora, spoglądając na pokryte białą pierzyną korony drzew oraz na mostek japoński i uśmiechnęła się do własnych myśli. Jedyna różnica pomiędzy tą chwilą a kadrem filmowym polegała na intensywności doznań, świeżości krajobrazu. I choć taśma wygładziłaby obszarpane elewacje budynków przy pobliskiej ulicy, maskując widoczne jeszcze ślady po kulach, zatarłaby jednocześnie baśniowy urok parku wdzierającego się klinem w przestrzeń miejską. Zapewne wyczarowałaby również wzruszający moment ponownego spotkania, umieszczając na jednej ze ścieżek postać przystojnego mężczyzny, brata lub kochanka zmierzającego w jej stronę. Kąciki ust Marianny zadrżały lekko, a z trudem osiągnięty spokój na nowo runął. Znaczące kaszlnięcie dobiegające z tyłu przywołało ją do porządku. Odwróciła się w stronę towarzyszącej jej kobiety i powiedziała:

– Jeszcze tylko chwila i możemy wracać, Greto.

Jej towarzyszka skinęła potulnie głową. Mariannę od samego początku irytowało bezkrytyczne posłuszeństwo młodej Niemki oraz apatyczna obojętność, z jaką traktowała kolejne niesprawiedliwości losu. Niechętnie musiała jednak przyznać, że była jej w duchu wdzięczna za akceptację, a także opiekę, jaką Greta roztoczyła nad nią po przyjeździe do Szczecina. Marianna

od dziecka miała skłonności do popadania w melancholię i stan ten potrafił być tak głęboki, że niemalże uniemożliwiał jej jakiegokolwiek działanie. Niekiedy utrzymywał się tygodniami, w trakcie których niejednokrotnie samo istnienie wydawało się zbyt dużym ciężarem. Nie potrafiła powiedzieć, co wywoływało u niej ten stan ani jakie mechanizmy ostatecznie wyciągały ją na powierzchnię. Z czasem powoli docierały do niej poszczególne impulsy, momenty zadumy, niekoniecznie skupione na sobie samej, lecz na cichej kontemplacji otaczającego ją świata. Z nich rodziły się przebłyski zachwytu, a te po jakimś czasie przeistaczały się w ciekawość. Wtedy następowała gwałtowna zmiana, w wyniku której brak emocji przeradzał się w najsilniejszą z pasji i Marianna rzucała się w wir nauki i pracy, z łatwością nadganiając utracone miesiące. Tak było kiedyś.

Po przyjeździe do Szczecina jej stan psychiczny powoli ulegał pogorszeniu, a ból nogi się nasilał. Zignorowała te niepokojące symptomy, wstrzykując sobie coraz większe dawki morfiny. Pomagało jej to zwieść zapracowanego stryja i dopasować się do jego trybu życia. Poza pierwszym dniem nie rozmawiali o przeszłości i udawali, że nie dostrzegają bolesnych śladów, jakie zostawiła choćby na ich ciałach. Ponownie odzyskali pozycję w świecie, dostali do dyspozycji przestronny dom porównywalny z apartamentem pana Palińskiego we Lwowie, otaczała ich elita odbudowującego się miasta. Pomimo problemów z aprowizacją Mariannie nie brakowało przyzwoitego jedzenia i eleganckich strojów – koneksje stryja zapewniały życie na zdecydowanie lepszym poziomie niż w Gdańsku. A jednak siadając do stołu wieczorem, przyjmując gości czy też zabijając czas, snując się po okazałym pokoju gościnnym, miała wrażenie, że wokół niej unoszą się widma krewnych, podkreślając otaczającą ją pustkę. Dziewczyna łapała się na prowadzeniu udawanych rozmów z nimi, śmiała się z ich dawnych, odtwarzanych w głowie żartów. Czasami budziła się w środku nocy i zaczynała szukać jakiegoś drobiazgu. Najpierw nie rozpoznawała żadnego z leżących na

biurku przedmiotów, a potem przychodziło otrzeźwienie. „Ścigam duchy, z każdym dniem coraz mniej wyraźne. Nie pamiętam już tak wielu szczegółów, nawet ukochane głosy nie brzmią już tak pewnie, ich barwa zanika” – zauważyła. I aplikowała sobie następny zastrzyk, bo w ten sposób zyskiwała chwilę wytchnienia.

Nie oszukała jednak wszystkich. Od początku czuła na sobie uważne spojrzenie młodej gospodyni stryja, Niemki o bladej skórze i intensywnie niebieskich oczach. Obecność dziewczyny była niemal niewyczuwalna, ponieważ spała w dawnym pomieszczeniu dla służby i przemykała przez pokoje niezauważona, dyskretnie sprząając po mieszkańcach i przygotowując dla nich posiłki. Do pewnego stopnia musiała rozumieć język polski, gdyż Marianna niejednokrotnie widziała, jak wyraz twarzy dziewczyny zmienia się, gdy tematy schodziły na kwestię niemiecką bądź opłakany stan miasta. Zaciskała wówczas wargi, powstrzymując się od wypowiedzenia swojego zdania. Z lekarką nie rozmawiała nigdy, natomiast pana Palińskiego darzyła dużym szacunkiem. Czasem, podczas długich, zimowych wieczorów, siadywała na podłodze obok fotela mężczyzny i zaczynała opowiadać o czymś po niemiecku, jednak przerywała, gdy tylko Marianna wkraczała do pokoju. Lekarka wprawdzie nie rozumiała dziwnego porozumienia panującego między Gretą a jej stryjem, lecz po pewnym czasie doszła do wniosku, że musieli być w swoim wyobrażeniu podobni do siebie, wykorzenieni z własnej ojczyzny, niepewni przyszłości. Dlatego też była zaskoczona, gdy pewnej nocy Niemka usiadła obok niej. Mariannie akurat skończył się zapas morfiny i już odczuwała skutki pominięcia zwyczajowej dawki. Dostała dreszczy, ledwie mogła chodzić o własnych siłach. Greta pomogła jej położyć się do łóżka, a potem przez kilka następnych dni cierpliwie zmieniała pościel, wносиła miski z wymiocinami i przynosiła gorące okłady. Każdego poranka sadzała Mariannę, podkładając jej pod plecy poduszki, karmiła ją, czesała jej włosy i przemywała twarz.

– I to można przetrwać – powtarzała, przytrzymując talerz nad brodą dziewczyny.

– Ludzie przywiązują zbyt dużą wagę do przetrwania – odpowiadała Marianna, na wpół bełkocząc.

Niemka milczała, ale nie pozwalała swojej podopiecznej się poddać. Czuwała nad snem Palińskiej, była przy niej, gdy lekarka budziła się z krzykiem, przerażona mieszającymi się z okrucami pamięci, narkotycznymi wizjami. Wydawało się jej, że znów leży na rewirze, otoczona umierającymi współwięźniarkami. Opatrunek na nodze gnił i śmierdział, skóra swędziała, dookoła panoszyły się pchły i wszy. W myślach przygotowywała projekty specjalnych pułapek, które zwabiałyby do środka całokształt ludzkiego robactwa, a następnie trułoby je chemikaliami. Ona zaś po wszystkim otwierałaby tylko drzwiczki i wytrząsała ich drobne truchelka na zewnątrz i dodatkowo rozgniała stopą. Tak, uśmiechała się do siebie, to byłoby zaiste użyteczne urządzenie. Patrzyła na swoją nogę i nie widziała już opatrunków – udo wyglądało na nietknięte. Była w lesie z Ignacym, który zdał właśnie maturę. Wojna miała wybuchnąć dopiero za trzy lata, na razie cieszyli się jeszcze beztroskim wypoczynkiem w rodzinnych stronach. Nie widzieli rodziców od dziecka, był to jeden z warunków, jaki stryj postawił, nim zgodził się przyjąć ich na wychowanie.

„Nie będą mieli z wami kontaktu, a w szczególności z nią” – Marianna pamiętała tamtą rozmowę. Podśluchiwała, stojąc w sieni. Ojciec, lekarz, wbrew woli rodziny osiedlił się na wsi i ożenił z Ukrainką. Do dziś nie była pewna, czy do odesłania ich do Lwowa skłoniła go zła sytuacja materialna, czy też zwyczajnie pragnął dla swoich dzieci lepszego życia. Nie interesowało jej to, a nawet unikała takich rozważań, ponieważ myślenie o jego intencjach wzbudzało w niej złość. Z okresu spędzonego z rodzicami zapamiętała niewiele. Przede wszystkim łagodny, lawendowy zapach roztaczany przez włosy matki i śpiewane przez nią ludowe piosenki. Choć te wspomnienia były tak skromne,

czuła ciepło z nich przebijające oraz smutek, który nastąpił po rozstaniu. Potem nie zadawała żadnych pytań. Po prostu zastygła, niezdolna, by zaprotestować. Wbiła się w sztywny gorset ograniczeń narzucony jej przez stryja i stryjenkę, przejęła ich obyczaje i sposób patrzenia na świat. Choć była ciekawska, jej chęć poznania nie rozciągała się na dzieje rodu ani panujące w nim stosunki. Zaakceptowała to, co zostało jej dane i z czasem pokochała swoich nowych rodziców, zapominając o przeszłości. Natomiast tęsknota za matką przerodziła się w gniew skierowany przeciwko ojcu, który w oczach Marianny był architektem rozpadu jej pierwszej rodziny.

Utracone wspomnienia powróciły jednak, gdy po raz pierwszy otarła się o śmierć. Wtedy to jednym z prześladowających ją obrazów stała się wizja jej matki robiącej pranie. W zdumiewający sposób wydobywała wówczas z pamięci wyraźne rysy twarzy, mimikę i barwę głosu. Było to jedno z nielicznych wspomnień, które dodawało Mariannie siły w obozie, jednak teraz także ono uległo deformacji i przemieniło się w koszmar. Szła ulicami swojej rodzimej wioski i patrzyła, jak po kocich łbach spływają strumienie krwi, jej uszy wypełniał ryk przerażonego bydła, do nozdrzy wkradał się zapach dymu. Łkała oraz przyzywała na głos swoją matkę. Bezskutecznie.

W krótkich momentach świadomości zarejestrowała obecność stryja w pokoju. Wymienił ściszym głosem uwagi z Gretą, po czym zniknął. Tamtego wieczoru nastąpiło przesilenie.

* * *

W ostatnim tygodniu stycznia, po niemal dwutygodniowych zmaganiach, wyszła ponownie z pokoju. Greta przygotowała jej kąpiel i pomogła wejść do wanny. Marianna nie mogła uwierzyć, jak słabe stały się jej mięśnie podczas rekonwalescencji. Z ledwością utrzymywała się sama na nogach.

– Czy mamy w domu jakiś alkohol? – zapytała Niemki.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Żadnego alkoholu na ból – odparła, pokazując na zdeformowaną nogę lekarki. – Musisz wzmocnić mięśnie, wtedy łatwiej ci będzie go znieść.

– Tak uważasz? – zapytała na wpół drwiąco Marianna, patrząc na dziewczynę spode łba.

– Tak – odrzekła Greta, unosząc lekko brwi. – Grecki ideał: silne ciało i bystry umysł. Mogę ci pomóc, kiedyś byłam w drużynie lekkoatletycznej.

– Bund Deutscher Mädel? – wymruczała pod nosem Marianna.

W odpowiedzi Greta zmusiła ją do rozłożenia ciężaru równomiernie na obie nogi, delikatnie podcinając jej prawą stopę.

– Nie wszystko w nim było złe – skwitowała Niemka, podtrzymując chwiejącą się Mariannę. – Ale nie trafiłaś, byłam zawodową atletką, nie amatorką. Gotowa na krótki spacer po domu?

Lekarka skinęła głową, lecz wkrótce potem pożałowała swojej decyzji, gdyż Greta jedynie ją asekurowała, zachęcając do wzmoczonego wysiłku. Pierwsze piętro przemierzyła względnie sprawnie, jednak na widok schodów zrobiło jej się niedobrze.

– Wystarczy na dziś – powiedziała do Niemki. W odpowiedzi dziewczyna wbiegła na półpiętro, położyła ręce na biodrach i odrzekła:

– Czyżbyś nie dawała rady?

Nim Marianna zrobiła pierwszy krok, nabrała powietrza do płuc. Ból był dokuczliwy, ale dużo gorsze okazały się zaburzenia równowagi. Przed oczami miała mroczki, czuła, jak jej kończyny drżą, jednak parła do przodu. Po dotarciu na półpiętro niemal opadła w ramiona swojej towarzyszki, która przytrzymała ją pewnym, silnym chwytem.

– Gut – pochwaliła Niemka. – Ale to dopiero początek drogi.

Przez następnych kilka dni stawiała przed Marianną kolejne wyzwania, zwiększała liczbę wejść i zejść po schodach, potem dołożyła wyjścia do ogródka i krótkie spacerunki po pobliskim parku. Pilnowała również, by po przebudzeniu i przed pójściem spać

lekarzka wykonała co najmniej półgodzinne zestawy ćwiczeń. Jednocześnie wmuszała w nią porcje tłustego bulionu i słodką owsiankę.

– Jaką dyscyplinę trenowałaś? – dopytywała Marianna.

– Skoki w dal – odparła Greta, podtykając lekarce pod nos talerz z gorącą zupą. – W rywalizacji szkół z naszego regionu byłam najlepsza.

– A potem? – zapytała Marianna.

Nic nie odpowiedziała. Ilekroć myślała, że przełamała niezręczność w relacjach z Gretą, Niemka zamykała się na powrót w sobie. Chętnie słuchała, ale sama nic nie mówiła. Nie pozwalała się wytrącić z równowagi, nawet przez czyniących jej czasem ordynarne awanse gości pana Palińskiego. Chowała się za fasadą posłuszeństwa i apatii, przydając swojej twarzy nieco tępy wyraz, zniechęcając tym podchmielonych urzędników. Jedyne, gdy pomagała Mariannie ćwiczyć, w jej oczach pojawiał się charakterystyczny błysk, który natychmiast zanikał, kiedy w pomieszczeniu pojawiał się stryj lekarzki lub jakakolwiek inna osoba. Z tą samą apatią towarzyszyła również Polce w spacerach, pilnując jej niczym cień.

– Powinnyśmy już wracać – oznajmiła wreszcie. – Twój stryj organizuje dzisiaj przyjęcie.

Marianna przytaknęła. Rzuciła jeszcze jedno leniwe spojrzenie na zamrożoną tafelę jeziora.

– Nigdy nie patrzysz w tamtą stronę – zauważyła. – Boże, jak tu musi być pięknie wiosną!

Greta wzruszyła ramionami i wymamrotała coś pod nosem. Pochwyciwszy pytający wzrok Polki, powtórzyła:

– Nie chodzi o widok, ale o to, co się znajduje po drugiej stronie.

Marianna usiłowała sobie przypomnieć, co pan Paliński mówił jej o poszczególnych dzielnicach miasta.

– Tam zgromadzono wszystkich Niemców – powiedziała, doświadczając nagłego przeblysku. – Czy tam przebywa twoja rodzina? Znajomi?

Greta zawahała się.

– Wracajmy, nim zrobi się ciemno – odparła i powoli zaczęła iść pod górę, w stronę Urzędu Miejskiego w Szczecinie. Marianna mimowolnie odnotowała, jak podnosi rękę i wyciera skrawkiem rękawa oczy.

* * *

W salonie czekał już pierwszy gość. Pan Paliński prowadzenie domu zwykł powierzać swojej żonie i o kwestiach związanych z przyjmowaniem wizyt ani tym bardziej o kuchni nie miał pojęcia. Swojemu towarzyszowi zaoferował jedynie szklaneczkę doborowego alkoholu, jednocześnie nerwowo spoglądając na zegar, wyczekując powrotu bratanicy i swojej gospodyni.

Gdy Marianna i Greta powróciły, na stole niemal natychmiast zaczęły się pojawiać drobne przekąski, wniesiono sprezentowany przez sowieckiego oficera samowar z herbatą i rozłożono poniemiecką, bogato zdobioną zastawę. Kobiety uwijały się mechanicznie, niczym na akord, wnosząc i znosząc odpowiednie rzeczy w miarę zapotrzebowania. W tym samym czasie gości przybywało. Byli to w większości mężczyźni w średnim wieku, posturą i zachowaniem niewiele różniący się od typowego towarzystwa pana Palińskiego z czasów lwowskich. Wreszcie, gdy nadeszła pora podania ciepłego posiłku, stryj przytrzymał Mariannę za nadgarstek, nim zdążyła wymknąć się do kuchni, i przedstawił ją towarzystwu. Lekarka zrozumiała ukrytą za tym gestem intencję. Zasiadła posłusznie przy stole, podczas gdy Greta wносиła miski z zupą.

– Musi pan być dumny, panie Paliński, że udało się panu tak dobrze wykształcić swoją bratanicę – zauważył jeden z gości, architekt. – Na Ziemiach Odzyskanych rozpaczliwie brakuje specjalistów i każdy z nich jest na wagę złota.

– Ale z tego, co rozumiem, nie ma pani zbyt długiej praktyki, nieprawdaż? – zagaił inny.

Marianna chciała odpowiedzieć, lecz w słowo wszedł jej pan Paliński, mówiąc:

– Cóż, pracowała trochę w Gdańsku, jednak zważywszy na beznadziejny stan bezpieczeństwa w mieście, bałbym się puszczać ją samą do pacjentów, więc praktyka będzie musiała jeszcze trochę poczekać albo odbywać się w ograniczonym zakresie.

Pozostali mężczyźni przytaknęli.

– Myślę, że wykonując zawód lekarza, należy przedkładać dobro pacjentów nad własne bezpieczeństwo – zaprzeczyła Marianna, jednak, ku jej zdumieniu, nikt nie zareagował.

Goście wydawali się całkowicie pochłonięci dyskusją dotyczącą sprowadzenia do Szczecina swoich żon i córek oraz narzekaniami na zaopatrzenie i na niedostatecznie szybkie postępy w odbudowie kraju. Ilekroć próbowała się wtrącić, zderzała się ze ścianą milczenia albo całkowitym brakiem reakcji. Wysłuchali jej jedynie raz, gdy rozmowa zeszła na temat literatury i zapotrzebowania na kulturę wśród urzędników i pracowników umysłowych, potem jednak odpłynęli w kierunku polityki i omawiania decyzji zarządu miasta.

Marianna odchyliła się na krześle i przymrużyła oczy, usiłując zdystansować się na chwilę od towarzystwa. Przez ułamek sekundy rozważała wrócenie do kuchni, jednak w takim wypadku przyznałaby, że zasługuje na miejsce przy stole jedynie z powodu pokrewieństwa z gospodarzem. Wtem wzrok lekarki skupił się na jeszcze jednej osobie, która przez cały wieczór znajdowała się na uboczu. Trudno jej było dokładnie określić wiek mężczyzny, wydawał się niewiele starszy od niej, choć poważny ubiór i idealnie wypielęgnowany zarost dodawały mu lat. Górował wzrostem nad resztą towarzystwa, nie zdążył się jeszcze roztyć, co było częstą przypadłością panów w średnim wieku. Siedział wyprostowany niczym struna, a jego maniery wyróżniały go na tle pozostałych. Wyglądał na pogrążonego w rozmyślaniach, jednak Marianna zaobserwowała, że co jakiś czas zerkał w jej stronę, czasem zatrzymując na niej wzrok na dłużej.

– Poruczniku, a pan nie tęskni za swoim krajem? – zagaił mężczyznę pan Paliński.

– To jest mój kraj – odpowiedział z uśmiechem oficer. Mówił z silnym, francuskim akcentem. Marianna przypomniała sobie jego imię. Jean-Pierre. – Poza tym jestem tu potrzebny. Pomagam brytyjskim oficerom załatwiać sprawy związane z transportami przesiedleńców.

– Nie mierzi to pana? Dbanie o dobro tych, którzy skazali pana na przebywanie w obozie jenieckim przez blisko pięć lat? – zapytał jeden z gości.

Porucznik zacisnął wargi.

– Mierzi mnie wojna i to, co ze sobą niesie, kim się przez nią stajemy. Kiedy byłem dzieckiem, często bawiłem się w odgrywanie bitew. Udawałem, że drobne, znalezione przeze mnie gałązki są pistoletami i ganiałem po podwórku za swoimi kuzynami, naśladując odgłosy wystrzałów. Kiedyś przyłapał mnie na tym mój dziadek, weteran wojny francusko-pruskiej. Wówczas wyrwał mi gałązkę i bez słowa roztrzaskał ją stopą. Pojąłem to dopiero, kiedy mój ojciec wrócił bez nogi z okopów, a gdy sam znalazłem się na froncie, dopiero zrozumiałem wszystko w pełni – odparł.

– Stawanie po stronie honoru jest jednym z obowiązków mężczyzny, niezależnie od zapłaconej przez niego ceny – odrzekł sędziwy inżynier siedzący po prawicy pana Palińskiego. – Tym różnimy się od kobiet: umiemy przedłożyć wartości nad samo życie, wybrać obowiązek i dyscyplinę nad zwierzęcą chęć przetrwania.

Usta Jeana-Pierre'a rozciągnęły się w uśmiechu, lecz oczy pozostały smutne.

– Nie uważam, aby wojsko i jego tępa dyscyplina oraz polityka i jej odrealnione wartości były ważniejsze od samego życia. Ale, jak już niejednokrotnie wspominałem, nie jestem myślicielem ani przywódcą, a obserwatorem. Unikam wydawania ostatecznych osądów.

Z drugiej strony dał się słyszeć szyderczy śmiech.

– Francuski pacyfizm. Nic dziwnego, że tak szybko się poddaliście – skomentował jeden z gości.

Jean-Pierre poczerwieniał ze wściekłości. Pan Paliński zerknął nerwowo na Mariannę, która nagle wstała i zwróciła się do zgromadzonych:

– Może zechcieliby panowie posłuchać Szostakowicza? Mamy tutaj gramofon i kilka dobrych płyt, a nic tak nie dopełnia interesującej dyskusji jak odpowiednia muzyka.

Mężczyźni ochoczo przystali na tę propozycję. Kobieta poszła do swojego pokoju po płytę. Przechodziła właśnie przez niewielki gabinet-bibliotekę stryja, gdy usłyszała ciche łkanie. Zamiast z powrotem do salonu, wyszła na korytarz i zajrzała do kuchni, skąd jej zdaniem dochodził ten niepokojący dźwięk.

Pomieszczenie wyglądało na puste. Marianna weszła do środka, dokładnie omiatając wzrokiem przestrzeń i aż podskoczyła, gdy zobaczyła skuloną obok drzwi do spiżarni Gretę. Głowa Niemki była opuszczona, a ręce zaciskały się kurczowo na podbrzuszu.

– Co się stało? – zapytała Marianna, zniżając głos do szeptu.

– Czasem czuję straszny ból brzucha, jakby ktoś włożył mi do środka imadło – odparła Greta z wysiłkiem.

Lekarka przyklękała obok niej i delikatnie dotknęła dłoni Niemki, lecz ta odtrąciła ją. Był to gest nie tyle nerwowy, co pełen obrzydzenia, jakby kontakt fizyczny z drugim człowiekiem napawał ją wstrętem.

– Samo przejdzie – odparła.

Marianna westchnęła ciężko.

– Mocno krwawisz? – zapytała.

Niemka potrząsnęła głową.

– Muszę cię stąd zabrać – oznajmiła lekarka. – Czy dasz radę wesprzeć się na moim ramieniu i wejść po schodach?

Zobaczyła tylko kolejne zaprzeczenie.

– W takim razie położymy cię w moim pokoju – oznajmiła Marianna. – Zaraz poproszę stryja o pomoc i...

– Nie! – Greta stłumiła krzyk. – Nie możesz tego zrobić, nie dopóki goście przebywają w domu. Ktoś doniesie o mojej chorobie, twój stryj będzie miał kłopoty, a mnie zmuszą do wyjazdu. Nie

mogę wyjechać! – wypowiedziała z zaskakującą mocą ostatnie zdanie. Marianna wahała się. – Niedługo zaczną się rozchodzić, wracaj do nich, ja tu poczekam – dodała Niemka. – Proszę.

Marianna niechętnie przytaknęła.

– Dobrze, ale później masz się stosować do moich zaleceń – ostrzegła.

Z wysiłkiem wstała, kilka razy zgięła i rozprostowała zdrętwiałą nogę. Zabrała płytę i wróciła do salonu. Z uśmiechem na twarzy, wymieniając drobne uprzejmości, uruchomiła gramofon i przyniosła kolejne butelki z alkoholem. Ponura melodia ósmej symfonii wyciszyła niemal wszystkie rozmowy, zgromadzeni pograżyli się we własnych myślach, przypominając sobie doniesienia o oblężeniu Leningradu lub też własne, wojenne losy.

Muzyka klasyczna zazwyczaj poruszała Mariannę do łez, lecz teraz spoglądała nerwowo na zawieszony na ścianie zegar, czekając, aż wybrzmia ostatnie nuty. Nie miała pewności, czy był to niepokój o Gretę, czy też poważniejsza zmiana, nieumiejętność odniesienia sztuki do własnych emocji i doświadczeń, ale nie czuła nic. Muzyka, rozmowa, dobrze przyrządzone potrawy, wszystko, co kiedyś ceniła, teraz stawało się miałkie, miało posmak goryczy. Z ponurych tonów orkiestra zaczęła wspinać się do niemalże tryumfalnego zwieńczenia utworu. Marianna pochwyciła wzrok Jeana-Pierre'a. W szarych, smutnych oczach Francuza rozpoznała to samo zmęczenie, które odczuwała także i ona. Utwór się zakończył. Goście zaczęli klaskać, rozglądając się ukradkiem po sobie. Nie dolewali już alkoholu do pustych kieliszków, a pierwsi śmiałkowie zaczęli się podnosić i wymawiać różnymi ważnymi sprawami oczekującymi na nich nazajutrz rano. Marianna gorliwie poderwała się i dołączyła do stryja. Dziękowała za przybycie, ścisła dłonie, podawała kapelusze i płaszcze, odprowadzała gości do wyjścia.

Wśród maruderów znajdował się również Jean-Pierre. Krążył po salonie, wyglądając przez okna.

– Jak pani to robi? – zapytał, widząc podchodzącą do niego Mariannę.

Brwi dziewczyny powędrowały do góry. Czuła się niezręcznie w towarzystwie oficera, jednak nie dała tego po sobie poznać.

– Jak robię co? – odpowiedziała nonszalancko. Stała u jego boku i pomyślała, że muszą stanowić komiczny widok dla postronnego obserwatora: ona niska, o posturze dziecka i on, wysoki, nienaturalnie chudy, z wiecznie poważną miną.

– Jak po tym wszystkim znajduje pani sens i motywację do dalszego życia? – doprecyzował Jean-Pierre.

Marianna mimowolnie uniosła kąciki ust w uśmiechu. Odzwyczaiała się już od podobnych mu typów, refleksyjnych i obowiązkowo ponurych, niepotrafiących niekiedy oddzielić powagi od ironii.

– Ocalałam, chociaż nie powinnam i w tym zamyka się cały mój sekret. Nie doszukuję się sensu, ale doceniam fakt, iż mogę skupić swoją uwagę na czymś innym niż na zwykłym przetrwaniu, prześlizgnięciu się przez kolejne dni. – Przekrzywiła lekko głowę. – I że mam szansę teraz sprawić, by podobny cud przydarzył się innym osobom, że mogę jeszcze coś pozytywnego wniesić do otoczenia.

Jean-Pierre opuścił wzrok.

– Niech pani wybaczy, nie zawsze jestem taki... – szukał odpowiedniego słowa – ...marudny. Życzę udanego wieczoru.

Pożegnał się jeszcze z panem Palińskim i pośpiesznie opuścił willę. Był ostatnim gościem, zatem Marianna niezwłocznie poinformowała stryja o stanie Greta. Wspólnymi siłami przenieśli Niemkę do pokoju lekarki.

– Może trochę alkoholu albo morfiny? – zapytał pan Paliński.

Greta ostentacyjnie pokręciła głową.

– Żadnych narkotyków – wycedziła. Spojrzała na siedzącą obok łóżka Mariannę. – Chcę zostać tylko z nią.

Pan Paliński przytaknął i opuścił sypialnię bratanicy. Był zmartwiony, bruzdy na jego czole się pogłębiły. Gdy tylko drzwi

się zamknęły, Greta wydała z siebie cichy, acz rozdzierający serce jęk bólu.

– Przyniosę napar ziołowy i czyste ręczniki – rzekła Marianna, podnosząc się z krzesła, lecz Niemka gestem pokazała jej, żeby siedziała.

– Muszę ci coś pokazać – powiedziała z wysiłkiem.

Lekarka podłożyła dziewczynie poduszki pod plecy i pomogła jej usiąść. Greta, drżącymi dłońmi, rozpięła guziki brunatnej bluzki, a następnie uniosła obleczone w szary, brudny stanik piersi. Marianna zmrużyła oczy i delikatnie podniosła fiszbiny. Okolice bezpośrednio pod piersiami były usiane małymi, twardymi wrzodami.

– To nie wszystko – oznajmiła Greta, a jej oczy stały się szkliste.

– Nie krwawię albo znowuż krwawię zbyt obficie, a przez resztę czasu wypływa ze mnie śmierdzące, glutowate coś.

Lekarka kazała jej ponownie się położyć i rozchylić nogi. Wrzody opanowały również okolice intymne oraz wewnętrzne części ud.

– Poczekaj chwilę – poleciała i poszła do łazienki. Wróciła z balią pełną wody i czystą ścierką, położyła je nieopodal łóżka. Wyciągnęła swoje narzędzia, prezent powitalny od stryja, ale niedostatki wiedzy sprawiły, że mogła się jedynie domyślać, jaka choroba była przyczyną silnych bólów podbrzusza. „W najgorszym wypadku złapała więcej niż jedną” – pomyślała Marianna, zastanawiając się nad możliwymi metodami leczenia. Wtem coś ją tknęło. Sięgnęła po stetoskop, po czym zaczęła osłuchiwać dziewczynę. Jej oddech był głęboki i czysty, więc przesunęła się w stronę klatki piersiowej. Zamarła. Usłyszała wyraźny trzask, a potem cichy szmer. Zakończyła badanie i uśmiechnęła się do pacjentki, maskując zmartwienie.

– Na razie możemy podawać penicylinę, a potem będę musiała skonsultować się z kimś mającym większe doświadczenie ode mnie – powiedziała Grecie.

Niemka zaczęła cicho łkać.

– Nie, nie! Mówiłam ci już, że ktoś doniesie o mojej chorobie i zmuszą mnie do wyjazdu! Teraz zatrzymują tylko tych, których można wykorzystać do pracy.

Marianna załamała rękę.

– W tym stanie nie powinnaś pracować ani nawet wychodzić z domu. Zresztą mój stryj nigdy by na to nie pozwolił, a przynajmniej dopóki miasto nie jest bezpieczne. Padłabyś łatwo ofiarą szabrowników albo gorzej – starała się przemówić Niemce do rozumu.

Greta spojrzała na nią z politowaniem.

– Nie możecie mnie przed tym uchronić, to już się stało. Niejednokrotnie – odpowiedziała.

Marianna złapała ją za rękę i mocno ścisnęła.

– Pozwól sobie pomóc – szepnęła. – Cokolwiek to jest, to, czego szukasz, mogę ci w tym pomóc. Tak jak ty pomogłaś mnie.

Niemka oddychała głęboko.

– Nie oferowałabyś mi pomocy, gdybyś wiedziała, co zrobiłam. Nic o mnie nie wiesz – odpowiedziała z goryczą. – Jesteś głupia i naiwna, choć zdobyłaś wyższe wykształcenie.

Marianna odchyliła się na krześle i zerknęła na swoją pacjentkę. Przypomniały jej się słowa Heleny: „Nikogo nie obchodzi twoja przeszłość. Każdy ma jakąś wojenną historię, którą trzyma zamkniętą w zakamarkach pamięci, czyli tam, gdzie jej miejsce”.

– Poddaj mnie próbie – rzekła po chwili. – Powiedz mi, kim jesteś i dlaczego nie powinnam ci ufać. Skoro odrzucasz moją pomoc, to chyba zasłużyłam przynajmniej na wyjaśnienie.

Mierzyły się wzrokiem, aż Greta przerwała milczenie.

– W porządku.

* * *

STETTIN, MARZEC 1945 R.

Miasto opustoszało. Od drugiej połowy lutego trwała przymusowa ewakuacja mieszkańców. Stettinianie wywożeni byli koleją i statkami do pozostałych landów nadmorskich. Do metropolii niekiedy docierali jeszcze uciekinierzy z Prus

Wschodnich, nędzne, wymizerniałe istoty przemieszczające się w naprędcie uformowanych grupach, które cudem uniknęły schwytania przez nieprzyjaciół. Przybysze nie pozostawali w Stettinie na długo, jednak przekazywane przez nich informacje napawały oczekujących na transport mieszkańców przerażeniem.

Greta spojrzała bezrefleksyjnie na stare wydanie „Pommersche Zeitung”. Nagłówek na pierwszej stronie gazety roztaczał złowrogą wizję przekazania miasta przez Stalina Polakom. Dziewczyna przeglądała pozostałe papiery, sprawdzając, czy nie przeoczyła jakiejś koperty. Poczta przestała docierać pod koniec ubiegłego miesiąca, a i wcześniej nie otrzymała wieści od brata oraz ojca. Zza ściany dobiegał tupot małych stóp i po chwili w drzwiach do salonu stanęła najmłodsza siostra Greta, Henrietta.

– Zimno – poskarżyła się dziewczynka, pocierając ramiona drobnymi rączkami. Cienka, bawełniana koszula nocna zapewniała dziecku lichą ochronę przed panującym w mieszkaniu chłodem.

Greta zamarkowała uśmiech, podniosła siostrę i posadziła przy stole.

– Zrobię ci kawy zbożowej i zaraz napalę w piecu – obiecała.

Dziewczynka potrząsnęła porośniętą bujnymi blond włosami głową.

– Przecież opał się skończył prawie miesiąc temu – przypomniała siostrze, a w jej niebieskich oczach migotało wzburzenie. – Co będzie na śniadanie?

Greta poprawiła mundurek służby kobiecej i rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku kuchni.

– Mamy trochę chleba z wczoraj i może w spiżarni znajdzie się jeszcze marmolada – odparła nienaturalnie radosnym tonem.

Henrietta łaskawie zaaprobowała tę propozycję, przysunęła się do stołu i zastygła w oczekiwaniu. Greta przeszła do kuchni i otwierała kolejne szafki, udając, że szuka sekretnych zapasów przetworów zostawionych przez ich matkę. W rzeczywistości

zużyli niemal całą żywność i utrzymywali się z niewielkich przydziałów, które dostawała za swoją pracę przy budowaniu wałów i zasieków obronnych. Gdy uznała, że pozory zostały zachowane, odkroiła swoją porcję chleba i posmarowała ją kupionym od sąsiadki dżemem. Cena była dobra, a kobieta nie mogła zmieścić zgromadzonego przez siebie jedzenia i innych dóbr w przewidzianym przez władze maksymalnym ciężarze bagażu osobistego.

– Proszę bardzo. – Przyniosła skromny posiłek i postawiła go przed Henriettą.

Dziewczynka łąpczywie zjadła kanapki, a Greta obserwowała ją, czując, jak głód wykręca jej wnętrzności. Wtem zamek w drzwiach wejściowych szczęknął i do mieszkania wkroczył Thomas, piętnastoletni brat dziewcząt.

– Greto! Greto! – Podbiegł do starszej siostry, wyraźnie podekscytowany.

– Miałeś wrócić godzinę temu – powitała go, unosząc brwi na widok poplamionego ubrania chłopaka.

– Przyjęli mnie! Przyjęli mnie do wojska! – Thomas zdawał się jej nie słyszeć.

Serce Grety na chwilę przestało bić. Poczowała się tak jakby ktoś uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Złapała brata za ramiona i potrząsnęła nim. Musiało to wyglądać komicznie, ponieważ była od niego niższa, choć mocniej zbudowana.

– W coś ty się dał wpakować? – zapytała z niedowierzaniem.

Wyrostek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Siostra, spokojnie. Jeszcze nie wszystko stracone, nadal możemy odepchnąć Sowietów, jeśli tylko przeprowadzona zostanie kolejna ofensywa...

– Ty... ty... – Dłonie Grety zacisnęły się w pięści, a na myśl przychodziły najgorsze znane jej określenia. Powstrzymała się przed ich użyciem tylko przez wzgląd na Henriettę. – Teraz muszę wyjść do urzędu, porozmawiamy wieczorem. – Skończyło się na groźeniu palcem. – Nie zostawiaj siostry na długo samej!

Wyszła na ulicę. Owionęło ją chłodne, zimowe powietrze. Tramwaje jeździły nieregularnie, zatem dotarcie na miejsce zbiórki zajęło jej niemal godzinę.

– Dzisiaj pomagamy na dworcu – oznajmiła przełożona Grety.

W oddali słyhać było odgłosy wystrzałów. Mimo to ewakuacja przebiegała sprawnie i planowo, mieszkańcy posłuszenie gromadzili się w miejscu zbornym i wypełniali polecenia personelu. „To tylko tymczasowo!” – słyhać było przeważające w tłumie głosy. – „Jak tylko sytuacja się ustabilizuje i front się przetoczy, będziemy mogli wrócić do naszych domów”. Greta wyławiała jednak i mniej optymistyczne szept: „To już ostatnia chwila, niedługo odetną nam wszystkie drogi ucieczki” i „Następnym przyjdzie uciekać piechotą”.

Gdy pociąg odjechał, dziewczynę zaczepiła urzędniczka, pani Weissmeier.

– Myślę, że już na ciebie czas, drogie dziecko. Wpisałam ciebie i twoje rodzeństwo na jutrzejszą listę – poinformowała ją kobieta.

Greta potrząsnęła głową.

– Dalej czekam na wieści od ojca i brata. Moja matka kazała mi przysiąc, że się stąd nie ruszę, dopóki rodzina nie będzie w komplecie – zaprotestowała. – Proszę mi jeszcze dać tydzień, potem wyjadę dobrowolnie.

Pani Weissmeier westchnęła ciężko. Rozejrzała się na boki, złapała Gretę za ramię i pociągnęła w ustronne miejsce.

– Ile dziecko masz lat? – zapytała.

– Dziewiętnaście – odpowiedziała posłuszenie.

– Więc jesteś już wystarczająco dojrzała, by zrozumieć, że twój brat i ojciec najpewniej polegli albo znajdują się w sowieckiej niewoli i, Bóg mi świadkiem, nie wiem, co gorsze. Z kolei mnie twoja matka prosiła o dopilnowanie, by tobie i twojemu młodszemu rodzeństwu nie stała się krzywda. Im dłużej zwlekas, tym większe ryzyko, że Armia Czerwona wejdzie do miasta. I chyba nie muszę ci mówić, co się z tobą stanie, a jeśli cię to nie przeraża, to pomyśl, iż podobna rzecz przydarzy się również

Henriecie. Najpewniej wielokrotnie – powiedziała pani Weissmeier.

Greta знаła pogłoski o Sowietach, jednak nie potrafiła sobie wyobrazić potencjalnej krzywdy, jaką mogliby jej wyrządzić. Matka dziewczyny, choć była kobietą wykształconą, unikała rozmów na temat cielesności z córką, toteż w głowie młodej Niemki gwałt był bardziej tożsamy ze skazą na dumie, na niewinności aniżeli z porażającym aktem przemocy fizycznej. Wiedziała natomiast, że nieposłuszeństwo wobec starszych, w szczególności zwątpienie w głowę rodziny tudzież próba jej zastąpienia, było czynem bardziej karygodnym niż narażenie siebie samej na niebezpieczeństwo.

– Poinformuję swojego brata i spakujemy rzeczy – odpowiedziała Greta, chcąc pozbyć się natrętnej znajomej matki.

Pani Weissmeier nie dała się jednak łatwo zwieść.

– Jeśli nie stawicie się w punkcie zbornym o wyznaczonej godzinie, naśle na was żandarmerię – ostrzegła.

Greta pobiegła z powrotem do mieszkania na Pommerensdorfie. Już na ulicy powitał ją widok znudzonej twarzy Henrietty, niemal przyklejonej do okna. Dziewczyna zakląła obelżywie na brata i weszła do domu.

– Gdzie jest Thomas? – zapytała siostrę.

Dziewczynka oderwała leniwie wzrok od szyby i odpowiedziała, ziewając przy tym przeciągle:

– Powiedział, że teraz jest wilkiem i wyrusza na polowanie. Potem kazał mi być cicho, pocałował mnie w policzek i powiedział, że mnie kocha.

Do oczu Greta cisnęły się łzy niemocy, lecz udało się jej powściągnąć emocje. Przeanalizowała sytuację na chłodno. Nie mogła opuścić miasta bez Thomasa, on zaś, jako żołnierz, nie mógł porzucić swoich współtowarzyszy, bowiem ukarano by go jak dezertera. „On tego nie przeżyje, jest za młody” – pomyślała dziewczyna i w głowie zaświtał jej pewien pomysł. Odwróciła się do Henrietty i powiedziała:

– Zawsze chciałaś mieszkać blisko parku Quistorpa, a teraz dużo mieszkań stoi wolnych. Co powiesz na małe wakacje?

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– A czy tak można? – zapytała.

Greta uśmiechnęła się najpromienniej, jak tylko umiała.

– Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko. Przecież to tylko na chwilę. To co? Przenosimy się?

Dziewczynka pokiwała gorliwie głową.

– Znakomicie – rzekła Greta. – Ale zanim wyruszymy, musisz mi pomóc spakować najpotrzebniejsze rzeczy.

Wzięły ze sobą dwie walizki – do jednej włożyły niezbędne ubrania, dodatkowe pary butów, do drugiej skromne zapasy żywności i pozostały w domu alkohol oraz kosztowności. „Mogą się przydać na wymianę” – pomyślała Greta, ładując bagaże na znaleziony na podwórzu wózek. Sprawdziła, czy Henrietta jest dostatecznie ciepło ubrana i ruszyły w drogę, przez cmentarz, w stronę Zabelsdorfu.

* * *

Na przedmieściach toczyły się walki. Greta włamywała się do opuszczonych mieszkań w poszukiwaniu syropu na kaszel. Pobyt w obecnej kryjówce, zimnej i zawilgoconej piwnicy w budynku nieopodal parku Quistorpa, pogorszył stan zdrowia Henrietty. Dziewczynka gorączkowała i uskarżała się na bóle gardła oraz silny kaszel. Po Thomasie wszelki słuch zaginał. Greta usiłowała dowiedzieć się czegoś na temat miejsca jego pobytu w tymczasowych kwaterach Wehrmachtu ulokowanych w dawnych gmachach władz miejskich, lecz żołnierze jedynie wzruszali ramionami i odprawiali ją z kwitkiem. „Może dali go do oddziałów dywersyjnych” – sugerowali niektórzy. Greta starała się zanadto nie dopytywać, aby nie ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi. Mimo to ponownie usłyszała, że powinna spróbować opuścić miasto na pieszo, zanim wedrą się do niego Sowieci. Tłumaczyła się chęcią pożegnania brata i zniknęła, nim padło więcej niewygodnych pytań.

Tego dnia miała pecha. Kiedy przeszukiwała zakamarki opuszczonego mieszkania w poszukiwaniu leków, do kamienicy weszła grupka niemieckich żołnierzy. Uprzytomniła sobie, że zostawiła drzwi otwarte, lecz było już za późno, by naprawić swój błąd. „Chowanie się nie ma sensu, i tak mnie znajdą” – pomyślała i stanęła niczym sparaliżowana pośrodku salonu.

– Mamy szabrowniczkę! – krzyknął pierwszy żołnierz, gdy tylko ją zobaczył.

Zaraz do pomieszczenia wbiegło dwóch pozostałych, po czym osaczyli Gretę. Mężczyźni wyglądali na zmieszanych i niepewnych, co dalej z nią począć.

– Szukałam lekarstwa dla młodszej siostry... – zaczęła wyjaśniać, lecz wtem jeden z żołnierzy uderzył ją otwartą ręką w twarz.

– Milcz! – rozkazał. Na jego czole pulsowała nabrzmiała żyła. – Szaber karany jest śmiercią!

Greta złękła się w duchu, myśląc nad losem Henrietty.

– Heinrich, to jeszcze dziecko – próbował przemówić mu do rozsądku drugi żołnierz. – W ogóle to dlaczego jeszcze tu jesteś? Cała ludność miała się ewakuować – zwrócił się do Grety.

– Czy to ważne, z jakiego powodu tu jest? Może została, żeby się wzbogacić, eh? Jaki ty czasem jesteś naiwny, Franz – odparł pierwszy, a pogarda w jego głosie wzrastała z każdym wypowiedzianym słowem. – Zabieramy ją do dowódcy.

Skrepowali dłonie dziewczyny i niezbyt delikatnie sprowadzili ją po schodach, a potem przez park, do jednej z tymczasowych siedzib Wehrmachtu. „Jeszcze żyję” – pocieszała się Greta. – „Gdyby byli pewni, co ze mną zrobić, już dawno bym wisiała niczym dezerterski. Jest jeszcze szansa, że wrócę do Henrietty”.

Wewnątrz sztabu panowało zamieszanie. Na korytarzach roilo się od porzuconych naprędce przedmiotów, zaś w dawnych urzędniczych gabinetach papiery z dokumentacją zaściełały podłogę. Na ścianach wisiały mapy Stettina i okolic, pokreślone,

zakryte bazgraniną złożoną z wielokolorowych strzałek i punktów.

– Kapitanie. – Żołnierze zasalutowali przed szczupłym oficerem pochylonym nad mapą Puszczy Bukowej. Mężczyzna podniósł głowę i zerknął na Gretę, a następnie przeniósł wzrok na podwładnych.

– Kogo wy mi przyprowadzacie? – zapytał chropowatym głosem. Na jego twarzy widać było oznaki zmęczenia, pod oczami zarysowywały się głębokie cienie.

– Szabrowniczkę, panie kapitanie – oznajmił żołnierz. – Przyłapaliśmy ją na gorącym uczynku w jednym z mieszkań.

Oficer potarł czoło dłonią.

– Dokumenty poproszę – zażądał.

Greta wyciągnęła dowód z kieszeni i podała go kapitanowi.

– Ja cię chyba skądś kojarzę... – odparł mężczyzna, przyglądając się dziewczynie badawczo. – Ach, wiem już! Wygrałaś zawody lekkoatletyczne dla dziewcząt, nieprawdaż? Lato '44, jeśli mnie pamięć nie myli. Kibicowałem swojej młodszej kuzynce, niestety, daleko jej było do twoich rezultatów... – zamyślił się.

– Karą za szaber jest śmierć – przypomniał jeden z żołnierzy.

Kapitan przymknął na chwilę oczy.

– Tak, chyba że dziewczyna zgodzi się na wcielenie do naszego oddziału dywersyjnego, formującego się na Lastadie... Co powiesz na to, sportsmenko? Masz szansę odkupić swoje winy i przysłużyć się ojczyźnie – zwrócił się do Grety, a w jego głosie wybrzmiała groźba.

„Oddział dywersyjny. Być może udałoby mi się ustalić, czy Thomas żyje, a jeśli tak, to gdzie teraz przebywa” – pomyślała dziewczyna. – „Ale w wypadku mojej śmierci on i Henrietta zostaną zupełnie sami” – uświadomiła sobie z bólem.

– Zgadza się, ale mam jedną prośbę. Moja sześciolatnia siostra ukrywa się sama w piwnicy na Zabelsdorfie. Muszę ją przenieść w bezpieczne miejsce – powiedziała.

Kapitan wskazał na jednego ze swoich żołnierzy.

– Przekażesz szeregowemu Paulsohnowi dokładny adres i wyślemy kogoś, jeśli znajdziemy czas i środki. Wy, panowie, dopilnujcie, żeby dziewczyna znalazła drogę do swojego oddziału. Rozejść się.

Greta już otwierała usta, by zaprotestować, jednak wyraz twarzy oficera sprawił, że głos uwiązał jej w gardle. Chwilę potem szła, prowadzona niemal pod rękę przez jednego z żołnierzy.

– Ech dziewczyno – powiedział. – Trzeba było uciekać, kiedy jeszcze mogłaś, teraz pozostaje ci jedynie modlić się o szybką śmierć.

* * *

26 kwietnia. Wojska sowieckie zajęły miasto. Oddział Greta ukrywał się w ruinach budynków na wyspie Lastadie, wyczekując sposobności do uderzenia. Nurkowie szykowali się do wysadzenia pozostałości po porcie, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi wywiezienie jakichkolwiek komponentów i maksymalnie utrudnić mu przejmowanie kontroli nad Stettinem.

Gretę wysyłano na misje zwiadowcze. Pod osłoną nocy sprawdzała poczynania Sowietów i wycofywała się, zwinnie i szybko, wiedząc, co ją czeka w wypadku niepowodzenia. Składała meldunek dowódcy i powracała, aż opadała z sił. Trwała wówczas na wpół czuwając, na wpół zapadając się we własnych myślach. Jak dotąd nigdzie nie natrafiła na ślad Thomasa. Pytała ludzi z oddziału, lecz zbywali ją wzruszeniem ramion.

Na Odrze pojawiły się prowizoryczne mosty postawione przez Sowietów, więc postanowiono je zniszczyć. Wieczorami natomiast podpalano niezniszczone jeszcze budynki. Przypominało to grę w podchody: członkowie oddziału rozdzielali się na mniejsze drużyny, wbiegali do pustych pomieszczeń albo wybijali jedynie szyby, po czym wrzucali do środka koktajle Mołotowa. Czasem ogień nie chciał się rozprzestrzeniać i wtedy trzeba było wejść, aby rozniecić go wewnątrz. W mieście wyłączono prąd, więc zwarcie instalacji nie wchodziło w grę. Po udanym sabotażu, podeksytowani, napompowani adrenaliną, wycofywali się

trójkami z powrotem do kryjówki. Wydawało im się, że świat do nich należy, bo wreszcie i im przypadło coś do powiedzenia w wielkim spektaklu rzezi, jakim była ta wojna. Kiedy czerwona łuna pożarów rozświetlała nocne niebo, oni świętowali. Tak musiało być. Miasto przecież należało do nich, a w ten sposób wypędzali z niego intruzów.

Po jakimś czasie pojawili się Polacy i objęli w swoje władanie budynek Rejencji. Kolejną misją stało się zniszczenie istotnej dokumentacji, by utrudnić nowym, samozwańczym włodarzom miasta przejęcie kontroli nad kolejnymi dzielnicami. Dzięki osobom znającym rozkład pomieszczeń w urzędzie bez problemu włamali się tam po zmroku. Wyrzucili papiery z szuflad i szaf, uformowali z nich stos, a następnie podpalili.

Początkowo Polacy byli zdezorientowani, lecz szybko sprzymierzyli się z Sowietami i zaczęli przeszukiwać miasto w poszukiwaniu grup dywersyjnych. Kolejna akcja nie poszła już tak gładko, jedna z grup dywersantów wpadła. Grecie i jednemu z chłopaków udało się uciec przez morze ruin na dawnym Altstadt. Za kryjówkę obrali sobie jedną z mniej zniszczonych kamienic. Wślizgnęli się przez wybite okna do piwnicy, usiedli przy ścianie, dysząc ciężko i patrzyli na siebie z przerażeniem. Gdy emocje opadły, usłyszeli jęczenie dobiegające z oddali. Greta podniosła się, jednak kolega ją powstrzymał.

– Nie wiesz, czy w okolicy nie kręcą się żołnierze. To może być podstęp – powiedział cicho.

Jęczenie nie ustało, wręcz przeciwnie, przemieniło się w rżenie konającego zwierzęcia. Greta rozpoznała ten dźwięk, ponieważ towarzyszył jej podczas każdej wizyty w majątku na wsi. Dzień przeszedł w noc i okolicę zalała ciemność.

– Idę – oznajmiła Greta. – Zanim to jęczenie doprowadzi mnie do szaleństwa.

Dźwięk najpewniej dochodził z pierwszego piętra. Dziewczyna powoli wspięła się po drewnianych, skrzypiących stopniach, lękliwie rozglądając się dookoła. Coraz wyraźniej słyszała

rzeżenie. Światło księżyca wpadło przez wybite okno na półpiętrze i oświetliło leżącą na posadzce postać. Jej twarz przypominała zdeformowane oblicza pacjentów zakładów zamkniętych, które Greta widziała na lekcjach biologii w szkole, tyle że nie był to wynik mutacji genetycznej, a rezultat długotrwałego bicia. Sińce i obrzęk nachodziły na siebie, niemal przysłaniając oczy. Lekka wiosenna sukienka była porozrywana, choć zachowała jeszcze fason. Greta dostrzegła odsłonięte i pokryte krwawymi otarciami uda.

Uklękła obok pobitej i delikatnie dotknęła jej twarzy. Dziewczyna syknęła z bólu. Dopiero teraz Greta zauważyła, że ułożono ją w pozycji à la pajacyk.

– Chodź, pomogę ci wstać i zabiorę cię stąd – szepnęła do dziewczyny.

Tamta jednak pokręciła głową.

– Nie czuję kończyn – powiedziała chrapliwym głosem.

Greta nie poddała się i próbowała ją posadzić, jednak ciało osunęło się bezwładnie na podłogę.

– Kto ci to zrobił? – zapytała, widząc głębokie rany i obtłuczenia na plecach.

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę. Po jej zdeformowanych policzkach spływały łzy.

– Najpierw było ich dwóch. Mojego ojca, inwalidę, wyrzucili przez okno, a mnie przywlekli tutaj. Następnego dnia przyprowadzili kilkunastu przyjaciół. Ja... nie wiem... w pewnym momencie straciłam przytomność z bólu, potem nie czułam nóg. Zdenerwowali się i zaczęli mnie okładać. Myślałam, że umrę. Potem wynieśli mnie tu i zostawili. Jeden z nich żartował, że przyniesie szczury, by mnie pożarły żywcem – powiedziała, robiąc przerwy, podczas których łapczywie łapała powietrze.

Greta zwiesiła głowę.

– Moja córka... – wycharczała dziewczyna. – Wzięli też moje dziecko. Widziałaś je może?

Podniosła się z kolan i sprawdziła mieszkania na piętrze. W jednym z nich znalazła obdarte z ubrań zwłoki małej dziewczynki. Skręcono jej kark. Ciało miała niemal równie zniszczone jak jej matka. Wróciła do dziewczyny i zastała swojego kompana pochylonego nad nią. W dłoni trzymał sznur.

– Zasługiwała na litość – powiedział krótko. – Chodź, musimy zaryzykować i spróbować wrócić do naszych.

Przebili się na Lastadie, jednak ich kryjówka została w międzyczasie wykryta i zniszczona. Zdecydowali się dołączyć do oddziałów zakonspirowanych w Eckerberger Wald^[3]. Przemykając pomiędzy mniej zniszczonymi zabudowaniami Neustadt, zobaczyli efekty ich działań – nocny krajobraz rozświetlały łuny pożarów. Polacy byli jednak również lepiej zorganizowani i niewielka grupa strażaków, przemieszczająca się po mieście ciężarówką, sprawnie docierała na miejsce pożogi.

Musieli uważać na patrolujące ulice mieszane, polsko-sowieckie patrole. Dopiero po dotarciu na Zabelsdorf, gdzie wciąż utrzymywał się prowizoryczny niemiecki zarząd miejski, mogli odetchnąć z ulgą. Owo rozprężenie szybko ustąpiło, gdy zdali sobie sprawę z ogromu zniszczeń, które nie oszczędziły również i robotniczych dzielnic miasta. W osmolonych, naznaczonych kulami kamienicach czynszowych ukrywali się nieliczni mieszkańcy Stettina, z niepokojem obserwując rozwój wydarzeń w gmachach przy Hakenterrasse lub, jak to teraz chcieli nazywać Polacy, Wałach Chrobrego.

– Rozdzielmy się – zaproponowała Greta, przystając nieopodal Heilandskirche^[4] i dawnej willi browarnika.

Jej towarzysz zawahał się.

– Jesteśmy wśród swoich, ale nie chciałbym zostawiać cię samej. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro – odpowiedział. – Poza tym w mieście brakuje żywności, a ludzie są zdolni do wielu niegodziwości, byleby tylko zabezpieczyć byt swój i rodziny.

– Wiem, wiem – potaknęła. – Zostawiłam tu kogoś i chciałam się upewnić, że u tej osoby wszystko w porządku – wyjaśniła.

Mężczyzna pomyślał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Pójdę z tobą. Dla bezpieczeństwa.

Ruszyli w stronę dworca kolejowego, gdzie rzekomo odbywały się regularne spotkania mieszkańców „niemieckiej dzielnicy” Stettina. W oknach dostrzegli białe płótna. Im szli dalej w głąb dzielnicy, tym większy był ruch: ludzie porządkowali ulice, dokonywali prowizorycznych napraw uszkodzonych budynków albo rozmawiali ze sobą. W niczym nie przypominało to opustoszałego centrum, przez które od czasu do czasu przejeżdżały ciężarówki z sowieckimi żołnierzami tudzież polskimi dygnitarzami. Greta zagadywała przechodniów, pytając ich o małą, jasnowłosą dziewczynkę. Kręcili głowami i kierowali ją do burmistrza Wiesnera.

Dotarli do prowizorycznej siedziby niemieckiego zarządu miasta. Wewnątrz kręciło się kilka osób, biurka pokrywały sterty dokumentów. Od razu wyczuła nerwową atmosferę, jednak ku zdziwieniu Greta, burmistrz przyjął ją osobiście.

– Mam dobrą pamięć do twarzy i jestem niemal pewny, że pani tutaj dotychczas nie widziałem – zagaił.

Greta uśmiechnęła się nerwowo. Nie chciała, żeby Wiesner, „komunista”, jak szeptali między sobą dywersanci, zaczął ją podejrzewać o przynależność do grupy sabotażystów.

– Dotychczas nie opuszczałam mieszkania z obawy o swoje bezpieczeństwo – odpowiedziała, opuszczając ze skromnością głowę. – Narzeczony przejął na siebie trud utrzymania mnie – dodała, wskazując na stojącego u jej boku kolegę.

Burmistrz uniósł brwi, lecz nie skomentował jej słów.

– Podobno szukasz kogoś – zmienił temat.

– Mojej młodszej siostry, Henrietty Borcke. Została zatrzymana wraz z moim bratem przez żandarmerię wojskową i ponoć odesłano ją właśnie tu, na Zabelsdorf – wyjaśniła Greta.

Wiesner pokręcił głową.

– Mój poprzednik nic mi w tej sprawie nie przekazał, zresztą wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, by żandarmeria

odsyłała gdziekolwiek kilkuletnie dzieci bez nadzoru. Musiano panią wprowadzić w błąd. Jediną sprawą, którą kojarzę, było odnalezienie przez ochotniczy patrol dziecka w piwnicy w porzuconym domu przy parku Quistorpa, ale to dziecko nie jest w stanie nawet podać swojego imienia – odpowiedział. – Obecnie opiekuje się nim stare małżeństwo piekarzy. O żadnych innych odnalezionych dzieciach nic mi nie wiadomo.

Greta poczuła, jak w jej gardle pojawia się niewidzialny supeł uniemożliwiający mówienie. Przez cały ten czas bała się, że Henrietta zginęła, porzucona gdzieś przez żandarmów albo została zamordowana przez Sowietów jak dziewczynka, której zwłoki znalazła w Altstadt. Chciała dopytać burmistrza o szczegóły, jednak poczuła zaciskającą się na jej ramieniu dłoń swojego towarzysza.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas, panie burmistrzu – powiedział mężczyzna.

Wiesner rozłożył ręce.

– Przepraszam, że nie mogłem wam służyć pomocą. W dzisiejszych czasach wszyscy szukają bliskich i nierzadko dają wiarę nieprawdziwym lub szkodliwym plotkom. Liczę na to, że uda wam się odnaleźć małą Henriette.

Pożegnali się krótko i mężczyzna wyprowadził Gretę z pokoju. Na ulicy dziewczyna z obrzydzeniem strąciła z siebie jego dłoń i odskoczyła niczym oparzona.

– Byłam tak blisko ustalenia, gdzie ona jest! – powiedziała podniesionym głosem.

– Tak, i wydania powodu, dla którego się rozdzieliliście. Nie mogłaś tego zrobić i dobrze o tym wiesz. Twoja siostra żyje i jest bezpieczna – odpowiedział mężczyzna.

Greta oddychała ciężko, niemal dając się ponieść narastającej w niej fali frustracji.

– Tak i nie mówi! – syknęła przez zęby. – Kto wie, co jej się przytrafiło?

– I co na to poradzisz, he? – zapytał jej kompan, nachylając się w stronę dziewczyny. – Znajdziesz piekarza, sterroryzujesz go, zabierzesz siostrę i co dalej? Pójdiesz z nią do lasu? Przekroczysz sama granice miasta, przebijesz się przez grupy maruderów i bandytów? I kto cię przyjmie? Masz rodzinę, wiesz, dokąd pójść? – zasypywał ją pytaniami.

Greta milczała. Rodzice powierzyli jej jedno zadanie: utrzymać rodzeństwo razem i czekać na powrót ojca lub najstarszego brata z frontu. Tak też trwała, nie zastanawiając się nad kolejnymi krokami, unikając myślenia nad planem awaryjnym. Nie miała żadnych szczególnie przydatnych umiejętności ani też wykształcenia, sama przecież była jeszcze pod wieloma względami dzieckiem. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła płakać. W pewnym momencie niemoc i świadomość własnych ograniczeń uderzyły w nią z niespodziewaną mocą. Wtem poczuła, jak otacza ją i przyciąga do siebie ramię towarzysza boju.

– Przynajmniej jeszcze żyjemy – pocieszył ją.

Kontynuowali wędrówkę przez miasto. Nie znali dokładnego położenia kryjówek dywersantów, więc włączyli się bezcelowo przez kilka godzin po lesie. Doszli do ruin wieży Quistorpa i dla bezpieczeństwa zeszli do znajdującego się w pobliżu podziemnego korytarza, gdzie spędzili noc. Obudziły ich kopniaki w brzuch i w nogi. Sowietci wywlekli ich na zewnątrz i zaczęli prowadzić przed siebie. Szli przez kilkanaście minut, aż dotarli do płytkiego jaru. Ustawili towarzysza Greta nad jego skrajem, zabili go strzałem w tył głowy i zrzucili w dół. Podprowadzili dziewczynę i kazali jej spojrzeć na zawartość jaru. Leżało tam kilkanaście jeszcze świeżych ciał, w większości młodzieńców, wybrudzonych ziemią.

Następnie odciągnęli ją kawałek dalej i brutalnie popchnęli na ziemię. Wiedząc, co zaraz nastąpi, Greta zaczęła się wiercić i miotać, jednak jeden z Sowietów przytrzymał jej ręce, podczas gdy jego koledzy zdarli z dziewczyny spodnie. Odwróciła twarz, byle tylko nie patrzeć na oblicze swojego oprawcy, czym wywołała

złośliwy śmiech wśród żołnierzy. Chwilę później syknęła z bólu, kiedy pierwszy napastnik wdarł się do jej wnętrza. Sapał i mruczał nad uchem dziewczyny, jego ręce zaciskały się na jej drobnych piersiach. Szybko skończył i jego miejsce zastąpił kolejny, pachnący wódką żołdak. Polizął Gretę po szyi i ugryzł, nieprzyjemny materiał spodni mężczyzny ocierał jej uda. Trwało to dość długo i jego kompani poganiali go, toteż przyspieszył, przygważdżając dziewczynę boleśnie do ziemi. Przy kolejnej zmianie usadzili ją na czworaka i brali niczym sukę. Pomysł najwyraźniej przypadł im do gustu, zatem modyfikowali go dalej – jeden z Sowietów podszedł od przodu i wepchnął jej w usta cuchnące moczem prącie. Z każdym kolejnym „partnerem” Greta słabła, aż w końcu nie była w stanie utrzymać się na kolanach, więc z powrotem przewrócili ją na plecy, potem na brzuch. Jęk dziewczyny przerodził się w sporadyczne kwilenie w wypadku, gdy napastnicy stosowali nowe „urozmaicenie”.

Słońce znajdowało się już wysoko na niebie, kiedy wreszcie z nią skończyli i zepchnęli ją do wypełnionego ciałami jaru. Wymierzili jeszcze kontrolną serię z karabinu, lecz Greta cudem uniknęła zranienia. Znajdowała się na skraju wyczerpania, jej ciało było otępiałe z bólu. Bezradnie wodziła wzrokiem po leżących w dole, martwych dywersantach i rozpoznała wiele znajomych twarzy. Straciła przytomność. Obudziła się ponownie pod wieczór. Na czworaka brodziła w zbiorowej mogile, szukając ciała Thomasa, jednak nie znalazła go. Wzięła to za dobry znak, wyczołgała się z jaru i cofnęła się na Zabelsdorf. Po drodze natrafiła na sowiecki patrol. Żołnierze patrzyli na nią przez chwilę, po czym także zgwałcili i porzucili na pobliskiej szosie. Słaniając się na nogach, Greta doszła do pierwszych zabudowań nieopodal zajezdni i padła na ulicę.

* * *

Usłyszała świergot ptaków i poczuła łagodny wiatr muskający jej policzek. Staruszka pomogła dziewczynie usiąść i wlała jej do ust łyżkę rozwodnionej zupy. Greta zezowała na znajdujący się

obok łóżka stos zaplamionych krwią szmatek i zwymiotowała. Staruszka wytarła jej brodę i przyniosła świeżą pościel.

– Dziękuję – powiedziała Greta chrapliwym głosem.

Podbiegła do niej mała, może dwunastoletnia dziewczynka. Jej twarz pokryta była sińcami, na rękach widniały czerwone otarcia. Podąła Grecie wyschnięty kawałek chleba, który dziewczyna przyjęła z wdzięcznością.

– Nas też to nie ominęło – skwitowała staruszka.

Greta spojrzała zszokowana na swoje gospodynie, lecz wskazówki na ich ciałach były jednoznaczne. Wtedy powróciły do niej wspomnienia poprzedniego dnia, obrzydliwe charczenie w uchu i smród, odór niemytych ciał, zmieszany z potem. Miała ochotę rozdrapać sobie skórę aż do gołego mięsa, byleby tylko wyzbyć się pamięci niechcianego dotyku, lecz wtedy przypomniało jej się, że dotarli też w głąb niej, skazili ją od środka.

Staruszka wyszła z pomieszczenia i po chwili wróciła, niosąc metalowy kubek z dymiącym naparem.

– Wypij to. Nie uchroni cię to przed chorobami, ale może zapobiec potencjalnemu poczęciu – poleciła.

Greta poczuła, jak kręci jej się w głowie. Dopiero teraz dotarło do niej, że pamiątka po tym zajściu może przybrać bardziej dotkliwą i trwałą formę – niechcianego życia. Skwapliwie wypija napar, nie bacząc na jego temperaturę. Chciała wstać z łóżka i pomóc swojej dobrodziejce, lecz staruszka powstrzymała ją gestem.

– Nic mi po tobie, dopóki nie nabierzesz sił. Zresztą, wychodząc na zewnątrz, narazisz się na ataki – rzekła gospodyni.

Mijały dni. Pomimo skromnych posiłków Greta powoli wracała do zdrowia. Spędzała czas, grając w gry z małą Christine i wykonując mniej obciążające prace domowe. Nastął lipiec, Polacy po raz drugi wycofali się z miasta, a kontrolę nad Stettinem przejął niemiecki burmistrz. Od czerwca dawni mieszkańcy z powrotem przybywali barkami na nabrzeże Odry. Wielu z nich, odkrywszy, że ich domy zostały zniszczone,

koczowało w dawnym gmachu rejencji. W dzielnicy niemieckiej na nowo tętniło życie, ludzie za dnia chętniej wychodzili na ulice, angażowali się w prace porządkowe.

Greta zapisała się do pracy przy odgruzowywaniu miasta. Staruszka pozwoliła jej zostać, a dziewczyna w zamian dostarczała żywność i trochę niemieckich marek, które udawało jej się zdobyć na drodze handlu wymiennego. Chodziła w luźnych, wielokrotnie łatanych ubraniach, na głowie zawiązywała staromodną chustkę, usiłując nie zwracać na siebie uwagi, lecz i tak żołnierze na nią gwizdali, a czasami rzucali także niewybredne uwagi. Dopóki znajdowała się w grupie, zagrożenie było nieco mniejsze, lecz pozory bezpieczeństwa potrafiły zwieść – jedną ze swoich towarzyszek znalazła skatowaną w ruinach dawnego hotelu, obok którego pracowały. Doskwierał jej głód. Do zadań Sowietów należało wyżywienie pozostałej w mieście niemieckiej ludności cywilnej, lecz racje były skąpe, a Greta musiała się nimi dzielić. Przez pusty żołądek wolniej pracowała, a jej współtowarzysze patrzyli na nią spode łba. Dlatego kiedy sowiecki podoficer zaproponował dziewczynie tuszonkę w zamian za przysługę, zgodziła się bez wahania. Poszła z nim na tył kamienicy i pozwoliła się wziąć. Następnego dnia stawka się podwoiła, lecz musiała odegrać narzuconą przez żołnierza „grę”. Dwa dni potem podoficer przyprowadził znajomego, wyżej postawionego od siebie i zabawa przeciągnęła się niemal do zmroku, jednak Greta dostała jedzenie, papierosy i trochę wódki oraz propozycję: zamiast pracy przy odgruzowywaniu będzie dotrzymywać towarzystwa grupce „kompanów”. Tym razem odmówiła. Zaciągnęli ją siłą do opuszczonego budynku, tam zgwałcili i zostawili, wymierzywszy uprzednio kilka kopniaków w twarz i brzuch.

Greta nie wróciła do pracy przy odgruzowywaniu, zamiast tego zatrudniła się jako gospodyni u polskiego urzędnika. Mężczyzna bał się ściągać rodzinę z głębi kraju, a sam nie potrafił wykonać choćby najprostszych prac domowych. Zatem Niemka

przygotowywała posiłki, z wyjątkiem obiadu, ponieważ na ten chodził do jednej z polskich stołówek, naprawiała ubrania i dbała o czystość w domu. Zapłata była niewielka, ponieważ w mieście dalej brakowało wystarczającej dla wszystkich ilości żywności, ale mężczyzna odnosił się do niej życzliwie. Pochodził z Poznania i dobrze znał język niemiecki, czasem opowiadał Grecie o wakacjach spędzonych w Swinemünde i innych miejscowościach nadmorskich. Często do późna przebywał w urzędzie albo przynosił pracę do domu. W niczym nie przypominał obrazu Polaka wykreowanego przez hitlerowską propagandę. Dziewczyna dostrzegła w nim skrupulatność i zaangażowanie, jakie widziała również u swoich rodaków.

W tym samym czasie Greta rozwinęła w sobie nowy nawyk: nad ranem, gdy miasto dopiero budziło się do życia, wychodziła z mieszkania przy alei Piastów, omijała gruzowisko i kierowała się w stronę Zabelsdorfu, krążąc nieopodal kamienicy, w której rzekomo mieszkała rodzina piekarza. Wpatrywała się w okna, licząc na to, że któregoś dnia zauważy bladą twarz młodszej siostry przylepioną do szyby w dziecięcym zamyśleniu. Niestety za każdym razem, gdy przechodziła obok budynku, jego mieszkańcy zdawali się być jeszcze pogrążeni we śnie. Rozczarowana, wpychała dłonie w kieszenie skromnej sukienki i wędrowała z powrotem w okolice centrum.

Pewnego dnia, na początku września, wracając, minęła ciężarówkę wypełnioną młodymi kobietami oraz nielicznymi chłopakami. Gdzieś mignęła jej znajoma twarz, lecz transport jechał zbyt szybko, by mogła odpowiednio zareagować. Popędziła do mieszkania swojej dawnej wybawicielki i wypytała ją o poranne wydarzenie.

– Podobno część wywożą w głąb Niemiec, a część kierują do obozów pracy. Jeśli widziałaś młodych, zapewne jechali w to drugie miejsce, ponieważ z miasta pozbywają się najchętniej starców i dzieci – odpowiedziała staruszka, rozwieszając pranie.

– Wiadomo, gdzie dokładnie ich wywożą? – dopytywała Greta.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– To ty mieszkasz u Polaka, więc dlaczego go nie zapytasz? Na pewno wie lepiej od nas.

Dla Greta sprawa nie była tak prosta. Nigdy nie poruszała ze swoim chlebodawcą kwestii przesiedleń ani tym bardziej polityki władz miasta w stosunku do ludności niemieckiej. Mężczyzna zresztą wykazywał dalece posuniętą ostrożność i nigdy nie opowiadał o swojej pracy. Przez cały wieczór biła się z myślą, czy podjąć temat transportu. Dopiero gdy gospodarz szykował się do snu, zagaiła:

– Widziałam dzisiaj transport z młodymi ludźmi kierujący się, jeśli się nie mylę, w okolice dworca na Zabelsdorfie.

Mężczyzna uniósł brwi.

– To całkiem możliwe. Zgodnie z umową zawartą przez nasz rząd z Anglikami jesteśmy zobowiązani organizować transporty przesiedleńców, które następnie są rozmieszczane wewnątrz ich strefy – odparł wymijająco.

Greta sposepniała. Chciała zrezygnować z dalszego dociekania, gdy Polak po chwili dodał:

– Czyżbyś miała do mnie konkretne pytanie, Greto?

Dziewczyna westchnęła w duchu. Jakaś część jej nakazywała oczekiwać najgorszego po napotykanym przez siebie ludziach, toteż przejawy zainteresowania tudzież dobroci wywoływały w niej wzruszenie.

– Mógł się tam znajdować mój krewny, jednak nie mam co do tego pewności. Czy jest sposób, by sprawdzić nazwiska na liście przesiedlanych danego dnia? – wyrzuciła z siebie.

Twarz mężczyzny spoważniała.

– Nie wiedziałem, że masz w mieście rodzinę – rzekł, a w jego głosie pojawiła się surowa nuta. – Przecież rodzin nie należy rozdzielać.

Do oczu Greta napłynęły łzy.

– Nie... nie sądziłam, że żyje – odpowiedziała.

– Przepraszam – wymamrotał mężczyzna, zakłopotany reakcją Niemki. – Nie zamierzałem zasugerować, że celowo wprowadziłaś mnie w błąd. Jeśli chcesz, mogę poprosić swojego znajomego, który pracuje na dworcu Stettin-Scheune, o sprawdzenie, czy nazwisko twojego krewnego figuruje gdzieś w rejestrach – zaproponował.

– Tak, poproszę – powiedziała Greta, opanowując wzruszenie.

Nazajutrz, tuż po pracy, mężczyzna wezwał ją do siebie. Jesień była ciepła, więc okna w pokoju otworzono na oścież. Urzędnik wpatrywał się w jakiś oddalony o wiele metrów punkt, jego twarz zastygła w skupieniu. Dopiero gdy Greta zamknęła z cichym trzaśnięciem drzwi, drgnął.

– Twój brat został skierowany do obozu pracy – powiedział.

Dziewczyna przyjęła tę wiadomość ze spokojem.

– Czy wiadomo, do którego? – zapytała.

– Według mojego znajomego do placówki w Potulicach – odparł, i widząc, że nazwa niewiele Grecie mówi, dorzucił: – Okręg Pomorze.

Dziewczyna skinęła głową.

– Jak się mogę do niego dostać?

Mężczyzna parsknął śmiechem, choć widać było, że ta sytuacja bardziej go przeraża, aniżeli bawi.

– Możesz zostać do niego skierowana. Nie otrzymasz przecież dokumentów zezwalających na poruszanie się po terytorium Polski – wyjaśnił.

Greta zmarszczyła czoło.

– Zatem muszę się tam zgłosić – odpowiedziała stanowczo.

Mężczyzna zerwał się, położył ręce na ramionach Niemki i delikatnie nią potrząsnął.

– Nie. Widziałem, co się dzieje z tymi transportami. Możesz nie dojechać tam żywa. Musisz zostać w mieście, dopóki sytuacja się nie uspokoi, dopóki nie rozgromimy band napadających na pociągi – powiedział.

Greta chciała zaprotestować, lecz znów wróciło do niej wspomnienie tamtego dnia w lesie. „Ta rzecz ci się przytrafiła, ponieważ nie uważałaś, ponieważ byłaś głupia i niedoświadczona. Czy niczego cię to nie nauczyło?” – usłyszała głos w swojej głowie. Następnego dnia była już w drodze do punktu meldunkowego, zdeterminowana, by na nowo zjednoczyć rodzinę, jednak z każdym krokiem coraz bardziej opuszczała ją odwaga. Zawróciła w ostatniej chwili, zanim ktoś jej zadał niewygodne pytanie, po co tu w ogóle przybyła. Nie potrafiła być bohaterką. Nie potrafiła ponownie wystawić się na niebezpieczeństwo. Tego dnia poczuła pierwszy przyływ silnego bólu w podbrzuszu. I ponownie zaczęła ćwiczyć.

* * *

Na początku listopada pracodawca oznajmił Grecie, że z końcem miesiąca zamierza ściągnąć swoją rodzinę do Szczecina, w związku z czym usługi dziewczyny nie były dłużej potrzebne.

– Moja żona uparła się, by zabrać ze sobą swoją matkę, która będzie jej pomagać w prowadzeniu domu i opiece nad dziećmi – tłumaczył mężczyzna. Unikał nawiązywania kontaktu wzrokowego z Niemką. – Wybacz, nie sądziłem, że zdecydują się przenieść przed Nowym Rokiem.

Dziewczyna dostrzegła jego zakłopotanie. Dla urzędnika oznaczało to również zmianę dotychczasowego trybu życia z wygodnej, skoncentrowanej na sobie i pracy egzystencji kawalera na odpowiedzialną dolę znerwicowanego ojca, usiłującego znaleźć dla siebie przestrzeń w domu wypełnionym ludźmi.

„Drogo okupiłam swoją wolność” – pomyślała Greta. – „Jednak, w ostatecznym rozrachunku, jestem jedynie odpowiedzialna za siebie, nie dźwigam ciężaru utrzymywania zależnych ode mnie osób”. Wspominała zdesperowane matki z dziećmi na rękach uciekające już na pieszo w ostatnich dniach przed upadkiem Stettina, błagania tych, które pozostały w mieście, o większe przydziały żywności. Płacz rodziców nad zmarłym w trakcie

epidemii tyfusu potomstwem, bezczynne oczekiwanie i demoralizację uchodźców koczujących na Wałach Chrobrego.

Zadrzała, uświadomiwszy sobie, że tak również mogłyby wyglądać wspomnienia jej rodzeństwa, gdyby zdołali zostać razem. „Kim by się stali, będąc świadkami całkowitego, zwierzęcego wręcz upodlenia?” – myślała. Ostatnio udzielił się jej dziwny nastrój. Czuła, jakby ktoś sprowadził ją brutalnie na ziemię. Nie pamiętała, od czego to się zaczęło, lecz dopiero teraz zrozumiała, że jej plan był od samego początku niemożliwy do wykonania. „Skazałabym nas wszystkich na nędzę, a osobno mamy szansę prowadzić w przyszłości pełne, wartościowe życia” – przekonywała samą siebie. I tylko czasem, gdzieś w głębi serca, czuła drobne ukłucie żalu, gdy obserwowała dzieci maszerujące do pierwszych polskich szkół w mieście, rodzeństwo trzymające się za ręce.

– Zacznę sobie szukać innego zajęcia – odpowiedziała po dłuższym milczeniu urzędnikowi.

Mężczyzna przytaknął, jednak w jego spojrzeniu dostrzegła smutek. Stworzyli dobrany duet, nie wchodzili sobie niepotrzebnie w paradę ani nie zmuszali się do zwierzeń. Akceptowali przeszłość drugiej osoby taką, jaka była, nie roszcząc sobie pretensji do osądzania żadnej ze stron.

– Gdyby wszyscy zachowywali się podobnie do nas, na świecie tak zuchwale nie panoszyłyby się nieszczęścia – żartowała czasem Greta.

Żałowała, że musi opuścić mieszkanie przy Barnimstrasse, bardziej niż potrafiła się do tego przyznać.

– Jeśli ktoś w moim otoczeniu zacznie poszukiwać pomocy domowej, to cię zarekomenduję, ale tylko w wypadku, gdy będę miał pewność, że jest to osoba uczciwa – zapewnił ją urzędnik.

Greta wyszła na spacer. Początkowo chciała odwiedzić rodzinne kwatery na cmentarzu komunalnym, jednak stopy intuicyjnie zawiodły ją w głąb Zabelsdorfu, pod kamienicę, w której mieszkał piekarz. Serce tłukło się w jej piersi niczym oszalałe, ale

dziewczyna nie zwolniła tempa. Wbiegła po schodach, była przekonana, że rzemieślnik mieszkał pod numerem piątym. Zdecydowanym ruchem zapukała do drzwi. Odpowiedziała jej cisza.

Usłyszała skrzypnięcie na parterze. Ktoś mozolił się na górę, po schodach.

– Pani do piekarza? – zapytał starzec o łagodnej twarzy. Greta potwierdziła. – Nie ma go, dziecko, wyjechał z rodziną. Do Essen.

– A dziewczynka, która z nimi mieszkała? – dopytywała.

– Nie mieli serca jej zostawić. Pojechała z nimi – odparł staruszek. – A pani jest...?

Greta otrząsnęła się z zamyślenia.

– Daleką krewną – zełgała.

Staruszek rozłożył ręce.

– Ach, cóż, takie mamy czasy, że rodziny się rozdzielają i jedno o drugim nic nie wie! Cóż poradzić? – Westchnął.

Wróciła do domu z ciężkim sercem. Zamknęła się w swoim pokoju i niemal nie usłyszała pukania do drzwi.

– Greto, mam dobrą wiadomość. – Dobięgl do niej podekscytowany głos chlebodawcy. – Udało mi się znaleźć dla ciebie odpowiednie zajęcie!

Dziewczyna otarła zbierające się w kącikach oczu łzy i podeszła do drzwi, jednak zamiast otworzyć je, oparła się plecami o wytartą futrynę. Nie miało już dla niej znaczenia, czy zostanie w Stettinie, czy też natychmiast wyruszy w tułaczkę.

* * *

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła pana Palińskiego, z ledwością stłumiła w sobie krzyk przerażenia. Wysoki, dawniej zapewne postawny mężczyzna przypominał jej egipską mumię, którą niegdyś widziała na wystawie w Berlinie. Głęboko osadzone oczy o łagodnych, niebieskich tęczęwkach lśniły na podobieństwo światła latarni w zapadniętej, wymizerowanej twarzy. Nie miał w sobie nic z poczucia wyższości, tak charakterystycznego dla przedstawicieli inteligencji, wręcz przeciwnie, coś w jego

spojrzeniu podpowiadało jej, że to człowiek całkowicie złamany. Mówił cicho, a jego głos był głęboki i przyjemny, mogła go słuchać godzinami, choć jeszcze mało rozumiała po polsku.

Już na samym początku odkryła wytatuowany na przedramieniu mężczyzny numer. Ten widok wprawił Gretę w zakłopotanie. Owszem, słyszała o rzekomo zbudowanych przez jej pobratymców fabrykach śmierci, o zbrodniach, jakich się w nich dopuszczali, jednak zakładała, że były to jedynie frontowe plotki, rodzaj kłamstwa rozpuszczanego przez aliantów, by zasiać zwątpienie wśród Niemców. Żeby nie ośmielili się narzekać na własną, powojenną tułaczkę. Teraz miała przed sobą namacalny dowód, że to wydarzyło się naprawdę. Poczwała ogarniający ją wstyd. Jak wiele rzeczy jej umknęło w walce o przetrwanie z dnia na dzień, a także wcześniej, gdy życie pozornie toczyło się utartym torem, a rodzice przebywali jeszcze w domu? Czy tak naprawdę nie zdradzili jej, odgradzając ją szerokim murem od prawdy? Czy w rzeczywistości przez cały ten czas nie oczekiwała na powrót morderców i zdrajców, zaś sama na koniec dodała kilka gestów od siebie, walcząc za sprawę, która od samego początku była spaczona? I wreszcie, czy po tym wszystkim miała prawo prosić, by ktokolwiek chciał wysłuchać jej skargi i pomóc na nowo połączyć się z rodziną?

* * *

SZCZECIN, MARZEC 1949 R.

Greta umilkła. Opuściła głowę i utkwiała wzrok w swoich dłoniach.

– Teraz już widzisz, że nie jestem nikim niezwykłym ani zasługującym na twoją uwagę – rzekła po chwili, a w jej głosie wybrzmiało rozgoryczenie.

Marianna położyła swoją rękę na dłoni Niemki i łagodnie ścisnęła.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała łagodnym tonem. – W moich oczach nic się nie zmieniło, jedynie pewne rzeczy nareszcie zaczęły mieć sens.

Niemka potrząsnęła energicznie głową.

– Wprowadziłam cię w błąd, udając silniejszą i lepszą. Tak naprawdę nie jestem już nikim, moje imię można wymazać i zastąpić jakimkolwiek innym, moją narodowość wyrugować i zastąpić polską, sowiecką... To niczego nie zmieni, bo tu – pokazała klatkę piersiową – tu jest już pusto. Cokolwiek się ostało z dawnej Greta, runęło tamtego dnia, gdy dowiedziałam się, że nigdy już nie zobaczę swojej siostry. Rzeczy, których się dopuściłam w imię odzyskania rodziny, którym pozwoliłam się wydarzyć, były jedynie wymówką, pokazem udawanej siły tam, gdzie istniała tylko słabość. Ukryłam się za sprawą, za patriotyzmem, by zamaskować brak siły płynący z własnej dumy. Gdybym ją przełknęła, gdybym się ugięła... być może miałabym jeszcze rodzeństwo.

Greta zwróciła spojrzenie w stronę lekarki i Marianna rozpoznała w nim stan, który często widywała w obozie, tę jałową rozpacz, jaką niektórzy rozwijają w sobie po zrozumieniu, że ich dotychczasowa egzystencja dobiegła końca. Nie była to wbrew pozorom żałoba po straconych krewnych, honorze, tudzież zdrowiu, a raczej gorzka refleksja nad słabością, niemożność obrony swojego wizerunku we własnych oczach. „Ten moment, gdy bohaterskie „ja”, żyjące dotychczas w wyobraźni, brutalnie ściera się z ograniczeniami wynikającymi z urodzenia, tradycji i indywidualnego usposobienia. Mało kto wychodzi z niego obronną ręką” – pomyślała Marianna i uzmysłowiła sobie coś jeszcze. Wszystkie znane jej osoby, które poddały się temu stanowi ducha, najczęściej odchodziły w przeciągu następnych tygodni. Traciły wolę życia. W obozie nie potrafiła nikomu pomóc, ponieważ często sama nie dostrzegała sensu dalszego trwania, lecz teraz nie mogła się poddać.

– Nie wszystko jeszcze stracone – odparła po dłuższym milczeniu. – Pomogę ci odzyskać rodzeństwo albo przynajmniej poznać ich dalsze losy, jednak i ty musisz zrobić coś dla mnie.

Greta zmrużyła oczy.

– Dlaczego po wszystkim, co ci wyznałam, dalej chcesz mi pomagać? – zapytała, choć w jej głosie pobrzmiwała nieśmiała nadzieja.

Marianna uśmiechnęła się, tym razem bez cienia przymusu.

– Jestem od ciebie trochę starsza, więc to pewnie zabrzmie nieco naiwnie, jeśli nie arogancko, ale... sama straciłam rodzinę. Też nie mogłam nic dla niej zrobić i w pewnym sensie ty i stryj jesteście teraz wszystkim, co mam. Dlatego – wyjaśniła. Nie dopowiedziała, że sama znajdowała się w równie mrocznym miejscu co Greta, że uważa swoje życie za bezcelowe, a w tym pozornie szaleńczym planie upatruje nadziei na odzyskanie sensu dalszego istnienia.

– Jak tego dokonamy? I co mam dla ciebie zrobić? – spytała Niemka.

– Musisz wyzdrowieć. A co do drugiego, to mam kilka pomysłów. I żaden z nich nie jest legalny – odrzekła Marianna. – Rozumiesz?

Wyciągnęła dłoń. Niemka uścisnęła ją bez wahania. Na jej twarzy przez chwilę malował się spokój.

* * *

Marianna znajdowała się w stanie najwyższego wzburzenia. Od kilku dni bezskutecznie usiłowała znaleźć lekarza specjalizującego się w chorobach wenerycznych, by móc zasięgnąć porady w kwestii dalszego leczenia Greta. Niestety, niemieccy doktorzy, których dyskrecji mogłaby zaufać, opuścili miasto, zaś Polacy byli rozproszeni i przepracowani. Brak komunikacji miejskiej sprawiał, że niejednokrotnie pokonywali znaczące dystanse w drodze do pacjentów, a panoszący się w mieście maruderzy i szabrownicy dodatkowo czynili ich pracę niebezpieczną. Ilekroć słyszała o kimkolwiek dobre słowo, okazywało się, że dana osoba opuściła miasto w poszukiwaniu spokojniejszej egzystencji w mniejszych aglomeracjach albo rezygnowała z wizyt domowych.

Co prawda, stan Greta ustabilizował się i dziewczyna wróciła do swoich obowiązków, jednak Marianna przeczuwała, że

towarzyszający Niemce ból nie osłabł, a choroba wchodziła w nowe, niebezpieczne stadium. Parła więc przed siebie, powłócząc obolałą nogą, kierując swoje kroki do dawnej Frauenklinik, a obecnie jednego z pierwszych szpitali w mieście. „To ironiczne, że klinika wybudowana po to, by zatroszczyć się o kobiety i ich nowonarodzone dzieci, obecnie stała się Wojskowym Szpitalem Garnizonowym i służy zgoła innej grupie, niż pierwotnie zakładano” – pomyślała Marianna. – „I zarazem pokazuje, co jest priorytetem dla obecnej władzy”. Nie miała zaufania do państwowej służby zdrowia, obawiała się, by ktoś nie doniósł na jej stryja przedstawicielom nowego porządku, który powoli, acz nieubłaganie pokazywał swoje prawdziwe oblicze. Postawa pana Palińskiego utwierdziła jednak młodą lekarzkę w przekonaniu, że postępuje słusznie. „Pamiętaj, moja droga – nie jesteśmy tacy jak oni. Nie kierujemy się nienawiścią, nie pozwalamy, by zaślepiła nas wiara czy ideologia. Ty masz swoje posłannictwo w życiu, a ja swoje, lecz nasze fundamenty pozostają wspólne: oboje służymy ludziom”.

Rozdrażniona Marianna, powtarzając w myślach ułożoną naprędce historyjkę, a także możliwą argumentację, nawet nie zauważyła opuszczającego budynek szpitala Jeana-Pierre’a. Francuz pomachał jej ręką, po czym podbiegł do niej.

– Pani zaniemogła? – zapytał zaniepokojony.

Lekarka ocknęła się z zadumy.

– Ach, to pan – mruknęła pod nosem. Nie była w nastroju do rozmowy. – Ależ nie, zwyczajnie muszę skonsultować pewien przypadek z kimś bardziej doświadczonym ode mnie.

Twarz Francuza rozpromieniła się.

– Zatem wróciła pani do leczenia? – Chciał się upewnić.

W obejściu mężczyzny było coś, co podpowiadało Mariannie, że powinna wyznać mu prawdę, lecz rozsądek nakazywał ugryźć się w język. „Wobec Duchlińskiego też wykazałam dziecięcą wręcz ufność i dokąd mnie to zaprowadziło?” – pomyślała.

– W ograniczonym zakresie, ale tak, istotnie, powróciłam do nabywania praktyki w leczeniu – odparła na głos. – A pana sprowadza tu zdrowie czy obowiązki? – zapytała, uświadamiając sobie, że nie ma pojęcia, dlaczego Jean-Pierre jeszcze przebywa w Polsce.

– Zdecydowanie obowiązki – odpowiedział. – Nie chorowałem od co najmniej dziesięciu lat, podejrzewam natomiast, że stan moich zębów pozostawia wiele do życzenia, dlatego chwilowo unikam wizyty u dentysty.

Marianna z trudem przywołała na twarz uśmiech, lecz jej wzrok nerwowo wędrował w stronę bramy szpitala. Obecność Jeana-Pierre'a wprawiała ją w zakłopotanie. Szczęśliwie mężczyzna zerknął na zegarek i powiedział:

– Bardzo chętnie bym z panią dłużej porozmawiał, ale obawiam się, że muszę wracać do swoich obowiązków. Może jednak mógłbym panią odwiedzić, tak powiedzmy, około piątej?

– Oczywiście, będzie mi bardzo miło – odpowiedziała z wyuczoną, mechaniczną uprzejmością. Mężczyzna skinął głową i oddalił się, a Marianna niemal natychmiast zapomniała o ich spotkaniu. Weszła na izbę przyjęć i zastała sytuację niemal bliźniaczą do tej znanej jej z Gdańska: szczątkowy personel usiłował sobie poradzić z ogromną liczbą oczekujących na pomoc pacjentów. I podobnie jak tam przychodzili z różnorakimi dolegliwościami: od złamań, stłuczeń, ran po pobiciach, przez osoby o pobladłych, anemicznych obliczach, po dziewczęta szlochające cicho w ramiona matek lub rozglądające się nieśmiało dookoła, jakby wszyscy znali ich sekret. Czekala kilka godzin, zanim wreszcie przyjął ją łysiejący medyk o przyjemnym obliczu.

– Gwałt? Niechciana ciąża? Kalectwo? – zapytał na wstępie.

– Żadne, a przynajmniej nie u mnie – odparła Marianna. Lekarz uniósł brwi. – Mam siostrę... – kontynuowała – której coś podobnego się przytrafiło. I w wyniku tego choroba...

Opowiedziała pokrótce historię Grety, skrzętnie omijając szczegóły, które mogły zdradzić jej narodowość. Opisała objawy

i dotychczasowy przebieg choroby, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Lekarz nie spuszczał z Marianny wzroku, a gdy umilkła, powiedział:

– Pani studiowała medycynę. Gdzie?

– Lwów – odparła. – Ale nie zdążyłam zdobyć zbyt wiele doświadczenia.

Skinął głową.

– Mogłem się domyśleć po akcencie. Dobrze. – Westchnął ciężko.

– Mam kilka pomysłów, ale musiałbym najpierw zbadać pani siostrę, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Rozumiem, że przyrowadzenie jej tutaj nie wchodzi w grę?

– Mieszkam niedaleko, ale... – Marianna zawahała się. A jeśli ktoś rozpozna Gretę albo jeśli Niemka odmówi opuszczenia willi?

Lekarz zdawał się rozumieć jej wątpliwości, ponieważ dodał:

– Niech pani zostawi swój adres, a ja postaram się zajrzeć do was po dyżurze. Niczego nie obiecuję, może być ktoś bardziej potrzebujący.

Marianna wróciła do domu w nieco lepszym nastroju jedynie po to, by znaleźć Gretę siedzącą na schodach, opartą o ścianę. Klatka piersiowa dziewczyny unosiła się powoli i gwałtownie opadała, twarz była czerwona, zlane potem. Lekarka pomogła jej wstać i zaprowadziła ją ponownie do swojej sypialni, sama zaś zamierzała zasiąść do listów, lecz przeszkodziło jej pukanie do drzwi. Przyszedł Jean-Pierre.

* * *

W następnych latach Marianna miała wielokrotnie wracać do tamtego popołudnia, analizując i rozbijając na części zachowanie Francuza, by w ostateczności nigdy nie odnaleźć odpowiedzi na nękające ją pytania. Zbliżał się marzec, zatem w domu było już dość ciemno, a na ścianach tańczyły długie cienie rzucane przez sylwetki domowników. Choć w mieście od dłuższego czasu był prąd, lekarka unikała zapalania lamp, ponieważ odzwyczaiła się od ich surowego, ostrego światła. Zamiast tego willę rozświetlały grube świece i lampy naftowe, a w salonie ogień wesoło trząskał

w kominku, czyniąc zimne, wypełnione ciężkimi, rzeźbionymi w drewnie meblami pomieszczenie bardziej przytulnym. Pan Paliński zaczął niedawno zrywać tapety, odsłaniając znajdującą się pod nimi warstwę regionalnych gazet. Dzięki temu wieczorami Marianna mogła odczytywać nagłówki starych artykułów z „Pommersche Zeitung”, pamiętających jeszcze czasy Republiki Weimarskiej. Teraz, wprowadzając Jeana-Pierre’a do salonu, czuła wstyd z powodu odrapanych ścian. Zastanawiała się, dlaczego nie zasugerowała spotkania w bardziej neutralnym miejscu. Wskazała gościowi miękki fotel ustawiony nieopodal kominka i złożyła ręce w geście oczekiwania, jakby znów pomagała ciotce podawać do stołu.

– Mogę zaproponować herbatę albo kawę – powiedziała. – Mam też świeże, domowe drożdżówki z białym serem i z makiem.

– Poproszę tylko kawę – odparł Francuz. – Nie przywykłem jadać o tej porze.

Marianna skinęła głową i już miała zmierzać do kuchni, gdy Jean-Pierre ją zatrzymał.

– Czy mówi pani po francusku? Posługiwanie się polskim mnie męczy i przypomina, że nie jestem u siebie – zagaił.

„Żadne z nas nie jest u siebie” – pomyślała Marianna, jednak uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Ależ naturalnie, jednak ostrzegam, że dawno temu miałam przyjemność konwersować w tym języku.

Przygotowała napoje i wróciła się do salonu. Jean-Pierre przechadzał się po pokoju, lustrując wzrokiem wyeksponowany na regałach księgozbiór pana Palińskiego. Stryj Marianny stosował ścisły podział: pozycje przydatne w jego pracy trzymał w gabinecie, zaś prozę oraz albumy w pomieszczeniach ogólnodostępnych, czym zapewne chciał podtrzymać tradycję ze swojego mieszkania we Lwowie. Pomędzy książkami stały nieliczne, cudem ocalałe zdjęcia rodzinne. Marianna postawiła tacę z filiżankami na stoliku i podeszła do gościa. Właśnie przyglądał się portretowi ślubnemu stryja i stryjenki.

– Pani stryj jest bardzo mądrym, światowym człowiekiem – rzekł Jean-Pierre. – Nie wiem, jaka była pani stryjenka, niemniej na zdjęciu wygląda na inteligentną, energiczną osobę.

Lekarka sposepniała, przypominając sobie ostatnie lata swoich krewnych, powolne odzieranie z nadziei, dobytku, a nawet i wyrafinowania. Proces ten szczególnie dotknął panią Palińską, której kultura i delikatność, imponujące przed wojną, okazały się cechami skazującymi ją w trakcie okupacji na zagładę.

– Była wykładowczynią w prywatnym żeńskim liceum. Uczyła historii sztuki – odparła.

Jean-Pierre pokiwał głową z zadumą.

– Chciałem z panią porozmawiać, ponieważ jestem nowy tutaj i dotychczas nie spotkałem zbyt wielu osób, które wydały mi się interesujące. Z reguły napotykam jednostki skoncentrowane na przetrwaniu albo wzbogaceniu się, mało kto tak naprawdę oddaje się głębszym refleksjom – powiedział, zerkając nerwowo na Mariannę.

Lekarka zaśmiała się złośliwie.

– Zatem szuka pan przyjaciół? – zapytała.

Francuz rzucił jej długie, pełne powagi spojrzenie.

– Nie jestem dobry w byciu przyjacielem – wyznał po chwili. – Są pewne powody, dla których nie angażuję się w bliższe relacje z innymi, jednak będę tu jeszcze jakiś czas i potrzebuję towarzyszy.

Marianna przekrzywiła głowę. Wysoki, tyczkowaty Europejczyk o melancholijnym spojrzeniu, pozujący na „skomplikowaną” postać, wręcz prosił się o szyderczą uwagę. I to widoczne dla każdego poczucie wyższości, którym nie mógł zaskarbić sobie sympatii otoczenia... „Dlaczego nie wrócisz do domu, skoro cię drażnimy i uważasz, że nie jesteśmy zdolni do głębszej refleksji?” – zastanawiała się Marianna.

– A jednak ja wzbudziłam pana zainteresowanie – podjęła dyskusję. Postanowiła przez jakiś czas uczestniczyć w jego grze,

przynajmniej do momentu, w którym nie pozna jej prawdziwego celu.

– Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu wydaje mi się pani mądra, a ja sam nie jestem szczególnie mądry, choć na takiego się kreuję – odparł, a w jego głosie pobrzmiwała niepewność.

Marianna uniosła brwi.

– Istotnie, w ogóle nie wiem, kim pan jest ani co tutaj robi – powiedziała. – I dlaczego nie wraca pan do domu?

– Tu jest mój dom – odparł natychmiast. – Nawet jeśli nie chce pani w to uwierzyć, przez te wszystkie lata przeżyte w niewoli przywiązałem się do tej ziemi. A co do mojego zajęcia: pomagam zorganizować powrót do domu moim rodakom i nie tylko. Uściślając, współpracuję z Brytyjczykami w kwestii nadzorowania transportów przesiedleńców.

Marianna poczuła, że jej serce bije szybciej. Odpowiedź na pytanie, dokąd przesiedlono rodzeństwo Grety, była na wyciągnięcie ręki, wystarczyło tylko umiejętnie odegrać swoją rolę. Wróciła do stolika, wzięła filiżankę z kawą i podała ją mężczyźnie.

– Cóż, w takim razie nie zabawi pan tu aż tak długo – rzekła. – Przez ten czas może pan we mnie widzieć towarzysza.

Porozmawiali jeszcze przez godzinę na niezobowiązujące tematy. Wymienili się nazwiskami ulubionych autorów, tytułami filmów, które szczególnie zapadły im w pamięć, lubianymi gatunkami muzyki. On pasjonował się wzornictwem i wykonywał domorośle projekty pod kierunkiem ojca w rodzinnym warsztacie, ona skrywała pasję do mechaniki i fizyki, których studiowanie jej odradzono. Czasem, gdy rozmowa schodziła na bardziej kontrowersyjne kwestie, pojawiała się niewygodna cisza, lecz poza tym oboje odnieśli pozytywne wrażenie na temat drugiej osoby. Pożegnali się tuż po powrocie pana Palińskiego z urzędu.

– Widzę, że nie próżnujesz, chociaż moim zdaniem tracisz na niego czas. Nie jest w połowie tak bystry jak ty – powiedział po wyjściu Jeana-Pierre'a.

Marianna nic nie odpowiedziała, w duchu czując coraz większą dumę, ale jednocześnie i przerażenie z nowo odkrytego u siebie cynizmu, który pojawił się w miejsce dawnej ufności.

* * *

Lekarz pojawił się nazajutrz z samego rana. Otworzył mu, niewtajemniczony w dokładny powód tej wizyty, pan Paliński. Stryj Marianny cechował się taktem i zaufaniem do osądu bratanicy, więc również zataił informacje dotyczące pochodzenia Grety.

– Dziewczyna jest w ciężkim szoku i może nieco bredzić – uprzedził lekarza.

Medyk obdarzył go nieufnym spojrzeniem, które następnie przeniósł na leżącą w łóżku Niemkę.

– To może utrudnić badanie – mruknął.

Dziewczyna ożyła, a jej jasnoblękitne oczy, wcześniej świetliste, nieskoncentrowane na niczym konkretnym, skupiły się na twarzy mężczyzny.

– Mogę mówić sama za siebie – oznajmiła, kalecząc wymowę.

Mężczyzna skinął głową i zaczął wyciągać narzędzia z torby.

– Może być lepiej, jeśli pan nas na chwilę zostawi. To dość wstydlive badania – poinformował gospodarza.

Marianna zastała stryja czekającego przy schodach. Poprawiała jeszcze kolczyki i spódnicę, myśląc, że mają gościa z magistratu, lecz pan Paliński szybko wyprowadził ją z błędu. Usiadła na schodach, splatając dłonie w koszyczek. W myślach zganiła się za nieostrożność: powinna być przy Grecie i zasugerować jej, w jak delikatnej znajdowała się sytuacji.

Badanie przeciągało się. Pan Paliński co rusz spoglądał na zegarek, wzdychając ciężko, aż w końcu drgnął, zabrał teczkę i pożegnawszy się krótko z bratanicą, wyszedł do pracy. Marianna została sama, skazana na coraz to bardziej irracjonalne domysły. Co jeśli lekarz był niedelikatny albo przysparzał Grecie dodatkowego cierpienia? W głowie dziewczyny roiło się od domysłów i choć zdawała sobie sprawę z ich bezpodstawności, nie

przestawała się martwić. Być może to pobyt w Ravensbrück całkowicie pozbawił ją wiary w dobro ludzkie i nie potrafiła już nikomu zaufać.

Wreszcie drzwi do jej sypialni otworzyły się i lekarz wyszedł do przedpokoju. Marianna ruszyła w jego stronę z niespotykanym dotychczas wigorem.

– Panie doktorze, co z nią? – zapytała.

Mężczyzna wyciągnął chustkę z kieszeni i przetarł nią czoło. Podkrążone oczy lekarza i poszarzała cera zdradzały długie godziny pracy, widać było, że jego dłonie drżą, gdy wyciągał coś z niesionego przez siebie neseseru.

– Niedobrze. Obecne schorzenia nasiliły jedynie główny problem, którym jest nieuleczalna wada serca. Brak odpowiedniej diagnozy tylko pogorszył sytuację. Jest mi bardzo przykro, ale nie zostało jej wiele czasu – oznajmił, siląc się na łagodny, wręcz pocieszający ton.

Marianna przestała go słuchać. Łudziła się, że bardziej doświadczony lekarz zada kłam jej przypuszczeniom, zamiast je potwierdzić.

– Czy można coś zrobić? – zapytała niczym naiwne dziecko.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nowego serca jej nie wstawimy, możemy natomiast podać leki, które zaleczą pozostałe przypadłości i będzie mniej cierpieć. Długie życie nie jest jej pisane – odparł.

Marianna nic nie odpowiedziała. Zatopiła się w myślach, usiłując zagłuszyć poczucie winy. Do rzeczywistości przywołało ją chrząknięcie lekarza.

– Rozumiem, dlaczego skłamała pani na temat narodowości przyjaciółki, jednak nie wszyscy Polacy chcą zemścić się na Niemcach. To przecież tacy sami ludzie jak my. Ich cierpienie jest równie nieuzasadnione jak to, które stało się naszym udziałem w trakcie okupacji – powiedział i podał jej kartkę z nazwami zalecanych medykamentów. – Może pani kryć się za murami swojej nowej rezydencji i traktować wszystkich z nieufnością,

jednak to również pewien rodzaj niewoli, której nauczyliśmy się w ciągu ostatnich sześciu lat.

Marianna odebrała receptę i zacisnęła na niej dłoń, delikatnie miętosząc papier. Uprzejmość lekarza zaskoczyła ją tak mocno, że nie była w stanie podziękować inaczej, jak tylko opuszczając głowę i mamrocząc pod nosem:

– Jestem panu dozgonnie wdzięczna.

Mężczyzna dotknął łagodnie jej ramienia i uśmiechnął się smutno.

– Proszę mnie wezwać, gdy jej stan się pogorszy, a tymczasem niech nie będzie narażana na zbyt silne wzruszenia.

* * *

Otrzymała list od Heleny. Koperta pachniała subtelnymi, jaśminowymi perfumami i zaadresowana była zamaszystym, starannym pismem przyjaciółki. Marianna wahała się, czy powinna zapoznać się z jego treścią, zważywszy na okoliczności, w jakich się rozstały, lecz sentyment do Sopotu i beztróskich dni spędzonych u boku aktorki przeważał. List nie należał do długich, co pokrywało się ze stwierdzeniem Heleny, iż nie należała nigdy do „ludzi słowa”.

Droga przyjaciółko!

Jestem już kobietą zamężną. Dziwnie to brzmi – we wcześniejszych latach unikałam wiązania się z kimkolwiek na stałe, teraz zaś, w wieku średnim, przyszło mi zostać panną młodą. Mocno to ironiczne, biorąc pod uwagę, ile młodych poległo i z jak wielu dzieci oraz starców składa się obecnie nasze społeczeństwo. Czy zatem powinniśmy budować swoją przyszłość na barkach ludzi doświadczonych, a wręcz znudzonych życiem, zamiast pozostawić to zadanie młodym? Cóż jednak można poradzić, gdy nasza młodzież poległa albo przestała widzieć sens w dawnej egzystencji?

Kiedy kreślę te słowa, widzę Ciebie, droga Marianno, twoją małą, kruchą postać wędrującą między meandrami życia,

wyraźnie zagubioną. Z całego serca życzę Ci, abyś odnalazła upragniony spokój i sens w tej powojennej wrzawie. Dobrze się stało, że los nie połączył Cię z Duchlińskim. Możesz mnie nienawidzić za te słowa, lecz z nim nigdy nie stałabyś się tym, kim pragniesz być. Jego autorytet przytłoczyłby Twoje skromne początki kariery, zaś reputacja zszargałaby nerwy. Jednak nie o tym chciałam Ci napisać, moja droga, niemniej lata bycia mentorem dla młodszych aktorów wyrobiły we mnie manierę nauczycielską.

Otóż zawitał do nas jakieś dwa dni temu tajemniczy gość. Ubrany był w łachmany, buty na jego nogach trzymały się chyba wyłącznie na słowo honoru, a policzki oraz broda już od dawna nie widziały brzytwy, lecz po sposobie wypowiedzania się odgadłam, że był to człowiek wykształcony. Przedstawił się jako twój krewny, droga Marianno, choć nie chciał zdradzić stopnia pokrewieństwa. Powiedział mi niewiele, ja natomiast ograniczyłam się do stwierdzenia, iż udałaś się do swojego stryja, do Szczecina. Gdy tylko powiedziałam o twoim stryju, w oczach przybysza pojawiła się złość, a potem jakby... ból. Nie wiem, czy zrozumiesz coś z tego potoku słów, jednak dla mnie wyglądało to na jakiś zadawniony zatarg między dwoma mężczyznami. Chciałam bardziej go wypytać, jednak wstał, podziękował za gościnę i powędrował dalej.

Mam nadzieję, że nie naraziłam Cię potencjalnie na jakieś nieprzyjemności, jednak pamiętałam, jak mówiłaś, że nikt z twojej rodziny się nie ostał.

Odezwij się proszę, choćbyś miała napisać jedynie kilka zdań.

Twoja Helena

Marianna włożyła list z powrotem do koperty, a wieczorem pokazała go stryjowi. Mężczyzna fuknął pod nosem na widok nazwiska „Duchliński”, po czym zamarł, czytając ostatni akapit.

– Kogo może mieć na myśli? – zapytała Marianna. – Jestem niemal pewna, że mój brat nie żyje, a innych pomysłów nie mam.

Pan Paliński zacisnął wargi tak mocno, że wydawały się być jedną, wąską linią.

– Nie wiem, drogie dziecko – rzekł, jednak Marianna dostrzegła głęboką bruzdę na jego czole i wiedziała, jak się czymś niepokoi. – Tam działy się okropne rzeczy. Naprawdę nie wiem, kto mógł przez to przejść i nas tu odnaleźć, dlatego nie dałbym się zwieść nadmiernemu optymizmowi. A co z Gretą? – zmienił temat.

Marianna podzieliła się z nim wiadomością o złym stanie zdrowia dziewczyny.

– Biedaczka – wymruczał pan Paliński. – Co możemy dla niej zrobić?

– Muszę znaleźć Jeana-Pierre’a – oznajmiła Marianna. Nagle w jej głowie pojawiła się pewna myśl, choć bez zweryfikowania jej założeń z Francuzem cały pomysł był czysto teoretyczny.

– Jeana-Pierre’a? – zdumiał się pan Paliński. – A cóż mu do tego?

– Nic – odparła Marianna. – Jednak może mieć dostęp do czegoś, co mogłoby jej pomóc.

* * *

Twarz Jeana-Pierre’a zastygła w wyrazie, który, z braku lepszych określeń, Marianna skłonna była nazwać kontemplacją. Nie mogła mu się dziwić, wszak jej wizyta w konsulacie francuskim w hotelu Continental była niezapowiedziana. Przyjął ją z uśmiechem na twarzy i zaproponował spacer po okolicy, chcąc zapewnić sobie i rozmówczyni dyskrecję.

Kiedy znaleźli się poza budynkiem, zaporą wstydu pękła i Marianna zaczęła opowiadać Jean-Pierrowi o swoich perypetiach od czasu powrotu do kraju, nie omijając przy tym wątku Greta i jej rodzeństwa. Lekarka nie przypuszczała, że może być tak szczera wobec kogokolwiek, jednak skrywana frustracja i wrażenie dystansu wobec opisywanej historii, spowodowane zapewne użyciem obcego języka, sprawiły, iż to właśnie Francuzowi przedstawiła od dawna trzymaną w sercu skargę. Mężczyzna, najpierw zdumiony nagłym wyznaniem, z czasem

zaczął wsłuchiwać się uważniej w jej słowa i zadawać pytania. Marianna miała poczucie, że czas płynie szybko, lecz minęła ledwie godzina, nim zatoczyli koło i stali z powrotem przed biurem Jeana-Pierre'a.

– Znalezienie ich nie powinno być trudne, pod warunkiem, że oboje figurują w rejestrach. Znasz może nazwisko piekarza? – zapytał.

Marianna potwierdziła. Wydobyła z torebki małą, złożoną na pół karteczkę, na której zanotowała informacje dotyczące rodzeństwa Greta. Podała ją Jeanowi-Pierrowi.

– Co chcesz zrobić, gdy już ustalisz, gdzie są? – dopytał.

– Będę pisać do odpowiednich instytucji – odparła Marianna.

Francuz parsknął śmiechem.

– Wybacz, ale to nic nie da. Petycje brytyjskiego rządu dotyczące sposobu organizowania transportów i opieki nad przesiedlonymi niewiele zmieniają, a co dopiero list od zwykłej obywatelki – powiedział, obdarzając Mariannę baczny spojrzeniem swoich głęboko osadzonych, niebieskich oczu.

Lekarka przygryzła wargę. Docinek Jeana-Pierre'a dotkliwie przypomniał jej początki działalności w konspiracji.

Wprowadził ją do niej brat na wyraźną prośbę Marianny. W podziemiu przeważali mężczyźni, a dziewczynom zlecano najprostsze zadania i nie dopuszczano ich do planowania poważniejszych operacji. Wtedy też miała dużo pomysłów oraz obserwacji, którymi chciała się podzielić.

Przekazywała je swojej komórce operacyjnej, suszyła głowę Ignacemu, lecz wyczekiwany przez nią udział w jakiejś akcji nie nadchodził. Miała działać w cieniu, wykorzystywać spostrzegawczość i niepozorny wygląd. Wchodzić tam, gdzie innych wypraszano lub wręcz wyrzucano siłą. Była w tym dobra, zyskała nawet pewien szacunek wśród swoich towarzyszy, jednak cały czas marzenie o aktywnym uczestnictwie w walce pozostawało niespełnione.

Na nic zdawały się tłumaczenia brata i kolegów, że jej zadania są równie ważne, przynależą jedynie do innej kategorii. To Mariannie nie wystarczało, chciała sięgać równie daleko co mężczyźni w jej wieku. Wreszcie wywalczyła upragniony udział w większej operacji. Był początek czterdziestego trzeciego roku. Sprawdziła się, więc zaangażowano ją jeszcze dwa razy przed feralnym wyjazdem do Lubina. Wciąż budziła się w środku nocy z myślą, że to jej brak doświadczenia zadecydował o wykryciu i pojmaniu ich zespołu. Że jej duma kosztowała życie dwóch zawodowych żołnierzy, znacznie przydatniejszych dla kraju niż cherlawa dziewczyna. Teraz, podobnie jak wtedy, działała impulsywnie. O systemach obozów pracy nie wiedziała praktycznie nic, nie kojarzyła ich lokalizacji. Nie miała pojęcia, jak do nich dotrzeć, widziała jedynie jasno postawiony przez siebie cel: przyprowadzić Thomasa i Henriettę, nim Greta odejdzie.

– Zrobię, co będę musiała zrobić – skonstatowała, patrząc wyzywająco na swojego rozmówcę.

Jean-Pierre pokręcił głową z dezaprobatą.

– Szlachetna intencja – przyznał. – Ale czy wiesz, co to znaczy? Pomyślałaś o tym, że twoje działania mogą zaszkodzić stryjowi, że może przez ciebie stracić dom i stanowisko?

– Chodzi o coś więcej niż o ochronę własnej skóry. Przekonaniaми się żyje albo pozostaje się hipokrytą do końca życia – odparła butnie.

– Nawet jeśli przekreśla się tym życie własne i najbliższych? – powątpiewał Jean-Pierre, jednak Marianna wytrzymała jego spojrzenie. – Dobrze, chcę się tylko upewnić, że wiesz, jak duża jest to prośba.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przytaknęła.

– I że jesteś gotowa przyjąć konsekwencje swoich wyborów, niezależnie od ich surowości?

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność – zapewniła.

Mężczyzna wciągnął głośno powietrze. Jego policzki zaczerwieniły się od zimna.

– Nie przychodź tu więcej – powiedział Jean-Pierre, rozglądając się dyskretnie na boki. W okolicy kręciło się kilku przechodniów, jednak żaden nie wyglądał ani nie zachowywał się szczególnie podejrzanie. – Tym razem to ja odezwę się do ciebie.

* * *

Minął tydzień, nim otrzymała wiadomość od Francuza. Robiła zakupy na Turzynie, gdy podszedł do niej wysoki, ubrany w brudny płaszcz mężczyzna i wręczył jej papierową torbę z kwaśnymi jabłkami. Pomiedzy nimi widniał róg złożonej wielokrotnie kartki. Marianna podziękowała i podeszła do kolejnego sprzedającego, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Dokończyła załatwianie sprawunków w dokładnie takim samym tempie jak zazwyczaj i pilnowała się w drodze powrotnej, by nie spoglądać zbyt często do torby. Po przekroczeniu progu domu zanurkowała ręką do środka i zręcznym ruchem wydobyła ukrytą pomiędzy owocami wiadomość.

Dziś, 18:00, Wały Chrobrego. Weź ubranie na zmianę.

* * *

Jean-Pierre rozmawiał z dwoma urzędnikami na schodach dawnego budynku rejencji. Dostrzegłszy Mariannę, zamachał, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Dziewczyna nieśmiało podeszła, zaciskając kurczowo dłonie na starej torbie podróźnej.

– Pani doktor, doskonale, że jest pani o czasie! – powitał ją Francuz i spojrzawszy na swoich towarzyszy, dodał: – Doktor Palińska zgodziła mi się towarzyszyć w podróży i pomoże ocenić stan zdrowia moich pobratymców.

Mężczyźni skinęli głowami z uznaniem, choć nie zaszczycili Marianny więcej niż jednym, pobieźnym spojrzeniem.

– Cóż, ma pan wszystkie potrzebne papiery – oznajmił siwowłosy urzędnik, stojący po lewej. – Żołnierze nie powinni robić panu problemów.

Jean-Pierre odpowiedział łaskawym uśmiechem. Urzędnicy pożegnali się i wrócili do budynku, zaś Francuz zwrócił się do Marianny:

– Chodź, im później wyruszymy, tym gorzej.

Lekarka odruchowo zwróciła się w stronę dworca kolejowego, lecz Jean-Pierre pociągnął ją za ramię w przeciwnym kierunku.

– Mam samochód nieopodal – oznajmił.

Brwi lekarki podjechały w górę.

– Samochód? – zapytała z niedowierzaniem.

Zeszli po schodach i skręcili w jedną z uliczek wijących się u zbrocza.

– Tak. Zlokalizowałem Thomasa, jest w obozie w Potulicach. Wiedziałem, że niedługo będę musiał jechać służbowo w tamte strony, więc pomyślałem o upieczeniu dwóch pieczeni na jednym ogniu – wyjaśnił mężczyzna.

Marianna pokręciła głową. Plan Jeana-Pierre'a wydawał się jej zbyt ryzykowny.

– Jak wyjaśnisz tak duże opóźnienie? – zapytała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Samochody się psują, drogi są złe, a w dodatku w kraju grasują zbrojne bandy szabrowników. Możesz wybrać wersję, która podoba ci się najbardziej. – Uśmiechnął się złośliwie.

Marianna poczuła, jak po jej plecach przechodzą ciarki. Znała doniesienia o nieszczęśliwych podróżnych, którzy zostali napadnięci w pociągu i pozbawieni dorobku życia, czasem nawet bezwzględnie zamordowanych za kilka błyskotek. „Odwagi” – motywowała się w duchu. – „Nie zabrakło ci jej, gdy przyszli Niemcy, dlaczego teraz miałoby być inaczej?” – myślała.

Stanęli przed samochodem Jeana-Pierre'a, czteroosobowym Willysem MB ze składanym, materiałowym dachem.

– To twoja ostatnia szansa, by się wycofać – powiedział Francuz.

– Jedziemy – odpowiedziała natychmiast, by nie poddać się narastającemu w niej z każdą sekundą strachowi.

Jean-Pierre rzucił torbę lekarki za przednie siedzenia. Dziewczyna spostrzegła, że znajduje się tam również owinięte w czarne płótno zawiniątko dość pokaźnych rozmiarów. Francuz pochwycił jej spojrzenie.

– Spirytus. Na wypadek, gdybyśmy musieli komuś zapłacić – wyjaśnił.

Przejechali bez większych trudności przez tymczasowy most na Odrze zbudowany przez Sowieców. Zatrzymano ich przy posterunku na granicy miasta i sprawdzono papiery. Wszystko było w porządku, na Mariannę nikt nie zwracał uwagi, ponieważ żołnierze komunikowali się wyłącznie z Jeanem-Pierrem.

Zgodnie z planem kierowali się na Bydgoszcz, zakładając, że zatrzymają się na dwa dłuższe postoje w Choszcznie i w Pile. Niestety, byli zmuszeni przystanąć tuż za Stargardem, gdyż grupka podejrzanie wyglądających mężczyzn rozbiła sobie obóz częściowo na drodze. Światło reflektorów padło na zaspane twarze maruderów, którzy podnosili się z ziemi, miotając przekleństwa pod nosem. Dwie czujki z karabinami, ustawione po bokach drogi, zaszły Jeana-Pierre'a i Mariannę od tyłu. Lekarka kątem oka dostrzegła, jak jej towarzysz dyskretnie sprawdza znajdujący się za pasem pistolet i uczyniła to samo. Kupiony od czerwonoarmisty rewolwer tkwił w wewnętrznej kieszeni płaszcza kobiety.

– Wy kto? – zapytał idący frontem do nich mężczyzna. Nosił obdarty z naszywek mundur ludowego Wojska Polskiego, a na to miał narzuconą czarną skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem. Na nadgarstku rzezimieszka lśnił złoty zegarek, natomiast na palcach dłoni mieniły się sygnety z grubymi kamieniami.

– Urzędnik francuski do ambasady w Warszawie i jego tłumacz – odchrząknęła Marianna, uciszając gestem Jeana-Pierre'a.

Mężczyzna zatrzymał się kilkadziesiąt centymetrów przed maską pojazdu i zmierzył kierowcę oraz jego pasażerkę pogardliwym, oceniającym spojrzeniem, a następnie splunął na ziemię.

– Pieprzysz się z nim? – zapytał, odwracając się w stronę Marianny.

Jego towarzysze parsknęli złośliwym śmiechem. Lekarka, nie spuszczać przywódcy grupy z oczu, otworzyła drzwi samochodu

i wysiadła zeń. Przystanąła obok auta i, lekko się chwiejąc, podciągnęła spódnicę. Początkowe gwizdy przemieniły się w jęk obrzydzenia, gdy tylko mężczyźni dostrzegli głębokie, zaczerwienione wklęsnięcie, wyzierające spod pończochy dziewczyny.

– Pies z kulawą nogą by mnie nie wziął. Jestem cholerną kaleką i jedyne, co mam nieuszkodzone, znajduje się tu. – Pokazała palcem na swoją głowę.

Wzrok przywódcy bandy odruchowo powędrował w kierunku jej przedramienia, choć przecież zasłaniało je ubranie. Westchnęła w duchu. „No tak” – pomyślała. – „Jest jeszcze to”. Zdjęła łańcuszek i pokazała wytłoczony na blaszce numer.

– Z Kresów? – zapytał.

Marianna potwierdziła. Mężczyzna dał swoim ludziom sygnał i maruderzy, bez zająknięcia, schowali broń i cofnęli się z powrotem do swojego obozu.

– Jedź w pokoju, siostró – powiedział, a z jego tonu zniknęła pogarda. – Tylko pamiętaj, Sowietom wystarczy, że jesteś kobietą. Nieopodal widziano grupki dezertersów, dawnych czerwonoarmistów, zalecałbym wam skorzystać z objazdu – dodał.

Marianna podziękowała za informację i wsiadła z powrotem do samochodu. Zastosowali się do rady szabrowników i pojechali przez okoliczne wsie, omijając główne drogi. Mimo to zatrzymywali się kilka razy, gdyż co rusz niektóre elementy w samochodzie szwankowały i Jean-Pierre musiał dokonywać drobnych napraw. Miejscowości, przez które przejeżdżali, były wyludnione, budynki gospodarcze i domy, wiele z nich pobudowanych na niemiecką modłę, popadały w ruinę lub nosiły ślady szabru i podpaleń. Na polach, nieprzygotowanych pod uprawę, wyrastało dzikie zielsko, jedynie gdzieniegdzie prześwitywały fragmenty zagospodarowanej ziemi. Na ich widok nieliczna ludność chowała się w domach, jedynie dzieci wystawiały głowy na podwórze lub przez okna, chłonąc ciekawskim wzrokiem auto i jego pasażerów.

– Pociągiem byłoby szybciej – skonstatowała Marianna, zirytowana ciągłymi przerwami.

– Zakładając, że podstawiono by go na czas, że nie byłoby nieplanowanych postojów i że nikt by nas nie napadł. W innym razie podróż wydłużyłaby się kilkakrotnie – odparł Francuz.

Do Choszczna zajechali nazajutrz wieczorem i natychmiast zaczęli szukać otwartej restauracji albo baru. Po posileniu się w czystym, acz ubogo wyposażonym lokalu ruszyli w dalszą drogę do Piły. Tam spędzili u zaprzyjaźnionego z Jeanem-Pierrem urzędnika noc, a z samego rana wyjechali, kierując się na Nakło. Dochodziło południe, gdy wjechali do niewielkiej wsi o nazwie Potulice.

Marianna dopytała przechodniów, jak dostać się do obozu i wkrótce przystanęli nieopodal otoczonego ogrodzeniem z drutu kolczastego kompleksu baraków. Lekarka poczuła, jak zbiera się jej na wymioty. Te drewniane baraki z kwiatami w oknach, wieże strażnicze, po których leniwie poruszali się uzbrojeni nadzorcy, ta pozorną cisza i porządek przypominały dziewczynie wrażenie, jakie odniosła na widok obozu w Ravensbrück. Na pierwszy rzut oka panował tam ład, było miejsce na zieleni, na apele i zbiórki w idealnie uformowanych szeregach.

Dopiero przy nieco bliższej inspekcji na jaw wychodziło coraz więcej niepasujących do tego pozornie sielankowego krajobrazu szczegółów: w barakach stało zatęchłe powietrze, koce pokrywały ślady krwi i wydzielin oraz robactwo, wszechobecne wszy i pluskwy. W środku panował chłód przenikający przez pasiaki z grubego, gryzącego płótna. Dobrze, że przynajmniej regularnie golono im głowy, unikały w ten sposób załęgnięcia się mied w włosach. Po jakimś czasie zresztą miało się coraz mniej problemów: zanikało plamienie, więc odpadał problem kłopotliwych śladów krwi na ubraniach, piersi malały, a ciało stawało się lekkie i wątle, a jednocześnie do tego stopnia udrećzone, iż kolejne pogryzienia nie wywoływały już obrzydzenia.

Czy w oddali były kobiety? Może siedziały przed barakiem, półnagie, czekając, aż z prania powrócą ich obozowe uniformy? A może, z chustami na głowach, pochylały się nad obozowym warzywnikiem, pielily go gołymi rękoma, a ich skóra opalała się na złocisty brąz, taki, który nabywa się dzięki „ciężkiej, acz zdrowej pracy w polu”? Nie, chyba było jeszcze za zimno na takie urozmaicenia, przedzej rąbały drewno i zносиły je do kotłowni.

– Zamierzamy tam wejść? – głos Jeana-Pierre’a wyrywał Mariannę z rozmyślań.

Podeszli do bramy, gdzie zatrzymał ich strażnik. Dowiedzieli się, że obóz jest zamknięty dla odwiedzających, jeśli natomiast życzą sobie wynająć pracownika, powinni przedłożyć stosowny wniosek u komendanta.

– Chcę złożyć takowy wniosek, ponieważ potrzebuję pomocnika – powiedziała Marianna.

Wpuścili ją do środka, jednak Jean-Pierre, jako urzędnik obcego państwa, musiał zostać na zewnątrz. Strażnik głośno strofował lekarkę, gdy ta za bardzo się jego zdaniem rozglądała. „Plac apelowy i baraki, dziesiątki baraków, ustawione gęsto jeden przy drugim” – odnotowała Marianna w myślach. Doszli do budynku administracji. Wewnątrz znajdowało się kilka biur, za nimi więźniarki przepisywały dokumenty na maszynach do pisania, porządkowały akta. Nie podniosły głów, nie nawiązywały kontaktu wzrokowego z nowo przybyłymi. Wszystkie miały włosy zgolone do długości centymetra. Wydawały się czyste, a ich uniformy, choć ubogie i połatanne, wyglądały schludnie. „Pewnie to przez tyfus. Ktoś na wyższym szczeblu musiał wydać odpowiedni rozkaz i nagle znalazło się mydło dla osadzonych” – analizowała Marianna. Posadzono ją obok jednej z więźniarek i kazano podyktować wniosek o „wypożyczenie” pracownika. Lekarka kłamała jak z nut. Gdzie mieszka? W wiosce nieopodal Nakła. Czym się trudni? Pomaga rodzicom, rolnikom, przesiedlonym z Buga. Czyli potrzebuje parobka do pracy w polu? Marianna potwierdziła.

– Dokumenty przedłożyć może? – wtrącił się strażnik, wygodnie oparty o ścianę.

Dziewczyna zawahała się, lecz na tym etapie dalsze kombinowanie było niewskazane. Podała więźniarce dokumenty. Ta przebiegła wzrokiem po danych i spojrzała wyczekująco na strażnika. Mężczyzna podszedł do niej leniwym krokiem i zabrał jej dowód z dłoni.

– Miejsce zamieszkania: Szczecin – odczytał na głos. – Czy masz nas za durniów?

Marianna starała się zachować fason. W przeszłości niejednokrotnie udawało jej się ujść z opresji poprzez uparte i wiarygodne powtarzanie swojej wersji prawdy.

– To prawda, mieszkałam przez jakiś czas w Szczecinie – potwierdziła. Jej serce biło niczym szalone, ale nie poddała się strachowi. – Jednak szybko doszłam do wniosku, że nie jest to odpowiednie dla mnie miejsce i dlatego postanowiłam wrócić do rodziny.

Strażnik nie dał się oszukać. Już otwierał usta, by jej odpowiedzieć, gdy nagle do budynku wszedł naczelnik obozu. Marianna w duchu odetchnęła z ulgą, zdając sobie sprawę, że tym razem niewiele brakowało. Przystanął na progu i rozejrzał się po pomieszczeniu, szczególnie długo wpatrując się w twarze pracujących w nim osadzonych. Znaczna część z nich opuściła wzrok i zaczęła jeszcze bardziej nerwowo stukać w klawisze maszyny do pisania. Z ich reakcji Marianna odczytała więcej o osobowości komendanta, niż chciała wiedzieć. Wreszcie ją zauważył, a na jego pospolitej twarzy pojawił się pogardliwy uśmieszek.

– Kto to? – zapytał strażnika.

– Petentka, panie komendancie – odparł mężczyzna. – Na dodatek wyjątkowo kłamliwa.

Urządник bez słowa podszedł do biurka, przy którym siedziała Marianna, wziął do ręki wniosek, przeczytał i po chwili odłożył, parszcząc przy tym śmiechem.

– Właśnie widzę. Pani z daleka, nieprawdaż? – dopytał.

– Ze Szczecina – uzupełnił gorliwie strażnik.

W oczach komendanta zabłysły ostrzegawcze ogniki.

– Ach, ze Szczecina. Ziemie Odzyskane, mówią na tamte tereny, nieprawdaż? Albo „Dziki Zachód”. Ta druga nazwa bardziej mi się podoba, znacznie dłużej pozostaje i rezonuje w pamięci – skomentował komendant, dramatycznie gestykulując. – I dodatkowo prosi pani o osadzonego, również przywiezionego transportem właśnie ze Szczecina. Szalenie interesujące, muszę przyznać. Niestety – dodał szybko, widząc, że Marianna pragnie coś powiedzieć – Niestety, muszę pani wniosek odrzucić. Podaj pieczęć – polecił dziewczynie, po czym oznaczył podanie stemplem „odrzucono” i złożył pod nim swój podpis. – Żegnam panią – dorzucił na koniec, posyłając Mariannie sztuczny uśmiech.

Strażnik odprowadził ją do wyjścia.

– Proszę więcej nie nękać pana komendanta – oznajmił na odchodnym. – W innym wypadku będziemy zmuszeni powiadomić stosowne służby.

Marianna mogła jedynie bezsilnie pomstować w duchu, gdy brama obozu zamknęła się, a ona została po drugiej stronie z niczym.

* * *

– Nie sądziłaś chyba, że pójdzie aż tak łatwo – skwitował jej opowieść Jean-Pierre.

Siedzieli w niewielkiej jadłodajni we wsi Potulice, kilka kilometrów od obozu.

Marianna niechętnie przyznała mu rację. Zajrzała do swojego kubka. Na dnie znajdowała się odrobina słabej herbaty. Przed oczami stanęła jej drwiąca mina komendanta obozu i odruchowo zacisnęła dłonie mocniej na naczyniu. Po poznaniu tego mężczyzny jej determinacja, by wyciągnąć stamtąd brata Grety, wzrosła.

– Gdybyś ty widział tego człowieka – zaczęła, po czym pokręciła głową. – Mam złe przeczucia.

Jean-Pierre bawił się sztucami, przekręcał je na boki i przyglądał się odbijanemu przez nie światłu.

– Nie wiemy, przez co przeszedł i jakim człowiekiem go to uczyniło – odpowiedział.

Marianna rzuciła Francuzowi krzywe spojrzenie.

– Bo nas wojna zupełnie nie dotknęła – zakpiła.

Jean-Pierre wywrócił oczami. Czasem naprawdę ją irytował.

– Nie o to mi chodziło! – zaprotestował. – Wiesz przecież, że z niewoli, miesięcy złego traktowania i lat upokorzeń nie wychodzi się bez szwanku na psychice. Kobiety nie odczuwają tego procesu na równi z mężczyznami, ponieważ nie mają one...

– ...honoru – dokończyła za niego Marianna i uśmiechnęła się kwaśno. – Jeśli dobrze sobie przypominam, powtarzano mi to tak wiele razy jak i kolejną prawdę objawioną, którą obcokrajowcy zwykli udowadniać swoją przewagę kulturową nad Słowianami. A może słyszałam to od jednej, specyficznej grupy, z którą kiedyś wszyscy walczyliśmy? Dobrze wiedzieć, że ich nauki nie poszły w las, a pewne rzeczy nigdy nie ulegną zmianie – zadrwiła. – A teraz, jeśli pozwolisz. – Wstała i opuściła jadłodajnię.

Na zewnątrz zmierzchało. Po zabłoconej, gdzieniegdzie jeszcze przyprószonej śniegiem drodze przemieszczało się kilku rolników wraz z pomocnikami, często dziećmi lub kobietami, poganiając ich groźbą lub szyderstwem. Marianna poczuła, jak przeszywa ją silny ból. Przycupnęła nieopodal gospody, dyskretnie gimnastykując nogę i czekając, aż dolegliwości miną.

– Przepraszam, czy miejsce obok pani jest wolne? – Usłyszała.

Podniosła głowę. Przed nią stał średniego wzrostu mężczyzna, sądząc po ubraniach, raczej dobrze sytuowany, o surowej, wyrzeźbionej przez wiatr i słońce twarzy.

Marianna przesunęła się bez słowa. Mężczyzna zasiadł obok niej i po chwili zaczął rozmowę:

– Nie chciałbym wyjść na chama, ale widziałem, jak odprawiają panią z obozu z kwitkiem. Mógłbym zapytać dlaczego?

W umyśle lekarki zapaliły się ostrzegawcze lampki. Zatem jej obecność tutaj została odnotowana, a dotychczasowe poczynania skrzętnie obserwowano. „Ten człowiek może być agentem służby bezpieczeństwa” – pomyślała.

– Z powodów formalnych odrzucono mój wniosek o wypożyczenie pracownika – odparła wymijająco, lecz w gruncie rzeczy zgodnie z prawdą.

Mężczyzna westchnął głośno.

– Tak, rozporządzają nimi, jak chcą. Znam część osadzonych, niektórych udało mi się wynająć do pracy u mnie w gospodarstwie. Wcześniej to ja pracowałem u nich albo u ich rodziców, a teraz role się odwróciły – powiedział. – Niech mnie pani źle nie zrozumie, staram się być dla nich dobry, nie odgrywać się za dawne urazy, bo i co oni są w większości winni? Ale, z drugiej strony, co nasi wycierpieli w tym obozie za Niemca... – Pokręcił ze smutkiem głową. – A ci teraz narzekają, że jedzenie nie takie, że nie ma opieki medycznej. A jaką my opiekę i jedzenie otrzymaliśmy, pytam się?

Marianna pozostawiła jego wypowiedź bez komentarza. Kontynuował:

– Myślę sobie, że możemy ubić interes, ty i ja.

Lekarka odnotowała, jak płynnie przeszedł z „pani” na „ty”, ale łaskawie skinęła głową.

– Mam dobre stosunki ze strażnikami i za odpowiednią cenę mogę wydostać, kogo chcę – zaproponował mężczyzna.

„A więc zwykły cwaniak. Ale może to i lepiej, dostanie, czego pragnie, a nim zażąda więcej, będę już daleko stąd” – kalkulowała w myślach.

– Spirytus. Dwa litry – powiedziała na głos.

Mężczyzna aż oblizał wargi.

– Znakomicie, znakomicie – rzekł do siebie. – Czy mógłbym?

– Naradzę się najpierw z mężem – zastrzegła i po chwili przyprowadziła Jeana-Pierre’a.

Na widok obcokrajowca mężczyzna najpierw struchlał, potem usiłował wynegocjować więcej, by na końcu przyjąć warunki lekarki.

– Jutro po południu w tym miejscu – powtórzyła Marianna. – Ja dostaję chłopaka, ty alkohol.

* * *

Mężczyzna dotrzymał słowa. W kroczącym obok niego wysokim wyrostku Marianna od razu dostrzegła podobieństwo do Grety. Jean-Pierre wręczył gospodarzowi zapłatę, jednak ten zaczął marudzić.

– Jak wyjedziecie, będę musiał coś wymyślić, jakiś zgon albo chorobę – mamrotał.

Marianna dorzuciła zwitek banknotów. Mężczyzna spojrzał na Thomasa z ukosa.

– W sumie w obozie mówili, że chorowity jest, więc nagła śmierć wcale taka podejrzana nie będzie...

Próbował uszczknąć jeszcze trochę, lecz tym razem Marianna była stanowcza. Dobili targu i Thomas przeszedł w jej ręce.

Zaprowadziła go do jadłodajni i postawiła mu obfity obiad. Chłopak rzucił się na jedzenie. Obserwowała go. Był wychudzony, a jego palce pokrywała poczerniała od ciężkiej pracy skóra. Po chwili zaczął kaszleć. Krew. Nie mógł się powstrzymać, kaszel stawał się coraz bardziej uporczywy. Marianna złowiła zirytowane spojrzenie właścicielki gospody. Pomogła Thomasowi wstać. Chłopak wsparł się na ramieniu lekarki i razem wyszli na podwórze. Kaszel nie chciał ustąpić i serce Marianny przyspieszyło. Nie zabrała swoich narzędzi, więc jeśli chłopak miał wodę w płucach, nie będzie mu w stanie pomóc. Kucnęła przed wyrostkiem i łapiąc go za ramiona, powiedziała łamaną niemiecką:

– Uspokój się.

Thomas zasłonił usta dłonią, lecz ostry kaszel sprawił, że krew przeciekała pomiędzy jego palcami. Po chwili dołączył do nich

Jean-Pierre. Atak powoli ustawał i Marianna musiała przytrzymać osłabionego chłopaka.

– Nie pozwolą nam się tu zatrzymać – oświadczył Francuz, skupiając spojrzenie na lekarce. – Gospodyni mi to wyraźnie zakomunikowała. Żadnych chorych pod jej dachem, a już zwłaszcza gruźlików.

Marianna stłumiła westchnienie.

– Jest zbyt słaby, by przewieźć go do Szczecina – powiedziała sama do siebie. Kątem oka dostrzegła, że Jean-Pierre stoi w pewnej odległości od niej i Thomasa, jakby obawiał się zarażenia.

– To szaleństwo, Marianno – powiedział nagle. – On jest już jedną nogą na tamtym świecie, po co się narażać? Dla kogo? Dla chłopca, któremu zachciało bawić się w wojnę, a teraz płaci za to cenę?

Lekarka rzuciła Jeanowi-Pierrowi nienawistne spojrzenie. Chłopak dalej opierał się o nią, a jego szkliste oczy wpatrywały się w jakiś odległy punkt. Oddychał głęboko, miarowo, w akompaniamencie przykrego dla uszu rżenia.

– To jeszcze dziecko! – odparła ostro. – Poza tym ty być może nie znasz pojęcia honoru, dla mnie natomiast dane komuś słowo jest sprawą właśnie honoru. I nie zamierzam się ugiąć ani zrezygnować, niezależnie od okoliczności!

Jean-Pierre wykonał szybki ruch w stronę Marianny, dłoń mężczyzny, zaciśnięta w pięść, uniosła się, jednak w ostatniej chwili pohamował instynkt i, dysząc, opuścił rękę. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Jakiś czas później lekarka usłyszała dźwięk odpalanego silnika. Przyciągnęła Thomasa bliżej siebie i przytuliła go niezdarnie. Chłopak wpierw bronił się, jednak potem wczepił się palcami w gruby płaszcz Marianny i położył głowę na jej kolanach. Przez moment trwali w bezruchu.

* * *

Lekarce udało się wynająć dawne pomieszczenie gospodarcze przerobione na tymczasową sypialnię. Gospodarz, starszy

mężczyzna, wstawił do niego dodatkowo łóżko polowe, dwa wieszaki i rozwiesił starą, pachnącą naftaliną kotarę, którą przedzielił pomieszczenie na dwie części, żeby zapewnić choremu namiastkę intymności. Marianna wykorzystwała znaczną część swoich skąpych oszczędności na zakup podstawowych sprzętów medycznych i udogodnień oraz na wysłanie telegramu do stryja, w którym informowała go o swojej dłuższej nieobecności.

Nie potrafiła dokładnie określić stopnia zaawansowania choroby Thomasa, ponieważ żadna placówka medyczna w okolicy nie była wyposażona w aparat rentgenowski, jednak wnioskuje po badaniach, które mogła wykonać, wydedukowała, że los chłopaka może się domknąć w przeciągu najbliższych tygodni. Codziennie budził się z wysoką gorączką, a jego wycieńczone ciało drżało nawet pod najgrubszą kołdrą. Mimo to próbował podrywać się, gdy tylko widział, że Marianna niesie wodę albo rąbie drewno na opał. Lekarka stanowczo jednak oświadczyła, że największą pomocą byłoby wyzdrowienie Thomasa, a to wymagało leżenia w łóżku. Bezczynność męczyła chłopaka, Marianna bez trudu zauważyła, jak z utęsknieniem unosił się i odsuwał firankę, chciwie chłonąc krajobraz rysujący się za oknem. Niestety, jego zrywy często kończyły się gwałtownym atakiem kaszlu.

Mówił niewiele, czasem ograniczając się wyłącznie do odpowiedzi na pytania stawiane przez Mariannę. Zresztą nie potrzebowała słów, by domyślić się, jak wyglądały ostatnie miesiące Thomasa i jak potoczyły się jego obozowe losy. Widziała to w wystających kościach, w matowej skórze oraz ranach na plecach i ramionach.

Z jej ust płynął potok słów. Mówiła mu o jego siostrze, o Szczecinie, o swojej wędrowce przez Niemcy. Czasem dopytywał o jakiś szczegół, ale przez większość czasu pozostawał obojętny.

– Moja siostra... – zaczął pewnego dnia, chrząkając. Marianna podała mu garnuszek ze świeżo zaparzoną herbatą. – Dlaczego wysłała ciebie?

Poprawiła poduszki za głową Thomasa.

– Greta nie może opuścić Szczecina, a przynajmniej nie w tym kierunku – odparła.

Chłopak zakaszłał.

– Dlaczego nie wyjechała do Niemiec szukać Henrietty? Tego nikt jej nie broni? – dociekał, opanowując atak.

Marianna opuściła wzrok. Usiłowała naprędce skonstruować dostatecznie logiczne kłamstewko, ale wtedy dotarło do niej, że zatajając prawdę, skrzywdzi chłopaka. Zebrała się na odwagę.

– Twoja siostra jest poważnie chora – powiedziała. – Chciała was odnaleźć, nim...

– ...odejdzie w niebyt. Jak ja – dokończył gorzko Thomas.

Po raz pierwszy popatrzył Mariannie prosto w oczy. W jego spojrzeniu kryło się zgorzknienie i rozczarowanie, jakie widywała u starszych ludzi, świadomych własnej porażki i ułomności. Skinęła głową.

Thomas przełknął głośno ślinę i zadał jeszcze jedno pytanie:

– Czy moja siostra... Czy przytrafiło jej się to samo, co całej reszcie kobiet po wkroczeniu Sowieców?

Marianna przytaknęła. Chłopak zaszlochał i ukrył twarz w dłoniach. Tamtego dnia już więcej ze sobą nie rozmawiali.

* * *

Poranek spędziła na spacerowaniu po wiosce. Od rana na ulicach i okolicznych polach panował dość ożywiony ruch. Mijała najemnych pracowników spieszących się do swoich zajęć, wozy wypełnione workami kierujące się w stronę okolicznych miast, a także plotkujące na ulicach, skromnie odziane kobiety. W pewnym momencie znalazła się ponownie w pobliżu obozu, jednak tym razem umysł Marianny chłodno analizował docierające do niej z zewnątrz bodźce. Widziała postaci przemykające między barakami, do jej uszu docierał nieokreślony harmider, który mógł dochodzić z placu apelowego, ale nie musiał, ponieważ mógł być wytworem wyobraźni dziewczyny, której umysł często kojarzył pewne fakty z jej wcześniejszymi doświadczeniami. Zacisnęła powieki, usiłując wyrzucić z głowy

skojarzenia z Ravensbrück, jednak obraz obozu nad jeziorem, pozornego rajy na ziemi, nie opuszczał jej.

Z powrotem była więźniem, dopiero co przybyła pociągiem do Fürstenbergu, stamtąd przewieziono ich ciężarówkami przez las. Czuła się dziwnie odprężona, może dlatego, że po wielu tygodniach zachłysnęła się świeżym powietrzem i widokiem innym niż twarze współtowarzyszek niedoli. Miejsce ich zsyłki nie wyglądało źle, biorąc pod uwagę krążące o obozach jenieckich opowieści – nie dostrzegła wiedz strażniczych ani stanowisk z bronią maszynową, jedynie płot pod napięciem. Prostopadłe, równo wytyczone uliczki i schludne, parterowe baraki dawały złudzenie, że oto znalazła się w małym niemieckim miasteczku.

Na spotkanie wyszły im trzy strażniczki. „Ustawić się w szeregu po pięć!” – krzyczały. Kobiety robiły to niezdarnie, toteż odliczanie nie szło sprawnie. Ponowiono próbę. „Po pięć!” – wrzeszczały strażniczki. Ktoś się zachwiał, więc odliczały od nowa. I tak jeszcze kilka razy, nim zadowolily strażniczki. Ich transport był spory, zatem odliczanie zajęło kilkadziesiąt minut. Marianna czuła, jak jej nabrzmiące od stania wiele dni w pociągu łydki nieprzyjemnie pulsowały. Wreszcie ostatnia z nowych więźniarek zakończyła odliczanie i kobiety zostały poproszone o rozebranie się.

Dookoła placu zgromadziła się grupka SS-manów wymieniających niewybredne uwagi odnośnie dziewcząt „z ostatniego transportu”. Strażniczki wybrały kilka kobiet i wręczyły im nożyczki oraz maszynki. Marianna powstrzymała łzy, gdy pukle jej ciemnych, grubych włosów opadały na ziemię. Znacznie bardziej upokarzająca była depilacja miejsc intymnych, „żeby nie zaległy się wszy”. W powietrzu unosił się ciężki, żelazny zapach krwi miesięczkowej i potu. Nie było czasu na bycie delikatnym i Marianna czuła pieczenie dobiegające z drobnych zacięć i ranek. Potem już tylko czekał je obowiązkowy prysznic w łaźni i oddanie rzeczy do depozytu. Szefowa strażniczek z pietyzmem odnotowywała, co posiadali jej podopieczni,

a następnie powieszała dobytek więźniarek, umieszczony w torbie z grubego papieru, opatrzony stosownym numerem, na hakach w pomieszczeniu obok. Następnie kobiety otrzymały przydział do baraku i musiały znaleźć łóżko w olbrzymiej, przeludnionej sali, po czym zgaszono światła.

„Nie jest aż tak źle” – myślała pierwszej nocy, nie mogąc zasnąć. Następnego dnia skierowano ją do pracy na okolicznej plaży. „Przynajmniej tu tego nie ma” – Marianna wróciła do rzeczywistości. Spojrzała na zegarek i cmoknęła z dezaprobatą. – Czas zmierzyć Thomasowi temperaturę.

* * *

Zastała chłopaka przy biurku. Zapisywał kartkę papieru, najwyraźniej wyrwaną bez pytania z notesu Marianny. Obok leżały wypełnione drobnym, niezbyt estetycznym charakterem pisma strony. Odnotował obecność lekarki w pomieszczeniu, gdyż uniósł głowę i powiedział:

– Oddaj to mojej siostrze, kiedy umrę.

Zerknęła na zapisane stronicie i przeniosła wzrok na Thomasa.

– W porządku – odparła, siadając na stojącym naprzeciwko łóżku polowym.

Kiedy chłopak zasnął, zabrała leżącą na biurku kopertę zaadresowaną do Grety. List nie był zapieczętowany, więc Marianna ostrożnie wysunęła wciśnięte do środka strony i rozprostowała je na kolanie. Wzdrygnęła się na myśl o poznaniu kolejnej, pozbawionej nadziei historii, a jednocześnie czuła coś na kształt niezdrowego podniecenia, ponieważ oto mogła przekonać się, czy młody Niemiec przeszedł przez taką samą gehennę co ona, czy cierpiał tak jak ona, gdy padł ofiarą pochodnej zbrodniczego systemu swojej ojczyzny?

Przekładała kartki z ręki do ręki, aż wreszcie zdecydowała się i zaczęła czytać.

Droga Siostrzo!

Wybacz, że Cię nie postuchałem tamtego dnia, kiedy jeszcze mieliśmy szansę ewakuować się ze Stettina i znaleźć schronienie u rodziny matki pod Weimarem. Uniosłem się honorem, zamiast patrzeć na dobro rodzeństwa i wszyscy za to słono zapłaciliśmy.

Nie chcę mówić o czasie, jaki spędziłem w naszej partyzantce, bo nie jestem z tego dumny. Zapytałabyś pewnie dlaczego, przecież zawsze głośno deklarowałem swoją miłość do naszej ojczyzny i gotowość oddania życia w jej obronie. Czy to nasz wróg mnie złamał i pokonał? Czy po miesiącach spędzonych w Potulitz na katorżniczej, wycieńczającej pracy stałem się upośledzoną wersją samego siebie? Nie, droga siostrzo, przemiana moja jest całkowita, bowiem spowodowało ją najpiękniejsze uczucie, jakiego doświadczamy w naszym istnieniu: miłość. Będziesz jednak musiała poczekać chwilę na dokładniejsze wyjaśnienie, gdyż najpierw opowiem Ci, jak się tu znalazłem.

Schwymano mnie na początku lipca. Byłem przygotowany na śmierć, jednak nie wpadliśmy w ręce Sowietów, tylko polskich milicjantów, którzy okazali nam litość i zamknęli w tymczasowym areszcie. Jednocześnie, o czym wówczas nie wiedzieliśmy, nasze akta osobowe zostały przesłane do sądu w Posen i tam też, zaocznie, wydano nam wyroki skazujące na pracę przymusową za działalność wywrotową zagrażającą bezpieczeństwu państwa polskiego. Mój wydał mi się szczególnie łagodny, bo zasądzono mi pięć lat prac przymusowych. Okolicznością łagodzącą był rzekomo wiek, uznano bowiem, że padłem ofiarą „szkodliwej indoktrynacji państwa hitlerowskiego”.

Do Potulitz trafiłem po niemal tygodniowej podróży pociągiem. Co rusz zatrzymywaliśmy się a to na jakiejś stacji, a to w polu i godzinami nie wiedzieliśmy, o której ruszymy ponownie. Doskwierał nam głód i pragnienie, gorsze jednak było wszechobecne robactwo wchodzące pod ubrania i gryzące, szczególnie nocą. Po przybyciu do obozu zagoniono nas pod prysznicę i ogolono głowy. Nie dostaliśmy obozowych uniformów,

co w późniejszym okresie dokuczyło dziewczętom, który przybyły do Potulitz w letnich, cienkich sukienkach.

Przydzielono nas do poszczególnych grup i poinformowano, że nasza praca jest nieodpłatna i to jedynie częściowe zadośćuczynienie narodowi polskiemu za doznane pod hitlerowską okupacją krzywdy. Trafłem do grupy robotników zajmującej się wyrębem drewna w okolicznych lasach. Był to bardzo ciężki i wyczerpujący fizycznie przydział. Mój dzień zaczynał się od pobudki o godzinie piątej i obowiązkowego apelu. Potem rozpoczynaliśmy pracę i kończyliśmy ją dopiero po zachodzie słońca. Dostawaliśmy zbyt mało jedzenia, by odbudować nasze siły: kubek ciemnego płynu będącego podobno kawą i pół bochenka chleba na osobę. Od święta śledzie. Po dwóch tygodniach już tak osłabłem, że ledwo trzymałem się na nogach.

Tego samego miesiąca w obozie wybuchła epidemia tyfusu i mój nadzorca, ponury, mściwy człowiek, oddał mnie do pomocy personelowi medycznemu. Od tamtej pory moim zadaniem było zanoszenie posiłków chorym i sprzątanie po nich. Choć, jak możesz się domyślać, sprzątanie ekskrementów i pozostałych wydzielin wywoływało we mnie obrzydzenie, to dziękuję jednak losowi, że nakierował mnie na tę, a nie inną drogę, gdyż to właśnie w baraku chorych poznałem moją miłość, Sulkę.

Sulka trafiła do Potulitz wraz ze swoją matką dwa miesiące przede mną. Pochodziły z niewielkiej kaszubskiej miejscowości nieopodal Gotenhafen. Ojciec Sulki był zamożnym rolnikiem i wybudował rodzinie okazały dom w malowniczej okolicy, pełnej jezior i uroczych zagajników. Pech chciał, że mężczyzna zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach, gdy Pomorze zostało opanowane przez Armię Czerwoną. Sowieci ograniczali się jedynie do konfiskaty żywności, Sulce i jej matce, o dziwo, nie wyrządzono żadnej krzywdy. Sytuacja zmieniła się diametralnie po przejściu tych terenów przez polską administrację. Wówczas w domu Sulki „osiedlono” polską rodzinę z Generalnego Gubernatorstwa. Matka mojej ukochanej usiłowała protestować, jednak ściągnęła na siebie

gniew nieprzychylnych jej urzędników, którzy postarali się o umieszczenie jej wraz z córką w obozie. Rzekomo za to, że ojciec Sulki podpisał listę.

Początkowo obie pracowały w kuchni i wiodło im się, jak na zaistniałe okoliczności, nie najgorzej, jednak jako jedne z pierwszych zachorowały. Sulkę poznałem już po śmierci jej matki. Strasznie mnie denerwowała, ponieważ odmawiała jedzenia i picia. Codziennie siadałem na jej pryczy z miską wypełnioną rzadką zupą, ona zaś łypała na mnie spode łba i kręciła gwałtownie głową za każdym razem, gdy próbowałem wetknąć jej łyżkę z płynem do ust. Z każdym dniem była coraz słabsza i nie reagowała równie szybko co na początku, toteż w końcu z nią wygrywałem tylko po to, by następnie ceremonialnie zwymiotowała wszystko, co zjadła.

– Zachowujesz się zupełnie jak moja młodsza siostra, tyle że ona jest mała i niewiele rozumie! – zachnąłem się i poszedłem po szmatę, by wytrzeć rzygowiny z drewnianej podłogi.

Kiedy wróciłem, Sulka zdołała zebrać w sobie resztki sił i usiadła na łóżku, opierając plecy o wypchaną słomą poduszkę. Dygotała, czasem niebezpiecznie przechylając się na jeden lub drugi bok, jednak była w stanie utrzymać równowagę.

– Nie jestem dzieckiem. Zwyczajnie nie chcę już żyć – odparła ochryplym głosem.

Uniosłem głowę i zobaczyłem, że patrzy na mnie. Wzruszyłem ramionami. Miałem jej po dziurki w nosie, przez fochy i wydziwianie dziewczyny spędzałem w baraku chorych więcej czasu, niż bym sobie tego życzył.

– Jak tam sobie chcesz, nic mi do tego. Władze obozu się ucieszą, na niczym innym im nie zależy – odburknąłem, wracając do sprzątnia.

Sulka jednak nie dawała za wygraną. Później tłumaczyła mi, że nie rozmawiała z nikim od tak dawna, że słowa same w niej wezbrały jak zbyt długo spiętrzana woda i coś w środku, jakiś rodzaj wewnętrznej blokady, pękło.

– Wszystkie osoby, dla których mogłabym żyć, odeszły – dodała. – Jestem ostatnia.

Wrzuciłem wilgotną, cuchnącą szmatę do wiadra z wodą i podniosłem się z kolan.

– Słuchaj, to naprawdę nie jest mój problem. Chcesz umrzeć, umieraj, ale wtedy o nich nikt nie będzie już pamiętał. Nikogo nie będzie obchodzić, co się z nimi stało, zupełnie jakby nigdy nie istnieli. Twoja sprawa. Ja wolę żyć, chociażby po to, by zrobić na złość wszystkim dookoła – odpowiedziałem z irytacją w głosie.

Dziewczyna zamilkła i odwróciła się w drugą stronę, by na mnie nie patrzeć. Następnego dnia nie opierała się i zjadła przydzieloną jej porcję. Dzień później również. Wydawało się, że wracają jej siły, gdy nagle nastąpił atak choroby. Przeżyła go, jednak wymagała rekonwalescencji, mnie zaś ponownie skierowano do wyřębu lasu.

Nie widzieliśmy się tygodniami, aż któregoś dnia znalazłem Sulkę kryjącą się w obozowym warzywniku. Jej ładna, okrągła twarz była zapuchnięta, oczy zaś czerwone od łez.

– Eeee... serwus, nie wiedziałem, że wypuścili cię już z baraku chorych – próbowałem niezdarnie nawiązać rozmowę.

Sulka skinęła głową, chlapiąc.

– Tak i nawet... zdążyli już mnie wynająć jednemu rolnikowi... ma gospodarstwo nieopodal obozu – wyjaśniła.

Przykucnąłem obok dziewczyny.

– I co, jest aż tak źle u niego? Praca na roli to dobra rzecz, dostajesz więcej jedzenia – powiedziałem.

Sulka uspokoiła się i teraz oddychała, głęboko i miarowo, by nie dopuścić do kolejnego wybuchu płaczu.

– Jest bardzo ciężko, ale wiem, że inni mają gorzej i nie przyszłoby mi do głowy się uskarżać – odparła. – Tylko... – zamilkła. – On lubi mnie dotykać – dopowiedziała po chwili.

– Dotykać? – zapytałem niepewnie.

Sulka przytaknęła.

– Niby niechący, ale to zawsze jest miejsce, które dotykasz, bo masz pewne intencje – rzekła. – Mierzi mnie to i brzydzi, a nie

mam komu się poskarżyć – zakończyła z rezygnacją.

Poczułem, jak wzbiera we mnie gniew.

– Gdzie mieszka ten rolnik? – zapytałem.

Sulka odparła, że nie zna dokładnego adresu, ale nie mówiła mi prawdy, czułem to. Nalegałem, więc w końcu opowiedziała mi, jak tam dojść z obozu. Kiedy skończyła wyjaśniać, spojrzała na mnie tymi swoimi smutnymi oczyma i zapytała:

– Chyba nie planujesz wpędzić nas obojga w tarapaty?

Zaprzeczyłem i powiedziałem jeszcze kilka banałów, by podnieść ją na duchu, jednak w głowie układałem już znacznie ambitniejszy plan. Wieczorem zgłosiłem się do zaprzyjaźnionego sanitariusza i poprosiłem go o poświadczenie, że jestem chory i tymczasowo nie nadaję się do pracy.

– Jestem wyczerpany i jeśli choć trochę nie odpocznę, padnę w tym lesie – powiedziałem.

Sanitariusz zawahał się, ale w końcu odrzekł:

– Zgłoś się do mnie jutro rano, to coś wymyślimy.

Następnego dnia pozwolono mi zostać w baraku z uwagi na „podejrzenie choroby zakaźnej”. Odczekałem, aż strażnicy zakończą obchód i wyszedłem z pomieszczenia, kierując się na tył budynku. Wmieszałem się w grupkę współwięźniów krzątających się po terenie obozu i obserwowałem. Kiedy nadarzyła się okazja (strażnicy byli zajęci dokładną inspekcją ciężarówki), udało mi się wymknąć na zewnątrz. Potem już podążyłem za instrukcją Sulki i wkrótce znalazłem się na terenie gospodarstwa, na którym zatrudniono dziewczynę. Ukryłem się w zbożu i czekałem. W końcu pojawiła się Sulka niosąca jedzenie dla świń. Postawiła wiadra przed wejściem do chlewu i odryglowała drzwiczki. Gospodarz zaszedł ją od tyłu. Nie widziałem, co robi, byłem źle ustawiony. Wybiegłem z pola i wpadłem z impetem na mężczyznę, rzuciłem go na ziemię. Rolnik wydarł się i po chwili pojawili się jego synowie. Odciągnęli mnie, a następnie odprowadzili z Sulką do obozu. Trafiłem przed oblicze komendanta, który oznajmił mi, że moją karą będzie „bunkier”.

Droga siostrze, kolejne dni pamiętam jak przez mgłę. „Bunkier” w żargonie obozu oznacza piwnicę wypełnioną lodowatą wodą. Osoba skazana na przebywanie w środku musi stać, dzień i noc, w wodzie sięgającej ramion, w całkowitych ciemnościach. Wydawało mi się, że spędziłem tam wieczność, w pewnym momencie nawet zobaczyłem Ciebie z Henriettą na rękach. Unosiłyście się nad wodą i patrzyłyście na mnie smutno. Kiedy mnie stamtąd wyciągnęli, okazało się, że minęły ledwie cztery dni. Od tamtej pory mam towarzyszący mi do dziś uporczywy kaszel.

Sulkę zobaczyłem ponownie dopiero tydzień po opuszczeniu „bunkra”. Złapała mnie wieczorem, gdy wracałem ze swoją ekipą z tartaku i wcisnęła mi do ręki mały tobołek.

– Pracuję teraz w kuchni, bo nikt nie chce mnie nająć – wyszeptwała. Jej jasne, niebieskie oczy lśniły, przepętnione optymizmem i nadzieją. – Bywa ciężko, ale jestem zadowolona.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek. Wzdrygnąłem się lekko, po czym dopadło mnie dziwne, nieznanne mi wcześniej uczucie, coś pomiędzy zadowoleniem a pragnieniem dalszych czułości. Koledzy z grupy zaczęli chrząkać, dając znać, że na nas już czas.

– To ten... zobaczymy się wkrótce – odparłem.

Sulka uśmiechnęła się i pobiegła w stronę obozu. Schowałem zawiniątko pod koszulę, by nie wzbudzić zainteresowania strażników. Po powrocie do baraku wcisnąłem je pod materac. Nocą, gdy moi sąsiedzi już spali, wydobyłem tobołek z kryjówki i go rozwinąłem. W środku znajdowały się kawałki kiełbasy, kilka papierosów oraz pszenna bułka. Mięso pochłonąłem od razu, bez zastanowienia, bowiem od momentu opuszczenia „bunkra” czułem się słaby i jeszcze głodniejszy niż wcześniej. Przyjemny, słodkawy smak kiełbasy na chwilę przeniósł mnie do lat naszego dzieciństwa, a także do domku letniskowego, który rodzice mieli nad samym morzem. Przypomniały mi się długie spacerunki po okolicznych wydmach i pikniki, na których mama serwowała rozmaite smakołyki z przepisów podpatrzonych u innych gospodyń

domowych. Pamiętasz tamte czasy, Greto? Pamiętasz, jak byliśmy wtedy szczęśliwi?

W następnych dniach wymieniłem papierosy na dodatkowe jedzenie i mój stan zdrowia minimalnie się poprawił. Widywałem się również częściej z Sulką, która ciągle podtykała mi pod nos a to kawałki gotowanego mięsa, a to wędzoną rybę.

– Skąd to masz? – zapytałem, podejrzliwie mierząc wzrokiem kolejną rację.

Dziewczyna wyszczerzyła radośnie zęby.

– Rodzina, dla której pracuję, dzieli się ze mną jedzeniem, jakbym była jednym z ich dzieci. Powiedziałam im, że mam w obozie brata, więc dostaję zawsze coś dodatkowo – odparła, zniżając głos do szeptu.

Nie wiedzieć czemu, stwierdzenie, że mógłbym być bratem Sulki, wywołało we mnie irytację.

– Chyba bardziej zasługuję na tytuł obrońcy niż brata – odburknąłem.

Sulka nie mogła opanować śmiechu.

– Masz rączki i nóżki jak patyki, ba, cały jesteś jak patyk! Bardziej przypominasz mojego kurczaczka niż postawnego obrońcę dam – naigrywała się.

Wypiąłem pierś dumnie do przodu i udawałem, że podobne komentarze nie robią na mnie żadnego wrażenia, lecz po chwili udzielił mi się nastrój towarzyski i oboje chichotaliśmy pod nosem.

W podobnej beztroskiej atmosferze spędziliśmy razem październik, ciesząc się jeszcze względnie długim dniem i wciąż ciepłymi wieczorami. Gdy starsi mieszkańcy obozu z niepokojem spoglądali na niebo, szepcząc po kątach o zbliżającej się zimie, dla nas wciąż trwało lato. Ograniczenia, które narzucał nam świat, były błahą przeszkodą. Potem jednak nadszedł listopad i temperatura spadła. Zimno wkradało się nocą do nieogrzewanych baraków, wystawiając przemęczone pracą ciała na kolejną próbę. Więźniowie próbowali się bronić przed chłodem na

różne sposoby, najpopularniejszym było podszywanie lub wypychanie, zależnie od możliwości, ubrań gazetami, by zapewnić sobie dodatkową izolację. Inni spali po dwie, trzy osoby na łóżku i wracali na swoje prycze nad ranem. Ja natomiast, owinięty szczelnie zużytym kocem, drżałem, czując, jak zimno przenika przez moje kości, jakbym ponownie stał w pomieszczeniu wypełnionym lodowatą wodą. Kaszel zaczął bardziej mi doskwierać i dopiero wtedy zauważyłem obecną w plwocinie krew. To właśnie odkrycie, nie chłód i inne niedogodności, zatręło mój optymistyczny, pełen nadziei nastrój. Nic nie powiedziałem Sulce ani kolegom z tartaku. Wiesz, co było w tym wszystkim najgorsze? Świadomość, że wszystko, co mnie spotkało, moje wysiłki, żeby ochronić Ciebie, Henriette, a potem Sulkę, nie miały większego sensu. Niczego nie zmieniłem, mój wpływ na świat, pozytywny czy negatywny, był zbyt nędzny, by miał jakiegokolwiek znaczenie, a teraz jeszcze zaczynało mi brakować czasu.

Przyszło Boże Narodzenie. Plac apelowy przyozdobiono świeżymi choinkami, na których strażnicy zawiesili świąteczne ozdoby. Staliśmy pośrodku, w szeregu. Strażnicy i personel obozowy, zebrani razem z nami na uroczystym apelu, zaczęli śpiewać „Cichą noc” po polsku. Natychmiast rozpozналиśmy melodię, choć słowa wydawały nam się dziwne, niemelodyjne. Wśród naszych słychać było westchnięcia, głośnie wciąganie powietrza, by powstrzymać łzy. W końcu nasze głosy, jeden po drugim, dołączyły do chóru, początkowo kalecząc polskie słowa, później zaś przechodząc całkowicie na niemiecki. Śpiewaliśmy donośnie, całkowicie zagłuszając Polaków, do tego stopnia, że przestali i patrzyli na nas ewidentnie zdumieni całą sytuacją. Choć nie rozumieli znaczenia pojedynczych słów, również ich serca rozpoznały naszą rozpacz i tęsknotę wyrażone poprzez prostą, uniwersalną melodię.

Strażnicy strzelili w powietrze, uciszając nas. Natychmiast zakończono apel, a więźniów zapędzono z powrotem do baraków.

Na początku stycznia Sulka oznajmiła mi, że została zwolniona z obozu i może wracać do domu.

– Żonę człowieka, który zajął nasz dom, musiało ruszyć sumienie, bo napisała odwołanie w mojej sprawie i poskutkowało – relacjonowała.

Poczułem ułknięcie w sercu. Dom. Sulka wciąż wierzyła w ten abstrakcyjny koncept, choć sama przyznawała, że nigdy nie odzyska własności rodziców. Będzie mogła w nim mieszkać, ale jako pracownica nowych właścicieli.

– Nie wiem, jak może cię to cieszyć – odparłem. – Nic tam już nie należy do ciebie, będziesz tylko gonić duchy.

Twarz dziewczyny stężała.

– A czy tu tego nie robię? – zapytała. – Czy nie straciłam tu matki, czy nie tracę ciebie, powoli, każdego dnia? – Spojrzała mi w oczy.

– Ty wiesz – jęknąłem, wstrzymując kaszel.

Sulka przymknęła oczy.

– Od samego początku – przyznała, spuszczać wzrok. – Musiałeś mieć to wcześniej, wiesz, tylko tutaj się ujawniło i pogorszyło. – Ścisnęła moją dłoń. – Mogłabym zostać, ale...

– Nie zostawaj! – zaprotestowałem tak gwałtownie, że aż podskoczyła. – Wybacz moje wcześniejsze narzekanie. Musisz stąd wyjść, być zdrowa i zostać nauczycielką, tak jak zawsze chciałaś – powiedziałem. – Tylko nie wracaj tam, nie oglądaj się na przeszłość, na duchy i przede wszystkim na mnie! Pamiętaj, co było, nie rozpamiętuj tego, co mogło być.

Nie wiedziałem, skąd w moich ustach wzięły się tak dojrzałe i mądre stwierdzenia, niemniej poskutkowały. Sulka przytuliła się do mnie i wyszeptwała:

– To niesprawiedliwe.

Ale gdy nadszedł czas zwolnienia z Potulitz, opuściła obóz, nie oglądając się za siebie.

* * *

Moje dalsze losy można podsumować w kilku zdaniach. Nie udało mi się utrzymać choroby w tajemnicy. Trafiłem w końcu do lekarza, jednak brak odpowiednich środków uniemożliwił

leczenie. Dopóki czułem się dobrze, kierowano mnie do innej, lżejszej od tartaku pracy. Pod koniec lutego jeszcze bardziej zaniemogłem i sądziłem, że resztę swoich dni spędzę w baraku chorych. Otrzymałem list od Sulki. Nie wróciła do domu rodzinnego, tylko zamieszkała w Bromberg i przysłała mi swój adres do korespondencji. Załączam Ci ten list i adres, żebyś powiadomiła ją w wypadku mojej śmierci.

W ostatnich dniach wydarzyło się coś niezwykłego, w czym miałaś swój udział. Otóż wyciągnięto mnie z obozu, ledwie trzymającego się na nogach i popędzono do wioski. Sądziłem, że znów idę do pracy w gospodarstwie, jednak, ku memu zdumieniu, wykupiła mnie polska lekarka, Marianna Palińska. Skąd wzięła się w Potulitz, doskonale wiesz, wszak to twoja przyjaciółka. Dziwna musi być ta więź, która połączyła was ze sobą, co nie oznacza, że nie lubię panny Marianny. Wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że jest pierwszym człowiekiem z krwi i kości, którego tu napotkałem. Jest w niej coś niezłomnego, rodzaj niezachwianej wiary w sens samego istnienia, nieważne jak słabego czy zniszczonego życiem.

Żałuję, że nie ma tu Ciebie i Sulki. W gorsze dni z trudem przywołuję w pamięci Wasze twarze, wiedz jednak i przekaz proszę, że Was kocham.

Thomas

Marianna złożyła kartki, wsunęła je do koperty i odłożyła na biurku. Odsunęła przepierzenie, po czym ostrożnie usiadła na skraju łóżka. Thomas wciąż spał, jego pierś unosiła się i opadała miarowo, choć z lekko rozwartych ust wydobywało się ciche rżenie. Przyłożyła grzbiet dłoni do czoła chorego. Gorączka nie odpuszczała. Lekarka wstała i podeszła do stojącego w kącie piecyka. Upewniła się, że dysponują wystarczającą ilością opału, włożyła swój wysłużony płaszcz i wyszła z izby na podwórko.

Było ciemno, jedynie z okien domu gospodarza dochodziło wątłe światło lamp naftowych. W oddali ujadały psy. Marianna

zaczepnęła świeżego powietrza i zadarła głowę. Jako mała dziewczynka interesowała się astronomią i stryj czasem wychodził z nią na dach ich kamienicy, by poobserwować gwiazdy. Potrafiła nazwać każdą konstelację, co potem, podczas służby w harcerstwie, a także w ruchu oporu, okazało się szczególnie użyteczne. Przestała patrzeć w niebo w Ravensbrück, ponieważ po całodniowej pracy była zbyt zmęczona, a kiedy znajdowała ostatki sił, widok małych, błyszczących w oddali punktów wywoływał w niej irytację. Teraz jednak umysł kobiety na nowo odnajdywał znane wzory, przypominał związane z nimi historie i uzupełniał resztę obrazu zatartą przez przetaczające się po nieboskłonie chmury. Marianna przysiadła na ławeczce przed izbą gospodarczą i długo wpatrywała się w górę, usiłując znaleźć odpowiedź na pytanie: co dalej?

* * *

Obudził ją warkot silnika i stłumione głosy przed izbą. Wstała chyżo z łóżka, narzuciła płaszcz na koszulę nocną i uchyliła drzwi. Przed budynkiem stał gospodarz i Jean-Pierre. Mierzyli się nawzajem nieufnymi spojrzeniami.

– Ach, pani doktor, dobrze, że pani wstała – powitał ją gospodarz. – Ten oto człowiek – wskazał lekceważącym gestem na Francuza – twierdzi, że pani go oczekuje, ja natomiast jestem zdania, że pani doktor nie jest z tych, co „oczekują” mężczyzn o takiej porze.

Marianna uśmiechnęła się w myślach, słysząc frazę „z tych, co oczekują mężczyzn”. Potrząsnęła głową.

– Nie, aczkolwiek ten mężczyzna jest mi znany. To dobry przyjaciel mojego stryja, przywiózł mnie tutaj – dodała szybko.

Gospodarz zerknął w stronę Francuza.

– Przyjeżdżam na prośbę twojego stryja – przemówił Jean-Pierre po polsku.

Spojrzenia Marianny i gospodarza spotkały się, aż wreszcie mężczyzna westchnął i powiedział:

– Skoro pani go zna, nie będę się wtrącał. Czy zajrzy pani później do mojej matki? Ostatnio niedomaga.

– Oczywiście – zapewniła go szybko Marianna, a gdy tylko się odwrócił, otworzyła drzwi szerzej i wpuściła Jeana-Pierre'a do środka.

Zapadła niezręczna cisza, przerywana charczącym oddechem Thomasa.

– Zostań tu, muszę się ubrać – poleciła wreszcie Marianna, wskazując mężczyźnie krzesło.

Wzięła czyste ubranie i przeszła na stronę chorego. Thomas już nie spał, niemniej widząc zmieszanie lekarki, odwrócił się i spuścił wzrok. Przebrała się szybko i podziękowała chłopakowi skinieniem głowy. Wróciła do Jeana-Pierre'a.

– Co tutaj robisz? – zapytała, opierając ręce na biodrach.

Podniósł na nią swoje duże, niebieskie oczy.

– Jest jeszcze gorzej, niż myślałem – powiedział cicho, jakby do siebie.

Marianna wykrzywiła twarz w grymasie. Nie była w nastroju na gierki.

– Co tam mamrocześ? – zapytała.

Jean-Pierre odchrząknął, a na jego twarzy pojawiły się wypieki.

– Przykro mi, że zostawiłem cię samą – powiedział. – Nie chciałem urazić twoich uczuć.

Marianna wzruszyła obojętnie ramionami.

– Powiedziałeś, co miałeś na myśli, a ja odpłacałam ci tym samym. Nie ma co udawać, nasze poglądy w tamtej kwestii znacząco się różniły – odparła. – Moje nadal pozostają takie same: zostanę ze swoim pacjentem aż do końca.

– Rozumiem – rzekł Jean-Pierre.

– Czyżby? – mruknęła Marianna, lecz zanim zdążyła wypowiedzieć cisnącą się jej na usta tyradę, zza przepierzenia wyłonił się Thomas.

Choroba odcisnęła na chłopaku swoje piętno, gdyż pomimo młodego wieku jego twarz miała surowy, dużo dojrzały wyraz,

niż wskazywałyoby na to młodzieńcze jeszcze ciało. Zmierzył Jeana-Pierre'a przenikliwym, pełnym bólu spojrzeniem, a następnie podszedł do Marianny. Lekarka zauważyła błąkający się na ustach Thomasa uśmiech, wyraz satysfakcji z wykonanego wysiłku i poczuła przyływ dumy. Wiedziała, że chodzenie nadwyręza jego siły, lecz uparcie pokonywał własne ograniczenia. Stanął u boku lekarki i wbił wzrok w Francuza. Nagle chłopak zachwiał się i uczepiwszy się rękawa Marianny, zaczął osuwać na ziemię. Jean-Pierre wyrwał się do przodu, by po chwili pomóc lekarce podnieść chorego i zanieść z powrotem do łóżka. Thomas dostał tak silnego ataku kaszlu, że Marianna zaczęła obawiać się najgorszego.

– Na półce, lekarstwo – powiedziała do Jeana-Pierre'a.

Francuz przyniósł jej butelkę z odpowiednim środkiem. Marianna wmusiła je choremu. Atak powoli ustępował, jednak chłopak był blady jak ściana.

– Musisz leżeć w łóżku przez jakiś czas, dobrze? – powiedziała, wycierając mu czoło. Thomas westchnął.

„Wie, co się niedługo wydarzy” – przeszło przez myśl Mariannie. – „Może już tego wyczekuje, jak starcy, z których pokolenia już nikt się nie ostał, otoczeni przez dzieci albo przez obcych”.

Wróciła na swoją stronę, lecz Jeana-Pierre'a nie było w izbie. Wyszła na zewnątrz.

– Czy mogę się na coś przydać? – zapytał Francuz.

Siedział tam, gdzie ona poprzedniego wieczoru. Przycupnęła obok.

– Jeszcze może kilka dni, a może już kolejny atak – rzekła z ciężkim sercem. – Nawet gdybyśmy przewieźli go do dobrego szpitala, to na tym świecie cudów nie ma.

– Jeśli mam być szczery, bardziej myślałem o tobie – przyznał Jean-Pierre.

– Ach – wyrwało się Mariannie. – Nie, ze mną wszystko w porządku. Co prawda bliskość obozu przywołuje niechciane

wspomnienia – zacisnęła dłoń w pięść i rozluźniła po chwili palce – ale nie jest to nic, z czym bym sobie miała nie poradzić.

– Czyli teraz pozostaje tylko czekać – podsumował Jean-Pierre.

Marianna już miała potwierdzić, gdy przypomniała sobie o liście i Sulce. Bromberg. Bydgoszcz. Może zdążą.

– Właściwie jest coś, co moglibyśmy jeszcze zrobić, jeśli jesteś gotów na krótką wyprawę – zaczęła Marianna.

Jean-Pierre zmarszczył czoło.

– Mów – zażądał.

* * *

Żona gospodarza zgodziła się zaopiekować Thomasem podczas nieobecności Jeana-Pierre'a i Marianny. Wyruszyli niezwłocznie, nie bacząc na złe warunki pogodowe. Choć odległość między Bydgoszczą a Potulicami była niewielka, to z uwagi na opady deszczu ze śniegiem jechali wolno.

– Jesteś pewna, że nie chcesz mojego płaszcza? – zapytał Jean-Pierre, zezując na rozcierającą dłonie z zimna lekarzkę.

– Podziękuję, przebywałam przez długie godziny na mrozie w zdecydowanie lżejszych ubraniach, więc nic mi nie będzie. Po prostu człowiek nigdy się do tego całkiem nie przyzwyczaja – odparła i opuściła dłonie.

Jean-Pierre odchrząknął i odburknął coś niewyraźnie, jednak widząc zirytowane spojrzenie Marianny, powtórzył:

– Co się z tobą właściwie działo? Mam na myśli: w obozie?

Lekarka uśmiechnęła się smutno.

– Wiesz, jesteś chyba pierwszą osobą, którą interesuje moja historia – odparła, przypominając sobie milczenie stryja, jego wzrok wędrujący od jej kulawej nogi po wciąż zbyt szczupły tors. Czasem, gdy przebywali sami, Mariannie udawało się wydobyć od niego skrawki opowieści, migawki z obozowego życia, lecz za każdym razem, gdy była gotowa, by opowiedzieć o sobie, napotykała na stanowczy opór.

– Cóż, czy tego chcemy czy nie, to teraz część nas samych – odparł Jean-Pierre. – Mogę ci opowiedzieć o swoich przeżyciach,

ale przypuszczam, że nie będą się one zbyt różnić od tego, co mogłaś już słyszeć od swoich kolegów albo rodziny. Ale obóz tylko dla kobiet... – Pokręcił głową. – Tego jeszcze nie było.

– Ach, zatem pytasz z ogólnej ciekawości? Nie ze szczególnego zainteresowania moją osobą.

– Ciekawisz mnie, ale nie tak, jak ci się może wydawać. Mam kogoś – odpowiedział Jean-Pierre, nie odrywając wzroku od drogi. – Tutaj, w Polsce.

Marianna była zaskoczona. „Chociaż, czy powinnam być?” – zapytała samą siebie. W Ravensbrück słyszała o różnych rodzajach zażyłości między więźniami a strażnikami, tudzież okoliczną ludnością, więc siłą rzeczy takie historie nie mogły ograniczać się do samego terytorium Niemiec. Mimo to poczuła coś w rodzaju rozczarowania, jakby jej relacja z Jeanem-Pierrem bezpowrotnie straciła urok niedopowiedzenia, jaki posiadają znajomości między mężczyzną a kobietą.

– To chyba dobrze – stwierdziła i natychmiast pożałowała swoich słów, jednak perorowała dalej: – Przynajmniej nie odczuwasz tak mocno swojej samotności.

– Odczuwam ją tym dotkliwiej – odciął się Jean-Pierre. – Jakby ta osoba stanowiła rodzaj balastu, który musiałbym zostawić, opuszczając Polskę. Przez całe życie cieszyłem się wolnością, zmieniałem otoczenie, kiedy mi to było na rękę i nie jestem przyzwyczajony do podobnego zobowiązania. Ech, to trudne do wyjaśnienia. – Machnął dłonią.

– Nie musisz, to nie moja sprawa – zapewniła go pośpiesznie Marianna. „Świetnie, teraz pomyśli, że coś do niego czuję” – uświadomiła sobie, kompletnie zbita z tropu. Było to uczucie dotychczas jej nieznanne. – Co do mojej historii, cóż, zostałam wybrana do eksperymentów medycznych. Początkowo nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, dostałam zastrzyk ze znieczuleniem i straciłam przytomność w drodze do sali operacyjnej. Kiedy się obudziłam, moja noga była zabandażowana, a ja nie miałam siły, by się podnieść. Nie czułam bólu, pojawił się

dopiero wieczorem, razem z bardzo wysoką gorączką. Moje współtowarzyszki, które przebywały w rewirze dłużej, zaczęły walić w ścianę, aż przyszła pielęgniarka i dała mi zastrzyk. Przez kilka kolejnych dni mój stan się pogarszał. Najgorsze były zmiany opatrunków, ponieważ moja rana jątrzyła się i przywierała do ligniny, więc zdzierano mi ją razem z kawałkami ciała. Pewnego dnia zostawili mnie z odkrytą raną i pozostałe dziewczyny wyjęły z niej potłuczone szkło i drewniane drzazgi. Potem nastąpiła kolejna operacja, która rozjątrzyła ranę jeszcze bardziej. Nie umiem powiedzieć, ile to trwało, jednak gdy wreszcie zwolniono mnie z rewiru, nie musiałam pracować fizycznie, zresztą nie byłam w stanie. Pod sam koniec, ze względu na moje wykształcenie medyczne, pozwolili mi pomagać przy chorych, których było coraz więcej. W dodatku z ewakuowanych obozów ciągle przybywali nowi pacjenci. W większości przypadków nie umiałam im pomóc, ponieważ brakowało nam wszystkiego. Mogłam jedynie patrzeć, jak odchodzą i... – głos Marianny załamał się.

Wjeżdżali na przedmieścia Bydgoszczy. Lekarka poleciła Jeanowi-Pierrowi zatrzymać się i zapytała spacerowiczów o spisany z listu Thomasa adres. Nakazali im jechać w stronę centrum. Palińska ugryzła się w język. O mało co nie wydała swojego największego sekretu. Pozwoliła ponieść się emocjom i teraz poprzysięgła sobie, że będzie bardziej powściągliwa. Na całe szczęście, Jean-Pierre nie drążył tematu, najwyraźniej uznawszy, że dalsze opowiadanie o obozie musi być niezdrowe dla jej psychiki. Oboje skupili się na znalezieniu dziewczyny.

* * *

Sulisława mieszkała w noszącej ślady kul kamienicy, przed którą zgromadziła się grupka kobiet otoczona zgrają małych, umorusanych dzieci.

- Mamo, mamo, mogę trochę cukru na kanapkę...?
- Mamo, a kiedy tata wróci z wojny?
- Mamo, mamo, zimno mi!

Matki odburkiwały coś w odpowiedzi, opędzając się od potomstwa. Wyglądały tak, jakby właśnie rozmawiały na istotny temat i co chwila przytakiwały sobie, aż ich włosy wychodziły spod zawiązanych na głowie chustek. Z podwórza dobiegały odgłosy gdakania.

– Przepraszam, szukam panny Sulisławy Nadolnej – zagaiła Marianna.

Kobiety zamilkły i obrzuciły lekarkę oceniającym spojrzeniem.

– Pani krewna czy kto? – zapytała stojąca najbliżej, zagryzając wargę.

– Kuzynka – skłamała Marianna.

Przyglądała się jej jeszcze przez moment, zatrzymując wzrok dłużej na podbitym futrem płaszczu i butach lekarki, niemniej po chwili odparła:

– Drugie piętro, mieszkanie na lewo. Ma tam pokój i ryje całymi nocami w książkach.

Na dźwięk słowa „książki” pozostałe kobiety prychnęły pogardliwie.

– W obłokach buja, droga pani! Musi jej pani te głupoty z głowy wybić!

– Jak kto w księdze dziadowskiej zapisany, to do pańskiej naraz nie przeskoczy!

– Ładna dziewczyna, lepiej niech sobie chłopą znajdzie, a nie będzie uniwersytety-srety kończyć, a potem z dziećmi problem!

Marianna westchnęła w duchu. Już kiedyś słyszała podobne gadanie, tyle że skierowane pod jej adresem. Podziękowała kobietom za informację i wspięła się po schodach na drugie piętro.

Drzwi do mieszkania były otwarte, ponieważ co chwila ktoś doń wbiegał lub zeń wybiegał. Marianna zastukała w futrynę. Z kuchni, krokiem kaczką, podeszła do lekarki postawna kobieta w średnim wieku.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytała.

Wzrok Marianny przykuł pojedynczy, gruby włos wyrastający z podbródka rozmówczyni.

– Emm, jestem krewną panny Sulisławy. Czy zastałam ją może?
– zagadnęła niewinnym tonem.

– Ano, niech pani wejdzie. – Gospodyni zaprosiła ją gestem do środka.

Mieszkanie składało się z czterech izb. Naprzeciwko drzwi frontowych usytuowana była kuchnia, w której obecnie gotowano kapustę. Tuż obok zauważyła salon, gdzie przesiadywały starsze dzieci bawiące się na podłodze.

– Na haczyku wisi klucz, jakby chciała skorzystać z toalety. – Gospodyni wskazała na bolec wbity w ścianę przedpokoju. – Na półpiętro trzeba pójść.

Marianna skinęła głową. Zajrzała do salonu i spostrzegła, że prowadzi on do jeszcze jednego pomieszczenia, jednak drzwi do niego były zamknięte. Przeszła obok gromadki dzieci i zapukała delikatnie.

– Proszę! – odpowiedział wysoki, damski głos.

Sulisława była zupełnie inna, niż sobie ją wyobrażała Marianna. Spodziewała się rumianej dziewczyny o płowych włosach i pełnych kształtach, a tymczasem dziewczyna była niska i drobna, miała wysokie, arystokratyczne czoło i wyraziste rysy twarzy. Przede wszystkim zaś wyglądała na czternaście, nie szesnaście lat. „Przypomina mi ją” – przeszło przez myśl Mariannie.

– Przepraszam, ale my się chyba nie znamy – powiedziała ostrożnie Sulka. Siedziała przy biurku zasłanym notatkami.

– Przychodzę w imieniu Thomasa – odparła Marianna, przypominając sobie powód swojej wizyty. – Jestem jego lekarką.

Na twarzy Sulki pojawiły się drobne zmarszczki.

– Lekarką? Pracuje pani w obozie? Czy przyjechała pani po mnie z Potulic? – wypowiedziała nieco nerwowym tonem ostatnie pytanie.

– Nie, nie – zaprzeczyła gwałtownie Marianna. – Wyciągnęłam Thomasa z obozu na prośbę jego siostry, mojej przyjaciółki, ale niestety, ze względu na jego stan zdrowia nie mogę go wywieźć z miasteczka – dodała.

Podbródek Sulki zadrżał.

– Czy on... jak długo jeszcze? – zapytała, a jej oczy stały się szkliste.

Marianna rozłożyła ręce.

– Kwestia dni, jeśli nie krócej – odparła. – Dlatego musisz ze mną jechać – dorzuciła natychmiast, widząc, że dziewczyna wstrzymuje łzy. – On cię potrzebuje.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie, nie, powiedział mi przecież, że nie chce, abym go takiego widziała – zaprotestowała, a w jej głosie Marianna wyczuła dobrze sobie znany lęk.

– Bo nie chciał, żebyś cierpiała, ale wierz mi, twoje cierpienie będzie tym większe, jeśli on umrze w samotności. Dystans nie złagodzi bólu, a tak przynajmniej nie będziesz sobie wyrzucać, że go opuściłaś – powiedziała Marianna. – Ale jeśli teraz stchórzysz albo odwrócisz wzrok, to jego przerwane życie zacznie ci w pewnym momencie ciążyć. Będziesz sobie stawiała coraz więcej pytań, zaczniesz roić różne scenariusze. A nade wszystko trawić cię będzie żal po utraconej szansie na pożegnanie.

Sulka wciągnęła nerwowo powietrze.

– Boję się. Nie wiem, czy starczy mi siły – odpowiedziała, podnosząc błagalne spojrzenie na Mariannę.

Lekarka chwyciła dłoń dziewczyny i ścisnęła ją.

– Będę przy tobie, obiecuję. A teraz chodźmy. – Wstała i wyciągnęła rękę.

Sulka złapała ją bez wahania.

* * *

Dojeżdżali do gospodarstwa. Marianna usiłowała wyteńczyć wzrok i dyskretnie sprawdzić, czy w budynku gospodarczym palą się światła.

– Ktoś stoi na zewnątrz – uprzedził ją Jean-Pierre i zatrzymał samochód na podwórku.

Marianna dostrzegła żonę gospodarza. Kobieta również ich zauważyła, gdyż pomachała i podeszła do samochodu.

– Pani doktor, dobrze, że pani wróciła. Źle z nim – powiedziała, zaczerpnąwszy tchu.

Siedząca na tylnym siedzeniu Sulka zbladła. Szczupłe dłonie dziewczyny zacisnęły się w pięści.

– Pomożesz mi? – zwróciła się do niej Marianna.

– Tak – odparła słabym głosem Sulka.

Thomas znajdował się w pozycji półleżącej, a na naciągniętym na tors kocu widniały świeże plamy krwi. Chłopak oddychał ciężko, z przerwami, jego półprzymknięte oczy były utkwione w jednym punkcie. Nastąpił kolejny atak kaszlu. W materiał piżamy i koc wsiąkały małe kałuże krwi. Nerwowo chwycił powietrze, a jego twarz wykrzywiła się z bólu. Marianna wiedziała, że chłopak kona powoli, w męczarniach. Każdy oddech okupowany był ostrym kluciem w klatce piersiowej, wyniszczone płuca pracowały ostatkami sił. „To straszna śmierć” – powiedziała jej niegdyś doświadczona lekarka w Ravensbrück. – „Najpierw odbiera ci siły, potem odgradza od ludzi, potencjalnie wyniszcza również twoich najbliższych i dopiero wtedy, po wielu tygodniach wygasza cię całkowicie. I w przeciwieństwie do niektórych schorzeń nie jest ci pisane odejście łagodne, we śnie, ani nagle i brutalne, acz krótkie. Nie, gruźlica kończy się pojedyńkiem, ostatnią walką, w której wygranym jest zawsze śmierć”. Marianna przygotowała się na to – w kufierku trzymała odpowiedni środek, który mógł oszczędzić Thomasowi agonii. Wcześniej była zdeterminowana, żeby mu go wstrzyknąć, gdy nadejdzie czas, jednak wtedy nie brała pod uwagę obecności Sulki. „I czy nie stanę się wtedy jak Oberheuser i inni?” – zapytała samą siebie w myślach.

Sulka usiadła przy Thomasie. Nie płakała, nie okazywała strachu. Uśmiechała się i mówiła coś łagodnym tonem w swoim dialekcie, który Mariannie wydał się cudaczną mieszaniną polskiego i niemieckiego. W pewnym momencie dziewczyna zreflektowała się i całkowicie przeszła na niemiecki:

– ...i wtedy staniemy, razem, na progu domu letniskowego nad morzem i codziennie będziemy moczyć nogi w Bałtyku. Już nigdy nie będziemy żyć z dala od wody, nasze wakacje nie będą miały końca.

Kaszel Thomasa na chwilę ustąpił, by zaraz zaatakować ze zdwojoną mocą. Marianna delikatnie pociągnęła Sulkę do tyłu, dziewczyna wstała, lecz nie puściła dłoni chłopaka. Lekarka słyszała dudnienie w uszach, które wzmogło się, gdy szła po strzykawkę. Otworzyła kuferek i nabiła ją pentothalem. Wróciła do młodych i wtedy opuściły ją siły. Nie potrafiła powiedzieć, czy to wzruszenie, czy też wspomnienie losów dawnych koleżanek, lecz brakowało jej odwagi, by wypełnić swoje postanowienie. Thomas zauważył strzykawkę w dłoni Marianny. Lekarka zawahała się jeszcze przez moment, po czym nakierowała igłę w dół i wylała truciznę na podłogę.

* * *

Thomas odszedł nad ranem. Gospodarz i Jean-Pierre wykopali grób na pobliskim cmentarzu, wystarczyła łapówka u urzędnika, by przymknął oko i zgoda księdza, poruszonego historią znajomości młodego Niemca z Sulką. Pochowali go na polskim cmentarzu, pod fałszywym, polskim nazwiskiem.

– To i tak lepsze niż to, co spotyka większość z nich – powiedział Jean-Pierre.

On również był przygnębiony śmiercią chłopaka i z zaniepokojeniem obserwował zachowanie Marianny. Lekarka cały poranek spędziła na przygotowywaniu ciała, potem zaś poszła z Sulką na długi spacer po okolicznych polach. Opowiedziała jej o Grecie i o swoim zamiarze znalezienia rodzeństwa przyjaciółki.

Po pogrzebie powoli szykowali się do powrotu do Szczecina.

– Czy mogę jechać z wami? – zapytała dziewczyna.

– Oczywiście. Myślę, że mój stryj nie będzie miał nic przeciwko – odparła Marianna.

Na twarzy dziewczyny pojawił się nieśmiały, przelotny uśmiech. Pojechali do Bydgoszczy po jej rzeczy, Mariannie udało się

zatelefonować do pana Palińskiego i zakomunikować mu swój powrót. Powiedziała także o Sulce.

– Może u nas przez jakiś czas zostać. Potem zobaczymy. – Usłyszała w odpowiedzi.

Podróż powrotna, o dziwo, upłynęła bez żadnych perypetii i do Szczecina dotarli następnego dnia wieczorem. Marianna otworzyła drzwi willi przy parku Quistorpa i ku swojemu zdumieniu w przedpokoju zastała dwie osoby: pana Palińskiego i łudząco do niego podobnego, nieco młodszego mężczyznę.

– Marianno. – Stryj odchrząknął. – Pamiętasz swojego ojca?

[3] Chodzi o Las Arkoński.

[4] Kościół Najświętszego Zbawiciela.

ANTRAKT



RAVENSBRÜCK, POCZĄTEK 1945 R.

Do bloku Marianny dotarła wiadomość, że wszystkie „króliki” mają zakaz opuszczania baraków aż do odwołania. Wiadomość zmroziła kobietom krew w żyłach, bo choć od samego początku żyły w strachu, iż naziści w końcu zdecydują się zlikwidować chodzące dowody swoich eksperymentów, to omijały je wszystkie dotychczasowe wywózki do „lepszyc obozów”.

– A więc jednak... – szepnęła koleżanka, z którą Marianna dzieliła pryczę.

Wieść rozniosła się błyskawicznie, gdyż zgromadzone w baraku kobiety nie rozmawiały o niczym innym, wiele z nich pochlipywało i złorzeczyło na Suhrena i pozostały personel obozowy. Marianna funkcjonowała niczym w transie. Dotychczas udawało się jej przeżyć dzięki wsparciu Krzysi i pozostałych „królików”, radowały ją drobne sukcesy, takie jak świadomość, że historia ich cierpienia jest już znana światu, nawet jeśli mało kto w nią na razie wierzył.

– Musimy zaprotestować! – oznajmiła hardo jedna z „królików”.
– Pokazać Suhrenowi, że ma więcej do stracenia, skazując nas na śmierć, niż pozwalając nam żyć!

– Problem w tym, że naziści nie mają już zbyt wiele do stracenia. Wiedzą, że przegrywają, Armia Czerwona nieubłaganie się zbliża. Mają świadomość nadchodzącego rozliczenia i to, czy w ostatnich dniach przeleją mniej czy więcej krwi, nie zmieni werdyktu – odpowiedziała inna.

Rozległy się ponure pomruki aprobaty. Krzysia wróciła ze szklistymi oczami i pobladłą twarzą. Przyklękła obok pryczy Marianny i złapała przyjaciółkę za rękę.

– Nie wierzę... musi być inne wyjście. Nie mogą was po prostu... wymazać – powiedziała z oburzeniem.

– I nie wymażą! – podchwyciła blokowa. – Nie pozwolimy im na to! Ukryjemy was!

Marianna potrząsnęła głową.

– Wtedy same narazicie się na niebezpieczeństwo – odparła, wstając z wysiłkiem z pryczy. Rozejrzała się dookoła i zauważyła, że w baraku znalazło się kilkanaście więźniarek z innych bloków, w tym kilka kobiet jeńców-wojennych ze Związku Sowieckiego.

– Nie, jeśli zastąpimy was innymi kobietami. Ochotniczkami – skontrowała blokowa.

Wtem wystąpiła jedna z Rosjanek, pracująca w ekipie zajmującej się elektryką.

– Mogą odciąć czasowo dopływ prądu podczas jutrzejszego apelu – zaoferowała. – Jest zima, więc minie sporo czasu, nim zacnie świtać i ktokolwiek podejmie się naprawy. Kupimy sobie wystarczająco dużo czasu, by przemieścić „króliki” w bezpieczne miejsca.

Pomysł zyskał aprobatę mieszkanek polskiego baraku i rozpoczęto przygotowania do relokacji „królików”. W przeciągu kilku godzin zgłosiło się wiele kobiet chętnych, by zająć miejsca młodych Polek. Marianna była na równi zaszokowana, jak i wzruszona ich gotowością na śmierć. Część dziewcząt stanowczo odmawiała przyjęcia takowych propozycji, jednak oferujące były równie nieugięte.

– Musicie opowiedzieć światu, was posłuchają – argumentowały ochotniczki. – Gdy na własne oczy zobaczą, co was spotkało, będą musieli uwierzyć.

Udało się zorganizować prymitywny aparat fotograficzny i wszystkie uczestniczki eksperymentów zrobiły zdjęcia swoich zdeformowanych kończyn, na wypadek gdyby plan się nie powiódł.

– Zostanę na swoim miejscu – poinformowała blokową Marianna. – Nie chcę, żeby ktoś się za mnie poświęcał.

Kobieta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Mam już osobę na twoje miejsce – powiedziała.

– Kogo? – Marianna zmarszczyła brwi.

Odrzuciła propozycję jednej Ukrainki, która opowiedziała, że jest śmiertelnie chora i nie zrobi to jej różnicy. Myśl, że ktoś miałby umrzeć za nią, gdy wyzwolenie było w zasięgu dłoni, wydawała się panie Palińskiej zbyt okrutna.

– Krzysia się zgłosiła – odparła blokowa.

Marianna nic nie odpowiedziała, tylko niezwłocznie zaczęła szukać przyjaciółki. Znalazła ją w towarzystwie hrabiny, gdy przysłuchiwała się długiemu wywodowi na temat sztuki antycznej.

– Nie możesz tego zrobić – syknęła, gdy Krzysia odwróciła się w jej stronę.

– Mogę i zrobię, nawet jeśli będzie to wbrew twojej woli – odparła Krzysia, dumnie unosząc głowę. – Powinnaś mieć więcej wiary, Marianno. Tak być musi.

Lekarka zacisnęła mocno pięści, aż poczuła, jak krew jej odpływa z palców.

– Nigdy się na to nie zgodzę – odrzekła i wróciła na swoją prycz.

Następnego dnia wypędzono ich na zewnątrz o godzinie trzeciej trzydzieści w nocy. W lekkich, bawełnianych ubraniach kobiety trzęsły się z zimna. Rozpoczął się kolejny, kilkugodzinny apel, którego celem było dołożenie kolejnej cegielki do ich fizycznego wyniszczenia. Zaczęło się odliczanie, które przy kilkudziesięciu tysiącach więźniarek trwało koszmarnie długo. Nagle światła zgasły i na placu rozległy się nerwowe krzyki. Potem wybuchło zamieszanie, więźniowie zaczęli przemieszczać się na wszystkie strony, obijając się o siebie. Marianna poczuła, jak para silnych, kościstych rąk ciągnie ją za ramiona i wyprowadza z epicentrum chaosu. Usiłowała stawiać opór, lecz jej przewodniczka najwyraźniej nie była sama, gdyż poczuła dłonie kolejnej osoby, przytrzymujące ją.

– Przestań się wiercić. – Usłyszała surowe upomnienie.

– Gdzie mnie prowadzicie? – zapytała Marianna.

– Mniej pytań – syknęto w odpowiedzi.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, a następnie zaczęto ją prowadzić po schodach w dół. W nozdrza uderzył ją charakterystyczny zapach rozkładu. Jęknęła.

– Postaraj się wytrzymać, później ktoś po ciebie przyjdzie – pocieszyła ją jedna z przewodniczek.

Zostawiły ją samą i poleciły nie hałasować. Marianna usiadła na wilgotnym podłożu i zaczęła macać dłonią otoczenie. Natrafiła na zimną, sztywną dłoń i natychmiast cofnęła rękę. Gdy tylko zaczęło świtać i prąd został przywrócony, lekarka znalazła się sam na sam ze stertą złożonych w kostnicy ciał. Chowała się za nimi za każdym razem, gdy grupa oczyszczająca szła na dół, żeby zabrać część z nich do krematorium.

Nazajutrz, tuż po apelu, przybyły po nią dwie krępe Polki z jej baraku. Przyniosły Mariannie nowe ubranie i poleciły się przebrać.

– A teraz chodź i staraj się normalnie stawiać stopę – doradziła jedna z nich.

Pomimo bólu lekarka starała się iść normalnie. Więźniarki doprowadziły ją do kolumny kobiet ustawionej nieopodal ciężarówki jadącej do jednego z podobozów w okolicy. Marianna spojrzała na więźniarki pytająco.

– Neustadt-Glewe – szepnęła jedna z oczekujących na transport kobiet. – A teraz stój spokojnie, bo zwracasz na siebie uwagę.

Zaczęto zapędzać je do środka ciężarówki. Strażnicy nie rozpoznali Marianny i wkrótce była już w drodze do nowego obozu.

CZEŚĆ TRZECIA POCZTÓWKI ZZA GRANICY



LWÓW, STYCZEŃ 1940 R.

Ignacy spacerował po pokoju z rękoma zaplecionymi za plecami. Od czasu do czasu, gdy ktoś otwierał drzwi od podwórza lub za oknem przejeżdżała furgonetka, przystawał i nasłuchiwał w skupieniu. Swoim zachowaniem irytował Mariannę, która siedziała przy biurku i energicznie kartkowała kolejne strony podręcznika od anatomii, starając się odegnać od siebie ponure myśli. „Powinnam wrócić na ostatni rok na uniwersytet i zdobyć kwalifikacje, niezależnie od obecności Sowietów” – myślała. – „W innym razie do czego się nadaję?”. Niefortunnie przerzuciła kolejną stronę w taki sposób, że na jej palcu wykwitła krwawa pręga. Uniosła kciuk do ust i zaczęła ssać ranę. Nie uszło to uwadze Ignacego.

– Mam poprosić Aleksieja o spirytus? – zapytał z troską.

– Do diabła z nim i z twoją troską! – odfuknęła gniewnie Marianna.

Ignacy oczywiście zdołał zakończyć swoją edukację, zanim wybuchła wojna, więc zasadniczo pozostawało mu jedynie przetrwać panujący dookoła chaos, później będzie mógł powrócić na należne sobie miejsce. Adwokat ze starej, szanowanej rodziny prawników, kultywujący tradycje swoich przodków. Jednak żeby to mogło nastąpić, ona, jego siostra, musiała również pozostać w ukryciu, inaczej mogłaby zdradzić miejsce pobytu Ignacego oraz swojego stryja.

„Jak zwykle to, czego ja chcę, nie ma znaczenia” – pomyślała z goryczą. W głębi duszy wiedziała, że jej oskarżenia są niesprawiedliwe, w końcu Sowietci odłączyli Wydział Lekarski od

Uniwersytetu Jana Kazimierza i stworzyli nową uczelnię, Lwowski Instytut Medyczny, i skutecznie uprzykrzali życie polskim studentom, a ona, ze swoim pochodzeniem, niemal natychmiast znalazła się na ich celowniku. Potem już było tylko gorzej, bowiem do mieszkania stryja wprowadził się sowiecki oficer, a następnie pojawiło się NKWD. Gdyby nie Aleksiej, zniknęliby podobnie jak wielu ich znajomych i sąsiadów.

Na czole Ignacego pojawiły się głębokie bruzdy.

– Marysiu, wierz mi, wiem, jak się czujesz, ale nie było innego wyjścia. W tym momencie nawet zatrudnienie u profesora Weigla nie zapewniłoby ci dostatecznej ochrony – rzekł Ignacy.

– Och, a teraz niby jesteśmy bezpieczni? – zadrwiła Marianna. – Myślisz, że na jak długo wystarczy życzliwość Aleksieja? I co będzie, kiedy już skończą nam się pieniądze? Zamierzasz wszystko wyprzedać, byleby tylko jakoś trwać, dzień za dniem, w nadziei, że coś się zmieni, gdy tak tu sobie beczynnie siedzimy? – Z drwiny przeszła do ataku.

Ignacy westchnął głęboko i pokręcił głową.

– Masz rację – przyznał po chwili. – Ale to wcale nie czyni naszego położenia łatwiejszym ani bardziej znośnym. Atak Sowietów, ich metody, stopień penetracji naszej społeczności kompletnie nas zaskoczyły. Na razie wszędzie króluje chaos, a ludzie nie otrząsnęli się po kapitulacji. Dlatego musimy jeszcze trochę wytrzymać, zniknąć na pewien czas. Później jakoś się ułoży – usiłował uderzyć w pozytywniejszą nutę.

Marianna przewróciła oczami.

– „Jakoś się ułoży”, „jakoś się ułoży” – przedrzeźniała Ignacego.
– Winszuję wspaniałego planu, z pewnością daleko nas zaprowadzi. A tak w ogóle, to od kiedy ty i stryj znów ze sobą rozmawiacie? – zapytała, przypominając sobie nagłe pojawienie się Ignacego tuż przed poddaniem miasta.

– Nie mogłem was zostawić – odparł krótko, odwracając się bokiem do siostry.

– I zapewne nie powiesz mi, skąd wiedziałeś, co się będzie działo, ani dlaczego przez ponad dwa lata nas nie odwiedzałeś – dopowiedziała za niego Marianna. Do dziś czuła ukłucie gniewu na wspomnienie straszliwej kłótni, jaka rozpętała się w gabinecie stryja i w wyniku której Ignacy z dnia na dzień zniknął z jej życia. Nie miała żalu do brata o eskalację konfliktu, nawet do pewnego stopnia rozumiała, że dla młodego socjalisty, sympatyzującego z Ukraińcami, koegzystencja z tradycjonalistą i endekiem, jakim był pan Paliński, już od jakiegoś czasu musiała stawać się coraz bardziej nieznośna. Bolał ją natomiast brak zaufania ze strony Ignacego.

– Zgadłaś i mam ku temu bardzo dobry powód – odgryzł się brat. – Ale dzisiaj, jak nie będziesz marudzić, może poproszę Aleksieja, żeby pozwolił ci wieczorem dołączyć do naszego grona.

W mieszkaniu przyjaciela Ignacego z czasów studiów co wtorek zbierał się wąski krąg zaufanych znajomych. Przekazywali sobie wieści dotyczące wydarzeń we Lwowie i zabierali liściki pisane do pozostałych członków rodziny również przebywających w ukryciu. Marianna odnosiła się sceptycznie do Aleksieja i jego sympatyzującego z petlurowcami *entourage*^[5], mając w pamięci zachowanie ukraińskich studentów na uniwersytecie lwowskim, wolała trzymać się na dystans.

– Znakomicie, przynajmniej będziesz miał z kim porozmawiać, bo ja nie zamierzam się do ciebie odzywać. W ogóle – oznajmiła Marianna, a na jej ustach wykwitł złośliwy uśmieszek.

Ignacy zacisnął wargi, lecz nie zripostował słów siostry. Obrócił się na pięcie i opuścił poddasze. Marianna odczekała, aż zapadnie zmierzch i do drzwi skromnego mieszkania zaczęła pukać zaufani Aleksieja. Wtedy otworzyła okno i wyszła na dach od strony podwórka, by móc w spokoju obserwować nocne niebo.

* * *

SZCZECIN, KWIECIEŃ 1946 R.

Najpierw zajrzała do pokoiku Grety. Zastała Niemkę na łataniu wysłużonego munduru Wojska Polskiego, zapewne należącego do

ojca Marianny. Sulka stała na półpiętrze, czekając, aż zostanie poproszona do środka.

– Udało się? – zapytała Greta, unosząc na learkę swoje duże, niebieskie oczy.

– Tak. Znalazłam Thomasa – odparła Marianna, czując w gardle niewidzialną gulę.

Greta chłonęła wzrokiem jej twarz i po chwili odpowiedziała:

– Och, rozumiem. – Odwróciła wzrok w stronę okna. – Jak?

– Gruźlica – powiedziała Marianna. – W zbyt zaawansowanym stanie, by podjąć leczenie.

Wyciągnęła list Thomasa z torebki i położyła go na biurku, tuż obok spodni od munduru.

– To nie wszystko – dodała. – Jest ktoś, kto chce cię poznać, ktoś, kto był bardzo bliski twojemu bratu.

Greta w milczeniu skinęła głową. Marianna wychyliła się i przywołała Sulkę gestem. Młoda Kaszubka weszła do pokoju niepewnym krokiem, rozglądając się na boki. Gdy zauważyła Gretę, podbiegła do niej i mocno ją przytuliła. Niemka, najpierw zaskoczona, odwzajemniła ten gest. Z boku wyglądały niemal jak rówieśniczki, obie drobne, o jeszcze dziecięcych rysach twarzy.

– To jest Sulisława, eee, towarzyszka twojego brata – przedstawiła dziewczynę Marianna.

– Patrz, a matka zawsze mówiła, że z tym nosem Thomas sobie piękności nie znajdzie – powiedziała Greta. – A jednak się skubańcowi udało.

Sulka zarumieniła się, lecz widać było, że odczuła ulgę. Wcześniej wydawała się Mariannie nadmiernie skrepowana, wręcz przerażona nadchodzącym spotkaniem.

– Cóż, z pewnością będzie wam się łatwiej rozmawiało beze mnie – zagaiła learka i powoli zaczęła wycofywać się w stronę drzwi, gdy nagle zatrzymała ją uwaga Grety:

– Twój ojciec jest wspaniałym człowiekiem. Na pewno ucieszyłaś się, widząc go całego i zdrowego.

Marianna zeszywniała. Dotychczas temat jej rodziców nie istniał, stryj pracowicie wymazał jakiekolwiek ślady ich obecności z życia swojego bratanka i bratanicy. Po jakimś czasie ona sama nie potrafiła przypomnieć sobie, jak wyglądali, kim byli i poza jednym krótkim epizodem nie wykazywała większego zainteresowania nimi.

– Pan Paliński jest moim prawdziwym ojcem – odpowiedziała Marianna. – I nie wiem, czy potrzebuję drugiego.

Greta przekrzywiła głowę, przez co wyglądała jak figurka psotnej wróżki.

– Może to on potrzebuje ciebie – stwierdziła.

– Może – odparła zdawkowo Marianna i zostawiła Gretę i Sulkę same.

„Szkoda, że nie ma ze mną Ignacego. To by mu się spodobało: wychodząca po latach prawda o naszej rodzinie i ostateczne potwierdzenie, że nie byliśmy zwykłymi podrzutkami i istniał jakiś wznioślejszy powód naszej niedoli. I wtedy mogłabym mu zadać to samo pytanie, które stawiałam za każdym razem, gdy opowiadał o prowadzonych przez siebie sprawach: i jak to zmienia naszą obecną sytuację?” – pomyślała, z wolna kierując swoje kroki ku salonowi.

* * *

– Mam coś dla ciebie – oznajmił na wstępie ojciec. Wręczył Mariannie złożony kawałek materiału. Dziewczyna rozłożyła go i rozpoznała jedwabną chustkę, którą podarowała Ignacemu na kilka dni przed rozpoczęciem wojny. Pośrodku rombu widniała rdzawa plama krwi.

– Skąd to masz? – zapytała Marianna, ściskając materiał w dłoniach.

– Byłem przy Ignacym, gdy poległ – odpowiedział ojciec, a przez jego twarz przeszedł grymas bólu. – Stało się to podczas naszej ostatniej walki, osaczyli nas. Ktoś musiał sypnąć, bo znali naszą pozycję. Nie chciałem go tam zostawiać, ale...

Marianna uniosła dłoń, powstrzymując ojca przed dalszą opowieścią.

– Mój brat nie żyje – powiedziała cicho. – Dotychczas łudziłam się, że może dowództwo się pomyliło, ale ty zabiłeś go teraz po raz drugi, naprawdę. Wtedy, kiedy mi powiedzieli, oplakiwałam go z całego serca, teraz zaś nie została już we mnie nawet odrobina rozpacz. Tylko to ssanie w żołądku i smutek, gdy chcę mu coś powiedzieć, a jego już nie ma. I powolne zapominanie, rozkład więzi, która oddziałuje jeszcze po śmierci drugiej osoby. A potem z wolna wypycha ją nowa rzeczywistość, świeże twarze. Najgorszą rzeczą jest nieumiejętność trwania w rozpacz, w pierwotnym szoku po utracie, ponieważ tylko wtedy potrafimy przekroczyć barierę dzielącą nas od umarłych, czuć ich obecność. Potem stają się cieniem, zepchniętym gdzieś we wspomnienia.

– Nie wiedziałem, że lubisz filozofować – zauważył ojciec.

Marianna potrząsnęła głową.

– Filozofować? Skądże, to mój brak wiary pozwala mi dostrzec własne ograniczenia i wątpić w to, co widzę – odrzekła.

Ojciec zmrużył oczy.

– W tym jesteś z pewnością podobna do swojego brata – stwierdził.

– Skąd to możesz wiedzieć? – odparła Marianna, rozgniewana tonem rodzica. – Nigdy nas przecież nie poznałeś. A teraz co? Pojawiasz się znikąd i czego oczekujesz? Że wszyscy się poznamy i sobie wybaczymy? – Przeniosła wzrok na stryja, który siedział nieruchomo i gwałtownie pobałdł.

– Znałem Ignacego. Odnalazł mnie sam, na własną rękę, i odwiedzał w czasie wolnym. Nie wiem, z jakiego powodu nigdy ci o tym nie powiedział, może uznał, że nie jesteś wystarczająco dojrzała – odparował ojciec, nieporuszony tonem córki.

Marianna oddychała głęboko, usiłując się uspokoić, jednak nie mogła znieść, że ten człowiek śmiał powoływać się na Ignacego.

– A może zwyczajnie wiedział, że żywy czy martwy, nie jesteś mi do niczego potrzebny. Zresztą, siedzisz tu, wypucowany

i najedzony niczym zadowolony z siebie wieśniak i ośmielasz się prawić mi morały? Przesiedziałeś całą wojnę w ukryciu i teraz przyjmujesz rolę sędziego? – Marianna nie była przyzwyczajona do stawiania się starszym członkom rodziny, toteż jej głos chwiał się i załamywał. Dostrzegła złość w oczach ojca. Dobrze, jej słowa trafiły w czuły punkt.

– Zachowujesz się jak dziecko i tak też będę cię traktował – odparł.

Marianna fuknęła głośno.

– Nie masz prawa do traktowania mnie jakkolwiek – odcięła się.

– Marianno... Henryku... dość już tego – powiedział stryj, unosząc dłonie.

Dziewczyna zwróciła się w stronę krewnego. Wydał się jej zmęczony i starszy niż zazwyczaj. „Byłam tak skoncentrowana na Grecie i swoich problemach, że nie zauważyłam, jak stryj mnie potrzebuje” – zauważyła gorzko.

– Dobrze, ojcie – odparła stryjowi. – Jestem zmęczona po podróży, pójdę teraz trochę odpocząć.

I opuściła salon. Zatrzęsnęła drzwiami do swojego pokoju i zaczęła przeglądać stertę listów, które przysłyły podczas jej pobytu w Potulicach, jednocześnie nasłuchując. W całym domu panowała cisza, przerywana jedynie odgłosami załączającego się piecyka gazowego.

* * *

Nad ranem obudziło ją łomotanie w drzwi.

– Wstawaj, idziemy. – Ojciec, bez ostrzeżenia, wkroczył do pokoju.

Marianna skwitowała polecenie uniesieniem brwi.

– Nigdzie z tobą nie idę – oświadczyła, przecierając oczy. – A już na pewno nie o takiej nieludzkiej porze.

– Owszem, pójdziesz ze mną, ponieważ razem prowadzimy praktykę lekarską. Zostało to oficjalnie zgłoszone i mamy już pierwszych pacjentów, więc nie marnuj ich czasu i ubieraj się. – Ojciec nie dawał za wygraną. – Chyba że twój dyplom służy

jedynie jako dekoracja salonu mająca na celu zwiększenie twoich szans na znalezienie męża. W takim wypadku możesz się wylegiwać w łóżku cały dzień.

Marianna rzuciła ojcu nienawistne spojrzenie, jednak wstała i, nieco kulejąc, podeszła do szafy. Wybrała elegancki, acz wygodny kostium, który kupiła od pewnej Niemki na Turzynie i wróciła do łóżka. Chrząknęła znacząco, lecz ojciec ani drgnął.

– Najpierw chcę zobaczyć twoją nogę – oznajmił, tym razem bez drwiny.

Marianna oparła kończynę na ramie łóżka i powoli podwinęła koszulę, odkrywając zdeformowane udo. Ojciec delikatnie objął dłońmi skraj zdrowej części nogi i zaczął ugniatać, przesuwając się coraz wyżej, aż dziewczyna syknęła z bólu.

– Jak źle? – zapytał.

– Nie boli tak jak na samym początku, ani nawet jak po operacji ponownego złożenia nogi w Szwecji, ale intensywny wysiłek, obciążanie kończyny z reguły źle się kończą – odpowiedziała. – Staram się wzmocnić mięśnie, ćwiczyć, ale powoduje to niewielką poprawę.

Ojciec mruknął potakująco.

– Cokolwiek byś nie zrobiła, do końca życia pozostaniesz kaleką – zawyrokował.

Marianna zasłoniła nogę i zacisnęła mocno wargi. Nienawidziła tego słowa, natychmiast kojarzyło się jej z nazistowskim określeniem: „życie niewarte przeżycia”. Kaleka, bezużyteczny rak na tkance społeczeństwa, obciążenie dla państwa i dla rodziny. Osoba, której przeznaczeniem powinna być śmierć. Jeszcze w trakcie studiów powtarzała to słowo z wymuszonym współczuciem, choć tak naprawdę czuła pogardę. Była ona mniejsza w wypadku osób starszych, gdzie ułomność rozwinęła się wraz z ogólną degeneracją ciała, natomiast wzrastała wobec młodych, często będących sprawcami własnego nieszczęścia. Teraz zaś sama znalazła się po ich stronie, w tłumie jednostek zasługujących na litość i niewiele poza nią. „Więc jednak

odebrałam w życiu lekcję pokory” – pomyślała, z dumą unosząc głowę.

– Męża może nie znajdę, ale wciąż mogę być użyteczna – stwierdziła.

Odpowiedział jej równie ponurym spojrzeniem co poprzednio, lecz tym razem odwrócił się, by mogła włożyć ubranie. Weszli do przedpokoju i Marianna już sięgała po swój płaszcz, gdy ojciec zatrzymał ją słowami:

– Nasza pierwsza pacjentka jest na górze. – Wskazał głową wyższe piętro.

Zapukali do pokoju Greta. Młoda Niemka już była na nogach i krzątała się po izbie, ścierając kurze i porządkując walające się na półkach książki.

– Gotowa na badanie? – zapytał ojciec, kładąc torbę z przyrządami na podłodze.

Dziewczyna potwierdziła. Przysiadła na łóżku, zdjęła bluzkę i odwróciła się do lekarza plecami. Ojciec zaczął od sprawdzenia płuc, potem przeszedł do słuchania serca.

– Głęboki wdech i wydech – polecił.

Marianna stała nieopodal i utkwiała wzrok w szczupłym tułowiu przyjaciółki. Greta, pochwyciwszy jej spojrzenie, łagodnie uniosła brwi, po czym puściła do lekarki oko.

Ubrała się ponownie. Ojciec wyciągnął okazałych rozmiarów notes i nakreślił w nim kilka słów.

– Bierzesz przepisane lekarstwa? – zapytał.

– Tak – potwierdziła Greta.

Lekarz rzucił jej surowe spojrzenie zza krawędzi notesu.

– Wczoraj widziałem, jak niosłaś wiadra z węglem. Nie wolno ci podejmować większego wysiłku fizycznego – zrugął dziewczynę.

– Pracuję tutaj. Jak mam być użyteczna, skoro doktor zabrania mi robić cokolwiek? – oburzyła się Greta.

Ojciec przez chwilę mierzył Niemkę wzrokiem, po czym odpowiedział:

– Gotowanie i lżejsze prace wykonywać możesz. Resztę niech robi ta młoda Kaszubka, którą Marianna przywiozła ze swoich wojaży. A ty, moja droga, masz się oszczędzać, w przeciwnym razie nie będziesz się za długo cieszyć jej towarzystwem.

Greta nie wyglądała na przekonaną, niemniej nie ośmieliła się zaprotestować.

Opuścili dom przy parku Kasprowicza i skierowali swoje kroki w okolice placu Grunwaldzkiego, a następnie ulicy Krzywoustego. Ich pacjentami byli w większości biedni ludzie, wielodzietne rodziny gnieźdzące się w jednym, maksymalnie dwóch pomieszczeniach w starych kamienicach. Cierpieli na szkarlatynę, gruźlicę, powikłania po tyfusie. Czasem przechodzili zwykle przeziębienie albo grypę, częściej czerwonkę i choroby wynikające z niedożywienia. W izbach zazwyczaj panował chłód, widać było wyraźne braki w higienie. Ojciec niestrudzenie osłuchiwał, opukiwał, słuchał zażaleń. Pokazywał, jak wykonać mające przynieść ulgę proste ćwiczenia. Instruował również Mariannę. Rzadko kiedy brał pieniądze, choć ludzie wciskali mu tych kilka zaoszczędzonych złotych. Pacjenci darzyli go dużym szacunkiem, proponowali herbatę i poczęstunek, jednak on nieodmiennie uprzejmie odmawiał. Zachowywał się zupełnie inaczej niż wobec rodziny, był cierpliwy i dla każdego znajdował słowa otuchy. Marianna z niekłamanym podziwem dostrzegła, jak łatwo przychodziło mu nawiązanie więzi z pacjentami, coś, co przy jej rzeczowym i dość chłodnym obejściu praktycznie nie istniało. Ludzie poważali rady młodej lekarki, ale nie darzyli jej sympatią, nie traktowali jak swojej.

Ostatnim pacjentem był mały chłopiec skarżący się na silne bóle brzucha. Tym razem ojciec pozwolił Mariannie samodzielnie działać. Lekarka zaczęła od luźnej rozmowy, odciągając uwagę chłopca od badania. Wysłuchiwała zmartwionych rodziców i odsiała informacje istotne dla postawienia diagnozy. Uspokoiła ich.

– Niech dużo pije i na razie powstrzyma się od jedzenia w ogóle – powiedziała. – Zajrzę do państwa jutro wieczorem i jeśli nie

nastąpi pogorszenie, będzie mu można zacząć podawać kleik.

Nie przyjęła od nich zapłaty, ale wzięła kawałek ciasta drożdżowego „na kolację”. Zakończyli obchód późnym wieczorem. Na ulicach nie było już przechodniów, co jakiś czas napotykali jedynie stojące w bramach grupki mężczyzn raczących się alkoholem i palących papierosy. Ojciec poganiał Mariannę. Nikt ich nie zaczepiał, choć widzieli ciekawskie spojrzenia. Zawędrowali w okolice Bramy Portowej, więc czekał ich ponad półgodzinny spacer z powrotem. Z oddali widzieli słabo oświetlone ruiny katedry i gruzy otaczających ją dawniej kamienic.

– Szczecin to duże miasto, nowocześniejsze niż nasze na wschodzie – zauważył ojciec, rozglądając się dookoła. – Podoba mi się tu, jest sporo przestrzeni i człowiek nie wchodzi na człowieka.

– Jakby wyteńczyć trochę wyobraźnię, to centrum musiało robić wrażenie – odpowiedziała Marianna. – Na pewno łatwiej to dostrzec niż w Gdańsku.

– Ale tam jest bliżej do morza – rzekł ojciec. – Zawsze podobał mi się pomysł, by na stare lata przenieść się nad wodę. Lepszy klimat.

Marianna uśmiechnęła się. Choć nie było śniegu i mdłe światło latarni ulicznych padało na leżące w centrum sterty gruzu, to ten krajobraz wydawał się jej mniej przygnębiający niż na początku roku. Dostrzegła możliwości, przejawy inicjatywy, mniej ją drażniły doraźne rozwiązania, niedoróbki. Wciągnęła głośno powietrze w płuca.

– Pacjenci cię kochają – zauważyła.

Ojciec uśmiechnął się krzywo. Skręcili w aleję Pomorską, na skrzyżowaniu stały trzy osamotnione kamienice wystające niczym odłamki z pola gruzów.

– Kiedy opuściłem Lwów, żeby zamieszkać z twoją matką, trafiłem w okolicę zasiedloną w większości przez ukraińskich chłopów. Musiałem zdobyć ich zaufanie, żeby nas utrzymać, stąd też mam pewne metody – odparł. – Szacunek do naszego zawodu to jedno, ale żeby być lubianym, powinnaś rozumieć i szanować

prostych ludzi. Nie trzeba mówić ich językiem, wystarczy, że na chwilę zapomnisz o wyuczonym w domu zadęciu. Nie patrz tak na mnie – dorzucił, widząc spojrzenie córki. – Widziałem, że masz powołanie. Reszta to kwestia doświadczenia.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho Marianna, a jej myśli powędrowały do wydarzeń sprzed niemal dwóch lat.

* * *

RAVENSBRÜCK, PAŹDZIERNIK 1944 R.

Tamtego dnia doktor Treite wezwał ją do siebie. Blokowa, która dostarczyła wiadomość, spoglądała na Mariannę z niepokojem. Młoda lekarka wiedziała, co ją gnębi. Przez długi czas losem „królików” żył cały obóz i za każdym razem, gdy któraś z nich trafiała na rewir, współwięźniarki wstrzymywały oddech. Najpierw, pod koniec ubiegłego roku, obiecano im, że eksperymenty zostaną na zawsze zawieszono, jednak już w marcu kobiety poddano kolejnym operacjom. Teraz, gdy wreszcie dochodziły do siebie i powoli zaczynały chodzić, ponownie wzywano jedną z nich. Marianna przywołała na twarz uśmiech, jednak wychodząc, szepnęła do blokowej:

– Ostrzeż pozostałe króliki.

Na zewnątrz roilo się od nowo przybyłych. Marianna zerknęła przelotnie na stojący nieopodal namiot wojskowy, w którym upchnięto więźniarki z Warszawy oraz kobiety ewakuowane z innych obozów. Plotki głosiły, że w środku nie było światła ani wody, za latryny służyły ustawione dookoła konstrukcji skrzynki z wiadrami.

Nie wiedziała, co sądzić o nowych współtowarzyszkach niewoli. Wiele z nich przybyło do Ravensbrück z całym swoim dobytkiem, który później strażnicy oraz SS-mani wyrzucali na wielką stertę przed łaźnią. Czego tam nie było! Drogie futra, wystawna biżuteria, posrebrzane sztuce, ekskluzywna, jedwabna bielizna walały się po błocie, z wolna rozkradane przez pozostałe więźniarki lub ich nadzorców. Jednak samo bogactwo nie było tak szokujące, jak wiara niektórych kobiet w „ochronę” ze strony

Niemców. Marianna miała ochotę splunąć za każdym razem, gdy słyszała podobną historię.

Pozytywną stroną zwiększania liczby więźniów w obozie okazał się fakt, że strażnicy nie byli w stanie kontrolować ich tak dokładnie jak kiedyś, toteż otwarta wymiana myśli i wieści występowała na niespotykaną dotychczas skalę. Z zasłyszanych opowieści Marianna potrafiła odtworzyć w głowie przebieg powstania w Warszawie i wyobrazić sobie skalę zniszczeń. Najbardziej dotykały ją historie o poświęceniu młodzieży i dzieci, choć nie mogła zrozumieć, dlaczego dowództwo zdecydowało się na włączanie w swoje szeregi tak młodych osób.

Musiła przystanąć, ponieważ poczuła ostre ukłucie w nodze. W pobliżu bawiły się dzieci, jeszcze pulchne i pełne energii. Marianna uśmiechnęła się smutno. Efekty obozowej dyscypliny oraz żywienia najszybciej były widoczne właśnie w niknących dziecięcych ciałach. Ruszyła ponownie i trafiła do rewiru.

Przyjął ją sam Treite.

– Byłaś lekarzem? – zapytał.

– Skończyłam studia medyczne, ale niedługo potem trafiłam tutaj – odparła Marianna.

Pokiwał głową.

– Umiesz odebrać poród?

– Tak – odpowiedziała Marianna.

– Znakomicie – rzekł Treite. – Zostaniesz przydzielona do pracy na rewirze w charakterze położnej. Liczba ciężarnych w obozie tak wzrosła, że nie jesteśmy w stanie egzekwować dawnych zasad.

„Zasad, czyli dokonywania aborcji” – pomyślała Marianna. – „Wszyscy wiedzą, jakiego typu zabiegi wykonuje się tu najczęściej”. Wyprężyła się na tyle, na ile pozwalała jej wciąż niedomagająca kończyna.

– Zgadzam się, ale odmawiam udziału w jakichkolwiek działaniach na szkodę nowo narodzonych dzieci – zastrzegła, wiedząc, że za podobne słowa grozi jej „bunkier”.

Treite jednak jedynie spojrział na nią z ukosa i wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że masz być położną, nic więcej – powiedział.

Marianna wraz z kilkoma innymi pielęgniarkami i lekarkami przygotowała odpowiednie pomieszczenia dla ciężarnych i małych dzieci. Wszystko było tak sterylne i czyste, jak tylko pozwalały na to warunki. Wkrótce też zaczęła się fala porodów. Czasem były wzywane do różnych części obozu, gdzie ciężarna akurat zaczynała rodzić, asystowały jej, po czym odsyłały ją do baraku, a dziecko zabierały do specjalnej izby na rewirze.

Noworodki były śliczne i zaskakująco ciężkie. Marianna nie mogła uwierzyć, że z wycieńczonych ciał kobiet wychodzą na pierwszy rzut oka zdrowe dzieci.

– Tyle że one wcale nie są zdrowe. Są napuchnięte od wody – zauważyła kiedyś jedna z pielęgniarek, lecz pozostałe zgromiły ją spojrzzeniami. Chciały wierzyć, że choć raz przyjdzie im komuś pomóc, że przestaną w bezsensowny sposób tracić życia. I rzeczywiście, początkowo dostały nawet porcje mleka dla noworodków i maluchy rozwijały się normalnie, potem jednak racje drastycznie zmniejszono i dzieci zaczęły głodować.

Marianna czuła, jak jej serce szaleńczo przyspiesza za każdym razem, gdy otwierała drzwi do izby noworodków. Maluchy, głodne i pogryzione przez wychodzące nocą szczury, odchodziły jedne po drugim. Zrozpaczone matki, stojące często po kilkadziesiąt minut, nim pozwolono im wejść do środka, z przerażeniem obserwowały, jak ich pulchne pocięchy zamieniają się w pomarszczone, przypominające starców, wysuszone skorupy.

– Podobno w paczkach przysyłanych przez Czerwony Krzyż znajdują się puszki z mlekiem w proszku – szeptały między sobą kobiety.

Wszyscy jednak wiedzieli, że przesyłki są kontrolowane i rozkradane przez SS-manów i strażniczki. Niektóre matki usiłowały odroczyć nieuniknione i ukradkiem podawały dzieciom

papkę z wody i chleba lub samą wodę, lecz młode organizmy domagały się mleka i podobne zabiegi na niewiele się zdawały.

Jakiś czas później, gdy liczba dzieci zwiększyła się do ponad pięćdziesięciu, jedna z pielęgniarek wezwała Mariannę do siebie i pokazała jej opakowanie z mlekiem w proszku.

– To wszystko, co na razie dostaniesz – powiedziała, kładąc je na biurku przed sobą i wyszła. Marianna schowała pudełko pod swoim luźnym, obozowym uniformem i wróciła na rewir. Nie powiedziała nikomu o podarunku pielęgniarki, bojąc się, że zdesperowane matki odbiorą jej mleko, a następnie zmarnują, nie wiedząc, jak je podać. Lekarce udało się wykraść z magazynu parę gumowych rękawic i sporządziła z nich prowizoryczne smoczki, przez które można było karmić dzieci. Teraz czekała jedynie na odpowiedni moment.

Po wieczornym odliczaniu przekradła się z powrotem do izby noworodków, schowała się w rogu pomieszczenia tak, żeby nie zauważyła jej strażniczka zamykająca pokój na noc. Gdy tylko zgasły światła i szcęknął klucz w zamku, Marianna usłyszała ciche chrobotanie. Coś biegało po podłodze i po chwili odgłos zintensyfikował się, dołączyły do niego kolejne. Lekarka nie zapaliła światła, by nie ściągnąć na siebie uwagi strażników. Musiały jej wystarczyć skąpe promienie księżyca w pełni przesączające się przez okno. Po izbie biegały szczury, dwa z nich wspięły się do łóżeczek i gryzły dzieci. Marianna chwyciła miotłę, przegoniła gryzonie i podniosła zaatakowanego noworodka. Był to mały chłopiec z uroczymi, lekko podkręconymi rzęsami. Dziecko kwiliło żałośnie. Marianna nawet w ciemnościach zauważyła, że jego ubranko było brudne, a w zakamarkach kryły się wszy, które rozpełzły się po ciele malucha, wchodząc także do nozdrzy i uszu. To samo dotyczyło prześcieradła i kocyka. Lekarka rozebrała chłopczyka i opatrzyła jego rany tym, co było pod ręką, wylapała również część pasożytów i rozgniotła paznokciem.

– Odłożę cię do łóżeczka i będzie to samo – mruknęła pod nosem, trzymając dziecko na ramionach.

Chłopiec uspokoił się i przywarł do Marianny. Lekarka zaczęła przygotowywać pokarm. Wyciągnęła ukrytą wcześniej, umytą puszkę po konserwie i wsypała trzy miarki proszku, a następnie zalała je przemyconym kubkiem rozwodnionej kawy. Czysta woda na terenie obozu była rzadkością, a od picia tej dostępnej więźniarki zapadały na tyfus, toteż bezwonna i bezsmakowa lura podawana na śniadanie i kolację stanowiła najpewniejsze źródło płynów. Wymieszała. Odłożyła chłopca na szafkę i ostrożnie przelała zawartość puszkę do przygotowanej w tym celu rękawicy, a następnie wzięła dziecko z powrotem w ramiona i delikatnie podetknęła mu prowizoryczny smoczek. Maluch schwycił go i łapczywie wychleptał zawartość. Marianna pozwoliła mu zasnąć na swoich kolanach, z odrętwieniem wpatrując się w pozostałe łóżeczka. Czuwała przez całą noc, pilnując bezpieczeństwa dzieci. Nad ranem odłożyła malucha do łóżeczka i przy pomocy koleżanek wymknęła się z powrotem do baraku.

Zajrzała do izby niemowlęcej w okolicach południa. Noworodek, którego karmiła kilka godzin wcześniej, zmarł.

* * *

SZCZECIN, POŁOWA KWIETNIA 1946 R.

Tego wieczoru Marianna wyjątkowo została w domu sama. Stryj zadzwonił z informacją, że zebranie przeciągnie się do późnych godzin nocnych, ojca pilnie wezwano do jednego z pacjentów, zaś Greta i Sulka udały się w odwiedziny do znajomych. Lekarka była w nie najlepszym nastroju, ponieważ od kilku dni natrętnie powracały do niej wydarzenia z Ravensbrück i z czasów okupacji. Poruszały ją drobne ludzkie przejawy uprzejmości, widok dzieci bawiących się bez troski na ulicach, matki spacerujące pod rękę z córkami. Sceny z normalnego życia wciąż były dla niej czymś nowym i niepokojącym, ponieważ pokazywały, że ludzie powoli wtapiali się w nową rzeczywistość, podczas gdy Marianna stała w miejscu.

Zrzucała owo rozczulenie na karb kobiecych przypadłości i przemęczenia – od powrotu ze Szwecji znajdowała się

nieustannie w ruchu i nie pozwalała swojemu ciału ani umysłowi porządnie wypocząć. Potem jednak zdała sobie sprawę z tego, że być może w tej przemianie kryje się coś więcej i jest ona zwiastunem bardziej fundamentalnego przesunięcia. Walka o przetrwanie przestała być credo Marianny, gdyż odzyskiwała kontrolę nad swoim ciałem i losem. Nie doskwierała jej również samotność ani to zatrważające poczucie bezsensu, które towarzyszyło lekarce od pierwszych dni w obozie. Owszem, wciąż powątpiewała w wiele, dawniej oczywistych rzeczy, jednak i w tym zakresie odzyskiwała równowagę między wątpliwością a nadzieją. Powoli pękał w niej mur zubożenia, wzniesiony w reakcji na doświadczone zło i ku zdumieniu kobiety, znajdowało się za nim jeszcze współczucie i zainteresowanie drugim człowiekiem. Ten proces nieodmiennie wprawiał ją w zachwyt, jak i przerażał, wszak traciła swoją „odporność” na kolejne dawki makabry, jakie mógł jej szykować los.

Nie wierzyła w powiedzenie „co cię nie zabije, to cię wzmocni”, uważając, że zakłamuje ono rzeczywistość. Wielokrotnie miała okazję zaobserwować, jak długotrwała ekspozycja na okrucieństwo i upodlenie trwale wypala resztki zahamowań i etyki u ludzi, by mieć w tym aspekcie jakiegokolwiek złudzenia. Poniekąd sama podejrzewała siebie o zatracenie reszty „ludzkich odruchów” i swoje wcześniejsze działania rozpatrywała pod kątem wyuczonych zachowań, nie zaś płynącej z głębi serca dobroci. Co więcej, była przekonana, że zubożenie ujęte w karby dyscypliny intelektualnej i etyki zawodowej będzie jej towarzyszyć do końca życia, lecz ostatnie wydarzenia zmuszały ją do zrewidowania wcześniejszych założeń. Wreszcie doszła do wniosku, że jeśli już, to jest słabsza psychicznie niż kiedykolwiek wcześniej.

Zirytowana tym odkryciem zaczęła izolować się od reszty domowników, nie chcąc pokazać, widocznej jej zdaniem, słabości. Najbliżsi Marianny zdawali się szanować humory dziewczyny i zostawiali ją samą sobie, co sprawiało, że czuła się jeszcze

parszywiej niż wcześniej. Jej funkcjonowanie ograniczało się niemal wyłącznie do pracy. Jednej niedzieli wyłamała się z tego schematu, biorąc udział w mszy polowej na Jasnych Błoniach z okazji uroczystości nazwanej „Trzymamy straż nad Odrą”, jednak zrezygnowała z uczestnictwa w defiladzie, ponieważ poczuła się słabo. Pan Paliński i ojciec poszli sami.

– Czas skończyć z tymi głupotami – obiecała sobie, siadając w fotelu przy rozpalonym kominku z lekką powieścią w ręku i muzyką w tle. Wykorzysta chwilę spokoju, by ukoić nerwy i opanować gonitwę myśli.

Zadzwoił telefon.

– Jak na złość – fuknęła pod nosem i poszła do przedpokoju.

– Możesz do mnie przyjechać? – zapytał bez wstępu Jean-Pierre.

– O tej porze? – zapytała Marianna, zerkając z niedowierzaniem na zegarek.

– Chodzi o siostrę Grety. Wydaję mi się, że coś znalazłem.

„To może poczekać do jutra. To może poczekać do jutra” – powtarzała w głowie Marianna.

– Dobrze, będę w przeciągu godziny. – Usłyszała swój własny głos.

Odłożyła słuchawkę i głośno zaklęła.

* * *

Do budynku hotelu Continental dotarła na piechotę. Mżyło, a łagodne podmuchy wiatru podszyte były zimowym chłodem. Poszła w dół ulicą Piotra Skargi i wkroczyła do willowej części miasta. Marianna lubiła spacerować aleją Wojska Polskiego ciągnącą się aż po Las Arkoński, po swoich bokach mając jedne z najlepiej zachowanych i najbardziej reprezentacyjnych budynków w mieście. Dwu-, a czasem i trzypiętrowe rezydencje, wzniesione w przeróżnych stylach, od klasycystycznego po bogato zdobioną secesję, dawały pewne wyobrażenie o zamożności zamieszkujących je do niedawna Niemców. Niemal każda miała podjazd dla samochodów, a większość zelektryfikowano i posiadały udogodnienia, na które w innych częściach Polski

mogli sobie pozwolić tylko najzamożniejsi. Teraz wiele z willi wciąż stało pustych, choć różne instytucje państwowe powoli zagospodarowywały co przestronniejsze budynki.

Marianna poczuła nieprzyjemne mrowienie w palcach, gdy przechodziła koło pięknej budowli w stylu niemieckiego romantyzmu, ze strzelistą wieżą. Przypominała mały, bawarski zamek, ale straszyla zdemolowanymi drzwiami i zaniedbanym, zarośniętym ogrodem. Panna Palińska nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego to, skądinąd malownicze miejsce, wywołało w niej lęk, jednak mogłaby przysiąc, że czuła przenikające przez ściany dyscyplinę i wolę dominacji. Nie mogła sobie wyobrazić, aby ktokolwiek zamieszkujący tę rezydencję był szczęśliwym człowiekiem. Przed oczami miała pompatycznego megalomana wygrywającego swoje ambicje na pozostałych członkach rodziny.

Lekarka otrząsnęła się z nieprzyjemnego wrażenia i ruszyła dalej. Już wkrótce rozchmurzyła się, bowiem z oddali dostrzegła nietypowy, stojący u zbiegu ulic, drewniany dom. Była to stara willa w stylu szwajcarskim, jednopiętrowa, z dużymi werandami po obu stronach. Marianna zazdrościła ludziom, którzy otrzymali przydział mieszkaniowy w tym budynku, gdyż wyglądał na zaprojektowany pod mieszkańców, a nie by robić odpowiednie wrażenie. I usytuowano go nieopodal pierwszego teatru w mieście, zlokalizowanego w willi przy placu Sprzymierzonych, złośliwie nazywanym „placem sztywnych”, ponieważ pośrodku wydzielono niewielką przestrzeń na groby żołnierzy Armii Czerwonej. Lekarka uśmiechnęła się, wspominając spektakl „Grube ryby”, na który zabrał ją stryj w pierwszym tygodniu pobytu bratanicy w mieście. Rozejrzała się po placu. Obok mogiły umieszczono słup ze znakami określającymi odległość do granicy i innych polskich miast. Marianna przystanęła przy nim na chwilę i przestudiowała wypisane na nich kierunki. „Gdańsk”, „Poznań”, „Granica Państwa” – czytała w myślach. – „Ciekawe, dlaczego nie napisali, jak daleko jest stąd do morza, przecież to pierwsza rzecz, o którą ludzie pytają” – skonstatowała.

Spojrzała na prawo. Z oddali straszyły osmalone zgliszcza po dawnej sali gimnastycznej, później zaadaptowanej przez Polaków na kino. Po mieście krążyły plotki, że to niemieccy partyzanci podłożyli ogień, dodając kolejny powód do ogólnej niechęci pomiędzy dwoma grupami mieszkańców. Ruszyła dalej, tym razem już nie robiąc dłuższych przerw i wkrótce znalazła się przed siedzibą hotelu Continental.

Jean-Pierre siedział w hotelowym lobby, sącząc kawę i przeglądając dostarczone zza granicy dzienniki. Marianna zauważyła, że był świeżo ogolony, miał starannie ułożony zarost i wypomadowane, dość długie jak na mężczyznę włosy, zaczesane do tyłu. Włożył, chyba wbrew sobie, doskonale dopasowany garnitur w angielskim stylu, a jego lewą pierś zdobiła kremowa poszetka w różowe grochy.

– Czekasz na swoją lubą? – zapytała Marianna, siadając naprzeciwko i swobodnie zakładając nogę na nogę. Pedantyzm i dbałość o wygląd Jeana-Pierre’a boleśnie uświadamiały lekarce własne niedociągnięcia w obu tych aspektach, ale także, paradoksalnie, sprawiały, że potrafiła być wobec niego bardziej szczerą, niż miało to miejsce w przypadku innych mężczyzn z jej otoczenia.

– Nie i upłynie jeszcze trochę czasu, nim znów ją zobaczę – odparł Jean-Pierre, składając gazetę. – Mój wygląd to wyraz powrotu do normalności. Zamówić ci coś?

– Herbatę – odparła Marianna.

– Zachowawczo – rzekł Jean-Pierre, przekrzywiając głowę.

Lekarka uniosła brwi.

– Jesteś dzisiaj w zadziwiająco dobrym humorze. Aż kusi mnie, żeby zapytać, co go spowodowało. Jednak boję się, że zaraz mi wyskoczysz z „powrotem do dawnych czasów” albo czymś tego pokroju – odgryzła się.

Jean-Pierre przekazał zamówienie kelnerce.

– Dostałem list z domu. Moja siostra urodziła zdrowego syna i planują go nazwać po mnie – odpowiedział, nie kryjąc

zadowolenia.

– Och – wyrwało się Mariannie. Spuściła wzrok. – Gratuluję, chociaż nigdy nie słyszałam, żebyś wspominał o swojej rodzinie.

– Nie wszystkie domy są płonącymi zgliszczami zamieszkanymi przez nienawidzące się nawzajem wraki ludzi – skwitował Jean-Pierre.

W Mariannie aż zawrzało, lecz powściągnęła emocje. Przeprosiła swojego towarzysza i zaszyła się w łazience. Odkręciła kurek z ciepłą wodą i obmyła twarz. Powoli podniosła głowę i spojrzała w lustro. Wyglądała niemal tak samo, jak w dniu aresztowania, jedynie czas nieco wyostrzył jej rysy i dodał posępności spojrzeniu. Ani stara, ani młoda. „Najlepszy typ urody, bo krystalizujący się powoli, z wiekiem, a potem utrzymujący się do starości. Zawsze będziesz wyglądać dobrze, choć nigdy nie olśniewająco.” – Usłyszała w myślach głos ciotki. „Wrak” – odpowiedział jej jak złośliwa papuga głos Jeana-Pierre’a. „Muszę tam wrócić. Nie może zobaczyć, że mnie tym dotknął” – pomyślała Marianna i wróciła do lobby. Zauważyła, że Jean-Pierre wznowił lekturę gazety.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy ponownie usiadła przy stoliku.

– Noga – odparła krótko, przywołując zboląły wyraz twarzy. Akurat to nie sprawiło jej trudu. – Mówiłeś, że coś dla mnie masz.

– Tak. – Jean-Pierre ożywił się i zaczął przeszukiwać kieszenie. Wreszcie wyciągnął złożoną wielokrotnie kartkę, rozłożył ją, wyprostował i podał Mariannie. Lekarka zmrużyła oczy, roz czytując niewyraźne pismo.

– ...wyjazd jako... Przyjazd do Essen... – mruzczała pod nosem, śledząc wzrokiem tekst. Odłożyła kartkę i spojrzała na Jeana-Pierre’a. – Henrietta i jej opiekunowie nigdy nie dotarli do Essen – powiedziała.

Francuz potaknął.

– Nie. Początkowo myślałem, że może zmienili zdanie albo utknęli w którymś z obozów przejściowych, więc wysłałem

zapytanie do strefy brytyjskiej i amerykańskiej, ale nie figurowali w jakichkolwiek aktach – odpowiedział.

– Czy jest możliwe, że wylądowali w sowieckiej strefie albo że jakiś urzędnik popełnił błąd? Co rusz znajdują się osoby uważane wcześniej za martwe – odparła Marianna.

Jean-Pierre skrzywił się.

– Nie można tego wykluczyć, ale to wszystko zbiegło się w czasie z jeszcze jednym wydarzeniem. Otóż, transport, którym jechała Henrietta i jej opiekunowie, został zaatakowany przez bandytów i było to najpoważniejsze z tego typu odnotowanych wydarzeń – powiedział, ostrożnie dobierając słowa.

Marianna oparła się o niewygodne oparcie krzesła.

– Uważasz, że byli wśród ofiar. Czy jesteś w stanie to potwierdzić? – zapytała.

Jean-Pierre pokręcił głową.

– To będzie miała strona polska, więc możesz poprosić swojego stryja, ja oficjalnie dostępu do takich danych nie posiadam i nie powinienem wykazywać zbytniego zainteresowania nimi – odpowiedział. – I tak moja misja tutaj jest już dostatecznie trudna, nie potrzebuję ścierać na siebie dodatkowej uwagi.

– Rozumiem – odparła Marianna. – I dziękuję za pomoc, a teraz muszę już iść, zanim zrobi się jeszcze ciemniej.

Jean-Pierre sięgnął po jej dłoń i delikatnie ją ścisnął, po czym nagle gwałtownie cofnął swoją rękę.

– To do zobaczenia – powiedziała Marianna i, nie doczekawszy się odpowiedzi, opuściła hotel Continental.

„Nie mogę o tym powiedzieć Grecie” – postanowiła.

* * *

SIERPIEŃ 1946 R.

Marianna i Sulka grały w badmintona w ogrodzie. Młoda Kaszubka cieszyła się z ostatnich dni wakacji, lada dzień miała pójść do drugiej klasy liceum.

– Spójrzcie, kto was odwiedził! – Usłyszały z oddali. Odwróciły się. Ojciec Marianny niósł osłabioną Gretę, a za nim podążał pan

Paliński z fotelem. Ustawili siedzisko pod starym orzechem i posadzili ostrożnie pacjentkę. Przynieśli jeszcze koc i nakrycie głowy. Greta rozłożyła pled na nogi i przekrzywiła słomkowy kapelusz zawadiacko na bok. Wraz z początkiem lata zaczęła mieć problemy z puchnięciem kostek i samodzielne poruszanie się przychodziło jej z trudem. Mimo to codziennie mozoliła się do kuchni, by pomóc w przygotowywaniu posiłków.

– Chcesz być naszym sędzią? – zapytała Sulka.

Greta zamrugła intensywnie oczami, jakby próbowała powstrzymać łzy.

– Ależ oczywiście – odparła słabym głosem.

Wznowili grę. Pomimo odzyskania sprawności w okaleczonej nodze Marianna nie radziła sobie zbyt dobrze z szybszymi zagraniami przeciwniczki. Sulka objęła prowadzenie, a Greta co rusz wykrzykiwała na głos aktualny wynik meczu. Wreszcie Marianna z rezygnacją zarządziła:

– Przerwa, bo zaraz zemdleję od tego upału!

Usiadły obok Greta i wbiły wzrok w rosnące przy domu peonie i róże. Sulka postanowiła na wiosnę uporządkować ogród i obsadzić go kwiatami. Doglądała ich codziennie, pielęła i wycierała listki, by wreszcie cieszyć się rezultatami swojej pracy.

– Jesteście słabe – oznajmiła z politowaniem Greta. – Gdybym na którymkolwiek z moich treningów ruszała się równie mozolnie, trener dałby mi popalić! A co dopiero na obozie sportowym, aż strach pomyśleć, co by o mnie pomyśleli moi rówieśnicy! – przekomarzała się.

Sulka naprężyła się, jakby uwaga starszej koleżanki była skierowana w szczególności do niej.

– Ja tam przedkładam sprawność umysłową nad fizyczną – orzekła z łagodnym dąsem w głosie.

„Zaczyna się” – pomyślała Marianna i uśmiechnęła się łagodnie. Pomimo niewielkiej różnicy wieku Greta wyraźnie stała się autorytetem i inspiracją dla młodej Kaszubki, która potrafiła

uczynić wiele, byleby tylko zyskać aprobatę Niemki. I była równie wyczulona na jej przytyki.

– Ciekawe, co nam na to powie nasza pani doktor? – Greta odchyliła głowę, by móc spojrzeć na Mariannę.

– Cóż, grecki ideał piękna zakłada równowagę między pierwiastkiem fizycznym i umysłowym, więc każda z was ma trochę racji. – Powstrzymała ziewnięcie. – Niemniej, osobiście sama również skłaniam się bardziej ku książkom niż ku ćwiczeniom.

Greta wstrząsnęła się dramatycznie.

– Ach, wy mole książkowe! Gdybym miała tyle siły w nogach co wy, to spędzałabym na bieganiu całe dni – oznajmiła i wyraźnie sposepniała.

Marianna poczuła ukłucie żalu. Postępujące osłabienie fizyczne musiało być najgorszą torturą dla młodej i utalentowanej sportswomenki, która jeszcze do niedawna łudziła się, że będzie mogła kiedyś wrócić do lekkiej atletyki. Wciąż czekała na wieści o młodszej siostrze. Marianna czasem miewała wyrzuty sumienia, że zataiła informację o prawdopodobnej śmierci Henrietty, jednak chciała mieć absolutną pewność w tej kwestii. Niestety, zarówno znajomi Jeana-Pierre'a, jak i stryjka milczeli. Zresztą, ten pierwszy od ponad miesiąca nie dawał oznak życia, a gdy Marianna pytała o niego w konsulacie, powiedziano jej jedynie, że „jest w terenie” i mogą mu przekazać wiadomość od niej.

– Twój przyjaciel dość długo już się nie pojawia – zagaiła nagle Greta, jakby czytając lekarce w myślach. – Mam nadzieję, że nie jest ci z tego powodu przykro.

Marianna zmrużyła oczy.

– Zawsze to jakieś dodatkowe towarzystwo, a rzadko kiedy można teraz spotkać osobę o podobnych zainteresowaniach – odpowiedziała wymijająco, choć nieobecność Francuza ostatnimi czasy dość mocno wytrącała ją z równowagi.

– Daj sobie z nim spokój, jest o klasę głupszy od ciebie, aczkolwiek dobrze się z tym maskuje – zawyrokowała Greta.

Marianna zaczęła głośno chichotać.

– Prawdę mówię! – upierała się przy swoim Niemka. – Nie ma wyższego wykształcenia, ale mniemanie o sobie posiada wyższe niż niejeden profesor.

– Ale ma nietypowe gusta i upodobania – odcięła się Marianna. Greta prychnęła pogardliwie pod nosem.

– Oczywiście, że są one nietypowe, bo łatwiej w takich zgrywać eksperta. Zresztą nieważne. To napuszony dureń z kijem nie powiem gdzie i dobrze, że się tu nie pojawia!

Marianna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ostra ocena przyjaciółki ją zdumiała. Osądy Grety z reguły były bardzo wyważone jak na jej wiek i lekarka dotąd nie słyszała, by Niemka darzyła kogokolwiek tak dużą antypatią.

– Krytyczna opinia – podsumowała dyskusję.

– Tylko na taką zasłużył – powiedziała Greta. – Poza tym za bardzo się nim zajmujesz, co sugeruje, że... – urwała w połowie zdania, gdyż niespodziewanie na ulicy przed domem pana Palińskiego pojawił się nieoznakowany, czarny samochód. Pojazd zatrzymał się przed furtką i wysiadło z niego dwóch mężczyzn o nieprzyjemnej aparycji. Ruszyli w stronę drzwi. Greta wykrzywiła twarz, a Sulka spojrzała na Mariannę pytająco. Lekarka wstała i strzepnęła żdźbła trawy ze swojej sukienki.

– Zostańcie tu, zobaczę, o co chodzi – oznajmiła swoim towarzyszkom.

Musiała się przyzwyczaić do panującego w domu półmroku. Nieprzycięte drzewa rozrosły się do tego stopnia, że rzucały głęboki cień na cały budynek. W przedpokoju pan Paliński i ojciec rozmawiali z niezapowiedzianymi gośćmi ściszymi głosami.

– Oto i moja córka – powiedział ojciec, dostrzegłszy Mariannę. Przyciągnął ją do siebie i objął w talii. Poczowała wtedy, że jego dłoń drży.

Mężczyźni otaksowali ją niezbyt przyjemnym spojrzeniem. Jeden z nich odchrząknął i powiedział:

– Pani Marianno, pani i pani ojciec jesteście wezwani na przesłuchanie w związku z waszymi działaniami wymierzonymi przeciwko odbudowie państwa polskiego.

Ojciec przycisnął ją mocniej do siebie. Funkcjonariusze zaprowadzili ich do auta. Pan Paliński stał w progu domu i nim odjechali, krzyknął:

– Jutro to wyjaśnię z waszymi przełożonymi! Nie macie prawa rzucać oszczerstwa na kogo wam się tylko podoba!

* * *

– Marianna Palińska, urodzona w listopadzie 1917 roku w Mikołajowie, obwód lwowski, córka doktora medycyny Henryka Palińskiego i ukraińskiej nauczycielki Jelizawety Włoszin, od piątego roku życia wychowywana przez brata doktora Palińskiego i jego żonę we Lwowie... – odczytywał informacje monotonnym głosem, a Marianna miała wrażenie, że zaraz zaśnie z przemęczenia. Przetrzymano ją w areszcie od co najmniej dwóch dni jedynie o wodzie i pozbawiano snu. Ciągłe zadawali jej te same pytania: ojciec, Ignacy, co wie o ich działalności, gdzie są pozostałe osoby, z którymi współpracowała w ramach ZWZ. – ... siostra Ignacego Palińskiego, dowódcy wywrotowego oddziału partyzanckiego, działającego nielegalnie na terenie obwodu lwowskiego, utrudniającego zaprowadzenie ładu na tamtym terenie przez sprzymierzoną z nami Armię Czerwoną. Rodzina Palińskich, według świadków, o konserwatywnych poglądach, fanatycznie zapatrzona w endecję, o wrogim usposobieniu wobec ruchu robotniczego oraz Ukraińców – kontynuował przesłuchujący.

– Moja matka była Ukrainką. I miała robotnicze pochodzenie – wtrąciła Marianna. Coraz trudniej było jej się skupić, niemniej wciąż wylapywała kolejne absurdy w protokole ze swojego przesłuchania i w logice urzędników.

Mężczyzna spojrzął na nią znad kanciastych oprawek okularów.

– Co, jak wskazują jednoznacznie zeznania wasze i waszego ojca, nigdy nie zostało zaakceptowane przez rodzinę

i doprowadziło do oddania was i waszego brata pod kuratelę stryja. Zatem od wczesnego dzieciństwa wychowywani byliście w pogardzie wobec narodu ukraińskiego oraz klasy robotniczej – odparł i wrócił do odczytywania protokołu: – Aresztowana studiowała medycynę na Uniwersytecie Lwowskim, a po wkroczeniu na te tereny niemieckiego okupanta kontynuowała naukę na tajnych kompletach, które też ukończyła z wyróżnieniem. Krótco po rozpoczęciu praktyki medycznej w szpitalu miejskim aresztowana zniknęła, by kilka tygodni później zostać aresztowana w Warszawie pod zarzutem działalności wywrotowej i wspierania podziemia. Została osadzona w żeńskim oddziale więzienia na Pawiaku, zwanym też potocznie „Serbią”. Udział aresztowanej w działalności wywrotowej polegał głównie na przekazywaniu meldunków oraz przenoszeniu tajnych wiadomości pomiędzy obwodami. Istnieją też przypuszczenia, że obywatelka Palińska brała czynny udział w akcjach dywersyjnych na terenie samego Lwowa, jednak jak dotąd nie udało się dokładnie potwierdzić tych doniesień. Z Pawiaka przewieziona zostaje do KL Ravensbrück, gdzie poddano ją eksperymentom medycznym polegającym na wielokrotnym łamaniu lewej kości udowej i celowym jątrzeniu rany. Ewakuowana przez szwedzki Czerwony Krzyż w kwietniu czterdziestego piątego roku do jesieni tegoż roku przebywała na rekonwalescencji w Szwecji. Aresztowana powróciła do kraju w październiku tego samego roku i podjęła pracę w Szpitalu Klinicznym w Gdańsku, jednak po kilku miesiącach zrezygnowała z niej, co według świadków, miało związek z oskarżeniem o nieobyczajność i niestosowne prowadzenie się obywatelki Palińskiej. – Na twarzy przesłuchującego wykwitł pobłażliwy uśmiešek. – Obecnie aresztowana jest zameldowana w Szczecinie, mieszka wraz z stryjem i ojcem w willi przydzielonej adwokatowi Palińskiemu i prowadzi praktykę lekarską. Opinie pacjentów są jednoznacznie dobre, aczkolwiek podejrzenie wzbudzają proniemieckie sympatie aresztowanej. –

Milicjant złożył dokument i wbił przenikliwe spojrzenie w Mariannę. – A zatem, w KL Ravensbrück narodziła się wasza miłość do narodu niemieckiego, obywatelko Palińska? – rozpoczął kolejną serię pytań. – A może zaprzyjaźniliście się z jakimś strażnikiem albo cywilem pracującym w fabryce i stąd to... przeniesienie uczuć?

Marianna przełknęła głośno ślinę. Wiedziała, że te pytania celowo mają ją upokorzyć, a nierozważne odpowiedzi będą później wykorzystane do zdyskredytowania jej przed sądem, o ile w ogóle przed jakimś zostanie postawiona. W nowej rzeczywistości ludzie potrafili zniknąć z ulicy, a czasem i z więzień, nie pozostawiając swoim bliskim najmniejszej wskazówki co do ich dalszych losów.

– Nie, nie szukałam takich kontaktów. Zresztą nie byliśmy dla nich kobietami ani w ogóle ludźmi, a jedynie bezosobową masą o określonym terminie użyteczności – odparła.

– A jednak usiłowaliście wyciągnąć niemieckiego terrorystę z obozu w Potulicach i zatrudniacie u siebie niemiecką gosposię, siostrę rzezonego terrorysty? – dopytywał przesłuchujący.

„Cokolwiek nie powiem, narażę Grete” – pomyślała z przerażeniem Marianna. – „A jeśli w zemście za brak współpracy wpiszą ją na listę osób do wysiedlenia? Przecież w tym stanie nie przeżyje podróży przez Niemcy”.

– Istotnie, tak było – przyznała Marianna i widząc tryumfalny błysk w oku milicjanta, dodała: – Miałam przekazać mu wieści od jego siostry, jednak jako lekarz czuję się w obowiązku udzielić pomocy wszystkim potrzebującym, bez względu na ich narodowość tudzież poglądy. Dlatego widząc, że młodzieniec cierpi na zaawansowaną gruźlicę, postanowiłam podjąć się leczenia.

Siedzący z tyłu maszynista skrupulatnie zapisywał każde słowo Marianny.

– Leczenia? Przecież sami stwierdziliście, że jest umierający, obywatelko – zadrwił przesłuchujący.

– Tak, ale każdy chory powinien mieć prawo do spokojnej śmierci, wolnej od niepotrzebnego bólu i cierpienia – odparła,

prostując się na krześle.

– Nawet jeśli pomoc dla tej konkretnej jednostki pozbawi cennych leków i opieki waszych rodaków? Angażując się w leczenie tego Niemca, zaniedbaliście waszą powinność wobec Polski – orzekł milicjant.

– Humanizm, wolność i braterstwo powinny stać ponad podziałami narodowymi, nie uważacie, obywatelu? – skontrowała Marianna. – Z tego, co pamiętam, komunizm polega na równości ponad granicami i podziałami etnicznymi.

Mężczyzna zaśmiał się cicho. Coś w jego zachowaniu uległo zmianie, a może to był kolejny element we wcześniej rozplanowanej grze, lecz tym razem nie nastąpił grad pytań, a padło jedynie stwierdzenie:

– Wasz idealizm i doświadczenie są cenne dla Polski, nawet jeśli popełniliście wcześniej jakieś błędy, obywatelko. Jest jednak szansa, że możemy wam to... zapomnieć. – Nakreślił w powietrzu dłonią niewidzialny okrąg.

W umyśle Marianny zapaliła się ostrzegawcza lampka. Zatem padnie propozycja. Tak samo robili naziści.

– Jak duża jest to szansa? – Postanowiła zagrać kartą ignorancji.

Przesłuchujący uśmiechnął się sztucznie.

– Wystarczy, że podpiszecie pewne oświadczenie dotyczące waszego ojca i brata. Potwierdzicie ich zdradę – powiedział.

Usta Marianny zadrżały.

– Nigdy tego nie uczynię – odparła hardo.

Mężczyzna skinął na maszynistę. Pracownik wyszedł, zabierając ze sobą swoje notatki.

– Nigdy to bardzo duża jednostka czasu, w trakcie której może się wiele zdarzyć – rzekł przesłuchujący. Zajmowana pozycja wyraźnie go ekscytowała. Marianna myślała, że zacznie ją bić lub gorzej, on jednak nachylił się tylko nad nią, wykrzywił twarz w grymasie przypominającym uśmiech i wyszedł z celi, mówiąc: –

Zastanówcie się nad tym. Niedługo moja propozycja może być nieaktualna.

I zostawił włączone światło. Oświetlająca celę świetlówka hałasowała nieznośnie, jednak po raz pierwszy od dawna Marianna zapadła w krótki, pełen koszmarów i lęków sen, z którego brutalnie wybudzono ją dopiero po kilku godzinach.

* * *

Przyprowadzili ojca. Trzymał dumnie uniesioną głowę, choć na jego twarzy wykwitły purpurowe sińce, a spuchniętego lewego oka prawie nie mógł otworzyć. Tym razem było dwóch przesłuchujących: jeden milicjant i drugi w mundurze wojskowym. Ustawili dwa krzesła naprzeciwko siebie i na jednym z nich usadzili Mariannę, na drugim jej ojca. Milicjant stanął za lekarką i poufale położył dłonie na jej ramionach, wojskowy zaś zaczął przechadzać się po pokoju z rękoma zaplecionymi za plecami.

– Zatem, obywatelu Paliński, stanowczo zaprzeczacie udziału w działaniach wywrotowych wymierzonych w nowy rząd polski i jej sojuszników? – zapytał.

– Zaprzeczam – odparł ojciec.

Wojskowy przystanął na chwilę i skinął na milicjanta. Mężczyzna puścił Mariannę i stanął tuż obok niej.

– Ale nie zaprzeczacie przynależności do jednego z oddziałów tak zwanej Armii Krajowej w okręgu lwowskim, kierowanego zresztą przez waszego syna, Ignacego Palińskiego? – Ton przesłuchującego był niemal napastliwy.

Pan Paliński nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju.

– Nie zaprzeczam – odrzekł spokojnie.

W tym momencie milicjant wymierzył mocnego kopniaka w zdeformowaną nogę Marianny. Lekarka wrzasnęła z bólu i niemal spadła z krzesła, lecz funkcjonariusz przytrzymał ją w miejscu.

– Coś do dodania? – syknął przesłuchujący.

Pan Paliński przeniósł wzrok na wojskowego.

– Oficerze, podczas mojej przeprawy przez Kresy widziałem takie rzeczy, które człowiek wyrządzał człowiekowi, że będzie się pan musiał bardzo postarać, by czymś mnie zaskoczyć – powiedział, ukradkowo spoglądając na córkę.

Marianna przymknęła oczy na znak, że się z nim zgadza. Wytrzymała „Serbie”, wytrzymała eksperymenty w Ravensbrück, więc i to wytrzyma. Jak na komendę otrzymała cios pałąką w plecy. Tym razem upadła na podłogę. Kolejne kopnięcia wymierzono w nogi. Omijali twarz i tors. Uderzenia były bolesne, lecz krzywdzili ją z rozmysłem tak, by nie pozostawić trwałych śladów. Podnieśli ją i ponownie posadzili. Włosy Marianny rozsypały się w nieładzie, policzki zabrudziły od pyłu, a zdeformowana kończyna pulsowała boleśnie, ale lekarka powstrzymywała łzy. Zaoferowali jej szklanekę wody, lecz stanowczo odmówiła.

– A co wy wiecie o działalności swojego brata, obywatelko Palińska? – zapytał wojskowy. – Czy spotykaliście się z dawnymi znajomymi z podziemia po powrocie do kraju? Czy jesteście w stanie wskazać nam ich miejsce pobytu?

Marianna odetchnęła głęboko. Ból nogi uniemożliwiał jej koncentrację.

– Nic nie wiem, z nikim się nie spotykałam – odrzekła, robiąc pauzy na złapanie tchu.

– Dobrze. Zmieńmy zatem temat. Przejdźmy do francuskiego porucznika, bliskiego znajomego waszej rodziny. Z pewnością opowiadał o swojej pracy, może zapamiętaliście coś ciekawego, na przykład, czy okazywał pewne zainteresowanie niektórymi Niemcami znajdującymi się w mieście?

– Pan porucznik nie należy do osób rozprawiających na poufne tematy w towarzystwie i nasza znajomość nie na tym się opierała – odpowiedziała lekarka.

Przesłuchujący prychnął z pogardą.

– Rozumiem, zatem jest ona podobnej natury do tej, jaka łączyła was z doktorem Duchlińskim? – zapytał przesłuchujący

i przystanął obok Marianny. Palcem wskazującym podniósł delikatnie jej podbródek. – Nie wiem, czy wiecie, obywatelu Paliński, ale wasza córka bardzo lubi się ruchać. Aż szkoda, że nie została w Niemczech do wyzwolenia obozu przez Armię Czerwoną, jej apetyt zostałby wtedy z pewnością zaspokojony – zwrócił się do pana Palińskiego. – Zresztą... – jego dłoń powędrowała w stronę klatki piersiowej Marianny – kto powiedział, że ja i moi koledzy na tym nie skorzystamy?

Na czole pana Palińskiego pojawiła się drobna zmarszczka.

– Najwyraźniej bardzo pragniecie dorównać poziomem swoim bohaterom z Armii Czerwonej, skoro w nikim nie widzicie już człowieka, istoty godnej jakiegokolwiek szacunku – odrzekł.

Przesłuchujący zostawił Mariannę i powolnym krokiem podszedł do ojca dziewczyny.

– Nie prowokuj mnie, starcze – powiedział cicho, a następnie dodał, zwracając się do obydwojga aresztowanych: – Ponawiam oferty złożone wam wczoraj. Macie czas do jutra. Rano wrócę z dodatkowymi strażnikami i jeśli będziecie sprawiać trudności, to zatroszczymy się o potrzeby pani doktor.

Obaj mundurowi wyszli, zostawiając Mariannę z ojcem w celi. Pan Paliński, gdy tylko usłyszał oddalające się kroki, natychmiast podszedł do córki i przytulił ją z całej siły do siebie.

– Musisz mnie wydać – szepnął jej do ucha.

Marianna rozluźniła uścisk, zdumiona.

– Nie zrobię tego, bo nic na nas nie mają. Blefują i grają na zwłokę. Gdyby chcieli, mogliby nas skrzywdzić już dzisiaj, ale pewnie stryj wywiera presję na ich przełożonych i...

– Marianno – przerwał jej ojciec. – Twój stryj nas stąd nie wyciągnie, co więcej, i jego mogą wkrótce aresztować, jeśli im czegoś nie damy, a nie chcę, żebyś to była ty.

Marianna zamarła.

– Przecież nie mogę cię wydać, bo wtedy zdradziłabym ciebie, sprawę i Ignacego! Cokolwiek nam zrobią, przeżyjemy to, obiecuję – powiedziała, zaciskając ręce na dłoniach ojca.

Mężczyzna pokręcił głową.

– My tak, ale czy przeżyje to mój brat? Greta? Młoda Sulisława? Moja droga, masz ludzi, którzy są ci bliscy, a którym brakuje twojej siły, twoich doświadczeń. Ja sam straciłem w ostatnim czasie zbyt wiele cennych mi osób w imię sprawy i nie zamierzam dopuścić, by z tego samego powodu zginął ktoś jeszcze. Proszę, musisz mnie wydać – w głosie ojca zabrzmiała stanowcza nuta, ale jego oczy pozostały chłodne, pozbawione emocji.

– Co tam się stało? Co się wydarzyło podczas ostatnich miesięcy życia Ignacego? – zapytała Marianna.

Pan Paliński odwrócił wzrok.

– Nie chcę cię tym obarczać. W niektórych wypadkach lepiej jest nie wiedzieć – odparł wymijająco.

– Ale ja chcę wiedzieć! Chcę zrozumieć! – upierała się Marianna.

– Jeśli pragniesz, żebym się zgodziła, musisz mi opowiedzieć wszystko, od samego początku.

– W porządku – zgodził się ojciec. – Należą ci się wyjaśnienia pewnych kwestii, ale jeśli chodzi o Ignacego...

– Wszystko – zażądała Marianna.

Henryk skinął głową. Usiadł na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, a Marianna położyła się obok niego. Zaczął opowiadać.

* * *

LWÓW, LATO 1914 R.

– Gratuluję, Henryku i mam nadzieję, że już niedługo spotkamy się jako koledzy po fachu. – Rektor uścisnął dłoń świeżo upieczzonego doktora Palińskiego. – Wspaniałych masz synów, Witoldzie! – zagaił do stojącego nieopodal Witolda Palińskiego, seniora rodu i jednego z najbardziej szanowanych profesorów na Uniwersytecie Lwowskim.

– Istotnie, jak do tej pory spełniają pokładane w nich nadzieje – odparł sucho ojciec Henryka, wykrzywając usta w nieprzyjemnym grymasie. – Choć czasem wymagało to prostowania. Ten tutaj obecny – wskazał palcem na młodego lekarza – chciał zostać mechanikiem, budować automobile. –

Parsknął śmiechem. – Jego brat natomiast, z innej gliny ulepiony, i już jest cenionym członkiem palestry – dorzucił, widząc zastygłą w wyrazie wściekłości twarz syna.

Henryk znał zarzuty ojca wobec siebie. Za mało posłuszny, o dziwacznym upodobaniach i charakterze, którego nie da się kontrolować. I na dodatek politykujący, ale nie w pozytywnym, patriotycznym tego słowa znaczeniu, a rojący mrzonki o równości i braterstwie między narodami. Zbyt podobny do matki, za miękki na prawdziwego mężczyznę, który wie, czego się od niego wymaga. Nie to, co Edmund, jego starszy brat. Henryk dostrzegł sylwetkę adwokata Palińskiego, dumnie przechadzającego się po salonie pod rękę ze swoją narzeczoną, zubożałą arystokratką, panną Marecką. „Jak obrazek z dziewiętnastowiecznego żurnala” – pomyślał Henryk i pociągnął łyk wina z kryształowego kieliszka. Czasem zazdrościł bratu tej łatwości w spełnianiu oczekiwań innych, lecz zaraz potem budził się w nim duch buntownika. – „Ci ludzie nie widzą, że czasy się zmieniły i niedługo era buduarów, saloników politycznych i innych pochodnych im bzdur zostanie wypchnięta w niepamięć?”

– Nie śmiałybym rywalizować z moim bratem – odparł po krótkiej chwili milczenia.

– I bardzo dobrze, bo przepadłbyś z kretesem – skwitował pan Paliński, wprawiając tym rektora w konsternację.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w tym momencie podeszła do nich matka Henryka i zagaiła:

– Drodzy panowie, tak tu stoicie już od jakiegoś czasu, a w towarzystwie znajduje się przecież wiele osób, które przyszły tu specjalnie dla was. Nie zamierzacie chyba spędzić całego wieczoru na intelektualnych potyczkach między sobą? – Uśmiechała się przy tym czarująco i natychmiast kupiła sobie sympatię rektora.

– Myślę, że pani domu ma absolutną rację, zatem, drogi przyjacielu – zwrócił się do pana Witolda – wypadałoby poświęcić pozostałym gościom odrobinę naszej uwagi!

Pan Paliński skinął głową na znak zgody i obaj uczeni udali się w głąb sali.

– Nigdy nie przestanę mnie zdumiewać naturalność, z jaką przychodzi ci pozbywanie się niechcianych osobników, matko – powiedział Henryk i schylił się, by pocałować dłoń rodzicielki.

Pani Konstancja zaśmiała się perliście.

– Och, mój drogi Henryku, kobieta jest ozdobą domu swojego męża pana, ale czasem i ona pragnie mieć odrobinę świętego spokoju – odparła, a w jej dużych, ciemnych oczach dostrzegł błysk rozbawienia.

– Zwłaszcza kiedy pan mąż lubuje się w towarzystwie nudnych, konserwatywnych snobów – mruknął, omiatając salę wzrokiem. – Gdzie się nie obrócić, do człowieka dochodzi natrętny zapach naftaliny i starczego potu.

Pani Konstancja delikatnie uderzyła go w głowę złożonym wachlarzem. Jednak po wyrazie twarzy matki wiedział, że myśli dokładnie to samo co on. Była zupełnym przeciwieństwem jego ojca. Pomimo wieku zachowała otwarty umysł oraz życzliwość wobec świata i ludzi, przyprawioną solidną dawką ironii, lecz tym niemniej prawdziwą. Wyglądała tak, jak ją zapamiętał jako dziecko. Była szczupłą, o nieco chłopięcej sylwetce z delikatną twarzą o słowiańskich rysach, poznaczoną drobną, wręcz niewidoczną siatką zmarszczek. Włosy pani Konstancji, stanowiące dumę jej młodości, przyprószyła siwizna, jednak wciąż pozostawały gęste i zaplecione w warkocz nadal przykuwały spojrzenia. To ona wpoila Henrykowi zamiłowanie do liczb oraz nauki, jej dwóch życiowych pasji. Choć nigdy o tym nie mówiła, od babki wiedział, że studiowała przez jakiś czas matematykę w Niemczech, jednak nie miał odwagi zapytać o powód rezygnacji. Może bał się dostrzec w jej oczach smutek i żal spowodowane tym, że porzuciła ścieżkę akademicką dla ojca i swoich dwóch synów. Niemniej, czasem, obserwując matkę podczas wykonywania domowych obowiązków, przenosił ją w miejscu i czasie do sali wykładowej, oczyma wyobraźni widział, jak przekomarza się ze

studentami, jak jej dłoń kreśli skomplikowane równania na tablicy. Było coś słodko-gorzkiego w tych wizjach, jakby patrzył na nią, obdartą ze swoich dzieciennych wyobrażeń, a jednocześnie przeczuwał, że istnienie jego i Edmunda mogło być rezultatem klęski marzeń Konstancji, nie zaś wyrazem pragnienia macierzyństwa, tudzież miłości do ich ojca. W tę ostatnią zresztą z wiekiem coraz bardziej powątpiewał.

– Synu... – chwyciła go pod ramię i łagodnie skierowała na ubocze – ...chciałabym, żebyś wiedział, jak bardzo jestem z ciebie dumna – powiedziała, a przez jej twarz przemknął cień.

– Mamo, wszystko w porządku? – zapytał z niepokojem.

Matka uśmiechnęła się nerwowo.

– Nie czuję się ostatnio zbyt dobrze – odpowiedziała.

– Konsultowałaś się z doktorem Schlitem?

Skinęła głową.

– Obawiam się, że niewiele można zrobić w tej kwestii – odparła. Jej wzrok błdził po zgromadzonych w sali gościach. – Będzie już tylko gorzej.

Serce Henryka przyspieszyło, a uszy wypełnił natrętny szum. Nie wyobrażał sobie, że matki mogłoby zabraknąć. Pustka po niej byłaby niemożliwa do zapełnienia, w końcu tylko z nią łączyła go nieć porozumienia, niezrozumiała i niedostępna dla reszty domowników. Razem tworzyli umiarkowaną frakcję wewnątrz mocno zakorzenionej w tradycji rodziny i bez Konstancji głos Henryka nie wybrzmiałby już tak mocno. Po chwili podszedł do nich ojciec, tym razem bez towarzystwa.

– Zatem już wie – powiedział, patrząc przez chwilę to na żonę, to na młodszego syna. – Trzymanie tego przed nim w tajemnicy nie miało już dłużej sensu.

Henryk głośno przełknął ślinę.

– Od jak dawna wiecie? – wydukał, zaciskając nerwowo palce.

– Od kilku miesięcy – odparł ojciec i zerknął na Konstancję. – Naciskałem na twoją matkę, by zrezygnowała z uczestnictwa w swoich klubach i stowarzyszeniach, ale najwyraźniej nie

zamierza zwalniać tempa, co nie pozostaje bez wpływu na postępy choroby – ostatnie zdanie wypowiedział przez zaciśnięte zęby.

– Nie traktujcie mnie, jakbym już była nieżywa – odcięła się Konstancja. – Skoro nic nie można z tym zrobić, przynajmniej pozwólcie mi żyć normalnie tak długo, jak to tylko możliwe. – Rozłożyła wachlarz i bez słowa opuściła ich, by dołączyć do gości.

* * *

Gdy tylko ogłoszono pobór, bez wahania zaciągnął się do cesarskiego wojska. Skierowano go na podstawowe przeszkolenie, a potem przydzielono do korpusu medycznego. Wśród żołnierzy panowało podniecenie: niektórzy dopatrywali się w konflikcie szansy na awans społeczny, inni pragnęli udowodnić swoje męstwo i zapisać się chwalebnie na kartach historii, nawet jeśli tylko rodzinnej. Henryka natomiast motywowała złość. Przy każdej wizycie u rodziców widział postępy choroby na twarzy matki i zadawał sobie pytanie, jak mógł nie dostrzec ich wcześniej. Ona i ojciec jedynie pogarszali sprawę, udając, że nic się nie zmieniło i rozprawiając o swoich działalnościach dobroczynnych, studentach, pracy akademickiej, nadchodzącym ślubie Edmunda i dziesiątkach rzeczy, których znaczenie bledło wobec rychłej śmierci Konstancji. Nie mógł tego znieść, a praca w szpitalu nie kołała jego nerwów, więc uznał, że może silniejsze doznania uchronią go od męki, jaką powodowały nieustanne rozważania o matce.

Większość oddziałów wycofywano z terenu Galicji Wschodniej. Także jednostka, w której służył Henryk, miała się połączyć z czwartą Armią. We wrześniu gruchnęła wiadomość, że siły rosyjskie zagrażają Lwowi, Henryk jednak nie miał czasu, by się tym martwić, bowiem codzienne, wielogodzinne przemarsze skutecznie wyjaławiały umysł. Udało im się odepchnąć przeciwnika w bitwie pod Komarowem, jednak już wkrótce rosyjskie siły na terenie Galicji Wschodniej zostały znacząco wzmocnione i przez to nie wykorzystano w pełni zwycięstwa. Dowództwo skierowało ich do Rawy Ruskiej, lecz natarcie

zakończyło się niepowodzeniem i wkrótce potem Rosjanie wkroczyli do Lwowa. W trakcie odwrotu Henryk został postrzelony w nogę. Rana początkowo wyglądała na niezbyt poważną, ale zaczęła się z niej sączyć śmierdząca wydzielina i doktor został przewieziony do szpitala polowego. Tam też chirurg oczyścił ranę i wyciągnął z niej odłamki, dając pacjentowi jedynie kilka łyków alkoholu do popicia w trakcie zabiegu. Henryk leżał z wysoką gorączką przez blisko tydzień, balansując między granicą jawy i snu. Docierały do niego przypadkowe bodźce: strzępy rozmów, odór otaczających go ciał innych żołnierzy, nieznośnie jasne promienie światła.

– Ten to chyba długo nie pociągnie. – Usłyszał stojącą nad nim kobietę. – Umrze z wycieńczenia, jeśli gorączka nie ustąpi.

Chłodny grzbiet dłoni łagodnie przywarł do rozpalonego czoła mężczyzny.

– Rana wygląda dobrze – odpowiedział jej głębszy, nieco chropowaty głos. Henryk poruszył głową, usiłując zlokalizować źródło dźwięku i wtem światło wpadło wprost na pochyloną sanitariuszkę. Była drobna, jej okrągłą twarz okalały ciemnozłote pukle włosów, niewprawnie upchnięte pod czepek. Odwróciła się i schyliła po lekarstwo dla leżącego obok Henryka oficera. Młody lekarz utkwiał spojrzenie w małych krągłych piersiach dziewczyny, wyraźnie zarysowanych pod mundurkiem, potem zaś prześlizgnął wzrok na jej pośladki.

– A fe, gapi ci się na tyłek, Jelizaweta. Mężczyznom, niezależnie od pochodzenia, tylko jedno w głowie! – zaskrzeczała druga sanitariuszka.

Pielęgniarka, nazwana Jelizawetą, odwróciła się powoli i posłała Henrykowi uśmiech, pokazując równe zęby. Nie wyglądała na zgorszona, wręcz przeciwnie, cała sytuacja zdawała się ją niezmiernie bawić.

– Cóż, to dobry znak, jeśli potrafi skupić swoją uwagę na czymś – odparła i pochyliła się nad Henrykiem. – Słyszysz mnie pan? – zapytała, dotykając jego dłoni.

Lekarz z wysiłkiem skinął głową.

– Przynieść panu coś? Wody? Kawalek chleba? – dopytała.

– Wody – wycharczał Henryk, mrugając oczami. Powoli wydobywał się z otchłani nieświadomości i zaczął kojarzyć pewne fakty. Wrócił również ból nogi, choć nie tak silny jak zaraz po postrzale. Próbował się podnieść, żeby obejrzeć kończynę, jednak osłabione ciało odmówiło posłuszeństwa.

– Powoli, powoli. – Jelizaweta przytrzymała go, a następnie pomogła usiąść na łóżku. – Proszę, pańska woda. – Przyłożyła mu metalowy kubek do ust i powoli przechyliła. Wypił zawartość jednym duszkiem.

– Jak długo? – zapytał, skracając pytanie ze względu na silny ból gardła.

– Niedługo – odparła sanitariuszka. – Zaraz przyjdzie lekarz i pana przebada, koleżanka już po niego poszła.

– Dziękuję – odparł Henryk i skinął głową.

Dziewczyna wróciła do pozostałych rannych, a młody lekarz obserwował ją z oddali. „Ładna. I niegłupia” – pomyślał, omiatając wzrokiem jej drobną sylwetkę.

* * *

– Ale bym ją wychędożył – powiedział jeden z podoficerów, kładąc karty na stół. – Aż by mi się jądra skurczyły, a po chwili jeszcze raz, a potem kolejny!

– A potem skamlałbyś jak zbity pies, kiedy twoja żona by się o tym dowiedziała i wywaliła cię z domu na zbity pysk! – odparł jego przyjaciel, dokładając kolejne karty.

– No chyba nie powiesz mi, że sam byś nie wyściskał tych... – Podoficer zaczął ugniatać powietrze rękoma, wysuwając przy tym lubieżnie język. – I że nie wgryzłbyś się w te malinki!

Siedzący na uboczu Henryk parsknął śmiechem.

– Widzisz, doktor się ze mną zgadza. – Podoficer wskazał na Palińskiego.

Henryk uniósł rękę w obronnym geście.

– Hola, hola, nic takiego nie powiedziałem. Bardziej bawi mnie wasza pewność, że siostra Walicka byłaby zainteresowana taką propozycją – odparł zaczepnie.

– Eee, synu ty się na kobietach nie znasz – orzekł przyjaciel podoficera, machnąwszy przy tym zamasyście dłonią. – Jak baba długi czas nie ma chłopa, to na każdego się rzuci. Ta zasada dotyczy także wielkich pań z twojego świata, wierz mi, nawet ich!

Henryk skinął porozumiewawczo głową, aczkolwiek nie był w stanie powstrzymać rozbawienia. Śmiech zamarł na jego ustach dopiero, gdy zobaczył, że Jelizaweta idzie do niego ze zmartwioną miną.

– Dzień dobry, siostró – powitał ją. Pozostali odwrócili wzrok i udawali zajętych swoimi sprawami, choć Henryk wiedział, że czynią tak z uwagi na niego. „Szelmy!” – pomyślał ciepło i skupił spojrzenie na drobnej twarzy pielęgniarki.

– Pański brat przysłał pilną wiadomość – powiedziała, a kąciki jej ust zadrżały. Podała mu kartkę z telegramem. Henryk przymknął oczy, przeczuwając, jaka jest treść owej wiadomości. Rozłożył kartkę i niechętnie przebiegł po niej wzrokiem, po czym złożył ją, wepchnął do kieszeni kurtki mundurowej, odwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

– Przepraszam panowie, ale muszę was na chwilę opuścić – powiedział i zaparłszy się o podłokietniki, wstał i wspierając na kuli, powędrował na okoliczną łąkę. Był późny październik, toteż zimny wiatr smagał odziane jedynie w mundur ciało. Henryk przyklęknął pośrodku łąki i dłonią zaczął gładzić pojedyncze źdźbła trawy wyrastające jeszcze z ziemi. Za wszelką cenę usiłował odepchnąć od siebie zalewające jego umysł obrazy matki, lecz im bardziej się starał, tym wyraźniej widział jej twarz, jej delikatny uśmiech i drobne dłonie. Wiedział, że jeśli pozwoli sobie na chwilę słabości, to nie będzie mógł dalej funkcjonować, nałożyć maski i być z powrotem maszyną do naprawiania ludzi.

– Przeszkadzam? – Usłyszał głos Jelizawety za sobą.

Potrząsnął głową. Sanitariuszka przykucnęła obok niego i wbiła wzrok w horyzont.

– Moja matka nie żyje – rzekł po chwili Henryk. Jego gardło było ściśnięte, ręce drżały konwulsyjnie. – Nic nie napisał o tym, jak mocno cierpiała, chociaż wiem, że tak było. To normalne przy tego typu chorobie – dodał, przełykając głośno ślinę. W tym momencie oddałby wiele, byleby tylko nie zdawać sobie sprawy z ogromu cierpienia, jakiego Konstancja musiała doświadczyć w swoich ostatnich chwilach.

Jelizaweta nic nie odpowiedziała, dalej wpatrując się niczym zahipnotyzowana przed siebie, jednak przez twarz dziewczyny przebiegł cień, ślad długo skrywanego cierpienia.

– Prawie nie pamiętam swoich rodziców – powiedziała wreszcie, przenosząc spojrzenie na Henryka. – Umarli, kiedy byłam jeszcze mała. Oboje zostali nauczycielami, takimi z misją, jeździli od wsi do wsi i uczyli dzieci z ukraińskich rodzin.

– Przykro mi – odparł Henryk.

Jelizaweta prychnęła pod nosem.

– Wychowywała mnie babka, pani największego gospodarstwa we wsi, odziedziczonego po mężu. Niczego mi nie brakowało i, jak mój ojciec, mogłam się kształcić na nauczycielkę, ale zmarła, a reszta rodziny postanowiła wydać mnie za męża. – Zacisnęła nerwowo dłonie. – Zebrali się po jej pogrzebie, niby jako starszyzna, a tak naprawdę chodziło o to, by położyć łapy na majątku staruszki. Gadali, że niby co ja bez męża zrobię i to jeszcze jako wykształcona baba. Zamknęli mnie w moim pokoju, na czas „znalezienia kandydata”. Nie mieściło im się w głowie, że mieszkałam w mieście, liznęłam trochę innego życia, zaraziłam się socjalizmem, ideą wolności i równości wszystkich ludzi – głos Jelizawety przybrał nienaturalnie wysoki ton. – Dla nich to wszystko były tylko wymysły. Więc uciekłam, a kilka tygodni później wybuchła wojna i teraz jestem tu.

Henryk zaśmiał się cicho.

– Przypominasz mi trochę moją matkę. Jednak ona nie zdołała przeciwstawić się rodzinie – zauważył.

Jelizaweta skierowała na niego spojrzenie swoich dużych, szklistych oczu.

– Pokolenie naszych rodziców często nie miało wpływu na swój los, co nie oznacza, że my nie możemy teraz przejąć kontroli nad własnym – odparła cicho, przybliżając swoją twarz do twarzy Henryka.

* * *

W listach pisanych do domu nigdy nie wspomniał o Jelizawecie. Po powrocie na front widział się z nią rzadko, a znajomość podtrzymywali korespondencyjnie. Wymieniali się ideami i toczyli zaciekle spory dotyczące polityki i społeczeństwa. Henryk był pod głębokim wrażeniem szerokiej wiedzy młodej nauczycielki oraz chłonności jej umysłu. Zdobywała i czytała każdą książkę, którą jej polecił, a następnie opisywała mu swoje wrażenia, niejednokrotnie analizując je wnikliwiej i trafniej niż wielu znanych mu mężczyzn. Zdawała się przy tym być chłodna, dystansowana wobec swoich uczuć, co przypominało Henrykowi jego matkę. Różnica między dwoma paniami była taka, że Jelizaweta nie przenosiła się do swojego świata, i nawet gdy się poróżnili, wciąż czuł, jak trwa przy nim. Były oczywiście i inne różnice, pewna naiwność i niedoświadczenie w stosunkach międzyludzkich oraz niezgrabność okazywana w towarzystwie, co na tym etapie zupełnie Henrykowi nie przeszkadzało, podobnie jak i uważał za urocze „naturalne” wierzenia swojej partnerki, jej bliskość z naturą i tradycją ludową. Uważał wręcz takie połączenie logicznego umysłu z temperamentem dzikiej, słowiańskiej rusałki za szczególnie pociągające.

Pierwszym wyłomem w owym idealnym obrazie świata była wieść o ciąży Jelizawety. Henryk jako człowiek honorowy zaproponował dziewczynie ślub. Pobrali się w tajemnicy na wiosnę 1915 roku. Żonę umieścił w wynajętym mieszkaniu w Mikołajowie, sam zaś musiał wrócić na front. Wczesną jesienią

urodził się Ignacy, jednak Henryk zobaczył go dopiero na początku następnego roku, kiedy dostał przepustkę do domu. Czekąło go chłodne powitanie. W mieszkaniu panował rozgardiasz, jedzenie było byle jakie, syn zaś krzyczał w pokoju obok, zawinięty w brudne pieluchy. Jelizawetę zastał leżącą na dywanie w salonie, książki miała rozłożone dookoła siebie, a w stosach przy ścianie zgromadziła wydrukowane ulotki.

– Chyba nie chcesz, żebym zrezygnowała ze swoich marzeń? – odpowiadała na delikatne wyrzuty ze strony Henryka. – Wychowywanie dziecka samemu to ciężka praca, należy mi się odrobina czasu dla siebie.

Łamał się i obiecywał przesłać więcej pieniędzy, by mogła zatrudnić pomoc. Pod koniec przepustki wszystko zdawało się być jak dawniej, ale mimo to nie opuszczał go niepokój. Postanowił powierzyć swoją tajemnicę bratu i przedostatniego dnia umówił się z Edmundem w kawiarni we Lwowie, gdyż starszy Paliński właśnie przebywał na przepustce u chorej żony. Wysłuchał Henryka z uwagą, jego oko błysnęło boleśnie na wieść o narodzinach syna. Obiecał dotrzymać sekretu i jednocześnie zaopiekować się Jelizawetą na wypadek, gdyby młodszemu bratu coś się stało.

W listopadzie 1917 urodziła się Marianna. Henryk nie mógł się napatrzyć na pucułowatą, zaczerwienioną twarzyczkę córki. Rosja wycofała się z wojny, kraj pochłonęła bolszewicka rewolucja. Jelizaweta była podekscytowana i gdy tylko poczuła się lepiej, natychmiast dała się wciągnąć w wir wieców i spotkań, zostawiając dzieci z niańką. Jej rodzina odszukała ją w Mikołajowie z zamiarem pogodzenia się, lecz nauczycielka odrzuciła ich propozycję, unosząc się honorem. Henryk zagryzł zęby, jednak nie skrytykował decyzji żony, choć dochody z jej gospodarstwa pomogłyby zreperować domowy budżet. Jego pobory nie wystarczyłyby na wygodne życie, więc ukrywał przed Jelizawetą, że finansowo wspierał ich Edmund. Poza tym młoda

pani Palińska nie grzeszyła gospodarnością i pieniądze pompowała w swoją działalność polityczną.

Wielka wojna dobiegła końca i natychmiast wybuchła kolejna, której zarzewiem stał się spór o przynależność Galicji Wschodniej. Ukraińcy opanowali Lwów, na ulicach toczyły się walki z nielicznymi siłami polskimi. Henryk, po demobilizacji, zaciągnął się do nowo powstałego Wojska Polskiego i tym razem wracał w rodzinne strony, by toczyć bój o przyłączenie ich do odrodzonej Polski. Po odbiciu stolicy regionu dokonywano aresztowań przywódców strony ukraińskiej, internowane zostały również osoby podejrzane o działanie na szkodę państwa polskiego. Henryk wziął jeszcze udział w walkach na Wołyniu. Do Mikołajowa wrócił dopiero latem 1919 roku.

– Znowu pod pańskim butem – skomentowała zwycięstwo Polaków Jelizaweta.

Henryk wiedział, że jego żona popierała powstanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, a jego udział w walce przeciwko niej uznała za osobisty afront, jednak nie dał się sprowokować. Niecały rok później znowu ruszył na wojnę, tym razem przeciwko agresji bolszewickiej na Polskę. Jelizaweta z dziećmi ukryła się u dalekich krewnych na wsi.

Niemal codziennie zarówno do niej, jak i do Henryka docierały kolejne opowieści o okrucieństwie agresorów. Jelizaweta miała okazję przyjrzeć się temu osobiście, gdy w tajemnicy poszła pomóc pani na pobliskim dworze, która wraz z córkami została pohańbiona przez żołnierzy. Od tej pory zgłaszały się do niej różne kobiety, wszystkie z tym samym problemem. Jelizaweta słuchała ich historii, ocierała łzy i podawała przepisy na odpowiednie ziołowe specyfiki. I coraz bardziej nienawidziła. Wrzuciła pamflety komunistyczne do paleniska i obiecała sobie, że już nigdy nie da się ogłupić ideologii, nieważne jak szlachetnej w swoich założeniach. Powrót męża przyjęła z ulgą i na pewien czas stosunki między małżonkami unormowały się.

Henryk otworzył praktykę lekarską i już wkrótce całe dni wypełniała mu praca oraz troska o pacjentów. Dzieci podrosły i Jelizaweta znów zaczęła pracować jako nauczycielka. Nie zrezygnowała z zajęć dodatkowych, więc małżonkowie widywali się rzadko. Funkcjonowali bardziej obok siebie niż ze sobą, jak dwa niezależne, mające niewiele ze sobą wspólnego światy. Henryk starał się walczyć z tym. W lecie organizował krótkie rodzinne wypadki poza miasto, w zimę natomiast przyjęcia u siebie w domu. Jego wysiłki poprawiały sytuację na jakiś czas, lecz pełne niechęci spojrzenie Jelizawety i melancholijne usposobienie dzieci nie uchodziły uwadze Henryka. Udawał, że się tym martwi, ale dużo chętniej dokładał sobie pracy, by móc zepchnąć te obserwacje w niepamięć.

Trzy lata po powrocie Henryka do Mikołajowa do jego drzwi zapukał niespodziewany gość. Jelizaweta otworzyła bez pytania i do środka wpadł ojciec doktora Palińskiego. Profesor krytycznym wzrokiem omiół skromne mieszkanie syna, jego twarz przybrała przy tym wysoce niesympatyczny wyraz. Jelizawecie poświęcił zaledwie kilka sekund, popatrzył na nią jak na kolejny element wyposażenia mieszkania.

– Zatem tak wygląda twoje robienie specjalizacji za granicą – powiedział pełnym ironii głosem.

Henryk milczał. Profesor Paliński bezceremonialnie rozsiadł się na fotelu w salonie i otaksował syna spojrzeniem.

– Gdzie są moje wnuki? – zapytał.

Jelizaweta przyprowadziła Ignacego i Mariannę. Profesor wyciągnął wystruganego w drewnie konika dla wnuka, a wnuczce wręczył porcelanową lalkę. Rozmawiał z dziećmi, wręcz szczebiotał, całkowicie ignorując ich rodziców. Maluchy były uradowane wizytą starszego pana, wspinały się po jego nogach, siadały mu na kolanach i całowały w pomarszczone policzki. Henryk po raz pierwszy dostrzegł czułość w zachowaniu ojca. W końcu bariery zostały przełamane i profesor zaczął dyskutować z Jelizawetą. Śmiał się z żartów synowej i szkolnych opowieści.

Zgodził się nawet zjeść z rodziną syna kolację i Henryk już zaczął mieć nadzieję, że być może wizyta ojca nie zakończy się kłótnią. Po wieczerzy jednak profesor Paliński poprosił syna na stronę. Zostawili Jelizawetę z dziećmi w salonie i przeszli do małego gabinetu lekarza.

– Bóg obdarzył cię mądrymi dziećmi i rozumną żoną – zaczął ojciec, splatając ręce na plecach. Nie usiadł, krążył po gabinecie, zatrzymując się na dłużej przy oknie. Spojrzał na ulicę i westchnął ciężko.

– Dziękuję, ojcie – odpowiedział cicho Henryk, przeczuwając, że zaraz posypią się oskarżenia. Profesor Paliński jednak nie sprawiał wrażenia człowieka wściekłego lub rozżalonego.

– Nie musiałeś kłamać ani ukrywać się przede mną, synu – powiedział ojciec, a jego głos zadrżał.

Henryk spuścił głowę ze wstydem.

– Bałem się, że będziesz mnie próbował od tego odwieść – przyznał, nie podnosząc wzroku.

– I słusznie, co nie znaczy, że bym cię nie zrozumiał. A tak... pogwałciłeś tradycję i zaprzepaściłeś swoje szanse na dobre życie. Też byłem kiedyś młody i dałem się ponieść porywom uczuć, a cenę za to płaciłem przez lata – odparł profesor.

– Mówisz o matce? – zapytał szeptem Henryk.

– Są do siebie podobne. Twoja żona i twoja matka. Wspaniałe stworzenia a jednocześnie trudne w pożyciu, pozostające w nieustannym konflikcie ze sobą i z najbliższymi – rzekł z namysłem profesor Paliński, po czym skupił uwagę na synu. – Wzgardziłeś moim autorytetem i nie obdarzyłeś mnie swoim zaufaniem, więc czuję się zobligowany do odwzajemnienia twoich czynów. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął zeń grubą kopertę, którą następnie rzucił na biurko syna. – To są pieniądze, które ci się należą po śmierci matki. Ode mnie nie otrzymasz ani grosza, dokonałem już stosownych zmian w zapisach testamentu.

Henryk milczał. Zdał sobie sprawę, że nie tylko wystąpił przeciwko woli rodzica, ale, co gorsza, zranił go i być może nie będzie miał już szansy na zadośćuczynienie.

– A teraz opuszczę cię – powiedział profesor Paliński. – I zważ na moje słowa, podparte osobistym doświadczeniem, synu: nie będziesz szczęśliwy.

Pożegnał się z Jelizawetą i wnukami, po czym wyszedł w ciemną noc. Kiedy dwa lata później Edmund napisał mu, że ojciec zmarł na atak serca, Henryk zamknął się w swoim gabinecie i szlochał przez całą noc. Od tej pory w swoich listach do brata pytał o rodzica, wspominał dzieciństwo i czasy młodości, usiłując odnaleźć w słowach i urywkach wspomnień prawdziwy obraz profesora Palińskiego.

Jelizaweta tymczasem postanowiła pogodzić się ze swoją rodziną i odzyskała należny jej po babce majątek. zaproponowała przeniesienie się na stałe na wieś, mając na względzie dzieci i coraz mocniej niedomagające małżeństwo.

– Znakomity pomysł. Mogę kontynuować praktykę, jeżdżąc po sąsiednich wioskach – przyklasnął jej Henryk, choć jego serce ścisnęło się z żalu. Szanse na zrobienie specjalizacji właśnie zmalowały do zera.

* * *

LWÓW, 1922 R.

Deszcz bębnił o blaszaną rynnę, stanowiąc dziwnie rytmiczny podkład muzyczny do panującego w kancelarii Edmunda rozgardiaszu. Sam adwokat Paliński krążył niespokojnie po gabinecie, co chwila przystając i mocno gestykulując. Jego usta przy tym poruszały się i wyglądało na to, że ćwiczy jedną ze swoich szczególnie płomiennych przemów. Asystent Edmunda przezornie zostawił przełożonego samego i zaczął delikatnie flirtować z sekretarką w drugim pomieszczeniu, dopóki z gabinetu obok nie wychyliła się głowa jednego ze starszego partnerów.

– Do roboty, a nie w konkury! – szepnął teatralnie pan Przystakowski, mrugając przy tym zalotnie do młodziutkiej sekretarki. Asystent tak się przejął nieoczekiwaną interwencją, że aż niechcący strącił kryształowy kałamarz z biurka panny Antonii. Delikatny przedmiot roztrzaskał się na dziesiątki drobnych fragmentów, zaś atrament zaplamił kosztowną, turecką wykładzinę.

– A to ci ladaco! – zakrzyknęła pani Antonia, wiedząc, że to na nią spadnie obowiązek posprzątania owego bałaganu i rzuciła gniewne spojrzenie swojemu zalotnikowi.

Czekający na niezbyt wygodnej kanapie Henryk niemalże parsknął śmiechem, obserwując wyczyny młodych. Wreszcie zza drzwi gabinetu wyłoniła się blada twarz Edmunda.

– Poproś mojego brata – polecił sekretarce.

Dziewczyna z godnością wstała i skinęła głową na Henryka, mówiąc:

– Pański brat może pana teraz przyjąć, panie Paliński.

– Ależ naturalnie, chwała niech będzie jego łaskawej wspaniałości – odparł doktor, wstając z kanapy.

Panna Antonia zarumieniła się i zaczęła nerwowo gładzić sztywny kołnierzyk sukienki, lecz Henryk zignorował jej zabiegi i chryzą krokiem wkroczył do gabinetu Edmunda.

– Wesóło tu masz – rzekł na wstępie, strzelając oczami po konserwatywnym wystroju pomieszczenia. „Biedermeier pełną gębą” – pomyślał na widok kwiecistych tapet i ciężkich, dębowych mebli.

– Bardzo – przytaknął Edmund. – Od czasu, gdy zatrudniłmy Antonię, musieliśmy podziękować trzem asystentom i znosić nad wyraz częste wizyty żon. Gdybym był psychologiem, zająłbym się badaniem wpływu damskiej zazdrości na efektywność pracy ich mężów. Sądzę, że doszedłbym do zaskakujących wniosków.

– Ale ta mała to nie jest nic nadzwyczajnego – zauważył Henryk, ledwo mogąc sobie przypomnieć twarz dziewczyny.

– Nie, i w tym jest pies pogrzebany – potwierdził Edmund, szukając swojej fajki w kieszeni marynarki. Wreszcie wydobył ją, nabił tytoniem i zapalił. Zaciągnął się, a po chwili wolno wypuścił dym z ust. – Jest normalna, niewymagająca... nie to co nasze wielkie damy. – Uśmiechnął się złośliwie. – I choć wmawia się nam, że poszukujemy w kobietach wysublimowania, to w rzeczywistości większość z nas skrycie pragnie, by patrzyły na nas wzrokiem wiernego psa. I tak jak on wybaczały przewiny i kochały wciąż, nawet gdy traktujemy je nie lepiej od ulicznych dziwki.

Henryk odchrząknął.

– Wyczuwam niepokojący wzrost poziomu cynizmu, a to nie w twoim stylu, bracie. Jakieś problemy? – zapytał, bo w tonie Edmunda ewidentnie pobrzmiwało rozgoryczenie.

Adwokat odstawił fajkę na biurko i ukrył twarz w dłoniach.

– Ach, zwyczajnie cięży mi to ludzkie bagno, dla którego muszę często pracować. Coraz bardziej uświadamiam sobie, że moja praca to nic innego jak zwykłe krwiopijstwo, niemające nic wspólnego ze sprawiedliwością. Ale – machnął ręką – poradzę sobie, przeżywałem już podobne kryzysy. Lepiej mi powiedz, co tam u Jelizawety i dzieci? – zmienił temat, kierując spojrzenie na młodszego brata.

Henryk wzruszył ramionami. Zaproszenie przyjął po części też po to, by uwolnić się od rozważań na temat własnej rodziny.

– Jelizaweta zaczęła pisać. Nazywa to „wielkim dziełem przedstawiającym prawdziwe życie klas pracujących na ukraińskiej prowincji” i poświęca temu całe dni – powiedział.

Brwi Edmunda podjechały do góry.

– Już nie uczy w szkole? – zapytał zaniepokojony.

„Pewnie martwi się, że znowu nie starcza nam pieniędzy” – zauważył gorzko Henryk.

– Zrezygnowała, zresztą nie miała innego wyjścia, groziło jej usunięcie za zbyt radykalne poglądy – odparł.

Edmund westchnął ciężko.

– Harda jest, muszę jej to oddać – powiedział. – A co z gospodarstwem?

– Dzielimy je z kuzynem Jelizawety i jego rodziną. Dzierżawi od nas pola i część domu, a w zamian za to nie musimy zajmować się gospodarstwem – odparł Henryk. „I lwia część zysków również trafia do kuzyna, co zresztą było warunkiem uznania praw Jelizawety” – pomyślał.

Edmund wolno pokiwał głową, a na jego czole zarysowała się pojedyncza zmarszczka.

– A dzieci? – zapytał.

– Zdrowe – odrzekł mechanicznie Henryk. – Wszędzie ich pełno, jak to dzieci. – Starał się unikać tematu potomstwa, mając w pamięci bezdzietność starszego brata.

– Jak to dzieci – powtórzył Edmund bez przekonania. Poruszył się niespokojnie, jakby coś mu przeszkadzało. – Chciałem ci coś dać – powiedział nagle i szybkim krokiem podszedł do swojego biurka, otworzył pierwszą szufladę od góry i wyciągnął cienką teczkę. Wręczył ją Henrykowi.

– Nie zgadzałem się nigdy z decyzją naszego ojca – wyjaśnił, gdy lekarz otworzył teczkę. – I przepisałem należną ci część majątku z powrotem na ciebie, Henryku. Ponownie jesteś człowiekiem zamożnym i możesz zrealizować swój zamiar zrobienia specjalizacji – oznajmił. Przez cały ten czas uważnie śledził wyraz twarzy brata, jakby czekał na określoną reakcję.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzekł Henryk, wpatrując się w zadumie w dokument. – Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś, jeszcze to... Jesteś dla mnie zbyt dobry, bracie.

Edmund uśmiechnął się smutno.

– Cóż... nie powiem, że nie mam w tym pewnej intencji – odparł, uważnie dobierając słowa. – Ale pomyślałem sobie, że gdybyś miał z Jelizawetą wyjechać na jakiś czas, to być może rozważyłbyś pozostawienie Ignacego i Marianny pod moją opieką? – zakończył niemal na bezdechu. – Często w swoich listach wspominałeś, że nie macie z Jelizawetą dla nich dostatecznie dużo czasu, że

poziom nauczania na prowincji jest słaby, a ja i moja żona mamy cierpliwość i środki, tylko...

Henryk przerwał mu, unosząc dłoń.

– Nie musisz kończyć – powiedział cicho. Przymknął oczy na kilka sekund i nabrał powietrza w płuca, starając się uspokoić. – Wiem, że tak naprawdę chodzi o więcej niż kilkumiesięczny pobyt, nie zaprzeczaj. I wiem też, że możesz im dać więcej, niż ja kiedykolwiek byłbym w stanie ofiarować, ale sam nie mogę podjąć takiej decyzji. Muszę się naradzić z Jelizawetą.

Oczy Edmunda lśniły w sztucznym świetle gazowej lampy.

– Sprawilibyście mi radość, nawet gdyby to miało być tylko tymczasowe rozwiązanie – powiedział.

Henryk opuścił Lwów z ciężkim sercem. Propozycja Edmunda rozpała wyobraźnię lekarza i wprawiła go niemalże w euforię, jednak w tym samym czasie obudził się w nim wstyd. Nie wiedział już, czy perspektywa wyjazdu cieszy go z powodów czysto zawodowych, czy raczej upatruje w niej szansy na ucieczkę od dotychczasowego życia. Zdał sobie sprawę, że opcja, ku której się bardziej skłaniał, mówiła mu prawdę o nim samym. A ją odpychał od siebie przez lata.

* * *

FRANCJA, LWÓW 1926 R.

– Wyglądasz na zadowoloną – powiedział Henryk, odkładając kapelusz na wieszak i zerkając do salonu. Jelizaweta czytała w pozycji półleżącej, a jej szczupłe nogi zwisały swobodnie z szezlongu. Opaliła się podczas pobytu w Nicei, a jej sylwetka odzyskała dawną smukłość i gibkość.

– Dobrze jest móc zająć się sobą – odpowiedziała i delikatnie chwyciła męża za dłoń. – Tak właśnie powinno wyglądać życie dwojga młodych ludzi z ambicjami.

Henryk pogładził skórę dłoni żony. Idylla powoli dobiegała końca i już niedługo będą musieli zdecydować, jak dalej pokierować swoim losem. Otrzymał propozycję objęcia stanowiska w szpitalu w Marsylii, jednak na razie nie poruszał tego tematu

z Jelizawetą. Chciał, by nacieszyła się beztroską tak długo, jak to tylko możliwe.

– Już nie jesteśmy tacy młodzi – zauważył trzeźwo. – Zbliżam się do czterdziestki, a i ty, moja droga, przekroczyłaś wiek chrystusowy.

Jelizaweta skrzywiła się.

– Czyli oboje jesteśmy w najlepszym możliwym wieku. Nie powiesz mi chyba, że czegoś ci brakuje? – zapytała z przekorą, rzucając mężowi znaczące spojrzenie.

„Złudzeń” – pomyślał Henryk. – „I poczucia, że pewne rzeczy potrafią być niezmiennie, jeśli tylko włoży się dostatecznie dużo wysiłku w ich kultywowanie”.

Potrząsnął głową. Jelizaweta wróciła do lektury, pozostawiając go pogrążonego w rozmyślaniach. Być może ogień w ich związku zdążył już się wypalić, niemniej udało im się wypracować układ, w którym obie strony zaspokajały swoje potrzeby. Na pozór to wystarczało. Mieli więcej czasu dla siebie, więcej rzeczy robili razem i wiedzieli, kiedy odpuścić.

Rozległo się pukanie do drzwi. Jelizaweta odłożyła książkę i zwinnie podbiegła, by otworzyć. Henryk nie dosłyszał wymiany zdań, ale po chwili jego żona wróciła z niewyraźną miną, ściskając w dłoni kartkę z telegramem.

– Od twojego brata – powiedziała, wręczając Henrykowi wiadomość.

Edmund informował o ciężkiej chorobie Marianny. Henryk spojrzął na Jelizawetę.

– Czas wracać – orzekł.

Gdy wrócili, Marianna była już całkowicie zdrowa i jedynie jej szczupłe ciało mogło wskazywać na odbytą przez dziecko walkę. Jelizaweta nawet nie przestąpiła progu pokoju dziecięcego, jakby bała się reakcji swoich pociech. Ignacy i Marianna ledwo rozpoznali Henryka, chowali się za nogami opiekunki, łypiąc na niego z bezpiecznej odległości.

– Ponawiam swoją propozycję – powiedział Edmund w trakcie uroczystej kolacji.

– Musimy się nad tym zastanowić – powtórzył Henryk. Napotkał na zaniepokojone spojrzenie Jelizawety.

– Co się stało? – zapytał, gdy byli już sami, w sypialni.

Jelizaweta stała przodem do okna, z rękoma opartymi o biodra. Wyglądała na niespokojną.

– Nie potrafię wrócić do bycia matką w taki sposób, jaki się ode mnie oczekuje – odparła, odwracając się w stronę męża. – Nie umiem dać im tego, co twój brat i bratowa.

Henryk opuścił głowę.

– Zatem chcesz, żeby tu zostały? – zapytał. Starał się, by jego głos brzmiał naturalnie, lecz to pytanie zadał niemalże napastliwym tonem. Tęsknił za dziećmi i perspektywa kolejnego rozstania sprawiała mu ból.

– Sądzę, że tak byłoby najlepiej dla wszystkich – odparła Jelizaweta. – Przecież nawet jeśli mielibyśmy wystarczające środki na posłanie ich do odpowiednich szkół, to pomyśl sobie, co by mówiły inne dzieci, ich rodzice – wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo. – Nigdy im nie wybaczą ich pochodzenia, nigdy nie wybaczą im mnie.

Wtedy zauważył przebijający z mimiki Jelizawety wstyd.

– Jesteśmy silniejsi od tego – powiedział, łapiąc żonę za dłonie.

Pokręciła głową.

– My może tak, ale czy naprawdę chcesz, żeby dzieci musiały całe życie walczyć za to, kim są? – zapytała. – Czy nie uważasz, że nasze małżeństwo jest błędem?

– Nie, wcale tak nie uważam – odparł Henryk i przytulił żonę. Jelizaweta zaszlochała cicho.

Ignacy i Marianna zostali we Lwowie.

* * *

LISTOPAD 1929 R.

Henryk wracał z odwiedzin u starego znajomego w Mikołajowie. Wsiadł z pociągu i zatrzymał jednego z chłopów jadącego do

sąsiedniej wsi. Zapłacił mu za podwiezienie pod sam dom, po czym wskoczył na pusty wóz i ułożył się na wyściełającym deski sianie. Nakrył się swoim płaszczem i w ciszy podziwiał wieczorne niebo.

Spodziewał się, że wróci do domu późnym wieczorem, toteż zdumiały go palące się w całym domu światła. Pożegnał chłopca i z wolna ruszył do drzwi wejściowych. W środku zastał kuzyna żony, Piotra, z małżonką i nastoletnimi synami, zebranych wokół nakrytego czarnym obrusem stołu, na którym ustawiono żeliwne, bogato zdobione świeczniki. Trzymali się za ręce i szeptali słowa modlitwy. Na widok Henryka jeden z wyrostków zerwał się i, nie wiedząc, co ma robić, ruszył pomóc krewnemu zdjąć płaszcz i buty. Piotr wzdrygnął się nerwowo, a jego żona zanosila się płaczem.

– Piotrze, co się stało? – zapytał Henryk, poważnie już zaniepokojony. Rozejrzał się po domownikach. – Gdzie Jelizaweta?

Piotr nakazał żonie uspokoić się, a następnie powiedział nienaturalnym tonem:

– Chodź za mną, bracie.

Poprowadził Henryka do znajdującej się na parterze sypialni, którą dotychczas zajmowali z Oksaną. Na zaścielonym łożu spoczywało szczupłe ciało Jelizawety, odziane w tradycyjną, bogato zdobioną wyszywaną i czerwono-białą samodziałową spódnicę z zapaską w geometryczne wzory. Jej ciemnomiodowe włosy skryto pod jedwabnym oczipokiem, kolorystycznie współgrającym z resztą stroju. Twarz Jelizawety zastygła niczym woskowa maska, była całkowicie pozbawiona wyrazu, jakby stanowiła parodię jej gwałtownego i pełnego sprzecznosci charakteru. Dookoła łóżka ustawiono dziesiątki świec oraz wazony z ostatekami polnych kwiatów, co sprawiało, że pomieszczenie wypełnił specyficzny, słodkawy zapach mieszający się z wonią wydobywającą się ze zwłok.

– Jak to się stało? – zapytał, przenosząc wzrok na Piotra.

Kuzyn Jelizawety przestępował z nogi na nogę, co chwila spoglądając na podłogę lub na własne ręce.

– To wydarzyło się podczas zaręczyn Michaiła – odparł po chwili. – Rodzina jego narzeczonej sprosiła całą wieś na przyjęcie. Było ognisko, dwa pieczone prosiaki i dużo, za dużo alkoholu. I baby zaczęły gadać, a najbardziej żona sołtysa. Że nasza rodzina jest zdemoralizowana, że żyjemy pod wpływem wzorców zaczerpniętych z zepsutego zachodu, a przede wszystkim, że jakim prawem Jelizaweta, ze swoją przeszłością, uczy dzieci, które może sprowadzić na złą drogę, bo przecież nauczyciel powinien świecić przykładem.

Henryk zamrugął oczami. Wiedział, że miejscowi nie darzyli jego i Jelizawety szczególną sympatią, jednak nigdy nie odczuł ich niechęci na własnej skórze, koncentrowała się ona wyłącznie na jego żonie. Jednak nikt nie protestował, gdy po ich powrocie z Francji ponownie zaczęła uczyć. Piotr kontynuował:

– Oczywiście sołtys kazał jej zamilknąć i odezwało się kilka rozsądnych osób. Ludzie przypomnieli sobie, że dzięki Jelizawecie wiele dzieciaków mogło kontynuować naukę i uzyskiwało dobre wyniki. Ale wtedy kuzynka musiała się odezwać, a że sama trochę wypila, to nie powiedziała nic szczególnie mądrego.

Henryk zerknął na leżące na łożu ciało żony. Tak, Jelizaweta nie pozwalała po sobie deptać, w to był skłonny uwierzyć.

– I odgryzła się, że ma coś więcej do zaoferowania niż zabobon i ciemnotę. Jak się możesz domyślić, rozpętała tym samym piekło – powiedział Piotr i Henryk wyczuł, że kuzyn pomija ważną część opowieści.

– Niech zgadnę: wytknęli jej ślub ze mną – powiedział.

– Tak, że zbałamuciła „polskiego inteligenta”, a potem porzuciła go wraz z dziećmi, żeby „kurwić się” bezkarnie – dopowiedział Piotr bez mrugnięcia okiem.

Henryka uderzyła świadomość, że nigdy nie pytał rodziny Jelizawety, jak odbierają jej zachowanie, jednak wiedział, że

śmiałe poglądy żony i traktowanie mężczyzn jak równych sobie nie zjednywały jej uznania wśród kobiet.

– Czy też tak uważasz? – zapytał Henryk.

Piotr wzruszył ramionami.

– Jelizaweta żyła, jak chciała i niejednen może jej pozazdrościć odwagi oraz upor. Niestety, ani ona nie rozumiała nigdy nas, ani my jej, a ludzie odmieńców nie lubią. Co nie oznacza, że ucieszyli się, jak jedna z bab wyciągnęła nóż i ją zaatakowała, ale...

– Ale? – zapytał Henryk z naciskiem.

– Boję się o ciebie, bracie – odparł szczerze Piotr. – Ludzie różne rzeczy gadają, a jak dojdzie do procesu, to niektórzy mogą szukać zemsty.

Henryk zaśmiał się histerycznie.

– Zemsty? Oni? Przecież zabrali mi żonę! – powiedział z oburzeniem.

W oczach Piotra błysnęły ponure iskierki.

– To prości ludzie, bracie. Nie chcą tu was, Polaków, ani w ogóle żadnych obcych – powiedział.

– Czyli za to zginęła – rzekł Henryk. – Za bycie „żoną Polaka”.

– Tego nie powiedziałem – bronił się Piotr. – Jesteś mężem i spadkobiercą mojej kuzynki, kocham cię jak brata. Z domu cię nie wyrzucę, bo nie jest on mój, ale ostrzegam, że przed tobą ciężkie czasy. Może lepiej byłoby, żebyś stąd wyjechał, przynajmniej dopóki sprawa nie ucichnie?

„Nie dam im tej satysfakcji” – pomyślał Henryk. – „Sądzą, że ucieknę ze strachu i żalu? Że nie sięgnę po sprawiedliwość dla żony, tylko pozwolę oddać jej sprawę pod ich osąd? Nie, to oni niech czują niepokój i wstyd za każdym razem, gdy zobaczą mnie idącego przez wieś, niech ich pali za każdym razem, gdy wzywają mnie do moich chorych, gdy proszą o wsparcie materialne dla uczących się dzieci. Niech wiedzą, że nie jestem taki jak oni i że nigdy się takim nie stanę. A nade wszystko niech obraz mojej żony nigdy nie zatrze się w ich wspomnieniach, nawet jeśli ta zadra miałyby obrócić się przeciw mnie” – pomyślał.

– Musimy ją pogrzebać. Już czas – oznajmił. – Zawiadomię swojego brata.

Na czole Piotra pojawiła się pojedyncza pionowa zmarszczka.

– Chcesz, żeby przyjechał z dziećmi? – zapytał.

– To już pozostawię jego rozwadze, natomiast nie będę łągał przed własną rodziną – oznajmił Henryk. – A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym zostać z nią sam.

Piotr spełnił prośbę Henryka. Paliński usiadł na skraju łóżka i delikatnie musnął opuszkami palców policzek Jelizawety. Choć ostatnie wspólnie spędzone lata nie należały do najlepszych, jej odejście dalej było dla niego wręcz nierealne. Pomyślał o wszystkich radosnych chwilach, o początkach ich znajomości, pobycie w Francji. O wyzwaniach, którym wspólnie stawili czoło. O zażartych dyskusjach i sporach, jakie między sobą toczyli. I o swoim największym żalu.

– Do końca nie wiedziałem, kim jesteś – powiedział, cofając rękę. – Nigdy nie pozwoliłaś, żebym cię tak naprawdę poznał.

Siedział w sypialni aż do świtu. Część świec zdążyła się wypalić, a panująca w domu cisza ustąpiła porannemu rozgardiaszowi. Wreszcie odwrócił wzrok od martwej żony i wyszedł na ganek, spoglądając z zadumą na budzący się do życia krajobraz.

* * *

LIPIEC 1937 R.

Tamtej nocy Piotr wybudzał Henryka trzy razy. Najpierw wezwano go do gorączkującej chłopki. Dziewczyna była wyrobnicą w gospodarstwie jednego z bogatszych chłopów i jakiś czas temu zaszła w ciążę. Ludzie w wiosce gadali, że to sam gospodarz, znudzony widokiem swojej starzejącej się żony, zabawiał się z pracownicą, choć były i głosy przerzucające winę na pracowników sezonowych z okolicznych miejscowości. W każdym razie gospodarz i jego rodzina wykazali się chrześcijańskim miłosierdziem i pozwolili zostać dziewczynie u siebie do czasu rozwiązania. Poród odbierała żona gospodarza przy wsparciu miejscowej „mądrej kobiety”, której Henryk osobiście nie

tolerował i uważał, że przynosi więcej szkody niż pożytku, choć z reguły potrafił docenić ludową wiedzę i znajomość ziółarstwa. Niestety, w przypadku starej Leny, „leczenie” opierało się głównie na wierzeniu w różne zabobony i odprawianiu czegoś, co w najlepszym wypadku mógł określić mianem „guseł”. Nie raz napotykał pacjentów w fatalnym stanie, upchniętych w najbardziej dusznym pomieszczeniu chaty, okadzonych i nasmarowanych smrodliwymi maściami, którzy uporczywie walczyli o każdy oddech. Tym razem nie było inaczej, i, ku swemu przerażeniu, odkrył, iż dziewczyna, nieumyta od czasu połogu, leżała pod zabrudzonymi kocami i trzęsła się z gorączki. Już rzut oka wystarczył, by ocenić sytuację: w kącie stała brudna miska z zakrwawionymi szmatami, nieopodal leżało podobne do szczypiec narzędzie, całe zardzewiałe.

– Kazała ją tak zostawić, mówiąc, że organizm sam się oczyści – oznajmiła żona gospodarza, wydłużając nieco szyję, by spojrzeć na chorą. – To dobra kobieta, sprowadziła na świat wszystkie moje maluchy – dodała po chwili.

Henryk musiał ugryźć się w język, by nie odpowiedzieć zbyt stanowczo. Już dawno temu nauczył się, że atakowanie lokalnych autorytetów nie przynosiło żadnego efektu poza zmniejszeniem liczby pacjentów. Jeśli chciał pomagać, musiał to robić, zręcznie lawirując między tradycją a przekonaniem miejscowych, a tym razem intuicja mu podpowiadała, że sytuacja chorej była bardziej skomplikowana, niż wcześniej myślał.

– Przede wszystkim trzeba wymienić pościel na świeżą – powiedział do kobiety. – Będę też potrzebował miski z gorącą wodą i dużo czystych ścierek, najlepiej wygotowanych. I dużo wody dla chorej.

Kobieta skinęła głową i wyszła z izby. Henryk ściągnął brudne koce i wyciągnął szmatki wepchnięte między uda dziewczyny. Krwawiła, nieznacznie, ale jednak.

– Część łóżyska musiała zostać w środku – powiedział do siebie.

Do izby weszły dwie kilkuletnie dziewczynki, zapewne córki gospodyni, niosąc czyste pledy i białe szmatki. Za nimi pojawiła się ich matka z dużą, metalową miską z wodą.

– Czy możecie ją przytrzymać? – poprosił matkę i córki.

Gospodyni przyklękała przy chorej i położyła mocne, żyłaste dłonie na wątlých ramionach dziewczyny. Córki stanęły obok matki i przyglądały się z zaciekawieniem sytuacji.

Henryk obmył dziewczynę, a następnie, naciskając na jamę brzuszną, wsunął dłoń do środka macicy i delikatnie zaczął przeszukiwać jej wnętrze pod kątem pozostałości. Kiedy takowe znalazł, delikatnie oddzielał je od ścianki macicy i wyciągał na zewnątrz. Dziewczyna jęczała, jednak nie wyrywała się ani nie walczyła z nim. Wreszcie, po kolejnym sprawdzeniu, Henryk doszedł do wniosku, że wszystkie kawałki zostały usunięte.

– Będzie ją trzeba ponownie umyć, nakryć solidnie i pilnować, żeby dużo piła – powiedział.

– Czy przeżyje? – zapytała gospodyni.

Henryk spojrzał na bladą twarz chłopki.

– Bóg raczy wiedzieć – odparł.

Gospodyni przeżegnała się i obiecawszy przypilnować zaleconych zabiegów pielęgnacyjnych, odprowadziła lekarza do drzwi. Była pierwsza w nocy, a nim dowlekl się do domu, do swojego łóżka, dochodziła druga.

Piotr obudził go ponownie o trzeciej. Tym razem chodziło o starego Iwana i jego kamienie nerkowe. I znowu Henryk musiał odbyć wędrówkę przez wieś. W wyciągniętej przed siebie dłoni trzymał lampę naftową i czasem odganiał psy, które, wybudzone ze snu, warczały na niego i biegały za nim, szczerząc zęby.

Po badaniu zalecił bez zwłoki udać się do szpitala. Staruszek trząsł się z bólu, więc Henryk kazał jego dzieciom sporządzić specjalny ziołowy wywar, by złagodzić objawy choroby. Doskonale wiedział, że nie zawiozą dziadka do miasta i stary Iwan nie dożyje zimy. Niemal świtało, gdy wracał do domu. Tym razem Piotr czekał już na niego na ganku.

– Masz gościa – powiedział. Był niespokojny, lekarz widział to po jego niepewnym uśmiechu.

– Gościa? A to ci nowina – mruknął pod nosem Henryk. – Zabawną sobie znalazł porę na wizytę.

Z głębi izby wyłoniła się niewysoka postać, poranne światło powoli omiotło sylwetkę gościa. Przed Henrykiem stanął młody mężczyzna, o pociągłej, kanciastej twarzy. Miał ciemne włosy, bladą skórę i jasnobrązowe oczy.

– Twój syn, Ignacy – rzekł Piotr.

* * *

Przez chwilę bał się, że zaraz nastąpi potok słów, za którymi nie będzie w stanie nadążyć, bombardowanie oskarżeniami, przed którymi się nie obroni. Lecz Ignacy, wyrostek o gładkiej twarzy i urodzie będącej dalekim echem rodziny Palińskich, był zbyt podobny do Henryka. Milczący, kalkulujący następny ruch, zdawał się swojemu ojcu jeszcze bardziej przerażający, niż gdyby zaczął od ataku. Jasne oczy młodzieńca przesuwwały się wolno po sylwetce rodzica, jakby usiłował dokładnie zapamiętać jego wygląd. Wreszcie Ignacy potrząsnął głową i parsknął śmiechem.

– Jestem tu, znalazłem cię i nie wiem, co mam powiedzieć – rzekł, rozkładając ręce. – Cóż za kompletny brak elokwencji z mojej strony.

„Przypominasz mojego brata” – pomyślał Henryk i ta myśl sprawiła mu ból.

– Chodź, oprowadzę cię po domu. – Usłyszał własny głos.

Ignacy omiótł wzrokiem pomieszczenie.

– Nie pamiętam tego miejsca – odparł szczerze.

– Cóż, wcześniej mieszkaliśmy w Mikołajowie, w czteropokojowym mieszkaniu, w kamienicy w samym sercu miasta – przyznał Henryk.

Ignacy skinął głową.

– Tak, Marianna i ja mieszkaliśmy razem w narożnym pokoju, z taką jasną, tłoczoną tapetą na ścianach – powiedział. – Mama zabierała nas codziennie rano na rynek i kupowała nam ciepłe,

świeże bułki. Potem, gdy wracaliśmy, zamykała się w gabinecie, a my zostawialiśmy sami z nianią i często nie widzieliśmy jej aż do momentu, gdy wracałeś od pacjentów. To pamiętam – wyrzekł z zadumą Ignacy, a na jego czole pojawiła się drobna, pojedyncza zmarszczka.

– Może chcesz odwiedzić grób swojej matki? – zapytał Henryk. Miał przeczucie, że jego syn sam nie znał przyczyny swojej wizyty, on zaś niekoniecznie chciał o niektórych rzeczach mówić, toteż najprostszą strategią było podsuniecie mu kwestii oczywistych, zajęcie go wspomnieniami.

– Dlaczego nas nie odwiedziłeś po jej śmierci? – zapytał nagle Ignacy, ignorując wcześniejsze pytanie ojca. – Czekałem na ciebie, każdego dnia powtarzałem Mariannie, że do nas przyjedziesz. Nigdy mi nie uwierzyła i w końcu sam przestałem w to wierzyć. Przyjąłem wersję zdarzeń stryja i przestałem o tobie myśleć.

– Więc dlaczego tu jesteś? – zapytał Henryk.

Ignacy przez chwilę patrzył z zaciętą miną w przestrzeń, po czym zaczął mówić:

– Kilka tygodni temu stary znajomy stryja przyszedł do kancelarii po poradę. Ponieważ go nie zastał, zaoferowałem swoje usługi. Pytał o ciebie, wspominał, że służyłeś z jego synem podczas wielkiej wojny, znał takie szczegóły, o których nie miałem wcześniej pojęcia. Dotychczas myślałem, że wszystkie moje wybory są konsekwencją logicznego myślenia, że definiują mnie jako odrębną od rodziny i jej „polityki” jednostkę, ale kiedy tak o tobie opowiadał, nagle zdałem sobie sprawę, że to nie jest moja odrębność, a podobieństwo do ciebie.

– I chciałeś utwierdzić się w tym przekonaniu... albo zadać mu kłam – spuentował Henryk. – To rozsądniejsza opcja niż ta, którą sam wybrałem, będąc w twoim wieku.

Ignacy uśmiechnął się blado. „Ciekawe jak bardzo Edmund spłaszczył postaci moich dzieci w swoich listach?” – zastanawiał się Henryk. – Ile rzeczy pominął, jak zinterpretował pewne cechy i zachowania?”

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał Ignacego.

Chłopak wahał się przez chwilę.

– Chcę tu zostać przez jakiś czas...

– Załatwione.

– ...a potem chcę otwartego kontaktu tylko między nami. Bez pośrednictwa stryja – zastrzegł Ignacy.

Henryk skinął głową.

– Co z twoją siostrą? – zapytał. W jego pamięci Marianna była kilkuletnią, zamkniętą w sobie dziewczynką o zaciętym wyrazie twarzy i smutnych oczach.

– Pamięta to, co chce pamiętać i jest w tym zabójczo konsekwentna. Mam podstawy uważać, że ciebie i matkę usunęła z serca już dawno temu – odparł Ignacy.

„Stracone dziecko. Membrana, na której od samego początku odbijały się wszystkie problemy naszej małej rodziny. Być może Jelizaweta miała rację i autentycznie Marianna widziała nas takimi, jakimi w istocie byliśmy: skłóconymi, niedopasowanymi, pogrążonymi w stanie wiecznej wojny pomiędzy sobą. Może też rozumiała, dlaczego ją zostawiliśmy, chociaż mogła nas za to równie dobrze znienawidzić” – pomyślał Henryk.

– A ty? – zwrócił się do Ignacego. – Nie chcesz mnie uderzyć, wykrzyczeć mi w twarz swoich krzywd? Nie kipi w tobie nienawiść?

– Nie. – Syn zaskoczył go swoją stanowczością. – W przeciwieństwie do mojej siostry nie interesuje mnie wiedza na temat ludzkich motywacji i przekonań. Chcę się dowiedzieć, dlaczego tak postąpiliście i pragnę cię odzyskać, dopóki jeszcze mogę. Pytanie tylko, czy przyjmiesz mnie z powrotem?

Henryk poczuł zalewającą go falę wzruszenia. Widział w Ignacym cząstkę siebie, jedynie szlachetniejszą i czystsza niż oryginał. Rozpoznał również dawno zapomniane uczucie bycia potrzebnym i chcianym w czyimś życiu, ale ogarnęły go również wątpliwości. Przez wiele lat żył w samotności, choć otaczali go przecież przychylni mu ludzie. Nigdy jednak nie przekroczył

oddzielającej go od nich bariery, z większością mieszkańców utrzymywał relacje jedynie na poziomie pacjent–lekarz. Nawet wobec Piotra i jego rodziny, współdzielących z nim dom, nie miał nic nad zwyczajową życzliwość i fachowe porady. Teraz zaś, w obliczu perspektywy zbudowania więzi na nowo oraz tak wyraźnie zaznaczonej w charakterze Ignacego empatii, Henryk poczuł, jak bardzo emocjonalnie skarłał przez te wszystkie lata. „Nie masz mu nic do zaoferowania” – podpowiadał mu głos w głowie. – „Nic w tobie już nie zostało, przestałeś nawet wierzyć w swoją misję niesienia pomocy. On to zobaczy, zobaczy, jak marny jesteś i odsunie cię, tak jak ty odsunąłeś wcześniej jego. Historia zatoczy koło, a ty pozostaniesz pusty, pusty i odrzucony”.

Stał sparaliżowany, nie wiedząc, co począć. Wtem w jego umyśle rozbrzmiał inny głos: „Tu nie chodzi o ciebie. On nie przyjechał cię uratować, tylko by zrozumieć samego siebie, rozedrzeć otaczające go kłamstwa. To ty masz mu pomóc, jesteś mu to winien. Jeśli zaś w procesie poznawania prawdy, poznawania ciebie, postanowi cię odrzucić, cóż, będzie to wybór, którego dokona, ponieważ postanowiłeś mu pomóc. Jesteś rodzicem i tym razem role się odwróciły. To ty musisz mu zaufać, nie na odwrót”.

– Tak, choć nie uważam, że mam do tego jakiegokolwiek prawo – odparł wreszcie.

Chwilę później mógł już go przytulić, ponownie, po kilkunastu latach. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że wrócili do czasów Mikołajowa, a on i Jelizaweta nigdy nie wyjechali. Wtedy przed oczyma stanął mu obraz jego własnego ojca. „Dziwne, choć zawsze był przy mnie, to nigdy nie czułem się tak blisko niego, jak teraz jestem z Ignacym” – pomyślał.

* * *

MARZEC 1943 R.

Atmosfera we wsi była napięta, ludzie szeptali za plecami, a garść polskich rodzin, mieszkających w okolicy, starała się trzymać razem. Krążyło coraz więcej opowieści o napadach na Polaków, krwawych i brutalnych, a co bardziej zacierzewieni

zaczęli do nich nawoływać także i u nich. Nawet z reguły optymistycznie nastawiony do życia Piotr z niepokojem wypatrywał powrotu Henryka od pacjentów, a gdy jakaś wizyta się przedłużała, wysyłał jednego ze swoich synów „do pomocy”. Raz i miejscowy pop wezwał lekarza do siebie i usiłował przekonać go do wyjazdu ze wsi. Henryk jednak, nie znając miejsca pobytu dzieci ani swojego brata, nie chciał narażać siebie ani tym bardziej ich, przenosząc się do miasta. „Może któreś z nich się tu pojawi, szukając schronienia?” – myślał.

Zamiast rodziny pewnego wieczoru do tylnych drzwi gospodarstwa załomotała Ludmiła, dziewczyna, której niegdyś pomógł dojść do siebie po ciężkim połogu.

– Doktorze, musi pan uciekać, natychmiast! – oznajmiła, wpadając zziębnięta do środka. Była ubrana w gruby, pokryty śniegiem płaszcz, przez co przypominała bardziej postać z baśni aniżeli chłopkę. – Idą po pana! Zdecydowali się bić Polaków! – wyrzucała z siebie potok słów, łapiąc chciwie każdy oddech.

Henryk uniósł brew.

– Myślę, że Piotr... – zaczął.

– Pan Piotr jest w to również zamieszany! – przerwała mu stanowczo Ludmiła. – Inaczej zabiją jego i jego rodzinę. A teraz musi pan iść, proszę! – W oczach dziewczyny zalśniły łzy.

– A co z tobą i twoim małym? Co zrobią z wami? – zapytał Henryk, uważnie przyglądając się Ludmile. – Domyślą się, że ktoś mnie ostrzegł i dojdą, że byłeś to ty. I co wtedy?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– To nieważne, to nie ma znaczenia. Ja jestem nikiem, pan pomaga ludziom. Nie mogą pana zabić! – upierała się.

Henryk wyjrzał przez okno. Śnieg dalej padał, a na zewnątrz panował mróz. Nawet jeśli uda mu się zbiec, to gdzie się skieruje? Sąsiednie wsie mogło ogarnąć to samo szaleństwo, próżno też szukać chłopców z lasu, założywszy, że trafiłby na swoich, nie na komunistyczną partyzantkę. Przeniósł spojrzenie na Ludmiłę.

– Czy wiesz coś więcej o ich planach? – zapytał.

– Mieli zamiar zebrać się większą bandą i uderzyć na inną wieś, ale tam podobno Polacy bronią się zaciekle, więc nasi na razie zbierają siły i terroryzują całą resztę – powiedziała. – Jutro mają być tutaj...

– Wiesz, gdzie jest ta wieś? – dopytał Henryk.

Dziewczyna skinęła głową.

– Świetnie. A teraz idź, przygotuj swojego chłopca i spotkaj się ze mną za cztery godziny przy kapliczce, dobrze? – polecił.

„I obym nie przecenił naszych sił i możliwości” – dopowiedział w duchu. Ukradkiem przygotował sobie niewielki tobołek z żywnością, narzędziami medycznymi i lekarstwami, po czym, jakby nigdy nic, zjadł kolację z Piotrem i jego rodziną. Gdy współlokatorzy Henryka wrócili do swojej części domu położyć młodsze dzieci spać, lekarz zgarnął jeszcze zdjęcie Jelizawety z jadalni i wymknął się na zewnątrz.

Wybrał drogę przez pole, z dala od głównego traktu. W oddali zamajaczyła się zgarbiona postać okutana ciemnym płaszczem. Kiedy się zbliżył, zauważył, że to Ludmiła niosąca małego chłopca w chuście na plecach. Na ziemi trzymała worek z sztywnego, drapiącego płótna. Drgnęła nerwowo na widok Henryka i przywołała przepraszający uśmiech na twarz.

– Wzięłam najpotrzebniejsze rzeczy – powiedziała i cofnęła rękę. Szukała przez chwilę na oślep, po czym wydobyła wciśnięty gdzieś między ubranie a ciało pistolet.

– Gospodarz trzymał go ukrytego w stodole – wyjaśniła. – Zabrałam jeszcze noże i łopatę.

Henryk skinął głową z uznaniem. Dziewczyna miała w sobie więcej rozsądku, niż pierwotnie zakładał.

– Dobrze, ruszajmy, zanim ktokolwiek nas zauważy. Gdzie dokładnie znajduje się miejscowość, o której mówiłaś? – zapytał.

Ludmiła wskazała ręką na północny zachód.

– Około dwa dni drogi koniem... Nie jestem pewna, jak długo będziemy tam szli pieszo – odparła, mrużąc oczy.

– Kilka dni, zwłaszcza że musimy podróżować głównie nocą – stwierdził Henryk i powoli zaczął maszerować w stronę linii drzew, jednak Ludmiła nie ruszyła za nim.

– Musimy iść. Teraz – ponaglił dziewczynę.

Ludmiła rozejrzała się dookoła. Księżyc był niemalże w pełni i dobrze oświetlał twarz chłopki, zaciętą, a jednocześnie smutną.

– Nigdy wcześniej nie zapuszczałam się tak daleko od domu, a teraz wydaje mi się, że już nigdy do niego nie wrócę – powiedziała, rozkładając ręce. – Czy to normalne, co teraz czuję? Niby nic dobrego mnie tu nie spotkało, ale dom to dom.

Henryk wyciągnął do niej dłoń. Ludmiła złapała ją bez wahania.

– Znajdziesz sobie inny. Lepszy. Taki, w którym nikogo nie będzie interesować twoja przeszłość – zapewnił ją. – Ale musisz wykonać ten pierwszy krok.

Ludmiła opuściła głowę, lecz zaczęła iść, najpierw powoli, potem zaś śmieiej, równając się tempem z doktorem. Nie odwróciła się ani razu.

* * *

Znała okoliczne lasy dobrze i ta wiedza niejednokrotnie ocaliła im życie podczas ich kilkudniowej wędrówki. Pierwszej nocy szli niemalże aż do bladego świtu, zatrzymując się jedynie na krótkie postoje. Henryk wziął od Ludmiły chłopca i niósł go na własnych plecach przez większość czasu. Dziecko było spokojne, wręcz apatyczne. Lekarz początkowo poczuł ulgę, gdyż bał się, że marudzenie chłopca mogłoby na nich ściągnąć uwagę, lecz później zaczął się zastanawiać nad stanem zdrowia malca.

– Twój syn jest bardzo grzeczny – zauważył.

Ludmiła wzruszyła ramionami.

– Baby gadają, że jest słaby na umyśle. Wszystko robi wolniej niż pozostałe maluchy, jakby myślał nad tym, co robi, a to przecież tylko dziecko – odparła. – O, weźmy na przykład to: inni w jego wieku już zaczynają mówić, a on? Tylko kwiczy i piszczy, a najczęściej układa rzeczy i się na nie gapi godzinami. Dziwne, nie?

Henryk potaknął. Nad ranem rozbili obóz. Przy pomocy Ludmiły zbudował prowizoryczne schronienie, maskując je suchymi gałązkami i śniegiem, tak żeby z oddali przypominało niewielki pagórek. Gdy chłopka zasnęła, przysiadł się do jej syna. Malec przez cały poranek chodził dookoła obozu i znosił różnej długości patyki i kamienie, teraz zaś siedział wewnątrz szałas i wbijał patyki w ziemię przed sobą. Zaczął od najkrótszych. Henryk wybrał najdłuższy kawałek i zatknął go na samym końcu. Chłopiec przyglądał się temu, po czym uniósł duże, błękitne oczy na lekarza i uśmiechnął się. Pokazał na kolejny długi patyk. Henryk podniósł go z ziemi i podał dziecku. Chłopiec wbił go tuż obok patyka lekarza i sapnął z wrażenia.

– Pokażę ci coś – szepnął lekarz. Chłopiec uniósł główkę i skupił swoją uwagę na Henryku. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni dwa spore krzemienie i zaczął je o siebie ocierać, aż trysnęły iskry. Dziecko wciągnęło powietrze z wrażenia.

– Jesteś całkiem bystry – zauważył Henryk.

Od tamtego momentu chłopiec nie odstępował doktora na krok. Nocami przywierał do jego pleców, za dnia zaś wyczekiwał tych kilku godzin, gdy Ludmiłę ogarniała senność i bawił się albo słuchał historii opowiadanych przez Henryka.

Lekarza martwił stosunek matki do malca. Ludmiła nie poświęcała chłopcu zbyt dużo czasu i raczej stroniła od zabaw z nim.

– Jest ciężarem już teraz – powiedziała, gdy ją o to zapytał. – A jak ludzie utwierdzą się w przekonaniu, że jest inny, będzie jeszcze gorzej. – Westchnęła i zerknęła na Henryka. – Nie wszyscy są tak... ludzcy jak pan, doktorze.

Według obliczeń Henryka byli niecały dzień drogi od wspomnianej przez Ludmiłę wioski. Tym razem postanowili skrócić postój i wyruszyć późnym popołudniem, żeby zawitać do miejscowości następnego dnia wczesnym rankiem. Henryk zaczął odczuwać wzmożony wysiłek ostatnich dni w mięśniach, toteż niemal natychmiast zasnął.

Wybudziło go delikatne szturchanie w łokieć. Jęknął i poczuł, jak jego usta oplata silna dłoń Ludmiły. Wtedy usłyszał głośny rechot i wymianę zdań.

– Trzech. Uzbrojonych – wyszeptała.

Henryk przymknął oczy i nasłuchiwał. Znajdowali się zaledwie kilka metrów od nich, lada chwila mogli odkryć ich kryjówkę. Sięgnął po broń i omiół wewnątrz szałasu spojrzeniem. Nigdzie nie było śladu po synu Ludmiły. Lekarz poczuł, jak serce mu przyspiesza. Wtem jeden z mężczyzn głośno zaklął i nagle wszyscy zaczęli krzyżeć. Henryk ostrożnie wychylił się i zobaczył, że jeden z okolicznych krzewów zajął się ogniem, zaś mężczyźni, zdezorientowani, stali tyłem do niego. Odbezpieczył broń, wymierzył w pierwszego i strzelił. Pozostali odwrócili się i sięgnęli po broń. Strzelił do drugiego. Ostatni z mężczyzn wyciągnął nóż i zaczął biec w stronę Henryka, lecz wtem padł strzał z boku. Zza drzew wyłoniła się grupka młodzieńców w sfatygowanych ubraniach, w większości uzbrojona w noże i pałki. Jeden z nich prowadził za rękę syna Ludmiły.

– Pokażcie się! – rozkazał najstarszy z nich, wyglądający na przywódcę. – Rozkazuję wam w imieniu prawowitego rządu polskiego!

Henryk wyszedł z szałasu z rękoma podniesionymi do góry, za nim wyczołgała się Ludmiła. Malec wyszarpnął się młodzieńcowi i podbiegł do lekarza. Wtulił się w jego nogę i pisnął radośnie.

– A więc ten mały podpalacz jest wasz? – zapytał chłopak.

Henryk skinął głową.

– Jestem... jestem lekarzem. Polakiem. Uciekłem ze swojej wsi z obawy przed atakami banderowców. Ta oto dziewczyna i jej syn towarzyszą mi w drodze do pobliskiej wioski – wyjaśnił Henryk.

Przez twarz dowódcy grupy przemknął uśmiech.

– Lekarz? – zapytał z nadzieją. – To się dobrze składa, bo mamy rannych... Nasza grupa jest częścią samoobrony wsi, o której pan wspomniał, doktorze. Ruszyliśmy w las, żeby dopaść niedobitków

z ostatniego ataku. – Pokazał na leżących na ziemi napastników.
– Chętnie was odeskortujemy i zapewnimy schronienie.

Henryk w duchu odetchnął z ulgą.

– Będziemy zobowiązani – odparł.

* * *

Obrońcy porobili tymczasowe zasieki z beczek i uszkodzonych wozów, a następnie ustawili je po obu stronach głównej drogi przebiegającej przez wieś. Henryk zadarł głowę do góry i zobaczył, że na dachach domów stojących na krańcach miejscowości umieszczono punkty obserwacyjne, z których, od czasu do czasu, wyłaniały się odziane w futrzane czapki głowy i rozglądały się dookoła.

– Domy stojące w pierwszym szeregu są całkowicie wyludnione – powiedział jeden z obrońców i splunął na ziemię. – Kilka rodzin miało swoje gospodarstwa położone w pewnej odległości od wsi. Nic się nie ostało, wszystko spalili do fundamentów, a ludzi wytłukli. Paskudny widok.

Henryk pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, jak ma zareagować. Mijani ludzie starali się funkcjonować normalnie, część pracowała w przydomowych warsztatach, inni schodzili albo wybierali się na okoliczne pola, lecz łączyło ich jedno: wryte na twarzach strach i zmęczenie.

– Jak długo to wszystko trwa? – zapytał dowódcy obrońców. Młodzieniec wydał się lekarzowi niewiele starszy od Ignacego.

– Półtorej tygodnia temu nastąpił pierwszy atak – odparł chłopak. – Byliśmy na niego przygotowani, ponieważ od kilku dni służyli do nas uciekinierzy z pobliskich wiosek. Skrzyknęliśmy ludzi, zorganizowaliśmy broń i udało się odeprzeć banderowców... przynajmniej na razie.

– Wrócą. Zbiorą więcej ludzi i wrócą po was – wtrąciła się Ludmiła. – Może nie w najbliższych dniach, może nawet i nie za miesiąc, ale nie zapomną wam tego oporu.

Młodzieniec przytaknął, a na jego oblicze padł cień.

– Tego obawiam się najbardziej – odparł. – W końcu znajdą moment, w którym przestaniemy być uważni, zapomnimy wystawić ludzi na posterunki. Wszyscy na razie są przerażeni, lecz z czasem przestaną nas słuchać – dokończył z goryczą w głosie.

– Nawet nie wiedzą, jak wiele mają do stracenia – podsumowała Ludmiła i, gdy młodzieniec się oddalił, dodała, zwracając się wyłącznie do Henryka: – Nie powinniśmy tu zostawać dłużej niż to absolutnie konieczne. Bez pomocy z zewnątrz przegrają albo z powodu braku amunicji, albo przez czyjś błąd.

Henryk zmrużył oczy. Poranne słońce drażniło go, a ciało domagało się odpoczynku. Uchwycił sylwetkę dowódcy obrońców w oddali, chłopak rozmawiał z kimś, żywo gestykułując.

– Dużo wiesz jak na kobietę, Ludmiło – zauważył, przenosząc wzrok na Ukrainkę.

Dziewczyna prychnęła pogardliwie.

– Jestem nikim zarówno dla polskich panów, jak i dla swoich, choćby mieli tylko odrobinę lepiej ode mnie. A nikim nikt się nie przejmuje, nikogo nie obchodzi, co nikt wie i co nikt usłyszy. Jestem niewidzialna, dopóki nie zechce im się zreć lub wyruchać kogoś innego niż własne, rozlazłe od ciąży żony – odparła, zaplatając ramiona na klatce piersiowej. – I gdybym ich nie słuchała, nie znała ich sekretów, to już dawno bym skończyła jako wioskowa kurwa.

Henryk, zaskoczony wulgarnym słownictwem swojej towarzyszki, poczuł przypływ podziwu dla dziewczyny, jednak pewna kwestia wciąż nie dawała mu spokoju.

– Wybacz, że zapytam, ale... mały nie jest dzieckiem gospodarza, u którego pracowałaś? – zapytał.

Ludmiła parsknęła śmiechem.

– Och, nie – odparła, starając się zapanować nad wybuchem wesołości. – Chociaż jego żona bardzo chciała, żeby reszta bab tak myślała. Nie, oboje, gospodarz i gospodyni wiedzieli, że spodziewam się dziecka, jak tylko zgłosiłam się do pracy. Malec

jest synem właściciela majątku, w którym poprzednio pracowałam. – Ludmiła skrzywiła się na samo wspomnienie o poprzednim pracodawcy.

– Czy on...? – dopytał Henryk, nie wiedząc, jak ubrać swoje podejrzenie w słowa.

– Narzucił mi się? – dokończyła za niego Ludmiła i potrząsnęła głową. – Przecież to wielki pan, więc jak bierze, to z gracją, nigdy z przymusem. Podchodził miłymi słowami, manierami, całym tym swoim dżentelmeństwem. Uh. – Wzdrygnęła się po raz kolejny. – I choć nauczka, którą mi dał, była szczególnie bolesna, to jestem mu w pewien sposób za nią wdzięczna. Już nigdy nie dam się nikomu tak podejść.

Po chwili wrócił do nich dowódca obrońców. Towarzyszył mu barczysty mężczyzna w średnim wieku, z bujnym, skrzącym się siwymi włosami wąsem i zaczerwienionym od zimna obliczem.

– Doktorze Paliński, to wójt Samosiak – przedstawił mężczyznę chłopak.

Wójt uściśnął dłoń Henryka.

– Bóg nam pana musiał zesłać, doktorze! – powitał go tubalnym głosem. – Po ostatnim ataku mamy wielu rannych, zaopiekowaliśmy się nimi najlepiej, jak potrafiliśmy, ale padają jak muchy, a nas tu nie przybywa.

– Zobaczę, co mogę dla nich zrobić – przyrzekł Henryk, zastanawiając się, dlaczego cała ta procedura tak długo trwa. Skoro pilnie zależało im na pomocy lekarza, to dlaczego przetrzymywali ich na pochłaniających czas przywitaniach i obchodzie wsi?

Zaprowadzili Henryka do stodoły, gdzie pomiędzy składowanym inwentarzem upchnięto prowizoryczne nosze, na których leżeli ranni obrońcy wioski. W powietrzu unosił się słodkawy, mdlący zapach krwi i jątrzących się ran.

– Musieliśmy ich schować. Przed Niemcami – wyjaśnił wójt, widząc rozwścieczoną minę Henryka. – I pana również będziemy musieli ukrywać, doktorze. Inaczej zabiją pana na miejscu.

„Zaczyna się. Wszystko od początku, jakby los nie miał dla mnie nic innego tylko ciągłe walki i ucieczki, przeplatane w jakimś idiotycznym porządku” – pomyślał zrezygnowany Henryk. Zaraz potem przywołał do siebie Ludmiłę i zaczął przyglądać się rannym. Czekają go sporo pracy, zatem im szybciej się do niej zabierze, tym lepiej.

* * *

Banderowcy nie nadeszli następnej nocy ani następnego miesiąca, ani żadnej wiosennej nocy roku 1943. Do wioski docierały natomiast kolejne niedobitki z innych miejscowości, czasem w stanie wycieńczenia, czasem z ranami na tyle poważnymi, że Henryk nie był w stanie im pomóc. Wszyscy zgodnie powtarzali to samo: dookoła zapanował terror, nad którym Niemcy nie potrafili lub nie chcieli zapanować.

– Dobrze, że wciąż tu docierają – mruknęła Ludmiła. Dziewczyna cieszyła się w wiosce szacunkiem, ponieważ była pomocniczką Henryka. – Przynajmniej miejscowi pamiętają, że zagrożenie jest realne.

– Możemy ochronić ich ciała, wyleczyć je, ale co ze strzaskanymi duszami? – zapytał ksiądz Orzechowski, z którym doktor Paliński zaprzyjaźnił się w ciągu ostatnich tygodni. – Jak przeciwstawić się takiej nienawiści?

Ludmiła wywróciła oczami.

– Mówi ksiądz tak, jakby wcześniej było lepiej – rzekła. – Dla mnie jedyna różnica jest taka, że ludzie przestali gadać a zaczęli robić i to dokładnie to, o czym wcześniej tylko gadali.

– Moje dziecko. – Ksiądz podniósł rękę w porozumiewawczym geście. – Musisz żyć w bardzo mrocznym świecie, skoro dostrzegasz jedynie nienawiść. Owszem, była ona obecna w naszym życiu wcześniej, ale obok niej pojawiały się też inne, szlachetniejsze uczucia.

Ludmiła rzuciła księdzu w odpowiedzi nieprzyjazne spojrzenie, a następnie wymówiła się ze wspólnego posiłku pod pretekstem „sprawdzenia, co u chłopców”. Istotnie, dużo czasu spędzała

z młodymi obrońcami, którzy nabrali do niej takiego zaufania, że nauczyli ją strzelania z pistoletu i korzystali z jej pomocy, przygotowując broń i sprawdzając okolice. Ksiądz powiódł za Ludmiłą wzrokiem.

– Twoja towarzyszka ma niepokojące poglądy, doktorze, i nie jest to tylko moje zdanie – powiedział, gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi.

– Ludmiła? Ręczę za nią własnym życiem – uciał Henryk. – Ma popędliwy charakter i mówi, co jej ślina na język przyniesie, ale nas nie zdradzi. – Pomiął „choć mogłaby”, które cisnęło mu się na usta.

Ksiądz westchnął teatralnie.

– Ach, cóż, mój przyjacielu, czasem nawet najlepsi z nas dają się zwieść uprzedzeniom. Nie chciałem w żaden sposób uchybić twojej podopiecznej – powiedział pojednawczo.

– Zatem nie mówmy już o tym – zaproponował Henryk, zamykając niewygodny dla siebie temat.

Później nie mieli ku temu okazji, ponieważ jedna z patrolujących okolice grupek przyniosła niefortunne wieści. Henryk i ksiądz wyszli na ulicę, by dołączyć do zebranego wokół chłopców tłumu.

– Duże zgromadzenie banderowców, na oko pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu – mówił chłopak, nabierając tchu. Musiał biec przez większość drogi. – Na razie rozbili obóz, ale na pewno chodzi im o naszą wieś.

Wśród mieszkańców zawrzało. „Aż tyłu?” – powtarzali między sobą. Henryk poczuł nieprzyjemne mrowienie w palcach.

– Jakie uzbrojenie? – zapytał młody dowódca, krążąc z zaplecionymi z tyłu dłońmi dookoła zwiadowcy.

– W większości kosy, siekiery i noże, ale widziałem trochę broni palnej. Chyba od Rusków. Mają tego więcej niż ostatnio – odparł chłopak.

„Dobrze, że kupiliśmy rynsztunek od Niemców” – pomyślał Henryk. Okoliczny oddział okupanta był neutralnie nastawiony do

ludności cywilnej i toczącego się konfliktu, choć zdarzały się gesty sympatii. Dlatego też, kiedy ich porucznik wyszedł z propozycją sprzedaży amunicji i broni palnej, wójt dobił z nimi targu. Co nie zmieniało faktu, że dalej mieli zbyt mało zdolnych do walki mężczyzn.

Dowódca wymienił spojrzenia z wójtem. Henryk dostrzegł wahanie na twarzy młodego żołnierza. Ostatni duży atak UPA przetrzebił szeregi obrońców i choć do wsi napłynęło wielu uciekinierów z okolicznych miejscowości, nie udało się w pełni odtworzyć stanu liczebnego oddziału.

– Zrobimy im takie powitanie, na jakie zasługują! Dokładnie tak jak ostatnio – powiedział po chwili dowódca, a w jego głosie słychać było pewność.

Zgromadzeni wydali z siebie pomruk zadowolenia. „Ufają chłopakom. Pokładają w nich nadzieję” – pomyślał Henryk. – „Zresztą jaki mają wybór?” – skonstatował gorzko.

– Wszyscy zdolni do noszenia broni mają się zgłosić do porucznika lub do mnie osobiście w celu otrzymania stosownego przydziału – dorzucił wójt. – Kobiety proszę o zebranie dzieci oraz osób starszych i zaprowadzenie ich do odpowiednich kryjówek. Pod żadnym pozorem nie opuszczajcie ich przed usłyszeniem ustalonego sygnału!

Mieszkańcy potakiwali i posłusznie poddali się zaleceniom wójta i żołnierzy. Osoby niezdolne do walki podzielono na mniejsze grupy i oddelegowano do kryjówek, najczęściej zlokalizowanych w piwnicach lub budynkach gospodarczych, część umieszczono w podziemiach kościoła. Biorący udział we wcześniejszych starciach mężczyźni pomagali partyzantom rozdzielać broń i wskazywali stanowiska ochotnikom. Henryk przyglądał się całej tej scenie, jakby znajdował się w półśnie – ruchy ludzi zdawały mu się zwolnione, a lipcowa aura dodawała całości nierealnego wymiaru. Rozpoznał to uczucie, gdyż towarzyszyło mu we wcześniejszych starciach, bitwach podczas wielkiej wojny i potem w wojnie z bolszewikami. Znał je i jednocześnie nienawidził,

ponieważ działało niczym mocny narkotyk, potęgując odwagę, a zarazem odbierając umiar. W tym momencie żałował, że nie jest dużo młodszy i nie może walczyć ramię w ramię z partyzantami.

– Doktorze, pomówmy o rozmieszczeniu izby dla rannych. – Henryk nawet nie zauważył, że podszedł do niego porucznik.

– Tam gdzie zawsze? – odpowiedział lekarz.

Porucznik zmarszczył czoło.

– Nie, trudno nam go będzie osłaniać, jest za bardzo wysunięty. Myślałem o plebanii – odparł.

– Przecież to w samym środku wioski – zachnął się Henryk. – Będziemy jak na widelcu, jeśli Ukraińcom uda się przedrzeć.

Porucznik rzucił mu ponure spojrzenie.

– Jeśli UPA się przedrze, to nie będzie miało znaczenia, gdzie umieścimy szpital – odparł. Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej rewolwer. Sprawdził, czy jest naładowany, a następnie podał go Henrykowi. – Jak przyjdzie co do czego, przynajmniej będzie mógł się pan obronić... albo dobić rannych.

Lekarz przyjął broń w milczeniu.

– Ach, i jeszcze jedno. Panna Ludmiła zdecydowała się pomóc przy jednej z barykad. W miarę możliwości będzie też pełniła rolę sanitariuszki – poinformował go na odchodnym porucznik.

– Nie spodziewałem się niczego innego – odparł Henryk. Czuł, że słowa ledwo wydostają się przez jego gardło, tak mocno było ściśnięte. „Trzeba było uciekać, kiedy mieliśmy taką możliwość” – pomyślał, jednak, podobnie do reszty mieszkańców, podporządkował się zaleceniom partyzantów.

* * *

Banderowcy zaatakowali po zmierzchu. Podzielili się na trzy duże grupy: jedna atakowała od północy, gdzie obrońcy ustawili największe barykady, dwie pozostałe zaś nacierały od wschodu i zachodu, oskrzydając wieś. W ruch poszły butelki z benzyną i prymitywne granaty, wyprodukowane naprędce przez partyzantów. Dało się słyszeć huk wystrzałów – uaktywnili się rozmieszczeni na dachach i wieży kościoła strzelcy.

Napastnicy podpalali stojące w oddaleniu od wsi budynki i pola, przez co nagle zrobiło się jasno. Dym i opadające kawałki popiołu zmniejszały widoczność. Natarcie na główne umocnienie osłabło i obrońcy zaczęli przerzucać część sił na flanki. Okazało się, że popełnili fundamentalny błąd. Pod osłoną dymu banderowcy przegrupowali się i po chwili uderzyli z całą mocą na barykady, z łatwością przełamując linię obrony. Nieubłagane, jeden po drugim, napastnicy zaczęli wdzierać się do wioski. Wprawdzie rozmieszczeni na strychach i dachach strzelcy przerzedzali ich szeregi, jednak już wkrótce dały o sobie znać braki amunicji. Rzucano kolejne butelki z płynami zapalającymi oraz kamienie, jednak powoli sytuacja obrońców stawała się rozpaczliwa. Banderowcy wchodzili do pierwszych domów i przeczesywali je w poszukiwaniu mieszkańców. Rozległy się pierwsze przeraźliwe piski i krzyki.

Henryk odbezpieczył rewolwer, chwycił go obiema dłońmi i ostrożnie podszedł do drzwi prowadzących na podwórze plebanii. Dyskretnie zerknął przez okno. Nie dostrzegł żadnych ludzi. Powoli otworzył drzwi i podbiegł do kolejnego budynku. Przyłgnął do ściany i obszedł budynek od prawej, a następnie wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje na głównej drodze. Dochodziły go głośne odgłosy strzałów i krzyki mieszkańców. Zerknął do góry, na iglicę kościoła. Musiał się do niego dostać, nim wpadną tam banderowcy.

Miał mało czasu. Obrońcy wycofywali się, część z nich zupełnie opuściła odwagę i uciekali, biegnąc przed siebie i nie zważając na nic. Henryk przyspieszył, ryzykując wykrycie, jednak w ogólnie panującym chaosie wydawało się, że napastnicy nie zwracają na niego uwagi. Dopadł do drzwi kościoła i wślizgnął się do środka. Przebiegł przez prezbiterium w stronę schodów do krypty, gdy nagle usłyszał rechot. Obrócił się i zobaczył dwóch banderowców stojących w wejściu do kościoła. Rozległy się strzały. Henryk schował się za drewnianymi ławkami. Szczęśliwie mężczyźni najwyraźniej nie mieli zbyt wiele doświadczenia z bronią palną

i jednemu z nich zaciął się pistolet. Lekarz wykorzystał tę szansę, wychylił się zza osłony i wystrzelił. Trafił w brzuch napastnika. Drugi, zdumiony, zaczął strzelać na oślep, a gdy skończyły mu się naboje, rzucił się na Henryka. Paliński był na to przygotowany i tym razem trafił prosto w głowę mężczyzny. Odgłosy walki były coraz bliżej. Lekarz zbiegł po schodkach do krypty. W środku przerażeni mieszkańcy tulili się do siebie, kobiety łkały, a starsi mężczyźni starali się zachować spokój, choć w ich spojrzeniach czaiło się przerażenie.

Syn Ludmiły podbiegł do Henryka i przytulił się do nogi lekarza. Doktor złapał go za rękę, a następnie zwrócił się do zgromadzonych:

– Niedługo tu będą. Uciekajcie albo ukryjcie się w innym miejscu.

Ktoś jęknął z przerażenia.

– Nie znaleźliby nas, gdybyś ich tu nie sprowadził! Słyszeliśmy strzały! – rzucił zdenerwowanym tonem jeden ze starców.

– I tak by was znaleźli! – odparł gniewnie. – Nie nauczyliście się niczego? Nie spoczna, dopóki nie wybiją nas wszystkich!

– Ciii! – uciszyła go jedna z kobiet.

Henryk zamilkł i wtedy usłyszał. Ktoś skradał się po schodach w dół. Zacisnął dłoń na rewolwerze. Pozostały mu cztery naboje w magazynku. Przy odrobinie szczęścia może byłby w stanie unieszkodliwić dwóch, w najlepszym wypadku trzech napastników.

Był gotów. Skupił się wyłącznie na swoim oddechu i wejściu do krypty. Jednak do środka nie wpadli banderowcy, a Ludmiła i kilku partyzantów, w tym dwóch rannych w ramię. Henryk opuścił broń.

– Chodźcie, ale już! – nakazała Ludmiła. – Mamy jeszcze szansę się przebić!

Zdołali to zrobić, choć nie bez ofiar. Banderowcy okrążyli kościół, jednak garstce partyzantów udało się dokonać wyłomu w ich szeregach, umożliwiając mieszkańcom ucieczkę. Nie wszyscy

wytrzymali tempo odwrotu, jednak Henryk starał się nie myśleć o pozostałych z tyłu osobach. Jeszcze inni, ranni w czasie walk w wiosce, padali po drodze, lecz ostatecznie niewielka grupka zdołała zgubić pościg i ukryć się w lesie.

Była połowa lipca 1943 roku i Henryk miał nie wrócić do cywilizacji przez następne dwa lata. Ocalali partyzanci rozbili obóz i wkrótce ich szeregi miały się rozrosnąć. Większość cywili na zimę przeniosła się do okolicznych wiosek, gdy tylko wieści o atakach ucichły, natomiast Henryk postanowił przyłączyć się do leśnych oddziałów. Ludmiła i jej syn, pomimo niedogodności, również zostali w lesie, stając się poniekąd przyszywaną rodziną doktora Palińskiego.

* * *

LIPIEC 1944 R.

Ignacy pojawił się w obozie niezapowiedzianie, kompani przynieśli go na wpół przytomnego z lasu. Wychudły, w obszarpanym ubraniu i ziarenkami prochu strzelniczego wbitymi w policzek, w niczym nie przypominał młodzieńca, który zawitał do wioski siedem lat temu. Ani młodego oficera, z którym Henryk żegnał się latem trzydziestego dziewiątego. Nie, teraz twarz jego syna zdobiły głębokie zmarszczki mimiczne, a jego spojrzenie było puste, jakby wypalił się obecny w nim wcześniej ogień.

Henryk polecił zanieść go do swojego szałas. Dał synowi skrzątnie schowane przed ciekawskimi oczami jedzenie: gulasz wieprzowy i chleb. Ignacy przeżuwał posiłek powoli, z namysłem.

– Piwa? Bimbru? – proponował Henryk, jednak syn potrząsnął głową. Gdy skończył jeść, przeciągnął się na krześle i zaraz potem ukrył twarz w dłoniach.

– Zabrali Mariannę – powiedział wreszcie, spoglądając na rodzica. – Boże, dlaczego ja się na to w ogóle zgodziłem? Mogłem jej przecież zabronić!

– Spokojnie. – Henryk położył dłoń na stole. – Od początku. Co się stało?

Ignacy wziął głęboki oddech, lecz to go nie uspokoiło.

– Wysłano ją z misją, do Warszawy. Coś musiało pójść nie tak, ktoś musiał sypnąć Niemcom i zgarnęli ją – odparł łamiącym się głosem.

Henryk opuścił głowę w zadumie. Nie potrafił sobie wyobrazić swojej córki, w jego umyśle wciąż występującej pod postacią kilkuletniego dziecka, w hitlerowskim areszcie. Znał krążące o nich opowieści i wolał nie myśleć, co mogło ją tam spotkać.

– Czy wiesz, gdzie jest teraz? – zapytał Ignacego.

Syn potrząsnął głową.

– Na Pawiaku, a co potem? Może tam dalej siedzieć, mogli ją wywieźć, może już nie żyć – powiedział. Jego dłoń zacisnęła się w pięść. – To było w ubiegłym roku i od tego czasu nie otrzymałem żadnych wieści. Na domiar złego aresztowano stryja oraz stryjenkę i wysłano ich transportem do obozu. Boję się o nich nawet bardziej niż o Mariannę. Mają już swoje lata i, szczerze mówiąc, stan zdrowia ciotki pozostawia wiele do życzenia. Może nawet nie przeżyć transportu – ostatnie zdanie wypowiedział ciszej, jakby mówił sam do siebie. Zaraz jednak ocknął się z zadumy i spojrzał na ojca. – Pozostałeś mi ty jeden. Nie mam już nikogo.

Henryk westchnął w duchu. Z jednej strony zastanawiało go, jakim sposobem Edmund tak długo unikał aresztowania ze strony Sowietów tudzież Niemców, z drugiej zaś wiedział, że jego brat nigdy wcześniej nie znalazł się w sytuacji ekstremalnej, nie musiał walczyć o przetrwanie. Jeśli zatem przeżyje to, czy będzie potrafił dalej żyć z samym sobą?

– Uda im się i do nas wrócą. Musisz w to wierzyć – powiedział stanowczo.

Ignacy prychnął.

– Mam siebie oszukiwać? Wiem, co się dzieje, ojcze. Nawet jeśli przeżyjemy Niemców, to nasi przyjaciele ze wschodu nie pozwolą nam żyć jak dawniej. Stracimy wszystko.

Henryk milczał. Musiał przyswoić sobie wszystkie informacje przekazane przez Ignacego, zwłaszcza te, które dotyczyły Marianny. Choć nie widział córki od kilkunastu lat, wciąż potrafił przywołać z pamięci jej obraz, przypomnieć sobie, jak wyglądała w dniu rozstania. Harda. Bystra. Odważna. Impulsywna. Mógł użyć wielu epitetów, jednak zawsze pochodziły one z obserwacji osób postronnych, a jemu mówiły o charakterze córki niewiele. Był zmuszony przyznać przed sobą, że jej nie znał i w świetle przedstawionych przez Ignacego zdarzeń, być może został pozbawiony tej szansy na zawsze. Poczował wstyd.

– Ojczy? – Doktor Paliński pochwylił zmartwione spojrzenie Ignacego. – Przez chwilę wyglądałeś tak smutno i... staro.

Henryk mimowolnie się uśmiechnął.

– Ty również nie jesteś już pierwszej młodości, Ignacy. Ja w twoim wieku... – odgryzł się i z ulgą zobaczył, jak jego syn przewraca ze zniecierpliwieniem oczami. Udało mu się, choć na chwilę, odpędzić od młodzieńca ponure myśli.

– Czasem zachowujesz się dokładnie jak stryj Edmund – burknął Ignacy. – Widać, że to ta sama rodzina.

– Ja nie prawie kazań, bo nie czuję się do tego uprawniony – zaprotestował Henryk. – I zdecydowanie bardziej wolę słuchać. Teraz powiedz mi rzecz najważniejszą: jak się tu znalazłeś? – zapytał.

Ignacy opuścił głowę.

– Odmówiłem wykonania rozkazu. I uciekłem. Było jeszcze ze mną kilku ludzi, ale nie wszystkim się udało – odparł.

– Jakiego rozkazu? – dopytywał Henryk, coraz bardziej zaniepokojony.

Ignacy ciężko westchnął.

– Mieliśmy rozkaz ujawnić się przed Sowietami i współpracować z nimi. Kiedy nastąpiło zetknięcie z Armią Czerwoną, Sowietci nakazali wszystkim oficerom stawić się u ichniejszego podpułkownika celem „omówienia dalszych zasad współpracy”. – Ignacy wciągnął głośno powietrze. – To śmierdziało od samego

początku, a potem było już tylko gorzej. Nie wypełniłem rozkazu i nakazałem swoim ludziom rozproszyć się, ponieważ spodziewałem się, że Sowieci nas oszukują. Niestety, nie wszyscy byli tak przewidujący i kilku oficerów poszło, a potem słuch po nich zaginął. Ich ludzie albo uciekli, albo siłą zostali wcieleni do „polskich oddziałów”. Resztę, w tym i mnie, zaczęto bezwzględnie ścigać. Ukrywaliśmy się po okolicznych wioskach i w miarę możliwości w lesie, niestety, nie na długo... Ktoś doniósł Sowiecom o miejscu naszego pobytu. Zostaliśmy okrążeni. Udało nam się co prawda wyrwać, ale wielu poległo, a tym, którzy przetrwali, poleciłem wmieszać się w ludność cywilną. Mam nadzieję... mam nadzieję, że dzięki temu przeżyją – skończył Ignacy.

– Nie mogłeś zrobić tego samego? – zapytał Henryk.

Ignacy potrząsnął głową.

– I czekać na co? Na kogo? Jestem winny temu, co przytrafiło się Mariannie i stryjowi. I co, miałbym ich przeżyć, żeby później gryźć się, że to przeze mnie zginęli? – odparł. – Nie, ojciec. A teraz pozwól, ale chciałbym rozmówić się z dowódcą tej grupy.

Opuścił namiot Henryka, zostawiając ojca pogrążonego w ponurych rozważaniach. Jeszcze tego samego wieczoru zarządzono przeniesienie obozu w inne miejsce i tymczasowe zerwanie kontaktów z mieszkańcami nieodległych wiosek. Zapasów mieli jeszcze pod dostatkiem. „Na razie” – pomyślał Henryk. – „Ale niedługo przyjdzie zima i nie damy rady dłużej się ukrywać, a Sowieci będą już wszędzie. Co wtedy pocznjemy?”

* * *

LUBELSZCZYŻNA, POCZĄTEK 1945 R.

W drugiej połowie czterdziestego czwartego roku oddział zaczął stopniowo wycofywać się w stronę Lublina. Czasem odbywali niewielkie potyczki z Sowiecami, częściej z komunistyczną partyzantką podszywającą się pod Armię Krajową i ograbiającą miejscową ludność ze wszystkiego, co tylko możliwe. Krajobraz ziem, przez które przechodzili, nie napawał optymizmem. Wiele

wiosek spłonęło, pola były nieobsiane, a Polacy, którzy przetrwali rzeź albo uciekli, albo starali się za bardzo nie wychylać, nie kusić losu. Przytłoczeni perspektywą kolejnej sowieckiej okupacji i przerażeni wyczynami Armii Czerwonej często nie wychodzili z domów w godzinach wieczornych. Niemniej ich oddział powiększał się o niedobitków z innych formacji oraz patriotycznie nastawioną młodzież, dobrze pamiętającą represje, jakie nastąpiły po upadku Polski.

Partyzanci nie mieli jasno wytyczonego celu, kontakt z innymi oddziałami urwał się w wakacje, niedługo przed porażką powstania w Warszawie. Ta ostatnia wiadomość w szczególności podkopała morale oddziału, i tak już wymęczoną walką i długimi przemarszami. Część ludzi wciąż jeszcze witała ich z sympatią, jednak większość była w najlepszym razie obojętna.

– Nie chcą już walczyć. Są zmęczeni – skomentowała Ludmiła.

– Wcale im się nie dziwię – odparł Henryk. – Nie wiedzą po co, przecież w ich życiach i tak nic się nie zmieni. Nikomu tak naprawdę na nich nie zależy.

– To dość nihilistyczne stwierdzenie, ojciec – wtrącił Ignacy, idący tuż za nimi.

Henryk wzruszył ramionami.

– Podparte ponad dwudziestoma latami obserwacji. Pamiętaj, że mieszkałem między nimi i doskonale pamiętam, jak to wyglądało przed, jak i w trakcie wojny. Mogę więc powiedzieć: zmieniła się jedynie narodowość tego, kto miał nad nimi władzę – odparł.

– Twoja matka była Ukrainką, prawda? – zapytała niespodziewanie Ignacego Ludmiła.

– Prawda – przytaknął Ignacy. – Ale ledwie ją pamiętam.

Rozmowa się urwała. Henryk już wcześniej zauważył pewną niechęć swojego syna w stosunku do Ludmiły i ta rozmowa jedynie potwierdziła jego przypuszczenia. Nie słuchał jej, nie uczestniczył w dyskusjach z nią, a gdy był do tego zmuszony, natychmiast ucinał pogawędkę, często w niezbyt uprzejmy sposób. Lekarz nie rozumiał przyczyn tej antypatii, gdyż w jego odczuciu

Ignacy był otwartą osobą i szybko nawiązywał przyjacielskie stosunki z pozostałymi chłopakami z oddziału, niezależnie od ich pochodzenia. Któregoś wieczoru, gdy wysłano ich razem na zwiad, Henryk poruszył ten temat z synem.

– Ludmiła? – Ignacy uniósł brwi. – To bardziej przezorność. Przywiązywanie się do kobiet w oddziale nie wydaje mi się mądre. W każdej chwili możemy zginąć albo zostać pojmani, a wtedy lepiej za bardzo o nikogo nie dbać.

– Czyli ją lubisz. – Henryk poczuł ulgę.

– Czyli nie mam na to czasu – odparł Ignacy z irytacją w głosie.

Zimowali na Lubelszczyźnie, gdzie udało im się nawiązać kontakt z innymi grupkami. Łączyli siły, atakując Sowieców albo organizując akcje dywersyjne. Zdawało się, że wkroczyli w znany sobie tryb funkcjonowania i zaczynają odnosić sukcesy. Ludmiła wciąż im towarzyszyła, lecz swojego syna zostawiła pod opieką bezdzietnych rolników w jednej z wiosek, sama całkowicie poświęcając się walce. Przez jakiś czas oddział stanowił jeden, zgrany organizm, mężnie stawiający czoła wszelkim przeszkodom. Nie na długo.

* * *

W początkach marca zorganizowano na nich obławę. Wycofywali się, jednak krąg coraz bardziej się zacieśniał.

– Ja w to nie wierzę! – wrzasnął jeden z chłopaków. – Ktoś nas musiał sprzedać, nie mogli nas ot tak sobie znaleźć! – Rozejrzał się dookoła, po czym pokazał palcem na Ludmiłę. – To ta ukraińska kurwa musiała im donieść! Rozwiązali jej język z taką łatwością, z jaką jej rodaczki rozkładają nogi!

Henryk już miał się odezwać, gdy nagle Ignacy wymierzył cios w twarz kompana, aż ten zatoczył się do tyłu.

– Straciłeś rozum do reszty? – krzyknął. – Ile razy cię uratowała? Ile razy opatrywała rany? Ile razy ryzykowała życie swoje i swojego syna dla nas wszystkich? Teraz nie czas skakać sobie do gardeł!

Młodzieniec poczerwieniał i wyburczał przeprosiny.

– Nie ma już sensu iść dalej. Zająć pozycje i nie poddawać się do końca – przykazał dowódca oddziału.

Trwało to długo. W pierwszej fali szły na nich oddziały milicji, słabo zorganizowane i wyszkolone, toteż udało im się ich odeprzeć, bez większych strat po swojej stronie. W drugim rzucie przyszła pora na regularne, dobrze uzbrojone oddziały wojskowe. Stawili im opór, zadając przeciwnikowi znaczące straty, jednak przewaga po stronie nieprzyjaciela była zbyt duża, by partyzanci mogli wyjść z walki zwycięsko. Mimo to nie przerywali ostrzału. Ich szeregi kurczyły się, aż wreszcie zostało zaledwie trzydziestu, poległ też dowódca. Henryk odciągał rannych jak najdalej od napastników i, w miarę możliwości, starał się im udzielić pomocy, lecz ostatecznie przyłączył się do reszty obrońców, ostrzeliwując zbliżających się żołnierzy.

– Cóż, panowie i panie – rzekł Ignacy, gdy zaczęła się kończyć amunicja. – Walka z wami u boku była dla mnie zaszczytem.

Henryk nie mógł się nadziwić spokojowi syna, gdyż sam czuł, jak jego żołądek kurczy się i protestuje ze strachu. Znał to wrażenie z wcześniejszych potyczek, ale tym razem niemal go sparaliżowało.

– Widzicie tamtą lukę? – zapytała Ludmiła, wskazując głową przed siebie. Była ranna w nogę, więc strzelała z pozycji pólężącej, oparta o konar potężnego drzewa.

– Nie da rady. Nie bez broni – odparł Ignacy.

Ludmiła uśmiechnęła się krzywo.

– Da, jeśli będziemy was osłaniać. – Spojrzała po swoich towarzyszach. Tamci skinęli głowami.

– Nie odejdziemy bez ciebie, Ludmiło – uparł się Henryk. – Jesteś jak rodzina.

– I co, będziecie mnie na zmianę nieść na rękach? – zakpiła, wykrzywiając się z bólu. – To koniec, doktorze.

Henryk zerknął na syna, lecz Ignacy wyglądał na równie zmieszanego.

– Pomyśl o swoim synu – poprosił dziewczynę.

– Myślę o nim – odrzekła Ludmiła. – Robię to dla niego. Żeby wiedział, że można spędzić życie inaczej, niż tylko zginając kark.

– Poruczniku – zwrócił się do Ignacego jeden z chłopaków. – Proszę zebrać kogo się da.

Ignacy zawahał się, jednak po chwili skinął głową. Zbyszek, jeden z młodszych członków oddziału, przykucnął przy poległym partyzancie i wydobył z kieszeni spodni zmarłego jakieś dokumenty i pomięte, rodzinne zdjęcie, które rzucił Ignacemu.

– Niech pan odda to, na podstawie czego można pana zidentyfikować, poruczniku – polecił Zbyszko.

Ignacy oddał chłopakowi wszystko, łącznie z nieśmiertelnikiem z czasów służby w wojsku. Zbyszko włożył dokumenty zmarłemu do kieszeni i ostrożnie zawiesił łańcuszek na szyi.

– Teraz! – poleciła Ludmiła.

Ignacy, Henryk i kilku innych zaczęło się przedzierać przed siebie. Za nimi rozległy się strzały, potem cisza, następnie zaś głośne krzyki.

* * *

Henryk patrzył, jak MO wiesza zmasakrowane ciała partyzantów na okalających rynek drzewach, żeby mieszkańcy zapamiętali, co dzieje się z ludźmi przeciwstawiającymi się nowemu porządkowi. Wydawało mu się, że w jednym z nich rozpoznał Ludmiłę, jednak stopień okaleczenia uniemożliwił dokładne rozpoznanie. Zarzucił kaptur na głowę i dołączył do syna czekającego na niego przy okolicznym kościele.

– Gdzie teraz? – zapytał Ignacego.

– Warszawa. – Usłyszał w odpowiedzi. – Do miasta wciąż napływają ludzie, władze nie mają nad tym kontroli. To idealne warunki, żeby wmieszać się w tłum i pomyśleć nad następnym krokiem.

Do stolicy przeważnie szli piechotą, czasem jechali z kimś kawałek na wozie, a raz ciężarówką. Po drodze imali się różnych prac, najczęściej w zamian za nocleg i wyżywienie. Do Warszawy

dotarli po koniec kwietnia, kilka dni później usłyszeli o upadku Berlina i kapitulacji Niemiec.

W stolicy spędzili całe wakacje. Mieszkali w opuszczonej kamienicy z powybijanymi oknami, a na co dzień brali udział w odbudowie miasta. Z ruin, szczególnie latem, wydobywał się odór rozkładających się ciał, a krajobraz przypominał bardziej pustkowia niż dawniej dumną metropolię. Niemniej Henryk po raz pierwszy od dawna dostrzegł optymizm wśród ludzi, z którymi pracował, zjednoczenie we wspólnym celu, nieskażone ideologią. Ludzie pracowali, ponieważ wierzyli w sukces przedsięwzięcia, zapłata była dla nich sprawą drugorzędą. I rzeczywiście, każde drobne powodzenie, odbudowany budynek, tudzież przywrócona linia tramwajowa wywoływały radość. Jedynie Ignacy był nieodmiennie ponury, stronił od ludzi, a czas wolny spędzał na wędrówkach po ruinach. Wreszcie pod koniec sierpnia oznajmił:

– Wyjeżdżam do Gdańska.

Henryk nie był zaskoczony decyzją syna. Od jakiegoś czasu spodziewał się, że niespokojny duch Ignacego każe mu pójść dalej.

– Nawiązałem kontakt z twoim stryjem – odparł Henryk. – Na razie przebywa jeszcze na leczeniu i nie wie, dokąd go los skieruje, więc postanowiłem poczekać na jego decyzję.

Ignacy mechanicznie skinął głową.

– Słusznie – powiedział. – I tym bardziej nie chcę was narażać.

– Narażać? – powtórzył Henryk. – Przecież dla komunistów jesteś martwy. Możesz zacząć wszystko od nowa.

Ignacy prychnął pod nosem.

– Lepiej by było, gdybym pozostał martwy, obawiam się jednak, że prędzej czy później wpadną na mój ślad. Dlatego im dalej stąd, tym lepiej – odparł.

– Czy to jedyny powód? – zapytał.

– Nie. – Kąciki ust Ignacego zadrżały. – Jest... istnieje niewielka szansa na to, że Marianna przeżyła. Nie mogę jej szukać, nie wzbudzając przy tym podejrzeń, ale przed tamtym

feralnym zadaniem obiecała mi, że odnajdzie mnie, kiedy to wszystko się skończy.

– O ile nie zarzuci poszukiwań, gdy dowie się o twojej śmierci – zauważył trzeźwo Henryk. – Albo dopóki jej nie spotkam.

Ignacy ożywił się i złapał ojca za rękę.

– Nie możesz jej powiedzieć, że żyję. Nie od razu. A co, jeśli ją obserwują? Musi upłynąć czas... nawet całe lata, zanim pozna prawdę. Jeśli żyje – zapął w głosie Ignacego ponownie zgasł.

– Niech tak więc będzie – potaknął Henryk, choć przystał na prośbę syna z ciężkim sercem.

Ignacy jeszcze w tym samym tygodniu wyruszył do Gdańska, Henryk zaś wyczekiwał dalszych wieści od Edmunda.

* * *

SZCZECIN, 1946 R.

– Powiedziałem ci wszystko – zakończył Henryk. – Nawet to, co powinienem był zachować w tajemnicy.

Marianna mechanicznie skinęła głową, jednak jej umysł wciąż jeszcze analizował opowieść ojca, konfrontował ją z faktami i wypełniał białe karty w pamięci. Zdumiało ją, jak wiele rzeczy zdołała zapomnieć, jak mimochodem wyparła ze świadomości niemal cały okres wczesnego dzieciństwa, jak wiele miejsc i postaci było niejasnych, ledwie naszkicowanych w jej życiu. Najbardziej jednak uderzył Mariannę brak zaufania ze strony Ignacego. Nie powiedział jej o ojcu, ponieważ z góry założył, że nie będzie chciała go wysłuchać. „A mogłam mieć tyle czasu” – pomyślała, patrząc posępnie na Henryka. – „Nie, mogliśmy mieć tyle czasu, nasza trójka. Wiedziałabym wszystko wcześniej i pewnie poznałabym więcej szczegółów. Zdażyłabym zobaczyć grób matki, może dotknąć jej rzeczy. A teraz? Zostaję sama z widmem, opowieścią, którą będę sobie powtarzać i przeinaczać, aż nie zachowa się w niej nawet krztyna prawdy. Jeśli będę żyć wystarczająco długo” – dopowiedziała sobie w głowie. Gdy ojciec mówił, w myślach przeniosła się do domu, w znane sobie strony,

niemniej teraz powróciła do niej świadomość tego, gdzie się obecnie znajduje.

– Nie płacz – powiedział cicho Henryk. Marianna dopiero teraz zorientowała się, że jej policzki są mokre. Otarła łzy grzbietem dłoni.

– Żadne z nas nie wróci już do domu – odparła.

– Nie – potwierdził Henryk. – To już zostało nam odebrane.

– Zdziwiał mnie twój spokój... tato. Zazdroszczę ci go i nie rozumiem. Czy nie denerwuje cię... to wszystko? Bo ja każdego dnia, gdy tylko rano otworzę oczy, mam ochotę stanąć na środku ulicy i wrzeszczeć. Drzeć się jak opętana, bo jestem zwyczajnie wściekła. Na wszystko.

– Twoja krzywda... – Henryk przełknął ślinę. – I los, jaki zgotowali Ignacemu, to jedyne, co wzbudza we mnie wściekłość.

– A śmierć Ludmiły? A dola jej syna? Ludzi pomordowanych w tamtej wsi? – dopytywała Marianna pobudzona kolejną falą wściekłości.

Henryk pokręcił głową.

– To wzbudza we mnie smutek, nie wściekłość. I jest częścią czegoś znacznie gorszego, zapowiedzią zmian, których nie chcę być świadkiem – odparł.

– Zabrano nam ojczyznę – zauważyła Marianna.

– Nie – odparł szorstko Henryk. – To nie ma żadnego znaczenia. Miejsca po prostu są, ale ojczyzna... naród... tworzą się w wyniku działań ludzi i ich przywiązania. Tam żyliśmy między Ukraińcami, Żydami, Białorusinami, Niemcami, Litwinami, Rosjanami i wieloma innymi narodowościami. Byli naszymi sąsiadami, niekiedy przyjaciółmi, w innych sytuacjach wrogami, ale tworzyli z nami dom. Wiedzieliśmy, kiedy i jakie obchodzą święta, nasze zwyczaje i krew mieszały się. Nie było idealnie, ba, nie było sprawiedliwie, ale tworzyliśmy całość. A teraz? Teraz wyobraź sobie, że wracasz do domu i większości miejsc, które znałaś, nie ma. Nie ma aptekarza z apteki na rogu ulicy, nie ma znacznej części sklepów, służby, nie ma wielu artystów. Zastąpił

ich anonimowy tłum, twoi rodacy nie potrafią wypełnić tej dziury. Właśnie tak dla mnie wygląda nasz kraj. Pozszywane na siłę ciało, żyjące mocą swojej woli, ale kalekie. I nigdy już nie będzie całe.

Marianna przyjęła słowa ojca w milczeniu. Przypomniała sobie swoje pierwsze wrażenia po powrocie do Polski, poczucie izolacji i głęboki dyskomfort, jaki odczuwała, spacerując po opustoszałych kwartałach Sopotu, tę dojmującą tymczasowość. Teraz doszło do niej, że ten stan niedługo zostanie uznany za normę.

– I również dlatego musisz mnie zdradzić. – Ojciec przerwał milczenie.

– Nie zrobię tego – odparła stanowczo Marianna.

– I zginiemy oboje. A Ignacy i Edmund zostaną sami – rzucił cierpko ojciec. – Nie wspominając o Grecie, Sulce i tej dziewczynce, którą miałaś odszukać.

– Ciągłe mówisz o innych ludziach, jakbym miała żyć samym oddaniem dla nich, a nigdy dla siebie! – wybuchnęła Marianna. – Egzystować dalej, wiedząc, że z własnej winy nigdy cię nie poznałam? Podpisać twój wyrok śmierci? I co jeszcze?

Spojrzenie Henryka nieco złagodniało.

– Tego już nie zmienisz. Dane nam było spędzić ze sobą niewiele czasu, ale kocham cię, córko i jeśli ceną za twoje życie jest moja śmierć, to chętnie ją zapłacę – powiedział.

– Ale jakie to będzie życie? – jęknęła Marianna. Wiedziała, że mówi roztrzęsionym głosem, ale nie była w stanie dłużej nad sobą panować. – Podłe i pełne upokorzeń.

– Ciężkie, ale udźwigniesz je. Jak twoja matka – odparł.

Świtało. Ostatnie chwile spokoju spędzili obok siebie, w milczeniu, w oczekiwaniu na nieuchronne.

* * *

– Dobrze, doktor Palińska – głos oficera przesłuchującego był irytująco przymilny. – Czy przemyślałaś swoje stanowisko w sprawie udziału twojej rodziny w rozprzestrzenianiu bandytyzmu w naszym kraju?

– Tak – odparła Marianna. Zaschło jej w gardle, ale poza tym nie czuła nic. Ani strachu, ani smutku. Była gotowa.

Na twarzy pojawił się uśmiech.

– Zatem słucham – powiedział.

Marianna zaczęła mówić. Robiła to automatycznie, jej umysł niemal w tym nie uczestniczył, zaś zmysły wyostriły się. Odnotowywała różne rzeczy. Świergot wróbli, zapach naniesionego błota, pojedyncze promienie słońca dostające się do wnętrza celi.

Tam, za murami, faktycznie było życie.

* * *

Wypuszczono ją następnego dnia, zaraz po podpisaniu zeznań, z zastrzeżeniem, że w wypadku jakiegokolwiek kontaktu ze strony „bandyckiego podziemia”, ma się niezwłocznie zgłosić do odpowiednich służb.

– Nasz niepokój wzbudzają również pani relacje z porucznikiem Leblanc – rzucił na odchodnym oficer. – Dał on już się poznać jako nieprzyjaciel demokracji ludowej i obawiamy się, że ta zażyłość może osłabić wasze przywiązanie do ojczyzny.

Marianna zastygła w bezruchu. Ile dokładnie ci ludzie o niej wiedzieli?

– Myślałam, że dałam już wystarczający dowód swojej lojalności wobec demokracji – powiedziała sztywno, prostując się na krześle.

– Wykonaliście krok w dobrym kierunku, doktor Palińska, ale z waszym pochodzeniem... z waszym gronem znajomych i poglądami? – Oficer pokręcił głową. – Kiepsko widzę waszą przyszłość.

– Czy to ma być groźba? – zapytała Marianna.

– Ostrzeżenie – odparł oficer, mrużąc oczy. – Nie jesteście już we Lwowie, a w kraju nie rządzi sanacja. Nie pogarszajcie swojej, i tak nieciekawej, pozycji.

Marianna mocno zacisnęła wargi, ale powstrzymała się od udzielenia kąśliwej odpowiedzi. Zwalniano ją i tymczasowo odzyskiwała wolność. Na razie tylko to się liczyło. To i chronienie

Ignacego. Nie mogła nikomu zdradzić, co tak naprawdę stało się z jej bratem, a dopóki służby będą ją miały na oku, dopóty nie może podjąć próby skontaktowania się z nim. „Nieważne, ile to potrwa – znajdę cię” – pomyślała. Starła się nie myśleć o ojcu, nie słyszeć wrzasków dochodzących z pokoju obok, lecz jej oczy zachodziły łzami i musiała tłumić szloch. Wreszcie wszystko zostało potwierdzone i mogła opuścić willę przy alei Wojska Polskiego. Wcześniej doprowadziła się do w miarę przyzwoitego stanu i choć po kilku dniach jej ubranie było nieświeże, to twarz i włosy wyglądały dość schludnie. Pokwitowała odbiór rzeczy i wyszła na skąpaną w promieniach słońca ulicę.

Musiała przystanąć na progu, gdyż jej oczy odzwyczyły się od takiej ilości światła. Poczowała, jak przyjemne ciepło letniego poranka rozlewa się po jej ciele. Nagle wstrząsnął nią spazm i znów obraz ojca wysunął się na pierwszy plan. Poczowała palący wstyd na myśl o tym, że oto cieszy się czymś tak trywialnym jak ładna pogoda, podczas gdy on zapewne oczekuje na wyrok śmierci. Powolnym krokiem ruszyła przed siebie. Odwaga Henryka dodała Mariannie sił. „Czas, by go opłakiwać, przyjdzie później” – pomyślała. Choć spędziła z ojcem zaledwie kilka tygodni, to odzyskała coś bardzo cennego: obraz swoich rodziców. Zobaczyła ich takich, jacy byli naprawdę. Cokolwiek miałyby się przydarzyć później, teraz widziała w nich ludzi, których decyzje potrafiła zrozumieć i wybaczyć. Nie czuła już złości, gdy myślała o nich, a jedynie smutek spowodowany utratą bliskich i była to największa zmiana, jaką do tej pory przeszła.

Do domu miała ledwie dwadzieścia minut drogi, jednak długie godziny spędzone w areszcie, gdzie była zbyt przerażona lub zmęczona, by pamiętać o ćwiczeniu nogi sprawiły, że w kończynie odezwał się dobrze znany ból. Marianna stawiała kroki ostrożnie, ponieważ każdy z nich pogłębiał odczuwany przez nią dyskomfort. Mimo to zagryzła zęby i nie przestawała przeć przed siebie, aż stanęła przy furtce do domu stryja.

Pierwsza zauważyła ją czytająca na schodach przed willą Sulka. Dziewczyna pisnęła z wrażenia, odłożyła książkę i natychmiast podbiegła do Marianny, oferując jej swoje ramię. Lekarka z ulgą skorzystała z pomocy.

– Bogowie! – zakrzyknął stryj, gdy tylko Sulka wprowadziła ją do salonu. – Poruszyłem niebo i ziemię, żeby czegokolwiek się o was dowiedzieć i nic! – Spojrzał za Mariannę i jego entuzjazm nieco osłabł. – Henryka z tobą nie ma?

– Ojciec... nie wypuścili go – odpowiedziała.

– Och – odparł stryj. – Cóż, przynajmniej odzyskałem ciebie.

Marianna wiedziała, że stryj, podobnie jak i ona, chciał jeszcze wierzyć w powrót Henryka. Nie miała siły zburzyć tej iluzji.

– Co z Gretą? – zapytała po chwili, wrywając pana Palińskiego z zamyślenia.

– Niewiele nowego. Trzyma się, ale powoli słabnie. Był u niej ostatnio lekarz, powiedział, że to już długo nie potrwa – odpowiedział. – Ale! – Nagle ponownie się ożywił. – Wydaje się, że znalazłem coś, co może cię zainteresować. – Wstał i poszedł do swojego gabinetu. Po chwili wrócił z cienką, szarą teczką. Podał ją Mariannie. Lekarka wyciągnęła znajdujące się w środku dokumenty.

– Lista osób poszkodowanych podczas napadu na transport... – zaczęła czytać.

– W którym jechała Henrietta – dokończył za nią stryj. – I istotnie jej opiekunowie zostali wówczas zabici, ale sama dziewczynka nie figuruje na liście. Po prawdzie, to nie można o niej znaleźć żadnej wzmianki.

– Nie wiem, w jaki sposób ta informacja w czymkolwiek ma nam pomóc. Henrietta może być wszędzie – rzekła z powątpiewaniem Marianna.

– I tak, i nie – odparował pan Paliński. – Bowiem z tego samego transportu, krótko po napadzie, uciekła niewielka grupa przesiedleńców, w tym kilkuletnia dziewczynka. Wszystkich ich

wyłapano i skierowano z powrotem do obozu przejściowego na Gumieńcach.

W umyśle Marianny zapaliło się ostrzegawcze światło. Po mieście krążyły okropne historie dotyczące obozu i stacji Gumieńce.

– Od tamtej pory minęło już trochę czasu – zauważyła sceptycznie.

– Ale to najlepszy trop, jaki masz – odparł stryj.

Marianna skinęła głową. Powinna od razu wybrać się na Gumieńce, lecz nagle stała się bezsilna. Jak tam dojedzie, nie mówiąc już o przekonaniu służb do powiedzenia jej czegokolwiek?

– A i Jean-Pierre będzie wieczorem. Podobno to coś ważnego – dorzucił stryj.

Przez umysł Marianny przemknęła myśl, by poprosić o pomoc Francuza, jednak świadomość, że może być obserwowana, zniechęciła ją do tego pomysłu. Musiała znaleźć inny sposób. I to szybko.

* * *

Z pomocą przyszła jej Sulka. Młoda Kaszubka czekała przed wejściem do salonu i gdy tylko Marianna pojawiła się w progu, dziewczyna natychmiast zaoferowała jej pomoc w umyciu się i przebraniu. W pierwszej chwili lekarka chciała odmówić, jednak ból nogi był tak nieznośny, że przystała na tę propozycję.

Kiedy czekały, aż woda w wannie ostygnie, Sulka odezwała się:

– Wstyd mi się do tego przyznać, ale podsłuchałam pani rozmowę z panem Palińskim i taka jedna rzecz przyszła mi do głowy.

Marianna uniosła brew.

– Zamieniam się w słuch – odparła, zastanawiając się, czy dla zasady nie powinna udzielić dziewczynie reprimendy.

– Mówiła mi pani o tym, że w Gdańsku leczyła pani przesiedleńców w obozie, ponieważ władze bały się wybuchu epidemii tyfusu – kontynuowała Sulka pytającym tonem.

Marianna przytaknęła. Dziewczyna wzięła głęboki wdech i rzekła:

– A gdyby tak istniało podejrzenie jakiejś choroby zakaźnej tutaj i mogłaby pani bez problemu uzyskać dostęp do wszystkich osób oczekujących w obozie?

Lekarka uśmiechnęła się krzywo.

– Dostrzegam dwa problemy: po pierwsze, z reguły do transportów jest już przydzielona grupa sanitariuszy, nawet jeśli w praktyce nie otaczają nikogo opieką, po drugie, musiałybyśmy mieć na to stosowne pismo, którego szybko nie uzyskamy – odparła.

Sulka spuściła głowę, głęboko zamyślona.

– Ale... – zaczęła mówić – czy ktokolwiek miałby ochotę to zweryfikować, gdyby była pani odpowiednio stanowcza?

– W tym momencie musiały to być bardzo dobry blef. – Marianna dalej nie była przekonana, lecz nagle w jej głowie zrodził się pewien pomysł. – Chociaż... Powiedz mi, jak dobrze mówisz po niemiecku? – zwróciła się do Sulki.

– Jak i po polsku – odparła dziewczyna.

– Hmm, może coś z tego wyjdzie – rzekła Marianna. – Jednak ostrzegam, że będzie dość nieprzyjemnie. I potencjalnie niebezpiecznie. Czy dalej chcesz mi pomóc? – zapytała dziewczynę.

Sulka potwierdziła.

– Zrobię to dla Thomasa – odparła.

– Dobrze – mruknęła Marianna. – Będziesz musiała trochę pokrażyć po okolicznych „punktach handlowych” i zdobyć gdzieś roztwór siarki. Wstrzyknę ci go wieczorem – poleciła.

Sulka zbladła. Marianna zachichotała złośliwie.

– Nie bój się, nic straszego się nie stanie, a akurat ta konkretna substancja daje objawy zbliżone do tyfusu plamistego. Tylko wykwalifikowany lekarz mógłby poznać się na tym fortelu – wyjaśniła.

Dziewczyna rozchyliła delikatnie wargi, po czym musiała zrozumieć tok rozumowania Marianny, gdyż wyraz dezorientacji zmienił się w łagodny uśmiech konspiratora.

* * *

Jean-Pierre przyszedł przed czasem, zaskakując tym wszystkich domowników nieprzygotowanych na odpowiednie przyjęcie gościa. Marianna w pośpiechu skończyła się przebierać i z nieułożonymi włosami wyszła, by powitać porucznika.

– Jesteś niespodziewanie szybko – rzuciła.

– Uważasz, że wszyscy Francuzi są z natury spóźnialskimi malkontentami? – zapytał zgryźliwie.

Marianna przewróciła oczami. Zdążyła się odzwyczaić od drażliwego usposobienia porucznika.

– Próbuję nawiązać rozmowę. To ty bez powodu wchodzisz na wojenną ścieżkę – odcięła się.

Jean-Pierre westchnął cicho.

– Masz rację. Jestem dzisiaj wyjątkowo rozdrażniony, za co przepraszam – wyjaśnił. – Słyszałem o twoim zatrzymaniu.

– Nie chcę o tym mówić – ucięła szybko.

Przeszli do salonu. Podczas ich krótkiej wymiany zdań w przedpokoju Sulka i pan Paliński zdążyli przygotować skromny poczęstunek, napełnić karafkę winem i przygotować kieliszki.

– Poruczniku, jak się pan miewa? – zagaił gospodarz.

Jean-Pierre przystanął pośrodku pomieszczenia i zaczął się rozglądać, jakby czegoś szukał. Dopiero po chwili odpowiedział panu Palińskiemu:

– Znośnie. Obawiam się, że moja wizyta u państwa dziś będzie wyjątkowo krótka.

– Och, czemuż to? – dopytał stryj Marianny.

– Zostałem odwołany ze stanowiska. Pojutrze wracam do Francji – odparł Jean-Pierre. Przez cały ten czas wzrok oficera skupiony był na Mariannie. – Mam w związku z tym wiele spraw do załatwienia.

Pan Paliński zasepił się. Zdążył polubić towarzystwo porucznika i, jak Marianna podejrzewała, jego odwiedziny wywoływały wspomnienia przyjęć organizowanych przez ciotkę jeszcze we Lwowie.

– To raczej nagła decyzja – zauważyła. Wiadomość o wyjeździe Jeana-Pierre’a zaskoczyła ją, choć w pewnym sensie spodziewała się podobnego rozwoju wypadków.

– Tak – potwierdził Jean-Pierre. – Pierwotnie miało to nastąpić dopiero pod koniec roku, jednak z pewnych względów poprosiłem o przyspieszenie wyjazdu i moja prośba została rozpatrzona pozytywnie – dodał.

– A można zapytać, jakie to względy skłoniły pana do tej decyzji, poruczniku? – zapytał stryj.

– Względy natury osobistej – odparł Jean-Pierre. – A teraz, jeśli państwo pozwolą, chciałbym się pożegnać. Będę miło wspominał gościnę, jakiej mi udzieliliście.

– Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie korespondencyjnym – powiedział pan Paliński, wyciągając dłoń w stronę Jeana-Pierre’a. Francuz jednak nie odwzajemnił gestu.

– Wolałbym nie pozostawiać żadnej nici sentymentalnej łączącej mnie z tym miejscem. Bardzo was za to przepraszam i życzę miłego wieczoru – odpowiedział i wyszedł z salonu.

Marianna udała się za nim i w milczeniu odprowadziła go do furtki. Rzucił jej ostatnie, pełne bólu spojrzenie, po czym odjechał.

– Czy masz może pojęcie, o co mu chodziło? – zapytał pan Paliński, stojąc w wejściu do domu. – Wydawał się bardzo niespokojny, wręcz przygnębiony.

– Nie – powiedziała Marianna, niepewna, co ma myśleć o całym tym zajściu. – Wiem, że był związany tutaj z jakąś kobietą, ale nie zdradził mi wiele więcej. Może złamane serce?

Pan Paliński pokręcił głową z dezaprobatą.

– A to ci dopiero heca – skomentował i wrócił do środka.

Marianna spojrzała na zakurzoną drogę i westchnęła w duchu. „Jeszcze jednego przyjaciela mniej” – pomyślała i poczuła dziwne

ukłucie w sercu.

* * *

Dotarcie na Gumieńce wymagało od Marianny dużej dozy kreatywności. Jako że jej noga ponownie zaczęła puchnąć, dłuższa wędrówka nie wchodziła w grę. Transport publiczny również nie wydawał się najlepszym pomysłem, gdyż czerwona, obrzęknięta twarz Sulki mogła ściągnąć na nie niepożądaną uwagę. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wsiąść na rowery, ale bała się, że ani ona, ani Sulka nie podołają dłuższemu wysiłkowi. Wtem usłyszała, jak pan Paliński krzyczy:

– Wyjeżdżam!

Marianna wypadła ze swojego pokoju niczym oparzona.

– Co? – zapytała zaskoczonego stryja. Rzeczywiście, stał ubrany w palto, z kapeluszem na głowie i neseserem w ręku, gotowy do podróży. – Niby gdzie?

– Do Koszalina. Mówiłem ci o tym zaraz po twoim powrocie – odparł pan Paliński. – Delegowano mnie tam z kolegą na kilka dni.

W normalnych okolicznościach Marianna dopytałaby o szczegóły, lecz teraz jej umysł zaprzętała wyłącznie jedna kwestia.

– Czym jedziesz? – zapytała.

– Przydzielono nam samochód służbowy – odparł pan Paliński, unosząc brwi. – Moja droga, zachowujesz się dzisiaj wyjątkowo podejrzanie.

Marianna uśmiechnęła się przepaszająco.

– Och, nie doszłam do siebie po ostatnich zdarzeniach i jeszcze wiele rzeczy wylatuje mi z głowy – rzekła szybko. – Dzisiaj rano, na przykład, sprawdziłam w swoim notesie, że powinnam była odwiedzić jedną pacjentkę, ale mieszka ona daleko, aż na Gumieńcach, a z moją nogą nie jest lepiej... – urwała dramatycznie, wpatrując się błagalnie w krewnego.

Pan Paliński zasępił się, a jego twarz poszarzała. Marianna nie mogła znieść myśli o tym, że przyprawia go o kolejne zgryzoty, niemniej okazja była zbyt dobra, by z niej nie skorzystać.

– Mógłbym cię podwieźć, ale co z powrotem? – zamyślił się pan Paliński.

Marianna opuściła oczy i po chwili powiedziała, starając się nie zdradzić zbytniego entuzjazmu w głosie:

– Może mogłabym wziąć ze sobą Sulkę? Pomogłaby mi w razie zasłabnięcia.

– Tak, jest to jakieś rozwiązanie – przytaknął pan Paliński. – Poczekaj tutaj, moja droga. Porozmawiam ze swoim kolegą, nie powinien mieć obiekcji.

Gdy tylko wyszedł, Marianna dokuśtykała do schodów i krzyknęła:

– Sulka, gotowa?

– Już schodzę! – usłyszała w odpowiedzi.

Dziewczyna pojawiła się na schodach. Na głowę założyła staroświecki kapelusz z ciemną woalką, reszta ciała była ukryta pod długą suknią z dziwnymi, bufiastymi rękawami. Całość dawała efekt zgoła komiczny i Marianna z całych sił powstrzymywała wybuch śmiechu. Pan Paliński wrócił i nakazał im niezwłocznie udać się przed dom. Gdy tylko ujrzał Sulkę, jego brwi podjechały pytająco do góry, lecz również nic nie powiedział. Niestety, towarzysz stryja był mniej taktowny.

– A pani to jakaś artystka? – zapytał.

Dziewczyna spojrzała z przestrachem na Mariannę.

– Wychowywały ją zakonnice, więc jest bardzo cnotliwa. I skromna – odpowiedziała za Sulkę lekarka. – Niestety, straciła swój dobytek w czasie wojny, a wie pan, jak to teraz jest z odpowiednim ubiorem.

– Pewnie, moja żona i córki mają ten sam problem. Chciałyby się stroić, a tu nie ma w co! Hehehe! – Zaśmiał się w głos. – Dobrze wiedzieć, że są jeszcze skromne panny na tym świecie, choćby nawet i wyglądały ekscentrycznie. – Tu skinął głową w kierunku Sulki.

I o dziwo, to wystarczyło, by nie interesował się nimi przez resztę podróży.

– Naprawdę chodziłaś tak daleko do pacjentki? – zdumiał się pan Paliński, gdy zatrzymali się na wskazanej przez Mariannę ulicy.

– Wcześniej mieszkała w centrum, ale przeniosła się z mężem, ponieważ okolica była niebezpieczna – zełgała lekarka.

– Mhm – mruknął pan Paliński. – Uważajcie na siebie i widzimy się za dwa tygodnie.

– Bezpiecznej podróży – rzekła Marianna i wraz z Sulką opuściła samochód. Udały, że rozglądają się po okolicy i szukają odpowiedniego domu, a gdy tylko auto znalazło się poza zasięgiem wzroku, zawróciły i skierowały się w stronę obozu.

Niewielka stacja była ostatnim przystankiem, na którym zatrzymywały się pociągi jadące do Niemiec. Piętrowy, biały budynek dworca oraz kamienicę obok chronili żołnierze i grupka milicjantów, w teorii mający zapewnić bezpieczeństwo i godne traktowanie przesiedleńcom, w praktyce jednak często to właśnie oni byli prowodyrami różnego rodzaju zajść. Część Niemców przebywała również w pobliskiej cukrowni, jednak lekarka miała dziwne przeczucie, że Henrietta znajduje się gdzieś pośród setek osób koczujących w okolicach dworca.

Marianna i Sulka podeszły do młodego, wysokiego rangą jak na swój wiek żołnierza. Ten wyprostował się i wbił zaciekawione spojrzenie w młodą Kaszubkę.

– *Halt! Ausweis, bitte* – powiedział, biorąc je za Niemki.

Marianna podała mu swój dowód, mówiąc:

– Doktor Palińska, jestem tu w pewnej dość hmm... delikatnej sprawie.

Żołnierz wpatrywał się bezmyślnie w dokument. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat i sądząc po nerwowych odruchach, nie był przyzwyczajony do tego typu zadań.

– Tylko Niemcy przeznaczeni do transportu. Żadnego kontaktu – oddał jej dokument.

Marianna zrobiła zmartwioną minę, a następnie kazała Sulce podejść bliżej.

– To niedobrze, ponieważ moja służąca miała bliski kontakt z jedną z osób z obecnie oczekujących na transport i niech pan zobaczy. – Odsunęła woalkę z twarzy Sulki. – Jak nic odra... albo tyfus – dorzuciła złowrogo po chwili.

Żołnierz aż odskoczył do tyłu.

– I przyprowadziła ją pani tutaj?! – zapytał z niedowierzaniem.

– Ależ oczywiście. Widzi pan, sierzancie, to paskudztwo jest mocno zakaźne, więc zapewne ta druga też się zaraziła, toteż czuję się w obowiązku poinformować odpowiednie służby o zagrożeniu. Na takiej małej przestrzeni dwóch chorych wystarczy, by wywołać epidemię – blefowała Marianna, widząc, że chłopak ma nikłe pojęcie o medycynie.

– Personel medyczny niczego nie zauważył – powiedział podejrzliwie – A Niemcy mają tu swoich lekarzy, siedzą w budynku obok.

Marianna przewróciła oczami.

– Bo to się dopiero zaczyna i zanim zauważą cokolwiek, będzie już za późno – odparła, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

Chłopak rozejrzał się nerwowo na boki.

– Co pani radzi? Jako lekarz? – zapytał.

– Jak najszybciej znaleźć i odizolować tę osobę oraz ludzi, którzy mieli z nią najwięcej kontaktu. Po to też wzięłam moją służącą ze sobą. – Wskazała na Sulkę.

Sierzant patrzył to na młodą Kaszubkę, to na Mariannę. Bił się z myślami.

– Niech pa... zaczekajcie tutaj, towarzyszki – polecił im i oddalił się.

Marianna zakłęła obelżywie pod nosem.

– Jeszcze przyprowadzi kogoś z mózgiem – syknęła pod nosem.

Okazało się, że oficer, z którym wrócił młodzieniec, również nie miał zielonego pojęcia o medycynie. Zlecił dwóm żołnierzom „eskortowanie” lekarki i jej towarzyszki, po czym zaprowadził je

do miejsca, w którym grupa przesiedleńców oczekiwała na transport.

– Jak widzicie, są ich setki – zauważył. – Jesteśmy w nietypowej sytuacji, ponieważ transport się opóźnia. Zazwyczaj nie muszą aż tak długo czekać.

Marianna skinęła głową. Nie zamierzała dalej rozpowiadać o tym, co tego dnia zobaczyła, zresztą nie byłoby to nic, o czym ludzie by już nie wiedzieli. „I trochę się już uodporniłam na podobne widoki” – pomyślała, spoglądając na oczekujących Niemców. Siedzieli na swoich walizkach albo tuż obok nich, na rozłożonych na podłożu paltach albo szmatkach. W większości byli to starcy i kobiety. Dostrzegła też garstkę dzieci.

Sulka zaczęła rozpytywać ich o Henriette. Czy widzieli samotnie podróżującą dziewczynkę, mniej więcej takiego wzrostu? Kręcili głowami. Mijał czas, a żołnierze zaczęli się niecierpliwić. Marianna próbowała wyłowić z tłumu kogoś ewidentnie chorego. Jej wzrok padł na skuloną na ziemi dziewczynę w zaawansowanej ciąży. Przykucnęła obok niej, walcząc z ostrym ukłuciem bólu.

– Odejdź – powiedziała dziewczyna, nie podnosząc głowy. – Ja już nie chcę.

Miała spierzchniętą, popękana skórę dłoni i brud za paznokciami. Jej włosy były w nieładzie, a ubranie mocno prze pocone.

– Nic od ciebie nie chcę – odparła Marianna. – Szukam kilkuletniej dziewczynki. Jej opiekunowie zginęli, podróżuje sama. Widziałaś ją może?

– Myślałam, że przysłaś po moje dziecko – wyszeptała dziewczyna, podnosząc wzrok na lekarkę. Była przerażona. – Ale ono już nie żyje. Przestało kopać. – Położyła rękę na brzuchu. – A ty przysłaś po niemowę.

– Po niemowę? – podchwyciła Marianna.

Dziewczyna potwierdziła.

– Kręci się tu taka dziewczynka w łachmanach. Może ma z sześć, siedem lat. Jest cała brudna i pokaleczona, zachowuje się

jak dzikie zwierzę. A oni... – Dziewczyna wskazała brodą na żołnierzy. – Jedni się jej boją, drudzy traktują ją jak rozrywkę. Szcząją.

Marianna odwróciła się w stronę żołnierzy.

– To ta. Trzeba ją niezwłocznie odwieźć do szpitala. – Wskazała na ciężarną.

– Czy jest zarażona? – dopytali.

Lekarka wzruszyła ramionami.

– Nie sposób jeszcze powiedzieć. Ale na pewno lada chwila urodzi. Mówiła też, że widziała podejrzaną wysypkę u jakiegoś dziecka, które się tu włóczy.

– Ta, jest taka jedna – odparł jeden z żołnierzy i splunął na ziemię. – Zaraz ją przyprowadzę.

Oddalił się i po chwili wrócił, poganiając przed sobą istotę, do której idealnie pasowało określenie „dzikus”. Dziewczynka była tak chuda, że jej połatane, brudne ubranie wisiało na niej niczym na strachu na wróble. Włosy, zlepione tłuszczem, były skołtunione, zaś twarz, nogi i kolana pokrywała gęsta siatka drobnych skaleczeń i siniaków.

– Powodzenia z wyciągnięciem z niej czegokolwiek. Jakaś upośledzona jest, nic nie gada – powiedział żołnierz. – Ją też dać do szpitala? – zakpił.

– Nie – odparła hardo. – Zbadam ją, a potem zabiorę ze sobą. Trzeba ustalić jej tożsamość.

– Hola, hola! – zaprotestował żołnierz. – Nie wy o tym decydujecie. Staszek, zawołaj no tu porucznika.

Oficer stanął po stronie Marianny.

– Nawet lepiej – stwierdził. – Diablicy na żadnych listach nie ma, a jak ją wyślemy w takim stanie, to Angole znowu się będą zalić, że Bóg wie co z tymi Niemcami robimy. Podobnie z tą w ciąży.

Marianna dopilnowała, by ciężarna dziewczyna została załadowana na noszach do ciężarówki.

– Was też możemy wziąć – zaproponował kierowca.

Lekarka miała problem z nakłonieniem dziecka, by wsiadło do pojazdu, aż wreszcie żołnierze zirytowali się i wsadzili dziewczynkę do środka siłą. W szpitalu lekarz potwierdził, że płód jest martwy i trzeba będzie sztucznie wywołać poród. Przyjrzał się również Henriecie.

– Cóż, poza umyciem i nakarmieniem niewiele można dla niej zrobić – stwierdził. – Musiała doznać jakiegoś silnego wstrząsu i zamknęła się w sobie. Skłamałbym, mówiąc, że jest pierwszym takim przypadkiem.

– Może kontakt z krewnymi pozwoli jej się otworzyć? – zapytała Marianna.

– Może, ale nie liczyłbym na zbyt wiele. – Lekarz pozostawał sceptyczny. – Przynajmniej fizycznie nic jej nie dolega – dodał, siląc się na optymizm.

Marianna podziękowała za opinię i wyciągnęła rękę do Henrietty. Dziewczynka spojrzała na nią pytająco, jednak po chwili złapała lekarkę za dłoń i pozwoliła wyprowadzić się na korytarz, gdzie czekała na nie Sulka.

– Pojechali już – powiedziała, jak tylko zobaczyła Mariannę. – Wygląda na to, że się udało.

Lekarka skinęła głową.

– Czas iść do domu – stwierdziła.

Sulka wyglądała na zaniepokojoną.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytała nagle. – W sensie... nie wiemy, czy to na pewno Henrietta, a męczenie Greta...

– I nie dowiemy się, dopóki Greta jej nie zobaczy – zawyrokowała Marianna. – Wiem, o co ci chodzi, to będzie dla niej straszne, ale widziałas, co się działo na stacji i chyba nie chcesz, żeby to dziecko tam zostało?

Sulka spuściła oczy.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznała.

– Dobrze, a teraz chodźmy – zarządziła Marianna.

W głębi serca podzielała wątpliwości Sulki. Śmierć Thomasa była dla Grety silnym ciosem, teraz zaś miały jej przyprowadzić siostrę, w której psychice przeżyte wydarzenia wyrządziły być może nieodwracalne szkody. „Czy kiedyś spotka nas coś dobrego?” – pomyślała Marianna i zaraz potem dała się pochłonąć innym, równie niewesołym rozmyśleniom.

* * *

Zapadł zmrok, nim powróciły w okolice parku Quistorpa. Sulka nerwowo zerkała za siebie i okazjonalnie przyspieszała kroku.

– Nie okazuj strachu – skarciła ją poruszająca się z trudem Marianna. – Poza tym straszysz Henriettę.

Dziewczynka na dźwięk własnego imienia spojrzała na lekarkę pytająco. Marianna uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz Henrietta odwróciła wzrok. Wydawała się apatyczna, jednak pod wpływem każdego gwałtowniejszego gestu, głośniejszego dźwięku zaczynała nerwowo podrygiwać. Za każdym razem, gdy tak się działo, Marianna mocno ścisnęła dłoń dziewczynki, jakby chciała jej w ten sposób przekazać swoją siłę. Sygnalizowała: „Wiem, przez co przeszedłeś i jak trudno jest się pozbyć tego ciężaru”.

– Przepraszam. Chciałabym mieć pani odwagę – odparła pokornie Sulka.

– Skończ już z tą „panią” – mruknęła Marianna. – To brzmi, jakbym była stara, a w końcu nie ma między nami aż tak dużej różnicy wieku.

Ostatnie zdanie było nieprawdziwe, bowiem doktor Palińska nieubłaganie zbliżała się do trzydziestego roku życia i powoli rodziła się w niej cicha desperacja. Potęgowała ją obecność Grety i młodziutkiej Sulki, przy których Marianna czuła, że jej własna młodość dobiega końca, ona zaś nie miała kiedy z niej skorzystać. Choć działania podejmowane w trakcie okupacji nie były pustym gestem, ponieważ poświęcenie na rzecz ojczyzny i własnej rodziny jest wartością bezwzględnie najwyższą, to miała wrażenie, że została oszukana przez los. „Wszystko, co próbuję zbudować, rozsypuje się na moich oczach” – wyrzucała sobie.

– Marianno... – Sulka miała problem ze zwracaniem się do lekarki po imieniu. – Skąd czerpiesz siłę, żeby pomagać tylu ludziom? Przecież sama też wymagasz opieki.

Doktor Palińska zachichotała złośliwie.

– Chciałaś chyba zapytać, jak, będąc kaleką sierotą, jestem w stanie przeć do przodu? – zasugerowała.

Sulka zaczerwieniła się delikatnie.

– Bardziej chodziło mi o to, że ja sama nie umiem przestać myśleć o swoich rodzicach. O zabranym gospodarstwie. I chociaż bardzo się staram, każdego dnia przypominają mi się wszystkie te ciosy. Jestem jakby zamrożona w czasie i własnym żalu – wyjaśniła.

Marianna przystanęła i przytuliła Sulkę. Dziewczyna, najpierw zaskoczona, odwzajemniła uścisk.

– Pytasz mnie, skąd biorę siłę? – zapytała. – Tak naprawdę to nie jest żadna siła, tylko zwykły strach. Strach, że jeśli przestanę przeć do przodu, rozpadnę się na setki drobnych kawałków, bo dopadną mnie wyrzuty sumienia i duchy wszystkich osób, które przeżyłam, choć powinnam była podzielić ich los. W gruncie rzeczy wcale nie mam pomysłu na siebie ani konkretnego celu. Dlatego idę do przodu, do przodu i wciąż do przodu. Tak jest łatwiej, bo nie muszę podejmować żadnych decyzji. Po co? Zaraz mnie tu nie będzie. Nie przywiążę się, niczego nie poczuję. I nie jest to stan, który wytworzył się u mnie po Ravensbrück, a bardziej coś, co tkwiło w mojej osobowości od zawsze. Przez to też pomagam Grecie – rzekła Marianna.

– Ponieważ umiera? – zapytała Sulka.

Marianna potrząsnęła głową.

– Ponieważ robiąc to, czuję, że mam jakiś cel i dzięki temu dalsze parcie do przodu jest łatwiejsze – wyjaśniła.

– Sprawia, że czujesz się człowiekiem – dopowiedziała Sulka.

Marianna zerknęła na młodą Kaszubkę z podziwem.

– Jesteś naprawdę bystra – zauważyła. – Masz oko do ludzi.

Sulka uśmiechnęła się smutno.

– Niestety często to, co dostrzegam, napawa mnie smutkiem. Ale nie w twoim przypadku, Marianno – odparła.

Dotarły do murka okalającego dom pana Palińskiego, gdy Henrietta przystanąła i wydała z siebie cichy pisk. Marianna spojrzała na dziewczynkę, a później skierowała wzrok w miejsce, w które wpatrywała się mała Niemka i zauważyła smukłą sylwetkę Greta, zgarbioną i poruszającą się z trudem. Dziewczyna trzymała w dłoni lampę naftową, której światło łagodnie załamywało się na luźnym ubraniu i twarzy Niemki, przydając jej nieco nadprzyrodzonego blasku. Stała po drugiej stronie murka i postawiła na nim lampę, utkwivszy wzrok w dziecku. Po policzkach Greta spływały grube niczym nasiona grochu łzy. Sulka podniosła Henriettę i pomogła jej stanąć na murku. Stamtąd dziewczynka rzuciła się w ramiona starszej siostry i przez chwilę Marianna widziała skotłowane ze sobą włosy i ubrania, jednak po głosie swojej przyjaciółki poznała, że odnalazła właściwą osobę i że w tym momencie nie było w Szczecinie dwóch szczęśliwszych istot.

[5] Petlurowcy – określenie używane na zwolenników Symona Petlury, tutaj natomiast bardziej chodzi o entuzjastów rządów Ukraińskiej Republiki Ludowej (1917-1921, później działający na uchodźstwie).

CZEŚĆ CZWARTA PUNKT WYJŚCIA



„SERBIA” – ŻEŃSKA SEKCJA WIĘZIENIA NA PAWIAKU, 1943 R.

„Skąd, u diabła, wiedzieli?” – zachodziła w głowę Marianna, skuliwszy się w rogu celi, nieopodal kubła na nieczystości. Wciąż rozpamiętywała każdy szczegół wczorajszej akcji, usiłując znaleźć swój błąd. Rozstała się ze swoimi towarzyszami wczesnym porankiem, po czym zgłosiła do odpowiedniej „meliny”. Późnym popołudniem ruszyła we wskazane miejsce, żeby przekazać przywiezione ze Lwowa dokumenty. Tyle że tam czekało na nią Gestapo, nie jej kontakt. Nim zdążyła się zorientować, już była otoczona, bez szansy na ucieczkę. A potem nastąpiło przesłuchanie. Marianna zacisnęła mocno oczy, starając się wyprzeć te obrazy z głowy.

„Gdy przyjdzie co do czego” – w jej umyśle rozbrzmiewał głos Ignacego – „Niemcy faworyzują użycie brutalnej siły. Tylko od twojej wytrzymałości zależy, kiedy zaczniesz sypać”. – Wtedy oburzyła się na starszego brata, dziś już wiedziała, że miał rację. – „Dlatego też bezwzględnie musimy dochowywać zasad konspiracji. Możesz znać jedynie osoby ze swojej komórki. W ten sposób, jeśli wpadniesz, nie zaszkodziś jedności organizacji jako takiej” – kontynuował wywód w jej głowie Ignacy.

„Ciekawe, czy na moim miejscu byłbyś silniejszy, bracie” – pomyślała Marianna.

Poruszała palcami u stóp. Wciąż czuła ból przy najmniejszym ruchu, ale wyglądało na to, że przesłuchujący nie uszkodzili jej zbyt poważnie. Położyła dłonie płasko na podłożu i, zapałszy się, spróbowała wstać, jednak była zbyt słaba i z głuchym tąpnięciem z powrotem opadła na klepisko. Zwróciła na siebie uwagę kilku

więźniarek, lecz ich apatyczne spojrzenia wskazywały na brak zainteresowania. Jedynie rejestrowały dochodzące z zewnątrz bodźce, natomiast nie reagowały na nie.

Podobnie było z przydziałem żywności – Marianna nie miała siły, żeby stać w kolejce, toteż ominął ją posiłek. Jedna z więźniarek z litości oddała jej kawałek własnego chleba. Lekarka żuła go powoli, smakując każdy kęs.

– Długo tak nie pożyje – skwitowała jedna z kobiet. – Nie ma co jej nawet ruszać, i tak zaraz pewnie po nią przyjdą.

Nie myliła się. Drugie przesłuchanie było dużo brutalniejsze od pierwszego i Marianna zaczęła się łamać. Nie wiedziała niczego ważnego ani użytecznego – Ignacy o to zadbał i musiała mu za to w duchu podziękować. Gestapowcy nie byli zadowoleni i próbowali wydusić z niej coś więcej. Zemdląła.

Obudziła się ponownie w tej samej celi, gdy przeszył ją ostry ból w barku. Tym razem jednak ktoś nad nią czuwał i podał jej wody. Przez zapuchnięte powieki widziała niewiele, jednak ta okrągła, niemal dziecinna twarz, okolona jasnymi włosami, miała na zawsze zapaść Mariannie w pamięć.

– Jestem Krzysia – przedstawiła się z łagodnym uśmiechem. – Już po wszystkim, zaopiekujemy się tobą.

Jej anioł stróż.

* * *

SZCZECIN, JESIEŃ 1946 R.

Lekarz delikatnie zamknął drzwi, kiedy wychodził z pokoju Grety. Siedząca na schodach Marianna musiała się powstrzymać, żeby natychmiast nie zasypać go pytaniami. On jednak zauważył ją szybciej i pokręcił głową z rezygnacją.

– Może pójdziemy na dół? – zaproponował.

Marianna wstała i z lekkością zeszła po schodach. Ostatnimi czasy udało się jej wyćwiczyć nogę na tyle, że chwilowo niemal nie odczuwała bólu przy chodzeniu. Niemała była w tym zasługa Henrietty, której ruchliwość i żywotność wymagały od lekarki

sprawności fizycznej. Dziewczynka w porównaniu z panem Palińskim i Gretą okazała się okazem zdrowia.

Weszli do salonu. Lekarz położył dłonie na stojącym nieopodal kominka fotelu i spojrzawszy na Mariannę, powiedział:

– Obawiam się, że choroba poczyniła znaczące postępy i w płucach pacjentki zaczął gromadzić się płyn. Może pani spróbować zdobyć penicylinę, ale to wyleczy infekcję, nie jej przyczynę.

Wargi Marianny zadrżały. Przeczuwała to od momentu, kiedy Greta zaczęła miewać ostre ataki kaszlu. Zwązająca się zastawka w sercu dziewczyny coraz bardziej utrudniała przepływ krwi, przez co Niemka była bardziej podatna na choroby. W jej stanie każda kolejna mogła być śmiertelna.

– Czyli... – zaczęła.

– Czyli musi się pani przygotować na najgorsze – przerwał jej lekarz. – To już kwestia dni.

Marianna pokiwała głową, jednak jej myśli krążyły wokół stanu Greta i ich ostatniej rozmowy.

Lekarz odchrząknął, wyrywając Palińską z zamyślenia.

– Czy przemyślała pani moją propozycję? – zapytał.

– Pracy w szpitalu? – odparła Marianna, zbierając myśli. – Jeśli byłaby taka możliwość, to podjęłabym ją bardzo chętnie.

– Doskonale, w ten sposób zdobędzie pani doświadczenie – rzekł lekarz i ceremonialnie zerknął na zegarek. – Niestety, czas mnie goni, ale jakby coś się zmieniło – wskazał głową na piętro wyżej – to proszę dzwonić. Albo podejść do szpitala.

– Oczywiście – odparła mechanicznie Marianna i ruszyła, by odprowadzić lekarza do drzwi.

– Ach, i pani Marianno... – Lekarz w połowie drogi do przedpokoju przystanął nagle i odwrócił się w jej stronę. – Przykro mi z powodu pani ojca. Był wspaniałym człowiekiem.

Skinęła głową, powstrzymując wzruszenie. Na przekór słowom Ignacego, tym razem Marianna wybrała pamięć, nawet jeśli każde wspomnienie o ojcu miało przynosić jej cierpienie.

– Dziękuję – odpowiedziała. Czuła, jak pod powiekami zbierają się jej łzy.

I znów została sama, ale nie na długo. Po chwili wrócili jej stali towarzysze: żal i straszliwe poczucie pustki rozciągającej się od niej aż po całe jej otoczenie, rozszerzające się z każdym dniem, z każdą porażką.

Mimo to jednak powtarzała sobie, że musi dalej trwać.

* * *

Koniec października przyniósł intensywne opady deszczu i list z Francji. Marianna siedziała w pogrążonym w półmroku pokoju Greta, zaciskając dłonie na filiżance ze świeżo zaparzoną herbatą. Niemka spała w pozycji siedzącej, gdyż ze względu na obecny w jej płucach płyn leżenie nie wchodziło w grę. Wpatrywała się w gładką twarz przyjaciółki, niezmaconą napięciem i nieprzeciętą jeszcze zmarszczkami. Dopiero w ostatnich dniach uzmysłowiła sobie, jak młoda była jej przyjaciółka i jak wielu rzeczy nie będzie jej dane przeżyć.

– Jaka ona jest spokojna – zauważyła Sulka, która niepostrzeżenie wślizgnęła się do pokoju. – Jakby była pogodzona ze swoim losem. Nie tak jak Thomas... – urwała, a jej głos załamał się. Potrzebowała chwili, by odzyskać spokój.

Marianna przymknęła oczy. Widziała w swoim życiu wystarczająco dużo śmierci, by rozpoznać, że Greta nie tyle pogodziła się ze swoim losem, co zrezygnowała z dalszej walki i sama myśl o tym denerwowała lekarkę. Przypominała sobie swoje zmagania z uzależnieniem i ciągle zachęty młodej Niemki, by się nie poddawała, to, jak wymuszała na Mariannie podejmowanie wysiłku i jej niezachwianą wiarę w siłę jednostki. A może źle to pamiętała? Może, swoim zwyczajem, przypisywała Grecie większą dojrzałość i przenikliwość, niż osoba w jej wieku mogłaby posiadać. Ignacy często wytykał siostrze skłonność do nadinterpretacji. Według niego ludzka motywacja była prostsza i dużo bardziej zmienna, niż Marianna mogła przypuszczać. Wtedy go wyśmiała, dziś powątpiewała w swoje przekonania.

– To złudzenie – odpowiedziała Sulce. – Kiedy penicylina się skończy, infekcja powróci.

– Wolę wierzyć w swoją wersję – rzekła dziewczyna. Jej wzrok padł na leżący na stoliku list. – To od Jeana-Pierre’a?

Marianna skinęła głową. Sięgnęła po list i obróciła go w dłoniach. Rozpoznała zamaszyste pismo porucznika, jednak wciąż odkładała otwarcie koperty na później.

– Co pisze? – dopytywała Sulka.

Lekarka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, na razie nie mam siły, by go przeczytać – odparła, by zakończyć niewygodną dla niej rozmowę.

Sulka spieszyła się.

– Och, przepraszam, zapomniałam, że między wami... – urwała w pół słowa.

Marianna uniosła brwi.

– Między nami co? – zapytała surowo.

– No... coś było – zająknęła się Sulka.

Lekarka wybuchła śmiechem. „Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają” – pomyślała. – „Jak chociażby fakt, że nie można spotykać się z mężczyzną bez stwarzania ogólnego wrażenia czegoś”.

– Wiesz co, przeczytam ten list. Teraz. Na głos – oznajmiła z przekorą i rozerwała kopertę.

Droga Marianno!

Pragnę przeprosić za moje karygodne zachowanie podczas naszego ostatniego spotkania. Wiem, że nic nie usprawiedliwia obcesowego tonu i grubiańskiego zachowania wobec Ciebie i Twojego stryja, jednak znajdowałem się wówczas w osobliwym stanie umysłu. Musisz wiedzieć, że mój pobyt w Polsce tuż po zakończeniu wojny był naznaczony melancholią i wątpliwościami. Wciąż zadaję sobie pytanie, czy postąpiłem właściwie, zostając.

Musisz wiedzieć, że będąc jeszcze w niewoli, nawiązałem romans z nastoletnią służącą z majątku, w którym byliśmy uwięzieni

i owe, oparte całkowicie na cielesności uczucie przez dłuższy czas trzymało mnie w stanie otępienia. Jak zresztą oprzeć się pokusie bliskości z kimś tak niewinnym, zapatrzonym w twoją osobę niczym w gwiazdę filmową? Dla swoich rodaczek byłem i pozostaję średnią partią, u was natomiast jako cudzoziemiec stałem się kimś lepszym z samej racji swojego pochodzenia. Wyjdę może na bufona, jednak jest to niebezpiecznie dobre uczucie, zniechęcające do refleksji nad samym sobą.

I w tym oto stanie ducha poznałem Ciebie. Wymykałaś się ramom, które wyznaczyłem kobietom, a jednocześnie byłaś uosobieniem wszystkiego, co w nich podziwiam: wytrwałości i wiary w siebie samą. Tyle że nie czułem się na siłach i nie potrafiłem zawalczyć o Twoją uwagę, a po pewnym czasie przestałem wierzyć w to, iż kiedykolwiek ją zdobędę. Może jest to wyłącznie oznaką mojego tchórzostwa, niemniej niemal ucieszyłem się, gdy rodzina mojej młodej kochanki nakazała jej zerwać ze mną kontakt. Teoretycznie mogłem wówczas wyznać Ci prawdę, lecz sparaliżował mnie strach. Wiem, że nie opuściłabyś nigdy rodziny, Greta i swoich poszukiwań, a ja nie mogłem już dłużej żyć w obcym sobie kraju. Nie chciałem, abyś stała się dla mnie kotwicą trzymającą mnie w miejscu, w którym nie chciałem być.

Życzę Ci wszelkiej pomyślności i pozostaję na zawsze oddany.

Jean-Pierre

Marianna zamilkła, zaskoczona treścią listu.

– To... obsceniczne – wydusiła z siebie w końcu Sulka, cała czerwona z zażenowania. – Żeby pisać w taki sposób o jakieś biednej, uwiedzionej dziewczynie. I o tobie.

– Cóż, jest to podobny poziom szczerości, który utrzymywaliśmy we wszystkich naszych rozmowach – przyznała Marianna. Bardziej niż wynurzenia natury erotycznej zdumiała ją absurdalność kontekstu listu. Zastanawiała się, co Jean-Pierre chciał w ten sposób osiągnąć? I na jakiej podstawie przypuszczał, że ma do czegośkolwiek prawo?

– Czy pojedziesz do niego? – zapytała nagle Sulka.

Marianna parsknęła śmiechem, tym razem zupełnie szczerym.

– Absolutnie nie – odparła. – Może jakaś część mnie tego pragnie, ale jeśli czegoś się przez ten rok nauczyłam, to tego, że nie rozwiązę cudzych problemów ani nikogo nie uratuję, a na tym ten domniemany związek właśnie by się opierał.

– Nie rozumiem – stwierdziła Sulka.

Marianna westchnęła w duchu. Uwielbiała Sulkę, aczkolwiek romantyzm dziewczyny niejednokrotnie ją załamywał.

– Zdecydowana większość mężczyzn szuka w życiu skrzyżowania nałożnicy z przedszkolanką, licząc, że taka kobieta będzie przymykać oko na ich „przewinienia” – wyjaśniła. – I cieszyć się z okazywanej uwagi.

– Brzmi obrzydliwie – stwierdziła Sulka.

– Witaj w świecie hipokryzji dorosłych – rzekła Marianna. – Ja na to jestem za stara i zbyt szczerą. Albo więc będę czyjąś partnerką, albo zostanę starą panną. W sumie można i powiedzieć, że to drugie już nastąpiło. – Uśmiechnęła się. – I wiesz co? Nie obchodzi mnie to.

Sulka otwierała już usta, by coś odpowiedzieć, gdy uwagę kobiet przykuło ciche charczenie. Marianna zerwała się z krzesła i podeszła do łóżka Grety. Dziewczyna obudziła się i patrzyła na lekarkę swoimi dużymi oczyma.

– Henrietta – wycharczała.

– Zaopiekuję się nią – odpowiedziała cicho Marianna.

Greta przytaknęła.

– Mieliśmy kiedyś... dom nad morzem. Uwielbiała się tam bawić, pluskać się w Bałtyku. Zabierz nas tam... raz jeszcze. Stettin jest tak daleko od morza...

Marianna zacisnęła dłoń na drżącej ręce Grety.

– Zabiorę ją tam. Obiecuję – powiedziała.

Greta krzyknęła z bólu i straciła przytomność, po czym znów się wybudziła i zaczęła bełkotać. Marianna i Sulka na zmianę czuwały przy jej łóżku, późnym wieczorem dołączył do nich

również pan Paliński. To właśnie on wybudził bratanicę o brzasku, by ją poinformować, że Greta odeszła.

* * *

SZCZECIN, GRUDZIEŃ 1946 R.

Sulka nieśmiało weszła do pokoju Marianny i bez słowa podała lekarce zapisaną starannym pismem kartkę. Wezwanie opiekuna prawnego do szkoły, powód: nagłe i niepokojące pogorszenie się wyników uczennicy.

– Formalnie twoim opiekunem jest pan Paliński – zauważyła Marianna. Nie zamierzała udzielać Sulce reprimendy, pamiętając ciosy, jakie spadły na dziewczynę w ciągu niespełna roku. Dotychczas radziła sobie dobrze, jednak odejście Greta sprawiło, że w młodej Kaszubce coś pękło i często snuła się po domu bez wyraźnego celu. Powracała do rzeczywistości, gdy zajmowała się Henriettą, ale nawet i tę czynność podszywał smutek. Obie dziewczyny zdawał się łączyć jakiś niepisany pakt, żal nad nagle utraconym dzieciństwem. Odzwierciedlało się to w ponurych inscenizacjach, jakie urządzały dla Marianny i pana Palińskiego oraz w zamiłowaniu do mrocznych, pozbawionych szczęśliwego zakończenia opowieści.

– Pan Paliński ma wtedy zebranie i kazał mi iść z tym do ciebie – odparła Sulka, unikając kontaktu wzrokowego z Marianną.

Lekarka westchnęła ciężko i ponownie spojrzała na kartkę. Wychowawczynie wymieniła przedmioty, z którymi Sulka radziła sobie najgorzej. Była to matematyka, fizyka i geografia. Przy dwóch pierwszych zrobiła adnotację: „dr Rozwadowski ma zastrzeżenia co do dyscypliny uczennicy”.

– Kim jest ten Rozwadowski? – zapytała Sulkę.

– Nasz nauczyciel matematyki i fizyki. Podobno uczy głównie w liceum męskim, a u nas prowadzi tylko niektóre klasy. Jest bardzo wymagający i uszczypliwy – odparła dziewczyna.

– Uszczypliwy? – zdziwiła się Marianna. – Nie powinnaś tak mówić o swoich profesorach.

Sulka skrzywiła się, jakby kazano jej zjeść plaster cytryny.

– Szanuję go, ale nie potrafię polubić – wyjaśniła. – I mam wrażenie, że on to wyczuwa i wymaga ode mnie więcej niż od reszty.

Lekarka jęknęła w duchu. Ostatnią rzeczą, jakiej jej w życiu brakowało, było zajmowanie się licealnymi dramatami. „Z drugiej zaś strony – pomyślała – w dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, kto jest kim. Równie dobrze ten cały Rozwadowski może być jakimś nieukiem z papierami naszego nowego państwa”.

– Porozmawiam z nim – zgodziła się z ciężkim sercem. – Ale to nie zwalnia cię z obowiązku uczenia się, moja panno. Nie chcę cię widzieć z głową w chmurach ani zbijającą bąki w czasie przeznaczonym do nauki. Zrozumiano?

Sulka skinęła głową i po cichu wycofała się do siebie. Marianna ponownie zerknęła na karteczkę od wychowawczyni, żeby zobaczyć datę spotkania. Pojutrze.

* * *

Ubrała się konserwatywnie: wysokie, skórzane kozaki z dobrej jakości skóry, ciemnoszary żakiet i spódnica, na to zaś stary, acz elegancki płaszcz podbijany futrem. Temperatura oscylowała w okolicach zera, a z nieba prószył śnieg. Marianna postanowiła wybrać się do liceum na pieszo, bowiem dystans nie był zbyt duży, a ostatnio spędzała większość czasu w szpitalu i czuła, że przydałoby się jej trochę ruchu.

Ruszyła w dół, w stronę alei Wojska Polskiego i podziwiała wyrastające po obu stronach wille. Był to jej ulubiony kierunek spacerów do czasu, gdy nie uwięziono jej i ojca w piwnicy jednej z tych bajecznie wyglądających rezydencji. Z tego też powodu, doszedłszy w okolice tamtego miejsca, Marianna odbiła w prawo, w jedną z pobocznych uliczek. Teraz trafiła do zachowanego kwartału dziewiętnastowiecznych kamienic, zdecydowanie gorzej oświetlonego. Przyspieszyła kroku i już po chwili wędrowała nieodgruzowaną jeszcze aleją Piastów, mijając po drodze monumentalny, neogotycki budynek. Zwolniła tempa, ciesząc się

przyjemnym popołudniem. „Przynajmniej dopóki nie wejdę do gmachu liceum” – pomyślała.

Szkoła przypominała średniowieczny zamek, wyłaniający się niespodziewanie z gąszczu mniej lub bardziej zdobnych kamienic. Weszła do środka i zapytała woźną o wychowawczynię klasy Sulki. Kobieta kazała jej wejść na drugie piętro i poszukać otwartych drzwi.

– A miałam nadzieję, że nie będzie schodów – mruknęła Marianna.

Choć noga dawno jej nie dokuczała, to pewne czynności wciąż sprawiały lekarce trudność. Wchodzenie po schodach otwierało tę listę. Wzięła głęboki wdech i rozejrzała się dookoła. Budynek wyglądał na opustoszały. Marianna powoli zaczęła wdrapywać się na górę, zadowolona, że nikt nie jest mimowolnym świadkiem wykonywanych przez nią akrobacji.

Wychowawczyni stała przed drzwiami do klasy. Przywitała się z lekárką i pokrótce wyjaśniła sytuację:

– Nie jest to sytuacja dramatyczna, jednak Sulisława była w ścisłej czołówce naszych podopiecznych, dlatego nawet nieznaczne, ale zauważalne opuszczenie się w ocenach i w dyscyplinie wymogło na nas reakcję.

– O ocenach wiem – potwierdziła Marianna, ściągając brwi. – Natomiast bardziej zastanawiają mnie rzekome problemy z dyscypliną.

– Nie ja, a doktor Rozwadowski ma zastrzeżenia. Podobno Sulisławie zdarzyło się podważyć sens jednych z jego zajęć, a wie pani, że ściśle umysły są szczególnie wyczulone na tego rodzaju krytykę – odparła wychowawczyni.

– Czy pani sugeruje, że wina nie leży po stronie Sulki? – zapytała Marianna, nieco zdziwiona rozwojem sytuacji.

Nauczycielka westchnęła.

– Tego nie powiedziałam, natomiast, między nami, doktor Rozwadowski potrafi miewać humory, więc nie da się wykluczyć, że wina mogła być obopólna. Niemniej dobrze, gdyby pani z nim

porozmawiała – odparła. – Jego gabinet znajduje się piętro niżej, na samym końcu korytarza.

„Przynajmniej będę miała połowę męki ze schodzeniem za sobą” – pomyślała Marianna. Podziękowała wychowawczyni i zeszła do klasy doktora Rozwadowskiego.

Przywitał ją elegancki, wysportowany mężczyzna w średnim wieku. Miał jasne, nieco rozczochrane włosy i starannie wypielęgnowany zarost. Siedział wyprostowany niczym struna bez cienia nonszalancji, jaką Marianna byłaby skłonna przypisać inżynierowi.

– Pani musi być opiekunem prawnym panny Sulisławy – powiedział, bez cienia uśmiechu. Mówił czysto, bez zaśpiewu.

– Mój stryj pozostaje jej opiekunem – sprostowała Marianna. – Jednak, z uwagi na inne zajęcia, poprosił mnie o zastąpienie go dziś w tej roli.

– Rozumiem. – Nauczyciel świdrował ją spojrzeniem. – Proszę spocząć, panno... – Wskazał na jedno z krzeseł.

– Palińska. Doktor Palińska. – Marianna poczuła, że traktuje ją jak jedną ze swoich uczennic, dlatego położyła nacisk na swój zawód. Usiadła. Z jakiegoś powodu nie chciała, by ten człowiek zauważył jej kalectwo.

– Jaki uniwersytet pani kończyła? – zapytał Rozwadowski.

– Studiowałam we Lwowie – odparła krótko. Nie chciała nawiązywać z nim dłuższej rozmowy, niż było to konieczne.

– Słysząc – stwierdził nauczyciel. – Mówi pani w ten przemiły dla ucha, miękki sposób. – W jego tonie pojawiła się życzliwa nuta. – Myślę też, że jako osoba wykształcona zrozumie pani moje obiekcje w stosunku do podopiecznej pani stryja.

Marianna odgarnęła niesforny kosmyk włosów z czoła, jednak przy wykonywaniu tego gestu rękaw jej zakietu podjechał do góry, ukazując na chwilę tatuaż nad nadgarstkiem. Rozwadowski go zauważył. Myślała, że jakoś to skomentuje, on jednak przesunął spojrzenie z powrotem na jej twarz, jakby nic się nie stało.

– Czyjeś talenty mogą leżeć bardziej po stronie humanistyki niż nauk ścisłych, rozumiem to. Niemniej uważam, że pojmowanie matematyki oraz logiki jest fundamentalne dla naszego intelektualnego rozwoju. Panna Sulisława oznajmiła, że Niemcy z pewnością to docenili, gdyż każdemu więźniowi w obozie przypisali unikalny numer. I że nie pojmuje piękna w czymś tak chłodnym i bezosobowym – rzekł Rozwadowski.

– Cóż – odparła Marianna, zaskoczona opowieścią nauczyciela. – Trudno odmówić jej chociażby częściowej racji.

Rozwadowski przewrócił oczami. Najwyraźniej nie należał do cierpliwych osób.

– Zatem pani też jest z osób, które obwiniają narzędzie o sposób, w jaki zostało użyte? – zapytał z ironią w głosie.

– Nie. Jestem natomiast z osób, które mają wyrozumiałość dla przeżyć i uczuć innych ludzi. I umiem odróżnić obelgę czy nieuprzejmość od zwykłego wyrażenia własnego zdania – odcięła się Marianna.

Na czole Rozwadowskiego zarysowała się pojedyncza, pionowa zmarszczka.

– Droga pani, każdy w mojej klasie ma jakieś wojenne przeżycia. Ba, każda osoba, jaką spotykam na ulicy, je ma. Czy znaczy to, że wiecznie mamy się obchodzić ze sobą nawzajem jak z jajkiem, czy może pokazemy młodzieży, że trzeba iść naprzód, ku normalności? – zapytał.

Nie atakował jej, raczej wydawał się przekonany co do wyższości swojej racji. Było też coś jeszcze, jednak Marianna nie potrafiła tego nazwać, jakiś moment żalu na wspomnienie o wojnie. „Nie moja sprawa, nie mogę winić go o coś, czym próbowałam bronić Sulkę”. Poddała się.

– Rozumiem – powiedziała porozumiewawczo. – Porozmawiam z nią na ten temat w domu.

– Doskonale – rzekł nauczyciel. – Dziękuję pani – oznajmił, dając Mariannie do zrozumienia, że zakończył rozmowę.

„Co za szorstki, nieprzyjemny człowiek” – pomyślała lekarka, wychodząc ze szkoły. Szybko jednak o nim zapomniała, dając się wciągnąć w baśniową aurę wieczoru.

* * *

Marianna ze złością cisnęła list od przedstawiciela niemieckiego Czerwonego Krzyża na biurko.

Z przykrością informuję panią, że nie udało nam się odnaleźć żyjących krewnych panny Greta Borcke. Pani prośba została przez nas przesłana do przedstawicielstw innych państw...

Nie miała sił, by czytać dalej ten bełkot. A myślała, że załatwienie godnego pochówku Grecie było skomplikowane.

– Coś się stało, moja droga? – Stryj zajrzał do pokoju Marianny. Utrata brata i śmierć Greta jeszcze bardziej złagodziły charakter pana Palińskiego. Przypominał wyblakłą wersję samego siebie, niemal doszczętnie pozbawioną skrajnych emocji.

– Wciąż nic nie wiadomo w kwestii rodziny Henrietty – odparła Marianna, odgarniając włosy z czoła. – Zaczynam wątpić w to, czy kogokolwiek znajdziemy, a oddanie jej do sierocińca w tym stanie... – pokręciła głową – ...byłoby zbyt okrutne.

– Cóż... – Pan Paliński wszedł do pokoju i usiadł na łóżku bratanicy. – Z drugiej strony nie możemy robić z naszego domu przechowalni. Nie w obecnym klimacie politycznym, gdzie lada chwila tacy ludzie jak my mogą się znaleźć na cenzurowanym.

Marianna zwiesiła głowę. Rzadko kiedy zadawała sobie pytanie, jaki wpływ mają jej działania na życie stryja i było jej z tego powodu wstyd.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Wiem, że angażując się w pomoc Grecie, ściągnęłam do twojego domu dwie dodatkowe osoby i zapewne wystawiłam tym siebie i ojca na ich celownik.

– Ależ drogie dziecko! – Stryj wstał i przytulił bratanicę. – Bo uważam ciebie za swoje dziecko, wszystko, co robię, jest z myślą o tobie i twojej przyszłości. Jedyne, o co proszę, to żebyś nie

zapomniała o swoich potrzebach i wygodzie, poświęcając się pomocy innym.

Marianna była mu wdzięczna za te słowa, lecz nie potrafiła tego wyrazić. Chciała mu powiedzieć tyle rzeczy, o tym, czego się przez zeszły rok nauczyła, jaką przebyła drogę, jak wielką radość sprawiało jej przebywanie z Sulką i Henriettą. To jednak pozostawało poza sposobem, w jaki zwykli ze sobą rozmawiać. Mogła z nim toczyć filozoficzne dysputy, rozprawiać o historii i obecnym stanie społeczeństwa, słowem o wszystkim poza sprawami osobistymi. Palińscy nie rozmawiali o uczuciach, bo było to nieeleganckie, Palińscy nie dawali się ponosić emocjom, ponieważ zawsze potrafili je zepchnąć w głąb umysłu i tam rozłożyć na czynniki pierwsze.

– Chciałabym, żeby istniała trzecia opcja – powiedział wreszcie, czując ukłucie żalu w sercu. Nie potrafiła przełamać ze stryjem tej bariery i chyba nigdy się na to nie zdobędzie.

– Możesz rozważyć adopcję – zasugerował pan Paliński. – Ale wtedy podejmujesz zobowiązanie na całe życie, nie wspominając o odstraszeniu potencjalnych kandydatów na męża...

– Co zawsze było moim głównym celem życiowym – odparła ironicznie Marianna.

Pan Paliński uśmiechnął się słabo.

– Moja droga, samotność nie jest losem, którego ci życzę – powiedział. – Dlatego przemyśl, proszę, wszystko, co ci powiedziałem. Żebyś później nie miała do siebie pretensji.

Marianna skinęła głową w milczeniu. Obiektywnie, czy miała jakieś szanse na założenie własnej rodziny? Biorąc pod uwagę poprzednie próby, śmiała w to wątpić. Dostrzegła też inny problem. Nawet gdyby znalazł się mężczyzna zdolny ją pokochać, nie miała pewności, czy jej wymęczone eksperymentami ciało było jeszcze płodne. „Nie, źle stawiasz sprawę” – skarciła się w myślach. – „Prawdziwe pytanie brzmi: czy jestem w stanie urodzić zdrowe dziecko, czy może wszystko, co ze mnie wyjdzie, będzie skażone, ułomne. Takie, jak jego matka”.

* * *

SZCZECIN, STYCZEŃ 1947 R.

Marianna i Sulka wracały z kina Odra z pokazu filmu *Zakazane piosenki*. Młoda Kaszubka podśpiewywała *Serce me w plecaku*, radośnie wymachując torebką, lekarka natomiast zatopiła się w myślach. Nie tak zapamiętała Warszawę i dni okupacji, choć musiała przyznać, że lekki, optymistyczny nastrój w jakimś stopniu również udzielił się i jej. Pod wpływem tego nastroju zaproponowała Sulce kolację w restauracji. Zdecydowały się na Myśliwską, głównie ze względu na organizowany w niej codziennie dancing. Co prawda, restauracja znajdowała się kawałek drogi od kina, niemniej nie było zbyt późno, a Marianna czuła się wyjątkowo dobrze.

Na róg Jagiellońskiej i Bohaterów Warszawy trafiły już po zmierzchu. Ponieważ ten fragment miasta był najmniej zniszczony, co rusz pojawiały się tutaj kolejne lokale, kwitło życie towarzyskie, choć dalej często dochodziło do rozmaitych incydentów z Rosjanami. Mimo to Marianna czuła się względnie bezpiecznie.

Weszły do lokalu. Szczęśliwie kelner znalazł dla nich stolik wciśnięty w róg sali. Marianna poczuła przyjemny dreszcz, gdy otworzyła kartę dań i analizowała po kolei opisy specjalności lokalu.

– Nigdy nie byłam w takim miejscu – zniżyła głos Sulka. – Nie wiem, jak się zachować.

– Rób to, co wszyscy dookoła – poradziła jej Marianna. – I nie denerwuj się, to nie egzamin.

Zamówiły i wkrótce potem przyniesiono im lemoniadę oraz piwo. Marianna zaczerpnęła potężny łyk z kufła i mruknęła z uznaniem. Nawyk picia piwa wyrobiła sobie jeszcze jako studentka. Wieczorami często dołączała do Ignacego oraz jego znajomych w różnych lwowskich lokalach, degustując rozmaite odmiany i warianty tego trunku. Wtedy musiała się z tym kryć przed stryjem, ponieważ podobne zachowanie nie przystoiło

pannie z dobrego domu. „Szczерze mówiąc, cieszę się, że teraz jest inaczej” – pomyślała Marianna. – „Choć niby bardziej wulgarnie”. Doniesiono jedzenie. Nie była to wykwinna kuchnia, ale biorąc pod uwagę ograniczone zasoby, kucharze, którzy wciąż potrafili z tego wyczarować smaczne posiłki, zasługiwali na podziw.

W sali zapanowało nagłe ożywienie i kobiety zobaczyły, że orkiestra wyszła na środek i muzycy rozstawili instrumenty. Gdy goście ucichli, mężczyźni zaczęli grać. Na pierwszy plan wysunął się głęboki dźwięk saksofonu, wprowadzając zgromadzonych w nieco melancholijny nastrój. Nie na długo, bowiem zaraz melodia stała się weselsza, wręcz skoczna. Niektórzy już się podnieśli, połączyli w pary i podrygiwali, inni obserwowali, jeszcze się wahając. Marianna widziała spojrzenie Sulki utkwione w wirujących parach. „Potrzebuje normalnego życia, przyjaciół, zabaw i drobnych zmartwień” – pomyślała.

Uśmiechnęła się do swojej towarzyszki i zapytała:

– Nauczyć cię?

Sulka skinęła głową, a jej oczy błyszczały z radości. Dołączyły do tańczących, początkowo nieco zażenowane, później zaś coraz swobodniej dopasowując się do muzyki.

– I teraz obrót – odpowiedziała Marianna.

Wiedziała, że w tańcu jej kalectwo jest szczególnie widoczne, ale w tamtym momencie jej to nie przeszkadzało. Cieszyła się, bo po raz pierwszy od dawna robiła coś normalnego, co wypełniałoby wieczory, gdyby jej młodość nie skończyła się tak nagle.

Następnego dnia przyszło nieprzyjemne otrzeźwienie. Do szpitala napływali kolejni pacjenci ze złamaniami i obtłuczeniami. W szczególnie ciężkim stanie trafiały osoby starsze, niekiedy także z zapaleniem płuc. Mariannę odciągnięto od jej zwyczajowych zadań i skierowano do pomocy na izbie przyjęć.

Akurat osłuchiwała starszą pacjentkę, gdy na korytarzu rozległ się przeraźliwy pisk. Marianna opuściła stetoskop i uchyliła drzwi do gabinetu, by sprawdzić, co się dzieje i zamarła. Do szpitala

wtargnęła grupka pijanych Rosjan. Wymachiwali bronią i zaczepiali przerażonych pacjentów. Jeden z nich miał paskudną ranę na głowie, źle opatrzoną, z której sączyła się krew. Wtem poczuła, że ktoś odciąga ją od drzwi. Był to jej kolega z dyżuru.

– Nie pokazuj się im – ostrzegł ją i sam wyszedł na korytarz. Marianna usłyszała głośnie wymianę zdań po rosyjsku, a następnie trzaskanie drzwiami. W poczekalni ktoś zaczął szlochać.

– To się już nigdy nie skończy – skomentowała staruszka. – To nasze upodlenie...

Marianna zacisnęła dłoń w pięść tak mocno, aż poczuła, jak paznokcie boleśnie wbijają się jej w skórę. Chciała zawalczyć i choć raz dać Sowiecom za swoje, jednak wiedziała, czym by się to skończyło dla niej i dla stryja. Musiała ponownie zacisnąć zęby i kontynuować pracę.

Skończyła późnym wieczorem. Rozmasowała napuchnięte łydki i ruszyła do domu. W bramie szpitalnej zderzyła się z Rozwadowskim.

– To pani! – powiedział.

– Tak jakby – odparła Marianna, wytrącona z równowagi. Zauważyła, że nauczyciel nie jest sam, towarzyszył mu szczupły wyrostek z zapuchniętą twarzą. – Pański syn?

– Uchowaj Boże! – zakrzyknął oburzony Rozwadowski. – Znalazłem tego młodzieńca, pobitego i nieprzytomnego, gdy wracałem do swojego mieszkania. Nie mogłem go tam zostawić.

– Bardzo szlachetnie z pana strony – odpowiedziała mechanicznie Marianna, która myślami już była przy kolacji.

Miała ruszyć dalej, gdy Rozwadowski zatrzymał ją.

– Nie chcę nadużywać pani dobroci, ale jest pani lekarzem... – zaczął, wpatrując się Mariannie prosto w oczy.

Dziewczyna jęknęła w duchu. Zgodzi się, zawsze się zgadza, bo wierzy, że jej zawód to specjalna misja.

– Oczywiście – odparła.

Zaprowadziła ich do bocznego wejścia, by nie wzbudzać oburzenia wśród oczekujących. W tej części akurat nikt nie pracował i gabinety były jeszcze częściowo zdewastowane, ale znajdowały się w nich odpowiednie narzędzia.

Zapaliła światło i kazała młodzieńcowi usiąść na kozetce. Rozwadowski stanął przy ścianie i splótł ręce na klatce piersiowej. Marianna łagodnie uniosła podbródek pacjenta i sprawdziła źrenice, potem zaś delikatnie zbadała obite miejsca. Młodzieniec był spokojny i reagował na wszystkie polecenia.

– Cóż, nie wygląda na wstrząśnienie mózgu – orzekła. – Na całą resztę niewiele poradzę, mogę co najwyżej przepisać maść i leki przeciwbólowe. Przebywasz w mieście sam czy z rodzicami?

– Z rodzicami – odparł młodzieniec. – Matka pewnie już odchodzi od zmysłów.

Marianna pokiwała głową, przybierając poważny wyraz twarzy.

– Nie zaszkodziłoby ich powiadomić – powiedziała. – I powiedzieć im, na jakie symptomy mają zwrócić szczególną uwagę w następnych dniach. – Odwróciła się do Rozwadowskiego. – Zajmie się tym pan?

Nauczyciel potwierdził. Przez cały ten czas jego ponure spojrzenie utkwione było w Mariannie, co wzbudzało w lekarce lekki niepokój. Usiadła przy biurku i zaczęła spisywać zalecenia. Gdy skończyła, wręczyła je Rozwadowskiemu, unikając patrzenia na niego. Zaczęła się ubierać.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał nauczyciel.

Marianna na chwilę zastygła w bezruchu. Już miała mu zaserwować bezczelną odpowiedź, jednak się powstrzymała.

– Niedaleko stąd, wystarczy odbić od Piotra Skargi w pierwszy zakręt – odparła.

– Odprowadzimy panią – oznajmił Rozwadowski. – I tak będziemy szli w tamtą stronę.

Marianna przystała na jego propozycję niechętnie. Szczęśliwie dystans dzielący ją od domu był niewielki, toteż uznała, że przynajmniej nie będzie się musiała silić na rozmowę. Pech chciał,

że nagle poczuła potężną falę bólu w okaleczonej nodze. Zmusiła się do chodu, jednak wyraźnie utykała. „Szlag by to trafił, akurat ten człowiek musi odkryć moją słabość?” – pomyślała zirytowana i starała się przyspieszyć, ale to przyniosło efekt odwrotny od zamierzonego i musiała przystanąć, gdyż ból był nie do zniesienia.

– Coś się stało? – zapytał młodzieniec.

– Chwilowa niedyspozycja – odparła Marianna i uśmiechnęła się krzywo. – Nic poważnego.

– Musi pani być wykończona – zauważył Rozwadowski. – Pomogę.

Marianna myślała, że oprze się na jego ramieniu i powoli dokuśtyka do domu, lecz to, co nastąpiło, znacznie rozminięło się z jej założeniami. Rozwadowski podniósł ją, jakby była małym dzieckiem i przeniósł ją aż pod drzwi wejściowe. Zmęczył się, zauważyła pot na jego czole, gdy opuszczał ją na ziemię.

– Proszę pamiętać o zaleceniach – powiedziała.

– Ma się rozumieć – odparł i uśmiechnął się, tym razem szczerze. – A pani niech dobrze wypocznie.

Skinęła głową i wślizgnęła się do domu, by uniknąć dalszego przeciągania niezręcznej dla siebie sceny. W przedpokoju stał pan Paliński, w szlafroku i ocieplanych kapciach.

– Czy ja widziałem to, co widziałem? – zapytał.

– Mniej więcej – odparła Marianna, ściągając buty. Zatoczyła się nieco, gdyż ból nie zelżał. Stryj przytrzymał ją i pomógł dostać się do pokoju.

– Niesamowite, jak czasy się zmieniają! – mruknął pod nosem.

Marianna sięgnęła po książkę, ale nie mogła się na niej skupić. Ten dzień dostarczył jej zbyt dużo sprzecznych wrażeń. Postanowiła położyć się spać, jednak sen, choć przyjemny, był lekki i niespokojny.

* * *

Marianna skończyła dyżur szybciej niż zazwyczaj. Wychodząc, omiotła spojrzeniem korytarz, jakby szukała znajomej twarzy. Czowała się dziwnie. Przez ostatnie dwa miesiące wiodła

ustabilizowane życie, wykonywała pracę, którą lubiła i miała wrażenie, że wreszcie zaczyna się naprawdę uczyć i nabierać wprawy, lecz mimo to czegoś jej brakowało. „Każda więź, którą zdołałam zbudować po powrocie do Polski, uległa już rozpadowi, albo dogorywa” – pomyślała. – „Nie mówiąc już o tych, którzy odeszli, a którym nie byłam w stanie pomóc. Niby nic, do czego nie byłabym przyzwyczajona, przecież w obozie wszystko zdawało się ulotne, a ludzkie życie najbardziej, ale...” – zawahała się. – „Nie tak to wszystko miało wyglądać. Miały wrócić rzeczy pewne i niezmiennie, a tymczasem dalej nic nie znaczymy w obliczu zniszczeń i ogólnego nieszczęścia”.

Była Sulka i Henrietta, musiała to przyznać, lecz nawet w ich towarzystwie czuła się samotna, wyrzucona poza ramy. Inna. „Jak mój ojciec” – pomyślała i jej serce przeszło ukłucie bólu. „Nie wracaj tam, nie wracaj do tych godzin, nie wracaj do wyboru, którego dokonałaś” – powtarzała w głowie niczym mantrę.

Weszła do domu i nie wiedziała, co ze sobą począć. Oznajmiła Henriecie, że jest dobra pogoda na sanki. Ucieszona dziewczynka pobiegła do przedpokoju się przebrać. Marianna zeszła do piwnicy, gdzie niedawno odkryła stare sanki wciśnięte między regały z przetworami. Wróciła na górę. Henrietta złapała lekarkę za dłoń i parła do przodu, prowadząc Mariannę do najbliższego pagórka oddalonego mniej niż pięć minut drogi od domu. Zbocze nie było strome, więc zaproponowała inne miejsce. Henrietta potrząsnęła głową i w odpowiedzi pokazała na nogę Marianny.

– No tak, mogłabym nie dać rady – poddała się lekarka.

Dziewczynka posmutniała i przytuliła się do nóg Marianny. Lekarka delikatnie poklepała Henriettę po głowie.

– Już dobrze, przyzwyczaiłam się – powiedziała uspokajająco.

Wdrapały się na szczyt wzniesienia i usiadły na sankach: Marianna z tyłu, Henrietta z przodu. Odepchnęły się i po kilku sekundach były już na dole. Powtarzały tę czynność wielokrotnie, aż dziewczynka zasygnalizowała, że ma już dość. Wróciły do domu. Henrietta przyniosła z dawnego pokoju Grety dużą księgę

baśni w języku niemieckim i spojrzała na Mariannę proszącym spojrzeniem.

– Sulka byłaby lepszym lektorem, wiesz? – Lekarka rzuciła Henriecie krzywe spojrzenie, świadoma swoich językowych niedociągnięć. Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Faktycznie, nie ma jej jeszcze – przyznała Marianna i otworzyła książkę. – W takim razie będziesz mi musiała wybaczyć.

Zacząła czytać. Wydawało się jej, że niemieckie słowa są jak piasek na języku, chrzęszczą i chroboczą za każdym razem, gdy tylko otwierała usta. Gubiła tempo i nie potrafiła naśladować intonacji, ale mimo to Henrietta wyglądała na ukontentowaną. Czasem krzywiła się, kiedy Marianna wyjątkowo paskudnie przekręciła dane słowo, lecz nie przestawała słuchać.

– Pani w szkole też wam czasami czyta? – zapytała po zakończeniu baśni.

Henrietta potaknęła głową. Marianna zapisała ją do podstawówki, aby zapewnić dziewczynce dobroczynny kontakt z rówieśnikami. Dyrektorka nieco się zjeżyła, słysząc, że Henrietta jest Niemką, jednak gdy lekarka wyjawiała swoje plany adopcyjne, przyjęła dziewczynkę bez mrugnięcia okiem. Początkowo inne dzieci naigrywały się z Henrietty, jednak wkrótce przekonały się, że mała niemowa zna mnóstwo kryjówek i potrafi wymyślić przednie zabawy, dlatego zaakceptowały ją. Od tej pory rozmawiały z nią tak jak z każdą inną osobą, potrafiły zinterpretować najmniejszą zmianę w jej mimice i przestały zwracać uwagę na kalectwo nowej koleżanki. „To tylko kwestia czasu” – powtarzali nauczyciele. – „Niedługo zaczniesz mówić, na razie się przyzwyczajaj, to dla niej nowy język, szok, musi się z tym oswoić”.

A Marianna wciąż czekała.

* * *

28 STYCZNIA 1947 R.

Pan Paliński złożył na pół gazetę z krzykliwym nagłówkiem: „Wielkie zwycięstwo Bloku Demokratycznego! Społeczeństwo ma dość kapitalizmu spod znaku SLD!” i ze złością rzucił ją na stolik. Siedzące tuż obok Marianna i Sulka wymieniły spojrzenia i niemal jednocześnie sięgnęły po filiżanki z herbatą. W milczeniu obserwowały, jak pan Paliński gwałtownie wstaje z fotela i zaczyna niespokojnie przechadzać się po salonie, mamrocząc pod nosem.

– Co oni sobie wyobrażają... Najpierw zabierają nasze ziemie, nasz cały dobytek... Wyżynają rodziny w pień... Alianci, gwarancja niezależnych wyborów haha... Czy ktokolwiek głosował na komunistów, ja pytam? Czy ktokolwiek oddał na nich głos?

Marianna odchrząknęła, przerywając monolog stryja. Widziała go już kiedyś w podobnym stanie i wiedziała, co może się wydarzyć.

– Teraz już nie ma żadnych wątpliwości – rzekła hardo. – Przegraliśmy naszą walkę o wolność.

– Jak łatwo ci to mówić! – zachnął się pan Paliński, spoglądając na bratanicę z dezaprobatą. – Szybko wyrzucasz z pamięci poświęcenie swojego ojca i brata, ciekawe tylko, czy potrafisz odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: co teraz?

– Dokładnie o to samo zapytałam ojca, gdy siedzieliśmy razem w celi – odrzekła Marianna. – I wiesz, co mi odpowiedział? Że mam przetrwać i dalej pomagać ludziom.

– Henryk zawsze był idealistą – powiedział pan Paliński, lecz w jego tonie nie pobrzmiwała już zajadłość. – Ja sam nie wiem, co robić. Urząd jest naszpikowany wszelkiej maści donosicielami i karierowiczami, którzy tylko czekają, żeby kogoś wygryźć. To tylko kwestia czasu, zanim dobiorą się do mnie, a w konsekwencji i do ciebie, Marianno.

Dziewczyna zamyśliła się. Przeszłość pokazała, że nie są w stanie ukryć swojego pochodzenia i wojennych doświadczeń, zatem powinni inaczej podejść do problemu. Nagle zaświtała jej w głowie pewna myśl. „Cóż, ja już wykonałam pierwszy krok, choć

wstyd z tego powodu będzie mnie palił do końca życia” – pomyślała.

– Może powinniśmy się dostosować – stwierdziła ostrożnie.

– Co masz na myśli? – zapytał pan Paliński, a jego brwi podjechały do góry. – Nie będę współpracować z komunistami. Nigdy!

Na twarzy Marianny pojawił się grymas zniesmaczenia.

– Tego niestety nie unikniemy, ale możemy posłużyć się przykładem literatów i reszty intelektualistów, by zrobić to w najmniej upokarzający dla nas sposób. Zamiast zapisywać się do PPR, można wybrać SD, wykazywać umiarkowane zainteresowanie tłoczoną w nasze uszy propagandą, brać udział w wiecach, nie ściągać na siebie podejrzeń. Powtarzać to, co inni – wyjaśniła.

– Dziecko! – zakrzyknął pan Paliński. – To czysta hipokryzja! Takie działanie wbrew sobie pociągnie za sobą tylko poczucie upokorzenia.

Marianna potrząsnęła głową.

– Nie masz racji. Dokładnie taką strategię stosowali nasi przodkowie wobec zaborców. W ten sposób zachowali życie – odparła z mocą.

– Życie w kłamstwie – upierał się pan Paliński.

– Życie w ukryciu – poprawiła go Sulka. – Bycie sobą tylko w zaufanym gronie.

– I zachowanie jakiegokolwiek wpływu na to, co się dzieje dookoła nas. Co się dzieje z nami – potwierdziła Marianna.

Pan Paliński ponownie usiadł w fotelu i oparł czoło o dłoń.

– Dorastałem za czasów monarchii austro-węgierskiej, ale wtedy nie wydawało mi się, że bycie Polakiem i jednocześnie poddanym cesarza stoi ze sobą w sprzeczności. Manipulowano nami, to oczywiste, ale było to dużo prostsze, dużo mniej perfidne... Pomyślę nad tym, co dzisiaj powiedziałyście, moje drogie, niemniej teraz proszę... zostawcie mnie samego.

Marianna skinęła głową. Wyszła z Sulką na korytarz, zamykając za sobą drzwi do salonu. Zerknęła na wiszący na ścianie zegar.

– Zaraz muszę wyjść – oznajmiła Sulce. – Zajmiesz sobie jakoś czas?

Młoda Kaszubka skinęła głową. Wyglądała na zamyśloną, jednak Marianna nie miała dziś ochoty na kolejne poważne rozmowy i opuściła dom przed czasem. Lekarz, którego zmieniała, ucieszył się, że przyszła wcześniej i pośpiesznie przekazał jej najważniejsze wiadomości.

– Ach, i ktoś zostawił dla ciebie karteczkę i bukietek kwiatów – powiedział.

– Pewnie podziękowanie od pacjenta – zbyła go Marianna. Lekarz zachichotał.

– Albo list miłosny. Nigdy nie wiesz, Palińska, nigdy nie wiesz.

Zbyła jego uwagę wzruszeniem ramion, niemniej gdy tylko opuścił gabinet, natychmiast podeszła do stojącego w butelce bukietu i wyciągnęła włożoną weń kartkę. Przez chwilę obracała ją w dłoniach, czując, jak jej serce drży. Nie chciała przedłużyć tej chwili niepewności. Dostrzegła ładne, kaligraficzne pismo.

Szanowna Pani!

Nie chciałbym wyjść na impertynenta, aczkolwiek byłbym zaszczycony, gdyby zechciała Pani mi jutro towarzyszyć na spacerze o godzinie 19 w parku Kasprowicza.

W.R.

Zwinęła karteczkę i wcisnęła do kieszeni fartucha.

* * *

Zerkała dyskretnie na zegarek na nadgarstku, mrużąc przy tym z niezadowolenia. Jej towarzysz spóźniał się już dziesięć minut, a pogoda na dworze nie zachęcała do spacerów. Marianna zaczęła przestępować z nogi na nogę, usiłując rozgrzać skostniałe

na mrozie kończyny. Rzuciła okiem na jezioro i na jej ustach pojawił się uśmiech. Była tu rok wcześniej z Gretą, tuż po zakończeniu swojej walki z uzależnieniem. Chęć sięgnięcia po narkotyków nie raz dokuczała Mariannie w ostatnich miesiącach, jednak jej postanowienie niewracania do morfiny było silniejsze.

Schyliła się po leżący na ziemi kamyk, a następnie poszła na skraj zbiornika i zamachnąwszy się, rzuciła nim płasko, prosto w tafelę wody. Odbił się dwukrotnie, po czym zatonął. Marianna zaklęła obelżywie. Puszczanie kaczek było specjalnością Ignacego, który nigdy nie podzielił się swoją techniką z młodszą siostrą.

– Też kobieta. – Usłyszała za swoimi plecami. – I mam wrażenie, że użyłaby kulturalniejszego określenia w takiej sytuacji.

Marianna odwróciła się i rzuciła Rozwadowskiemu wściekłe spojrzenie.

– Gdyby musiała tyle czekać na mrozie? – zakpiła. – Szczerze wątpię.

Postawiła duży krok do góry, jednak jej noga ześlizgnęła się i niemalże wpadła do wody. Nauczyciel stłumił parsknięcie śmiechu, co jeszcze bardziej rozjuszyło Mariannę. Wyciągnął do niej rękę, jednak lekarka poradziła sobie bez jego pomocy.

– Ach, ta godna księżnej duma – skomentował Rozwadowski, opuszczając dłoń. – Pani to potrafi człowieka zimno potraktować.

Marianna wybuchła śmiechem, myśląc o kontekście całej tej sytuacji.

– Cóż, sądziłam, że pan zrezygnował – przyznała, nie ukrywając wesołości.

– Nie taki był plan – przyznał nauczyciel. – Zagrzebałem się w pracy i nie zauważyłem upływu czasu, stąd spóźnienie. Czy mimo to dalej masz ochotę na spacer?

Marianna odnotowała samowolne przejście na „ty”, jednak tego nie skomentowała, a jedynie skinęła łaskawie głową. Ruszyli wzdłuż brzegu jeziora, w stronę prostej bryły kościoła rysującej się na skraju parku.

– Jest dziś wyjątkowo zimno – zauważył nauczyciel.

Szli ramię w ramię, oboje wepchnęli dłonie do kieszeni płaszczy, chroniąc je przed zimnem. Lekarka przewróciła oczami.

– Drogi są zasypane, jedzenie drogie, a chamstwo wśród młodzieży się szerzy. A dookoła zamarza woda – odparła, sypiąc frazesami. – Liczyłam na inteligentną rozmowę – dodała, spoglądając na Rozwadowskiego.

– A ja na miłe towarzystwo – odgryzł się. – A tymczasem zastałem zbuntowaną młodą kobietę.

– Powinieneś już mieć z nimi doświadczenie, w końcu pracujesz z licealistkami – zripostowała Marianna.

– Odważnie sobie poczynasz jak na pannę z dobrego domu – stwierdził Rozwadowski.

– Jeśli mamy kontynuować tę znajomość, musisz wiedzieć dwie rzeczy: żadna ze mnie panna, a dom, dobry czy też zły, dawno zostawiłam za sobą, we Lwowie.

Przystanęli na chwilę, przyglądając się japońskiemu mostkowi, z ruinami małych budek po bokach.

– To dobrze – stwierdził wreszcie Rozwadowski, po dłuższej chwili milczenia. – Sam nie jestem święty i nie wymagam świętości od innych.

– Czego zatem wymagasz? – zapytała Marianna.

Rozwadowski wzruszył ramionami.

– Tego, co wszyscy: dobrego towarzystwa, przyjemności i ucieczki od otaczającej nas szarej rzeczywistości – odparł.

– Ludzie nazywają to hedonizmem – zauważyła.

– Tak, pod warunkiem, że nie przekroczą trzydziestki – odrzekł Rozwadowski. – Jestem to w stanie zrozumieć, młodość rządzi się swoimi prawami i pozwala na życie „ideał”. Też to przeżyłem, ale definitywnie preferuję bycie dojrzałym hedonistą.

Doszli na skraj parku i przed nimi rozpościerała się dzielnica Niebuszewo, zamieszkała jeszcze w dużej mierze przez Niemców. Marianna poczuła znużenie spotęgowane przenikającym ją zimnem. Zwróciła się do Rozwadowskiego:

– Czy możemy zawrócić? Nie czuję się najlepiej.

Mężczyzna rzucił lekarce zaskoczone spojrzenie.

– Już? – zapytał. – Właśnie miałem zaproponować obiad w pobliskiej restauracji, ale jeśli nie czujesz się na siłach... byłem zbyt bezpośredni? – zapytał nagle. – Wystraszyłem cię.

Marianna potrząsnęła głową. Nie chciała wdawać się w dyskusję dotyczącą swojego stanu zdrowia, a jednocześnie wiedziała, że Rozwadowski nie przyjmie zwykłej wymówki.

– To akurat doceniam – odparła i dotknęła ręką czoło. – Chodzi o to, że czasem dopada mnie pewna słabość i muszę się wtedy położyć.

– Twoja noga, nieprawdaż? – dopytał Rozwadowski. – Zauważyłem to już wcześniej, ale uznałem za jakieś stłuczenie, chociaż może nie miałem racji – oznajmił, na wpół stwierdzając fakt, na wpół pytając.

Marianna przymknęła oczy. I jak zwykle wszystko sprowadza się do jej kalectwa. Miała już dość pytań o nogę, o obóz, o to, jak przetrwała i czy czasem śni, że jest tam z powrotem. „Stój, on tego nie wie” – odpowiedział jej głos rozsądku. – „Nie wyładowuj na nim swojej frustracji”.

– Moja noga została poważnie uszkodzona w obozie i od tego czasu mam z nią stale problemy – odparła i uśmiechnęła się ponuro. – Co nie czyni mnie ani żywotnym, ani interesującym towarzyszem, dlatego myślę, że nasza znajomość nie ma sensu.

Rozwadowski cicho zagwizdał.

– Łał – rzekł swoim ironicznym tonem. – Szybko przeskakujesz do konkluzji, zwłaszcza jeśli chodzi o opinię innych ludzi na twój temat. Szkoda tylko, że to absolutna bzdura. Widzę dwie opcje: mogę cię odprowadzić do domu, gdzie będziesz użalać się nad sobą, albo mogę ci pomóc dojść do restauracji, gdzie spędzisz czas na czymś innym niż kontemplowanie własnego kalectwa.

Marianna odpowiedziała mu wściekłym spojrzeniem. „Dlaczego ten człowiek wywołuje we mnie tak skrajne emocje?” – pomyślała.

– „Jedno muszę mu przyznać, potrafi uderzyć w czuły punkt. W moim przypadku jest to duma”.

– Sama tam dojdę – chciała odpowiedzieć miło, a wyszło groźnie.

Nauczyciel wyszczerzył zęby. „Nie myśl sobie, że potrafisz mną manipulować” – miała mu ochotę powiedzieć Marianna. „Ani przez moment mnie nie zauroczyłeś”.

– I tak cię złapię, jeśli upadniesz – powiedział.

– Nie upadnę – burknęła pod nosem.

Zaszli na ulicę Wilsona do Kresowianki, baru-dancingu znanego głównie ze swojego bogatego zaopatrzenia i całodobowej orkiestry. W środku kilka stolików było jeszcze wolnych. Rozwadowski, ku irytacji Marianny, wybrał miejsce w najwidoczniejszym rejonie sali i zaczął z zaciekawieniem studiować kartę dań.

– Co polecasz? – zapytał.

– Przepraszam? – odparła pytaniem na pytanie.

– Kuchnia kresowa to bardziej twoje rejony niż moje. Ja wywodzę się ze świętokrzyskiego – rzekł nauczyciel.

Marianna przyjrzała się oferowanym daniom.

– Nie wiem, jak tu przyrządzają potrawy, ale wszystko wygląda dobrze – odparła. – Ale też nie jestem ekspertem, gotuję tak, jak mnie nauczono. Ech, wiesz o mnie dużo, a ja o tobie nic, i to mnie drażni – zmieniła temat.

– Wystarczy zapytać – stwierdził Rozwadowski.

Marianna jęknęła w duchu. Interesowanie się ludźmi i podtrzymywanie znajomości z nimi nie było jej mocną stroną.

– Co robiłeś przed wojną? – Było to pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy.

Rozwadowski zamrugał szybko oczyma.

– Pracowałem w PZL-u w Mielcu, wcześniej siedziałem w Wilnie, robiłem doktorat z matematyki. Proponowano mi posadę na uczelni, ale wolałem przekuwać teorię w praktykę, niż wymyślać nowe rozwiązania dla abstrakcyjnych problemów, więc wybrałem przemysł. Te niecałe dwa lata były najlepszym czasem w moim życiu, wtedy też poznałem moją żonę – odparł. – Zmarła

w trakcie okupacji – dodał szybko, widząc pytające spojrzenie Marianny. – Wraz z moim dwuletnim synem.

– Przykro mi – powiedziała lekarka.

Rozwadowski pochylił głowę na chwilę, jakby nad czymś intensywnie myślał, po czym po chwili ją podniósł, a w kącikach oczu mężczyzny Marianna dostrzegła łzy. Odwróciła dyskretnie wzrok, dając towarzyszowi chwilę na dojście do siebie.

– Potem – wznowił opowieść – straciłem wiarę w to, co robię, w sens biernego oporu, tych małych akcji sabotażowych, które miały wyrządzać wrogowi szkodę na froncie. Wiedziałem, że one działają, jednak po utracie rodziny chciałem zadać Niemcom osobiście ból, móc zobaczyć rezultaty moich działań. Taka okazja nadarzyła się, gdy front przetaczał się przez miejscowość, w której wówczas przebywałem. LWP potrzebowało oficera z wykształceniem technicznym, ja potrzebowałem drogi ucieczki, ujścia dla swoich emocji. – Zamilknął i spojrzał Mariannie prosto oczy. – Przez pół roku chłonałem wydarzenia dookoła mnie, byłem jednością z całą tą wściekłą machiną wojenną pracującą na zachód, zarówno w złych, jak i w dobrych aspektach. Czy to było wyzwalanie naszych wiosek czy zdobywanie niemieckich i zemsta na ich mieszkańcach... Brałem w tym udział aż do samego końca.

Dłoń Marianny mimowolnie zacisnęła się w pięść. Nazbyt dobrze pamiętała historię Greta po zdobyciu Szczecina, by mogła uniknąć graficznych wyobrażeń na temat działalności oddziału Rozwadowskiego. Jednak zaraz po tym przyszło opamiętanie i świadomość nienawiści, jaką w sobie nosiła jeszcze we Lwowie, a która osiągnęła szczyt na Pawiaku, gdy ją torturowano... Nie, Marianna nie czuła się na siłach, by oceniać nauczyciela.

– Opamiętanie przyszło później, kiedy już wróciłem do kraju i przekonałem się, że przemoc tak bardzo przeniknęła do mojego życia, że mam problem ze stworzeniem jakiegokolwiek silnej relacji z drugą osobą – skończył, ścisząc głos i rozglądając się niepewnie po sali.

„Po raz pierwszy czegoś się boi” – odnotowała Marianna.

– Mimo to zaprosiłeś mnie tutaj – rzekła powoli, kontemplując jeszcze słowa Rozwadowskiego.

Na usta nauczyciela wystąpił blady uśmiech.

– Może to dziwnie zabrzmiało, ale wyglądasz na osobę, która mogłaby mnie zrozumieć – odparł.

Szczerść Rozwadowskiego niemal popchnęła Mariannę do opowiedzenia mu o sobie, o swoich bólach i tułaczce po powrocie do kraju, jednak jakaś niewidzialna siła powstrzymała ją przed tym. Na powierzchnię świadomości lekarki wypłynął obraz doktora Duchlińskiego. Po zdarzeniach w Gdańsku stała się nieufna wobec mężczyzn.

– Jestem to w stanie zrozumieć, a nawet zaakceptować, ale nie wiem, jak nasze pokolenie wytłumaczy swoje doświadczenia własnym dzieciom. Boję się, że dla następnych generacji będziemy skrzywionymi psychicznie potworami, a nasze motywacje i postawy zostaną sprowadzone do prostych kategorii: zły albo dobry – odparła.

– Już są – wtrącił cicho Rozwadowski. – Popatrz na to, co się wokół nas dzieje, na... – urwał w pół słowa, ponieważ Marianna delikatnie kopnęła go w nogę. Po ojcu była szczególnie wyczulona na to, co i gdzie mówi.

– Możemy ze sobą rozmawiać – powiedziała. – Na razie nie mam panu nic więcej do zaoferowania.

W oczach Rozwadowskiego pojawił się błysk.

– Nie pozwolisz sobie na odrobinę szaleństwa? – zapytał przewrotnie.

Marianna potrząsnęła głową.

– Mój limit szaleństwa na jedno życie został wyczerpany, ale jak to mówią: po obłędzie przychodzi rozwaga – odrzekła, wychylając się w bok. – Zastanawiam się też, gdzie jest nasze jędrzenie.

– Jak na rozsądną osobę jesteś zbyt niecierpliwa – dogryzł jej.

– Nie powiedziałabym. Dobra dyskusja wzmacnia apetyt – odparła.

Atmosfera rozluźniła się nieco i zaczęli rozmawiać na mniej poważne tematy, docinając sobie wzajemnie i wymieniając się anegdotami. Bezpośredniość i poczucie humoru Rozwadowskiego przypadły panie Palińskiej do gustu i nieświadomie zaczęła analizować również i inne przymioty nauczyciela. Wydawało jej się, że podobne zainteresowanie dostrzega również w oczach Wiktora i było to miłe przeczucie. Oboje uznali wspólnie spędzony wieczór za udany, toteż Mariannie było żal opuszczać Kresowiankę i wracać do domu.

„To może być ciekawa znajomość” – pomyślała, kładąc się spać.

* * *

Marianna starannie złożyła list na cztery, wsunęła do koperty i zaadresowała do Heleny. Aktorka niespodziewanie odezwała się do niej pod koniec stycznia z prośbą o kontakt i choć lekarka wciąż miała żal do swojej dawnej współlokatorki, ciekawość zwyciężyła i nakreśliła dość ogólną wiadomość zwrotną. Zerknęła na zegarek i nerwowo podskoczyła.

Wieczorem szła z Rozwadowskim do teatru i miała zaledwie piętnaście minut, żeby się wyszykować. Chaotycznie zaczęła zdejmować wałki z włosów i rozczesywać je, aż uzyskała pożądaną, nieco napuszoną fryzurę. Pospiesznie zrzuciła szarą domową sukienkę i ostrożnie naciągnęła na nogi swoje jedyne dobre pończochy. Sięgnęła po przygotowaną wcześniej kreację, która w istocie była przerobioną suknią z zeszłego roku i wsunęła stopy w lakierowane pantofle. Musiała jeszcze wykonać makijaż. Marianna otwierała co rusz kolejną szufladę, przerzucając przy okazji zalegające w nich papiery, aż wreszcie znalazła okrągłe puzderko z pudrem i starą szminkę.

– Szlag by to! – wrzasnęła, gdy pudełko wyślizgnęło się jej z dłoni i upadło na wykładzinę, otwierając się przy tym i rozsypując dookoła całą zawartość. Wzięła głęboki wdech i machnęła na to ręką, obiecując sobie, że posprząta następnego dnia i sięgnęła po szminkę. Ta niestety okazała się zbyt sucha, przez co nie mogła jej rozsmarować na ustach. Marianna starła

resztę kosmetyku wierzchem dłoni z warg i spojrzała, wściekła, na swoje odbicie w lustrze. „Worki pod oczami, normalnie, po dyżurze” – pomyślała, dokonując pobieżnej inspekcji. – „Skóra w porządku, nie świeci się, naczynka są ledwo, ledwo widoczne. Najgorzej jest z czołem” – pomyślała i zmarszczyła brwi, przywołując tym brzydką, pionową zmarszczkę ciągnącą się od linii oczu aż po same czoło. Rozluźniła mięśnie i kreska zniknęła, choć Marianna mogłaby przysiąc, że jej drobny zarys dla uważnego obserwatora pozostał widoczny. „Szczęśliwie jest wieczór, a sztuczne światło przekłamuje i rozmazuje rysy” – powtórzyła stwierdzenie stryjenki i wyszła z pokoju. Zajrzała na chwilę do salonu i gabinetu stryja, jednak nigdzie nie znalazła śladu obecności pana Palińskiego. „Dziwne” – przemknęło jej przez myśl. – „Stryj nigdy nie spędza w pracy tyle czasu. Może powinnam do niego zajrzeć?”. Jednak czas naglił, a ona spodziewała się lada chwila gościa.

Wreszcie rozległo się energiczne pukanie do drzwi, lecz nie był to Rozwadowski, a Kępczyński, asystent stryja.

– Pani Marianno – mówił szybko, łapiąc łapczywie oddech, jakby biegł. – Znaleźliśmy pani stryja nieprzytomnego w gabinecie... Lekarz jest już w drodze, ale pewnie zechciałaby pani...

Marianna skinęła głową, narzuciła płaszcz na ramiona i podążyła za Kępczyńskim. Po drodze minęła Rozwadowskiego, który się do niej przyłączył.

– Pilne wezwanie. Do mojego stryja – rzuciła zdawkowo.

Nie odpowiedział, jednak po chwili Marianna poczuła, jak delikatnie chwyta ją za rękę. Zacisnęła palce na jego dłoni. Szli dalej. Kępczyński wpuścił ich jednym z bocznych wejść i po chwili lawirowali korytarzami urzędu. Światła w większości gabinetów już pogaszono, a po drodze nie napotkali żywej duszy. Wreszcie trafili do przestronnego pokoju. Na kanapie leżał pan Paliński, już przytomny, obok niego na stołku siedział lekarz i coś mu tłumaczył.

– Kępczyński, nie trzeba było angażować mojej bratanicy – zrugął młodzieńca pan Paliński słabym głosem.

– Proszę się tak nie unosić – uspokoił go lekarz. – Nie powinien pan się teraz denerwować. Niech pan jeszcze poleży, napije się wody, a tymczasem porozmawiam z państwem.

Stryj zamruczał coś niewyraźnie, ale nie odważył się złamać nakazu lekarza. Medyk skinął na Mariannę i Rozwadowskiego. Wyszli na korytarz.

– Dobrze, że jego asystent go znalazł – powiedział. – Inaczej sprawy mogłyby się potoczyć inaczej.

– Czy jest pan w stanie powiedzieć, co to mogło być? – zapytała nerwowo Marianna.

– Bez dokładniejszych badań nie można orzec nic na pewno, ale moim zdaniem nie dolega mu nic poważnego, co nie oznacza, że nie powinna się pani niepokoić – odparł lekarz. – Pani stryj jest stary i osłabiony, wzmożony wysiłek, nerwy oraz nieustanna rywalizacja mu nie służą. Przede wszystkim powinien porządnie wypocząć, najlepiej gdzieś wyjechać.

Marianna skinęła głową. Widziała zmęczenie pana Palińskiego już wcześniej, jednak nie drażyła tematu, wiedząc, że mężczyzna z irytacją wszystkiego się wyprze. Zachowywał się w podobny sposób i przed wojną, aczkolwiek wtedy był młodszy, pełen energii.

– Dopilnuję tego – powiedziała.

Lekarz wrócił do pokoju, a Marianna oparła się plecami o ścianę i ukryła twarz w dłoniach. Czuła, że Rozwadowski stoi tuż obok niej i czeka, aż coś powie.

– Przez chwilę wyobraziłam sobie, że mógłby odejść i aż się ziemia pode mną rozstała. Odniosłam wrażenie, jakby wszystko się kończyło. – Opuściła dłonie i spojrzała na nauczyciela. – A nie mam już siły, żeby zaczynać kolejny raz od nowa.

Rozwadowski stanął obok Marianny tak blisko, że mogła wyczuć emanujące od niego ciepło.

– Wiem, o czym mówisz. Sam wciąż się zastanawiam, czy jest sens się podnosić, skoro wszystko dookoła bywa tak niepewne – odparł.

Marianna zaśmiała się smutno.

– Spójrz na nas, niby jeszcze młodzi, a zachowujemy się jak starcy, którzy przeżyli swoich rówieśników i większość członków rodziny – zauważyła.

– Bo tak właśnie było – rzekł Rozwadowski. – Tylko starcy doświadczają tego stopniowo, a u nas przebiegło to gwałtownie. Raptem kilka miesięcy i nagle znajdujesz się w sytuacji, w której nie jesteś nikomu potrzebny. Nikt nie zna twojego imienia, stajesz się workiem mięsa, tak jak bezimienny człowiek obok ciebie. Straszne uczucie – wyznał i zerknął na Mariannę.

Lekarka delikatnie musnęła koniuszkami palców jego dłoń.

– Wiktor – powiedziała, podnosząc wzrok. – Ja ciebie potrzebuję.

– Potrzebujemy siebie nawzajem – sprostował. – Wiesz jednak, że nie będzie łatwo, z naszymi charakterami i przeżyciami? Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy zaczęli się po pewnym czasie nienawidzić. Czy mimo to chcesz próbować?

– Cóż – odparła Marianna. – Oboje jesteśmy inteligentnymi ludźmi, więc powinniśmy znaleźć sposób, by sobie z tym poradzić.

Rozwadowski stłumił śmiech.

– Właśnie zabiłaś nasz pierwszy „romantyczny” moment – oznajmił.

– Tylko dlatego, że zmierzaliśmy w stronę tandetnego romansu, a tym od zawsze pogardzałam – odgryzła się.

Z gabinetu pana Palińskiego wyłonił się jego zastępca i lekarz.

– Możecie państwo zabrać już pacjenta do domu – oznajmił doktor. – Ale powoli, bez nadmiernego pośpiechu. I proszę pomyśleć o dłuższym wypoczynku dla stryja – przypomniał Mariannie.

– Czy poradzą sobie państwo, czy może powinienem pomóc? – zapytał asystent, patrząc to na Rozwadowskiego, to na lekarkę.

„Musi darzyć stryja naprawdę dużym szacunkiem” – zauważyła w duchu. – „W niczym nie przypomina młodych karierowiczów, na których tyle się narzeka, bardziej przypomina mi dawnych praktykantów, posłusznych i nadmiernie grzecznych. Chociaż oni tak naprawdę wcale tacy nie byli, jak się ich już dobrze poznało” – skonstatowała.

– Myślę, że sobie poradzimy, ale dziękujemy. – Rozwadowski uprzedził ją z odpowiedzią.

Asystent skinął głową i wyszedł wraz z lekarzem. Marianna i Wiktor weszli do gabinetu. Pan Paliński siedział na sofie, ubrany w płaszcz, z kapeluszem na głowie.

– Czy naprawdę musi mi się coś stać, żebyś przedstawiła mi wreszcie swojego hmm... adoratora? – spytał zgryźliwie stryj. – Mówię panu, niech pan uważa, ta dziewczyna robi, co chce!

– Wie pan, intelektualistka – podchwycił Wiktor, rzucając Mariannie prowokacyjne spojrzenie. Nauczyciel pomógł panu Palińskiego wstać i powoli ruszyli długim korytarzem do wyjścia.

– Istotnie, do czego to doszło – stwierdził stryj.

Idąca za nimi Marianna wywróciła oczami. „Tak, na pewno usłyszę więcej cudownych dialogów w podobnym stylu” – pomyślała, choć ta perspektywa zdawała się jej nie drażnić tak jak dawniej. Nim opuścił dom Palińskich, Rozwadowski wsunął Mariannie do kieszeni grubą kopertę. Nocą, gdy dziewczyna, już przebrana w koszulę nocną, usiadła przy swoim biurku i wyciągnęła z niej plik kartek, skrupulatnie złożony na cztery części. Rozłożyła je i wygładziła dłonią. Napis na pierwszej stronie głosił:

Do twojej kolekcji historii. I żebyś wiedziała.

* * *

OPOWIEŚĆ WIKTORA

13 LIPCA 1943 R.

Wiktor towarzyszył szwagierce w wyprawie po ziemniaki. Gospodarstwo teściów ograniczało się do przydomowego ogródka i wąskiego pasma ziemi tuż przy granicy lasu, więc żywność

trzeba było zdobywać na różne sposoby, nawet jeśli oznaczało to wędrówkę aż do Wzdolów. W teorii był to trzygodzinny spacer, lecz Zofia co rusz zatrzymywała się, by z kimś porozmawiać lub powymieniać uprzejmości, doprowadzając tym Wiktora do szewskiej pasji. „Musisz się przestawić na ich sposób widzenia, dla nich najważniejsze są stosunki z rodziną i sąsiadami. Na wsi czas płynie inaczej, jest bardziej cykliczny, giętki” – w głowie mężczyzny rozbrzmiały słowa żony. Zacisnął zęby i poczekał, aż Zofia skończy rozmawiać z kolejną osobą i będą mogli ruszyć w drogę.

– Pójdziemy na skróty – oznajmiła szwagierka i ruszyła dziarsko przed siebie, delikatnie podnosząc spódnicę, gdy przechodziła przez błoto. Na nogach miała wysłużone kamaszki o licówkach cienkich jak kawałek kartonu.

Dawniej Wiktor myślał, że jego Aurelia wstydzi się swojej rodziny. Teraz pojął, że bardziej kierowało nią łagodne zubożenie, tak często zrodzone przez świadomość własnej odrębności. Była najstarszą i najzdolniejszą córką, jej rodzice przeznaczali oszczędności życia, byleby ją wykształcić i wysłać w świat, ona zaś wypełniła pokładane w niej nadzieje. Nim się poznali, pracowała jako sekretarka, wspomagając rodzinę finansowo i odwiedzając ją w święta. Jednak z każdą kolejną wizytą rozdźwięk między krainą jej dzieciństwa a światem, w którym obecnie żyła, był coraz większy, a lista wspólnych tematów coraz krótsza. Aurelia co prawda nie wywyższała się, a jedynie zaczęła widzieć coś, z czym już nie potrafiła się zidentyfikować. Gdy wyszła za Wiktora i na świat przyszedł ich syn, sprawy się nieco skomplikowały. Oczywiście nadal wspierała rodziców, lecz trudniej jej było znaleźć motywację do odwiedzin, a gdy już przyjeżdżała, to wyglądała na bardziej zagubioną od męża. „A oni to widzieli i upatrywali w tym mojej winy” – pomyślał Wiktor. – „Aż do momentu, w którym Aurelia uznała, że będzie bezpieczniejsza tutaj niż w Rzeszowie”.

Odegnął od siebie niewesołe rozmyślania i skupił się na drodze. Szli przez las skrótami znanymi tylko przez mieszkańców okolicznych wiosek, praktycznie się do siebie nie odzywając. Czasem Zofia przystawała przy jakimś krzaku z jeżynami, by zbierać je do kosza. Runo leśne można było sprzedać albo wykorzystać do urozmaicenia diety, szczególnie tej dziecięcej. Poza tymi krótkimi momentami szybko przesuwali się do przodu, zupełnie jakby coś ich goniło. Nic nie zwiastowało burzy, lecz mieli wrażenie, że z coraz większym trudem łapią kolejny oddech, a przestrzeń dookoła nich jest naładowana nerwowym oczekiwaniem. Niespodziewanie, w oddali rozległy się strzały. Przerazona Zofia padła na ziemię. Powietrze przeszła kolejna seria, po czym zapanowała na chwilę cisza, którą przerwała następna wymiana ognia. Wiktor pomógł szwagierce się podnieść i pociągnął ją za rękę.

– Chodź, musimy iść dalej – powiedział.

Spojrzała na niego ufnie i skinęła głową. Brnęli przed siebie, ignorując odgłosy wystrzałów. Potem wtopiły się one w szum lasu. Dotarli do Wzdolów, gdzie Zofia nabyła worek ziemniaków. Porozmawiała jeszcze przez chwilę z gospodarzem i wyruszyli w drogę powrotną. Zboczyli nieumyślnie z trasy i przechodzili nieopodal jednej z pobliskich wiosek, gdy nagle zauważyli chodzące wolno zwierzęta gospodarskie. Kury i cielaki opanowały drogi, a co śmielsze zaglądały do lasu. Wiktor i Aurelia postanowili sprawdzić, co się stało.

W wiosce nie było żywego ducha. Domy zostały spalone, zachowała się jedynie murowana obora i jeden budynek, położony na skraju lasu. Panowała nienaturalna cisza. Wiktor szedł z przodu, stawiając uważnie kroki.

– Mój Boże... – wyrwało się Zofii.

Wiktor też to zobaczył. W zgliszczach domów poniewierały się ludzkie szczątki.

* * *

– Nikogo nie oszczędzili, nawet ósmiodniowego niemowlęcia! – ryknął teść, uderzając pięścią w stół. – To są zwierzęta!

W domu rodzinnym Aurelii panowała ponura atmosfera. Pośród ofiar znajdowali się również jej dalecy krewni i znajomi, a kolejne dni nie przyniosły wiele lepszych wieści, bowiem na tych, którzy zdołali się wymknąć, Niemcy urządzili nagonkę. Co jakiś czas słyszało się tylko, że takiego a takiego schwytali podczas próby ukrycia się i zaraz rozstrzelali. Wiktor czuł narastający gniew, który jednak był skutecznie tłumiony przez paraliżujący go strach. Otóż, od kiedy wrócił z tamtej miejscowości, zaczął wszędzie widzieć bezładnie rozrzucone ciała. To uczucie nie pozwalało mu się skupić na rozmowach i sprawiało, że każda noc była rozpaczliwą walką o odrobinę snu. Czuł, że dłużej tak nie wytrzyma, że nie może siedzieć beczynnym i patrzeć, jak dni przeciekają mu przez palce. Potrzebował swojej rutyny.

– W przyszłym tygodniu wracam do Rzeszowa – oznajmił Aurelii, gdy szykowali się do snu.

Kobieta drgnęła nieznacznie, lecz po chwili skinęła głową.

– Nosi cię – odparła. – Widziałam to w twoich oczach.

Zapadła niezręczna cisza.

– Odwiedzę was, jak tylko będę mógł – rzekł Wiktor.

– Jak znajdziesz czas i okoliczności będą sprzyjające – dopowiedziała Aurelia.

– Tak – skostatował Wiktor, opuszczając głowę. „Od kiedy zaczęliśmy być wobec siebie nieszczerzy?” – pomyślał, patrząc na swoją małżonkę. Nie wyczytał nic z jej twarzy. „To ta cholerna okupacja i wszystkie drobne ustępstwa, które musieliśmy poczynić, zwyczajnie przyzwyczailiśmy się do ukrywania swoich zamiarów” – zauważył.

Życzyli sobie dobrej nocy i położyli się spać, każde skulone przy swojej krawędzi łóżka. Tamtej nocy Wiktor znów nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok. Po jakimś czasie poczuł parcie na pęcherz, narzucił płaszcz na koszulę nocną i poszedł na dół, bacząc na skrzypiące deski w podłodze. Otworzył drzwi wejściowe

i udał się do wychodka. W drodze powrotnej, spostrzegł, że w kuchni przez chwilę błysnęło światło. Zaniepokojony, wrócił do domu i zdecydowanym krokiem wkroczył do pomieszczenia, by natknąć się na mężczyznę, który mierzył do niego z pistoletu.

– Zostaw go, Janek, to mój zięć. – Usłyszał głos teścia. Mężczyzna odsunął się i Wiktor zobaczył, że w kuchni siedzi jeszcze dwóch nieznanomych oraz rodzice Aurelii. Na stole leżał pokrojony chleb i zupa z brukwi.

– Może z nami usiądziesz? – zaproponował najstarszy z nieznanomych. Był ubrany w znoszoną kurtkę. – Mógłbyś się przydać.

– Nie, on wraca w przyszłym tygodniu do siebie, do Rzeszowa – wtrącił teść.

Nieznanomy pokiwał wolno głową, nie spuszczając wzroku z Wiktora.

– Ach, może to i lepiej – skwitował.

– Wrócę na górę – oznajmił Wiktor i skinął mężczyznom głową.

Następnego dnia, gdy kobiety rozeszły się po gospodarstwie, zatrzymał teścia w kuchni i zapytał:

– Czy oni byli tym, kim myślę?

– Tak – potwierdził ojciec Aurelii.

Wiktor wziął głęboki wdech.

– I nie przyszli tu pierwszy raz, prawda? – dopytał.

Teść nie odpowiedział.

– Musisz przestać. Dla dobra Aurelii, Zysia i Zofii. Dla całej rodziny – powiedział Wiktor. – Pomagając im, narażasz swoich bliskich na niebezpieczeństwo.

– Och, bo z tobą byliby dużo bezpieczniejsi, synu? Ochroniłbyś ich tak, jak chroniłeś ich jeszcze w Rzeszowie? – zapytał teść i widząc, że zięć nie ma kontrargumentów, kontynuował: – Widzisz, w przeciwieństwie do ciebie nie zamierzam pokornie znosić wszystkiego, co nam hitlerowcy zgotują. Możesz jednak zabrać żonę i syna ze sobą.

Usta Wiktora zacisnęły się wąską kreską. Pamiętał ten dzień, gdy Aurelię zatrzymało Gestapo i jak wszelkie próby wykupienia jej z aresztu spaliły na panewce. W końcu ją wypuszczono, choć nikt do końca nie wiedział z jakiego powodu. Wróciła bez widocznego uszczerbku na zdrowiu, bez większych ran i okaleczeń wskazujących na brutalne przesłuchanie, udając, że wszystko jest jak dawniej. Tego Wiktor nie mógł najbardziej znieść.

– Przywiozłem ich do was, bo liczyłem, że będą tutaj bezpieczni – powiedział.

– Są bezpieczni – odparł spokojnie teść. – Na tyle, na ile w dzisiejszych czasach można być bezpiecznym.

Nie uspokoiło to Wiktora, ale też nie zmieniło jego decyzji. Na początku następnego tygodnia pożegnał się z rodziną i ruszył w drogę powrotną do Rzeszowa.

* * *

– Zosia! – krzyknął zaskoczony, widząc siedzącą na schodach szwagierkę. Wyglądała na zmordowaną, miała wyraźne cienie pod oczami i niezdrowy odcień skóry wskazujący na nadmierny wysiłek. – Gdybym wiedział o twoim przyjeździe, uprzedziłbym sąsiadów – gadał, odwlekając moment, w którym Zofia mogła odpowiedzieć.

– Jestem zmęczona po długiej podróży – odparła. Jej głos był lekko ochrypły.

– Ależ oczywiście, chodź, odświeżysz się, a ja zrobię coś do jedzenia. – Wiktor ocknął się z letargu i otworzył drzwi do mieszkania.

Drżącymi dłońmi nastawił wodę na herbatę i zaczął przygotowywać kanapki. Większość posiłków spożywał w stołówce zakładowej i w domu trzymał jedynie podstawowe artykuły spożywcze, ale Zofia zdawała się nie zwracać na to uwagi. Jadła i piła w milczeniu, ze spojrzeniem wbitym w blat stołu. Wiktor nie odzywał się i usiłował nie patrzeć w stronę szwagierki.

– Mogę sprowadzić na ciebie kłopoty – przerwała w końcu milczenie. Unikała kontaktu wzrokowego i jakby zapadła się

w sobie. – Boże... – jęknęła i zaczęła szlochać.

Wiktor drgnął, po czym odruchowo sięgnął po dłoń dziewczyny i mocno ją ścisnął.

– Nie... nie wiedziałam, że to się tak skończy – powiedziała. – Kazali mi przygotować opaski, to przygotowałam, ojciec pomógł mi je ukryć w wózku i zawiozłam je do nich, do lasu...

– Zosiu – zapytał łagodnie Wiktor. – Co się stało?

– Ktoś musiał sypnąć, bo następnego dnia ojczulka zabrali i potem dostaliśmy tylko pismo, że dokonano egzekucji – odparła Zofia, szeroko otwierając oczy. – I wtedy wrócili po resztę. Zabrali wszystkich: mamę, Aurelię, Zysia i ciotkę Kornelię. Ja byłam wtedy w Bodzentynie, u stryja.

– Gdzie ich zabrali, Zosiu? – Wiktor zacisnął mocniej dłoń.

– Do obozu – odparła i spojrzała na szwagra wzrokiem pełnym rozpacz. – A to wszystko przeze mnie.

Wiktor puścił dłoń szwagierki i pokręcił głową.

– Ty, dzieciaku, jesteś tutaj najmniej winna – powiedział. – Największa odpowiedzialność spoczywa na mnie i na twoim zmarłym ojcu. – Wiktor wstał od stołu i podszedł do okna. Na zewnątrz panował półmrok, a ulice były opustoszałe. – Żaden z nas nie dotrzymał swojej obietnicy.

– Mam to... – Odwrócił się, słysząc głos Zofii.

Dziewczyna stała pół metra od niego, a w dłoni trzymała wymiętą i poplamioną kopertę. Wiktor wziął ją i poczuł, jak przez jego ciało przebiega dreszcz. W środku znalazł krótką wiadomość, zaadresowaną do stryja Aurelii:

*Drogi stryju,
pragnę Ci donieść, że dojechaliśmy do obozu cali i zdrowi.
Traktują nas dobrze, dostajemy obfite posiłki. Cieszymy się
ostatnimi promieniami letniego słońca.*

Pozdrawiam,

Aurelia

Zerknął na szwagierkę. Zofia patrzyła na niego ufnie, tak jak niegdyś jego żona, pełna wiary, że otrzymana wiadomość jest prawdziwa. Wiktor nie miał serca podważać tego przekonania. Czasem utwierdzenie kogoś w wygodnym kłamstwie jest dokładnie tym, czego ta osoba akurat potrzebuje.

– Przynajmniej wiemy, że żyją – powiedział.

– Przynajmniej wiemy, że żyją – potwierdziła Zofia.

* * *

Wiktor patrzył niczym zahipnotyzowany na otrzymane rano zawiadomienie od komendanta obozu. Jako przyczynę zgonu Aurelii i Zysia podano chorobę. Od momentu przybycia Zosi chodził jak we śnie, niejako przygotowując się na ten moment, lecz gdy już nadszedł, poczuł się całkowicie bezradny. „Czyli wszystko skończone, całe moje dotychczasowe życie” – pomyślał. To była ta nierealistyczna część, uzmysłowienie sobie, że rzeczy, które brał za pewnik, przestały być prawdą. Chciał płakać i pomstować do nieba, jednak nie mógł się zdobyć na żadną reakcję poza kompletnym zamrożeniem, odcięciem się od emocji.

Zofii nie było w mieszkaniu, tymczasowo ulokował ją u swoich krewnych pod miastem, żeby poczuła się bezpieczniej. Miał ją dzisiaj odwiedzić i w pierwszej chwili chciał z tego zrezygnować, ale wtedy dziewczyna mogłaby domyśleć się reszty. Nie zamierzał jej teraz powiedzieć o śmierci siostry i siostrzeńca, ponieważ miał wrażenie, że delikatna równowaga psychiczna dziewczyny zostanie zniszczona. „Dam jej trochę czasu, a potem przekażę tę straszną wiadomość” – myślał Wiktor. Wreszcie pojechał i spędził u rodziny całą sobotę i niedzielę.

– Jesteś bardziej nieobecny niż zazwyczaj – zauważyła Zofia, przekrzywiając głowę.

– Praca – odparł zdawkowo Wiktor. – Zrozumiesz, jak sama zaczniesz. A właśnie, kiedy to nastąpi?

– Już w przyszłym miesiącu – odpowiedziała. Kuzynka Wiktora załatwiła dziewczynie pracę stenotypistki w pobliskim biurze. – Nie mogę się doczekać, od tego zaczynała Aurelia, zanim stała

się... – urwała. – Wybacz, nie powinnam tak myśleć – zawstydziała się.

– Jak zaczęłaś, to już skończ – powiedział Wiktor. – Nie zjem cię przecież za posiadanie opinii o własnej siostrze.

Zofia wywróciła demonstracyjnie oczyma. W takich momentach przypominała młodszą, bardziej naturalną wersję Aurelii, która z wiekiem stała się skąpa w gestach i emocjach.

– Stała się wielką panią... no wiesz, z tymi manierami i powściągliwością. Nie taką ją pamiętałam z dzieciństwa – wyjaśniła Zofia.

– Cóż, ludzie zmieniają się z wiekiem – odparł Wiktor.

Podobała mu się otwartość szwagierki i przebywanie w jej towarzystwie. Być może dlatego albo też z powodów, do których nie chciał się przed sobą przyznawać, zataił przed nią fakt śmierci żony i syna przez kolejne tygodnie, które potem przerodziły się w miesiące. W tym czasie Zofia w dużym stopniu zdążyła się pogodzić ze śmiercią ojca i uwięzieniem najbliższych. Zaczęła prowadzić mniej więcej samodzielne życie. Zyskała szybko przyjaciół i przywykła do miejskiego stylu życia, przerabiając w wolnych chwilach ubrania i uczestnicząc w potajemnych potańcówkach i zabawach.

Wiktor natomiast był rozchwiany między momentami rozpacz po utracie rodziny a dopadającą go zniechęca apatią. Jednocześnie rosła w nim nienawiść do wszystkiego, co niemieckie i radował się na wieść o postępach Armii Czerwonej. Usiłował nie pracować zbyt dużo, a jeśli w ogóle musiał wykonać jakieś obowiązki, robił to nieefektywnie. Nie szukał kontaktu z żadną organizacją podziemną, jego działania nie miały zorganizowanego charakteru, a były bardziej formą buntu. A przede wszystkim odciągały go od myślenia o rodzinie.

Pewnego styczniowego dnia zastał Zosię czekającą na niego w wejściu do zakładu. Była ubrana w gruby płaszcz i ciepłą, wełnianą czapkę, a mimo to twarz dziewczyny zaróżowiła się od zimna.

– Zosiu, co ty tutaj robisz? Musiałaś przebyć kawał drogi, żeby się ze mną zobaczyć – powiedział Wiktor.

Dziewczyna przygryzła dolną wargę.

– Czy możemy gdzieś pójść? Chciałabym porozmawiać – poprosiła, a w jej głosie słychać było napięcie.

– Cóż... – Wiktor był wyraźnie zbity z tropu. – W okolicy znajduje się cukiernia, możemy sprawdzić, czy jest jeszcze otwarta – zaproponował.

Zofia skinęła głową. Lokal mieścił się zaledwie kilka minut od pracy Rozwadowskiego, więc szybko tam dotarli. Właściciel burknął coś pod nosem, najwyraźniej chciał już zamykać, lecz przyjął zamówienie i poszedł na zaplecze.

– Okłamałeś mnie – powiedziała Zofia, gdy tylko mężczyzna zniknął z ich pola widzenia. – Odnośnie mamy. I Zysia. I twojej żony.

– Zosiu, posłuchaj... – Wiktor próbował sięgnąć do jej dłoni, lecz dziewczyna cofnęła się. – Zamierzałem ci powiedzieć, ale przeżyłaś już tak wiele, że postanowiłem to zrobić w swoim czasie.

Dziewczyna patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

– Wiem – powiedziała. – Na początku byłam na ciebie wściekła, ale potem zaczęłam się nad tym zastanawiać i doszłam do wniosku, że mój gniew nie był tym spowodowany.

Wiktor odchylił się na krześle.

– Dlaczego więc się gniewasz? – zapytał.

Zofia zaczerpnęła tchu.

– Podświadomie wiedziałam, że mama i Aurelia nie żyją, ale dopóki miałam w sobie resztki złudzeń, wszystko było prostsze. Wiedziałam, że pewne rzeczy nigdy nie będą możliwe i nie poświęcałam im uwagi, a teraz... – Potrząsnęła głową. – Teraz te myśli dopadły mnie jak wrony padlinę i nie dają mi spokoju.

– Chyba nie wiem, o czym mówisz – odparł ostrożnie Wiktor.

– Naprawdę nie wiesz? – zapytała Zosia.

Pomyślał przez chwilę i doznał olśnienia. Nagle półsłówka, spojrzenia, słodki ton głosu, to wszystko złożyło się w logiczną całość. Już otwierał usta, gdy Zosia podniosła dłoń i rzekła:

– Nic nie mów, proszę cię: nic nie mów. Sama się nie umiem z tym pogodzić i dlatego postanowiłam wyjechać.

– Wyjechać? Gdzie? – zapytał Wiktor.

Zosia uśmiechnęła się smutno.

– Nie mogę ci powiedzieć, nie mogę mieć z tobą żadnego kontaktu, przynajmniej na razie. Muszę dojść do ładu z własnymi myślami i uczuciami, a tutaj nie mam na to szans. Chciałam się z tobą pożegnać i liczę, że jeszcze się kiedyś spotkamy. – Wstała i wyciągnęła ku niemu dłoń.

Wiktor również wstał, choć z wahaniem, i uścisnął ją mocno, nic nie mówiąc. Obserwował, jak wstaje, ubiera się i wychodzi na zimny, styczniowy dzień.

Dopiero później właściciel postawił przed nim dwa ciastka i dzbanek herbaty.

* * *

MARZEC 1945 R.

Wkraczali do kolejnego niemieckiego miasteczka. Opór, co prawda, był znikomy, ale gdzieś tam mieszkańcy potrafili organizować samoobronę, tudzież przystępować do tyleż niebezpiecznych, co pozbawionych sensu akcji dywersyjnych, więc należało zachować czujność. Z reguły trzymali się sprawdzonego schematu: zajmowali najważniejsze budynki administracyjne, wysyłali patrole na ulice, a potem planowali następny ruch. Najczęściej zatrzymywali się na chwilę, przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Pierwsze krzyki rozlegały się w godzinę, dwie później. „Nie wiedzą, że to dopiero początek” – myślał Wiktor. – „Oddziały frontowe wejdą i pójdą, ale część, łącznie z komisarzami i agentami NKWD zostanie. A ci ludzie... ci ludzie myślą, że znaleźli się w koszmarze, z którego da się obudzić, więc przychodzą i proszą o litość albo powetowanie krzywd. Führer nie

zdążył ich poinformować, że już nie są ludźmi i teraz można z nimi zrobić wszystko”.

Sowieci przodowali w gwałtach i szabrze, obie te czynności podnosząc do poziomu sadystycznej sztuki. Wiktora nie interesowało ani jedno, ani drugie, jednak swoich chłopców nadmiernie nie sprawdzał ani nie ograniczał. „Trwa wojna, a zemsta i krzywda to jej naturalne konsekwencje” – tłumaczył sobie. Nie potrafiłby zresztą tego zrobić, skoro sam podczas walk potrafił wpaść w taki szal, że niszczył wszystko i wszystkich dookoła siebie, a potem ze stoickim spokojem siadał pośrodku jatki i odpalał papierosa. Groteskowe? Nie dla dowództwa, które obsypało go medalami za odwagę. Szedł jak taran, działał w afekcie, a to współgrało z obowiązującą ich doktryną.

Tym razem nie było inaczej. Poszedł z dwoma weteranami na rynek, żeby zrobić rozeznanie. Miasteczko wyglądało na wymarłe, większość mieszkańców uciekła wcześniej przed zbliżającym się frontem, a ci, którzy zamarudzili, zostali zakleszczeni między oddziałami nieprzyjaciela. Mimo to szli ostrożnie przez wąskie, wybrukowane uliczki, bacznie się rozglądając.

– Cholerne *Gemütlichkeit* – mruknął jeden z towarzyszy Wiktora. – Nasze rodziny przez lata głodowały, a szwaby pielily te swoje ogródki i ustawiały bibeloty na komodach.

– No to teraz się zdziwią – odrzekł Wiktor z demonicznym uśmiechem.

Podobnie jak większość żołnierzy czuł zaskoczenie zmieszane z nienawiścią, gdy wchodzili do niemieckich domów i mogli na własne oczy zobaczyć dobrobyt. Te dopieszczona wnętrza, kuchnie wypełnione najróżniejszymi maszynkami do ciasta i akcesoriami, książki i pianina, to wszystko wywoływało w nim gniew, choć nie tak silny jak widok samych mieszkańców. Starcy, dzieci i kobiety, wszyscy z jednakowym wyrazem twarzy, jakby to oni byli przez wojnę poszkodowani. „Nie patrzcie tak na mnie, nie śmieście tak na mnie patrzeć” – powtarzał w myślach.

Stanęli przed ratuszem, gdy nagle jeden z weteranów wrzasnął: „Padnij!”. Wiktor rzucił się na ziemię i ułamek sekundy później kilka metrów od niego wybuchł granat. Podniósł się szybko na nogi, w uszach mu dzwoniło, ale w tej chwili działał instynktownie. Kątem oka pochwycił cień przemykający w jednej z uliczek i rzucił się biegiem w jego stronę. Strzelił raz, a potem kolejny. Postać upadła. Dobiegł do niej i odwrócił na plecy. To był chłopiec, w najlepszym razie trzynastoletni. Jeszcze oddychał i ze świstem łapał powietrze. W leżącej obok torbie miał prymitywny ładunek wybuchowy. Wiktor przeładował pistolet i strzelił chłopcu prosto w twarz.

– I tak nic by z niego nie było – powiedział jeden z weteranów, który pojawił się na miejscu zdarzenia.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Chciał zostać żołnierzem, to został – skonstatował i wrócił na plac przed ratuszem.

Nocą, gdy kwaterowali w jednej z pobliskich szkół, dało się usłyszeć pijackie śpiewy i pojedyncze strzały.

* * *

Nazajutrz ruszyli dalej i kolejne tygodnie zamieniły się w nieskończoną kawalkadę strachu, śmierci i gwałtów, dodatkowo nakręcaną przez nienawistne wystąpienia politycznych. Z czasem Wiktor zaczął ich darzyć jeszcze silniejszą nienawiścią niż Niemców. „Jak to wszystko pięknie wymyślili” – zauważył. – „Wmów żołnierzowi, że boi się wroga, gdy tak naprawdę boi się kulki w łeb, którą mu wpakujecie, jeśli tylko pomyśli o sprzeciwie”. Wiktor miał też i bardziej osobiste powody do niechęci wobec politycznych, a mianowicie od dłuższego czasu przyglądał mu się niejaki Słobodziński. Konkretniej mówiąc: węszył jak pies, rozmawiając mimochodem z towarzyszami Rozwadowskiego i zawsze przypadkiem znajdował się tam, gdzie nie był proszony.

– Wpadłeś mu w oko, bo jest ciemniakiem – powiedział Wiktorowi półgębkiem kolega z oddziału. – Będzie węszył, aż

znajdzie.

Zainteresowanie Słobodzińskiego wzmogło się, gdy wkraczali do kolejnej miejscowości. Pragnął towarzyszyć Wiktorowi i jego dwóm zwyczajowym towarzyszom podczas walk. Okazał się być bardziej ciężarem niż pomocą, lecz Rozwadowski nie miał czasu na sentymenty, bo pochłaniała go walka z wrogiem. W którymś momencie rozdzielili się i weszli do jednej z kamienic, szukając kryjówek żołnierzy. Wtargnęli do mieszkania na trzecim piętrze. Schowany przy oknie mężczyzna zaczął strzelać, więc Wiktor szybko przykleił się do ściany, natomiast Słobodziński odpowiedział ogniem. Pruł na oślep, nie bacząc na to, że w pomieszczeniu była jeszcze starsza kobieta.

– Ty idioto! – syknął pod nosem Wiktor. Wychylił się i strzelił. Słobodziński padł jak długi na podłogę. Zdezorientowany żołnierz Wehrmachtu na chwilę się odsłonił i jego dosięgła kolejna kula. Rozwadowski wyszedł z ukrycia i kopnął ciało dawnego towarzysza. Nie ruszał się, jego twarz zastygła w tępym wyrazie.

– Ty, synu, śmierci szukasz – powiedziała staruszka. Przez cały ten czas siedziała nieporuszona w fotelu.

– Być może – odparł Rozwadowski, odwracając się w jej stronę. Staruszka skinęła głową. Musiała być w bardzo zaawansowanym wieku, ponieważ jej twarz miała w sobie ostrość, jaką widuje się u zmarłych. Może z tego powodu, a może poprzez wrodzony szacunek do osób starszych Wiktor nie czuł do niej nienawiści.

– Będę się modlić za twoją duszę – powiedziała.

Rozwadowski zamarł w bezruchu. W pierwszej chwili chciał ją ostrzec, doradzić, żeby wyrzuciła portrety nazistów i zdjęcia synów w mundurach, lecz w jej oczach nie dostrzegł strachu ani rozpacz. Staruszka była niewzruszona, jakby patrzyła na dziejące się wokoło wydarzenia z wielkiego dystansu i wtedy pojął, że w pewnym sensie tak właśnie jest.

– Przepraszam za zniszczenia – rzekł w końcu i wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

* * *

Medale w kieszeni i czysta kurtka mundurowa, tak właśnie Wiktor prezentował się pod koniec czterdziestego piątego w Warszawie. Od czasu demobilizacji i powrotu do kraju nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej niż kilka tygodni. W Przemysłu rodzina powitała go chłodno, traktując niczym zdrajcę, a do pracy w produkcji wracać nie chciał. Poza tym czuł się tam nieswojo, jakby mieszkał między duchami i wspomnieniami. Sprzedał mieszkanie i postanowił odwiedzić pozostałą przy życiu rodzinę Aurelii. W Bodzentynie krewni żony byli wobec niego serdeczni i gościnni, ale widać było, że przez wojnę zbiednieli, więc Wiktor podzielił się z nimi pieniędzmi. Zabawił w Świętokrzyskiem jeszcze tydzień, dzieląc czas między spacery a wieczorne wspominki o dzieciństwie Aurelii i jej kuzynów. Wyjeżdżając, odczuł ulgę i zarazem smutek, gdyż wiedział, że i te więzi osłabną z czasem. Ostatecznie kiedyś trzeba było przejść od rozpamiętywania ran do ich zablizniania. Wrócił dosłownie na chwilę do rodziców, gdzie znalazł list od przyjaciela z czasów studiów, który tymczasowo osiadł w Warszawie, stąd też zrodziła się idea wyjazdu do stolicy.

Miasto wyglądało jeszcze gorzej niż zniszczone niemieckie metropolie. Wiktor patrzył na rozciągające się po horyzont zgliszcza i na trud niezliczonej rzeszy ludzi usiłujących dźwignąć Warszawę z ruin i poczuł nieśmiałe drgnięcie serca. Nie wiedział, czy była to nadzieja, czy wiara w sukces zbiorowego wysiłku, ale powitał to uczucie z dawno zapomnianym entuzjazmem.

Przyjaciel Wiktora, doktor Makowski, pracował dla Ministerstwa Ziemi Odzyskanych i właśnie w jego gmachu spotkał się z Rozwadowskim.

– Wiktor! – zakrzyknął na jego widok. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! – Wymienili powitalne uściski. Makowski przybrał znacząco na wadze i wyłysiał, ale nie opuściła go pogoda ducha i energiczność.

– Ja też – odparł Wiktor i rozejrzał się dookoła. – Nieźle się tu urządziłeś – zauważył.

– Takich ludzi jak my zwyczajnie brakuje, a przecież jest tyle do zrobienia – powiedział Makowski. – Ale – machnął ręką – to jest nieważne. Powiedz lepiej, co u ciebie, bo doszły mnie słuchy, że podobno zwolniłeś się z pracy i wstąpiłeś do wojska. – Ton Makowskiego zmienił się z przyjaznego w ostrożny.

Wiktor wzruszył ramionami.

– Stare dzieje, walczyłem do końca i jakiś czas temu wróciłem do kraju. W zasadzie nic nadzwyczajnego w tych czasach – odparł.

– Słyszałem o Aurelii i Zygmuncie – powiedział cicho Makowski.
– Przykro mi.

Zapadła cisza.

– Cóż, bez nich mój powrót jest pozbawiony sensu – rzekł po chwili Wiktor. – Ale nie będę się żalił, są ludzie, którzy stracili wszystko... Chociaż wiadomo, że dla każdego jego strata jest tą największą i najważniejszą na świecie. Ha, jestem taki stary, a taki głupi, myślałem, że walcząc, jakoś sobie z tym poradzę, że odnajdę większy sens w tym wszystkim, a jedyne, co znalazłem, to jeszcze więcej cierpienia. Zdołałem się na nie uodpornić, a nawet znajdować w nim radość. Wiedziałem, że nie mam już przyszłości, dlatego odebranie jej innym nic dla mnie nie znaczyło. Jeden strzał i nie ma wroga. Nieważne, czy był żołnierzem, starcem, czy kobietą, bo w gruncie rzeczy wszyscy reprezentowali to samo. Tylko na dzieci trudno było patrzeć. – Wiktor umilkł, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo.

Makowski słuchał go uważnie i kiwał głową.

– Podobno ludzi takich jak my wojna uderza najmocniej, bo mamy tendencję do analizowania wszystkiego i nie potrafimy zaakceptować rzeczywistości takiej, jaka jest – odrzekł. – Niemniej jedna rzecz mnie zastanawia, wybaczone pytanie. Musiałeś przecież czuć, że zabijanie niczego nie da: ani wolności, ani wskrzeszenia bliskich. Czego więc szukałeś na froncie?

– Śmierci – odparł Wiktor. – I bólu, który będzie mi przypominał, jak muszę się napracować, nim zginę.

– Co teraz zamierzasz? – zapytał Makowski. W jego oczach Wiktor dostrzegł troskę.

– Być użytecznym – odparł Rozwadowski. – Ale nie chcę pracować za biurkiem ani w fabryce, chciałbym przebywać między ludźmi.

Na twarzy Makowskiego zarysował się delikatny uśmiech.

– Pozwól zatem, że zadam ci dwa kolejne pytania: czy myślałeś kiedyś, by zostać nauczycielem? I czy chciałbyś pojechać w miejsce, gdzie byłbyś naprawdę potrzebny?

Wiktor pomyślał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Dlaczego nie.

* * *

Marianna po raz pierwszy zaprosiła Rozwadowskiego do domu, a mając w pamięci sprawę z Jeanem-Pierrem, zadbała o obecność stryja. Pan Paliński zrozumiał intencje bratanicy i po przywitaniu się z gościem zniknął w swoim gabinecie, zostawiając ją sam na sam z Wiktorem.

– Przeczytałam twoją opowieść – powiedziała Marianna. – I czuję się niezręcznie.

Wiktor zacisnął wargi.

– Czyżbyś zmieniła o mnie zdanie? – zapytał, powściągając emocje.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Absolutnie nie, tu chodzi o coś innego. Ty... odsłoniłeś się przede mną, opowiadając mi swoją historię, podczas gdy ja nie jestem wobec nikogo szczera... I teraz tym mocniej mnie to dręczy – wyjaśniła.

– Może jeszcze nie nadeszła twoja pora, by opowiedzieć swoją historię – odparł Rozwadowski. Jego głos złagodniał, a z postawy zniknęło napięcie.

– Kiedy wróciłam do kraju, pierwsze, co usłyszałam, to że każdy ma swoją przeszłość i nikt nie chce o niej słuchać, więc milczałam.

A potem odnalazłam ojca i to milczenie stało się niesamowicie trudne – powiedziała Marianna.

Rozwadowski skinął głową.

– Rozumiem, ale ja chcę cię wysłuchać. Opowiedz mi twoją historię, Marianno – zachęcił dziewczynę.

Wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić. Rozpoczęła od Lwowa i swoich studiów, przeszła do pracy w Instytucie Weigla, po czym dotarła aż do dekonspiracji i obozu. Nie pominęła Krzysi, swojej choroby ani rekonwalescencji. Płynnie zrelacjonowała powrót do Gdańska i dalsze perypetie, uzależnienie i przyjaźń z Gretą, aż stanęła na powrocie Henryka Palińskiego. Zawahała się, lecz powiedziała Rozwadowskiemu prawdę o swoim aresztowaniu i o śmierci ojca. W swojej opowieści świadomie pominęła Ignacego, dochowując tajemnicy. Głos całkowicie się jej załamał przy śmierci Grety, lecz Wiktor był cierpliwym słuchaczem: pozwolił Mariannie ochłonąć i kontynuować opowieść. Gdy w końcu umilkła, rzucił jej długie, przenikliwe spojrzenie.

– Nie jestem w stanie powiedzieć niczego, co mogłoby ci pomóc, Marianno, poza tym, że rozumiem i akceptuję zarówno twój wybór, jak i związany z nim ból – powiedział.

– Czyli też nie zmieniłeś o mnie zdania? – zapytała.

Wiktor potrząsnął głową. Na twarzy dziewczyny pojawił się blady uśmiech.

– Marianno, dlaczego kolekcjonujesz te wszystkie historie? – zapytał niespodziewanie.

Młoda lekarka spojrzała na niego zdumiona.

– Nie wiem – odparła szczerze. – Może dlatego, że już nigdy nie usłyszę opowieści członków swojej rodziny? Bo kiedy ich słucham, to mam poczucie, że przynależę do czegoś więcej i nie jestem kamieniem rzuconym gdzieś w otchłań? Nie zastanawiałam się nad tym.

Wiktor pozostawił jej odpowiedź bez komentarza i przez resztę popołudnia rozmawiali o sprawach codziennych, nie wracając do trudnych dla nich tematów. Kiedy Rozwadowski wyszedł,

Marianna zdała sobie sprawę z jednej ważnej rzeczy: rozpacz, którą czuła zaledwie rok wcześniej, znikła, choć pozostał w niej smutek, jednak jego była skłonna zaakceptować. Pamiętała, co utraciła, ale nie krępowało jej to dłużej i nie odbierało wiary w jutro.

* * *

SZCZECIN, MAJ 1947 R.

Wiosna przyniosła kolejne zmiany w życiu Marianny. Z początkiem kwietnia pan Paliński wyjechał do nadmorskiego uzdrowiska, gdzie miał spędzić również i lato, a Sulka oznajmiła, że zamierza podjąć studia na uniwersytecie w Poznaniu i więcej czasu spędzała, ucząc się w szkole bądź w bibliotece anizeli w domu.

Sprawa adopcji Henrietty, którą lekarka rozpoczęła pod koniec lutego, najpierw utknęła w miejscu, niedawno zaś Marianna otrzymała list z Czerwonego Krzyża. Dowiedziała się z niego, że pojawił się bliski krewny dziewczynki, skłonny ją przygarnąć. I chociaż panna Palińska nie czuła się do końca komfortowo z myślą o ewentualnym rodzicielstwie, to wiadomość od rodziny dziewczynki ją zasmuciła. Oczywiście, zamierzała kierować się dobrem Henrietty, dla której wyjazd z miejsca, gdzie doświadczyła tyle złego, był czymś pożądanym, lecz Marianna zdążyła się do niej przywiązać. Poza tym czuła obawy, że jej podopieczna nie dostosuje się łatwo do nowego środowiska. „Ale nie mogę też wymazać jej przeszłości, jej języka i kultury” – napomniała samą siebie. – „W ostateczności to, co teraz robię, też jest w pewien sposób sprzeczne z naturą, przypomina bowiem takie sztuczne podtrzymywanie więzi”. Mimo wszystkich logicznych argumentów wyjazd Henrietty bolał, niemniej Marianna dopełniła wszelkich formalności i dziewczynka opuszczała Polskę ostatecznie pod koniec maja. Przed tym jednak lekarka miała nadzieję zrobić jeszcze dwie rzeczy: przetłumaczyć spisane przez siebie historie Greta i Thomasa na język niemiecki, w czym pomagała jej Sulka,

i zabrać dziewczynkę nad morze, do miejscowości, gdzie jej rodzice mieli dom letniskowy.

Marianna spojrzała na teczkę, w której znajdowały się maszynopisy przepisanych przez nią historii. Niedawno dołożyła do niej niekompletną opowieść ojca. Pamiętała ostatnie zdanie: „Nie sposób zamknąć tę opowieść, nie wiedząc, czy i kiedy spotkał go koniec”. Z reguły rodziny otrzymywały krótkie urzędowe pismo o skazaniu krewnego i wykonaniu wyroku, jednak ona cały czas żyła w niepewności. „Nie łudź się, że go kiedykolwiek jeszcze zobaczysz” – pomyślała. – „Nie dawaj sobie fałszywej nadziei”. Śmierć ojca dręczyła Mariannę najmocniej, może dlatego, że była nierozzerwalnie związana ze Szczecinem, miejscem, w którym miała zacząć nowe życie i gdzie ostatecznie dogoniła ją przeszłość. Zastanawiała się, czy powrót do Lwowa nie ukołby bólu, jednak w głębi duszy wątpiła w to. Ciągłe zmiany i wszechobecna śmierć przytępiły jej uczucia, pozostawiając jedynie smutek.

Skrzywiła się, wstając od biurka. Podeszła do okna i spojrzała na zaniebany ogródek. Od śmierci Greta nikt nie miał czasu się nim zająć. „I znów zmarli” – zauważyła z bólem lekarka. – „Wspomnienia o nich otaczają mnie, nie pozwalają mi o sobie zapomnieć. Ojciec, Thomas, Greta... Krzysia i inni, których twarze ledwie pamiętam. Przynajmniej z tej listy zniknęła jedna osoba” – uzmysłowiła sobie, myśląc o Ignacym. Świadomość, że przeżył, pomogła Mariannie wyrwać się z otępienia i walczyć z poczuciem beznadziei. „Pamiętam o złożonej ci obietnicy, bracie” – powtórzyła w duchu. – „Ale jeszcze nie mogę jej wypełnić” – dodała, uśmiechając się do samej siebie. Być może fakt, że ona i Ignacy przetrwali, był wyłącznie zrzędzeniem losu, jednak Marianna nie wierzyła w przypadki. Dla niej stanowiło to dowód na nieprzewidywalność życia, która, choć często okrutna, niosła ze sobą również piękno.

Zegar wskazywał godzinę osiemnastą. Marianna schowała teczkę z maszynopisem do szuflady, którą zamknęła na klucz. Wybiła pora wizyt domowych.

* * *

Nadszedł weekend, a wraz z nim od dawna wyczekiwana wycieczka nad morze. Marianna wstała o świcie i przyszykowała duży wiklinowy kosz z kanapkami, piklami, kawą zbożową i lemoniadą w butelkach. Obudziła Henriettę. Dziewczynka spojrzała na nią zaspanymi oczami i jęknęła cicho, przewracając się na bok.

– Już czas, inaczej spóźnimy się na pociąg.

Henrietta leniwie wstała i pomaszerowała do łazienki. Marianna naszykowała jej czyste ubranie: jasnożółtą sukienkę w tłoczone wzory, a do tego lekką marynarkę z błyszczącymi guzikami.

– Chodź, zaplotę ci warkocze – powiedziała, gdy dziewczynka wyszła z łazienki. Henrietta niechętnie poddała się jej zabiegom, przez cały ten czas niecierpliwie machając nogą i wystukując sobie tylko znaną melodię palcami.

– Jesteśmy gotowe – oznajmiła Marianna, wieńcząc warkocz szeroką wstążką.

Pojechały na dworzec w Dąbiu, gdzie czekał na nie Rozwadowski z biletami i resztą prowiantu. Ponieważ wciąż trwały prace nad odbudowaniem przeprawy na Dziwnie, pociągi kursowały do Reclawia, skąd przechodziło się po tymczasowym moście do Wolina, a następnie wsiadało w kolejny skład, który dowoził pasażerów do dawnego kurortu Międzyzdroje. Cała podróż zajmowała kilka godzin, toteż na miejscu znaleźli się w okolicach pory obiadowej.

W miasteczku wciąż widoczne były ślady wojny – część budynków leżała w gruzach, a na ulicach mieszał się ze sobą język polski i niemiecki. Mimo to zachował się duch kurortu: piękne gmachy dawnych hoteli i przestronne aleje spacerowe robiły wrażenie, a gdzieś tam widać było pojedynczych turystów, którzy podobnie do Marianny postanowili spędzić ładny majowy weekend nad morzem.

Dotarli na drewniane molo. Henrietta wyrwała się lekarce i Rozwadowskiemu, po czym podeszła na sam skraj konstrukcji. Opuściła głowę i utkwiała wzrok w długich palach wbitych w dno, na których unosiła się cała konstrukcja.

– Masz pojęcie, którego domu konkretnie szukamy? – zapytał Mariannę Rozwadowski.

Lekarka potrząsnęła głową.

– W tym jednym aspekcie Greta nie była szczególnie dokładna – odparła.

– Mogła też tego nie pamiętać – powiedział Rozwadowski. – Może przyjeżdżała tu tylko jako dziecko, a rodzice później sprzedali domek albo zaczęli go wynajmować?

Marianna westchnęła ciężko. Greta dość dokładnie opisała jej okolicę, w której budynek miał się znajdować, szkopuł w tym, że lekarka mogła go dopasować do co najmniej kilku mijanych dziś lokalizacji.

– Cóż, to nie ma aż tak bardzo znaczenia – oznajmiła z rezygnacją. – Ważniejszy jest symbol.

Zeszli z mola i zaczęli przechadzać się po szerokiej, piaszczystej plaży. Natrafili na kutry rybackie i kupili wędzoną rybę. Marianna, która ostatnio jadła w Gdyni śledzie po kaszubsku, łapczywie zjadła swoją porcję, wywołując tym rozbawienie u Rozwadowskiego i Henrietty. Rozłożyli koc na plaży i siedzieli tam, czytając i patrząc na łagodne fale, aż zaczęło się ściemniać. Przy wydmach zaczęła ich starsza kobieta.

– Nocleg? Jedzenie? Dobra cena – powiedziała z wyraźnym, niemieckim akcentem.

Rozwadowski potwierdził. Kobieta wymieniła cenę i dodała:

– Kartki też dobre.

Dobili targu i zadowolona staruszka zaprowadziła ich do schludnej, niezniszczonej kamienicy. Przydzieliła im niewielki, ale dobrze umeblowany pokój, przyniosła wodę i opał do małego piecyka węglowego.

– Są dwa łóżka – powiedział Rozwadowski.

Marianna zasłaniała Henriettę, która płukała twarz i usta, a następnie zaczęła się przebierać w koszulę nocną.

– No tak, jedno dla ciebie, drugie dla mnie i Henrietty – odparła. – Nic w tym nadzwyczajnego.

– Mogłabyś taka nie być – mruknął Rozwadowski. – Przecież starsza pani nie wie, kim jesteśmy.

Marianna rzuciła nauczycielowi krzywe spojrzenie.

– Jako nauczyciel powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, że to niewychowawcze tak przy dziecku – oznajmiła z wyższością.

– Przecież bym cię nie tknął – zachnął się Rozwadowski. – Bylibyśmy jak brat z siostrą.

Marianna nie dała mu jednak wiary i położyła się obok Henrietty.

* * *

Następnego poranka obudził ich zapach kawy zbożowej i świeżo wypieczonego chleba. Gospodyni wniosła do pokoju dziennego śniadanie na pięknej, porcelanowej zastawie z roślinnym wzorkiem.

– Nie będę mogła zabrać – oznajmiła Mariannie, pokazując na zdobione talerze.

Lekarka już miała odrzec, że jest jej przykro, jednak uprzedził ją Rozwadowski.

– Współczujemy – powiedział, wbijając wzrok w Mariannę.

Staruszka, ku ich zdziwieniu, machnęła ręką.

– Nieważne. Miniona epoka, jak i ja – skwitowała i oddaliła się do kuchni, z tym samym stoickim spokojem, z jakim ugościła ich poprzedniego dnia. Marianna, tknięta przecuciem, udała się za nią. Przystanęła w wejściu i wydobyla z kieszeni fotografię, którą znalazła w rzeczach Grety. Zdjęcie przedstawiało ją w mundurku szkolnym wraz z Thomasem, małą Henriettą i rodzicami podczas jakiegoś festynu.

– Przepraszam – zwróciła się do staruszki i podała jej zdjęcie. – Zna ich pani?

Kobieta przysunęła fotografię do oczu.

– Tak, z widzenia. Mieszkali kilka ulic stąd – odparła po chwili namysłu. Oddała zdjęcie Mariannie.

W lekarzkę wstąpiła nadzieja.

– Czy pamięta pani dokładny adres? – dopytała głosem zdradzającym emocje.

– Tam nic nie ma – odparła staruszka, mrużąc oczy. – Dom się spalił jeszcze przed wojną. To była głośna sprawa.

– Rozumiem – odparła Marianna, choć w głębi ducha poczuła zawód. – Dziękuję za informację.

Wróciła do salonu. Rozwadowski siedział rozparty na krześle i czytał książkę, obok niego zaś Henrietta uparcie rysowała coś na pojedynczej kartce papieru. Dziewczynka przekrzywiła głowę i delikatnie wysunęła język do przodu, przygryzając go lekko zębami.

– Będziemy musieli wkrótce się zbierać – poinformował ją Rozwadowski, nie podnosząc głowy znad książki. – Nasz pociąg odjeżdża za około cztery godziny.

Marianna chciała mu powiedzieć, czego się dowiedziała, lecz miała wrażenie, że jedynie wzruszy ramionami i wysłucha ją z czystej uprzejmości, bez próby zrozumienia.

– Tak, ja jeszcze pójdę na krótki spacer. Muszę ćwiczyć nogę – wymyśliła wymówkę na poczekaniu, bo tak naprawdę zależało jej na tym, by jak najszybciej wydostać się z tego mieszkania i dać upust swoim emocjom.

– Pamiętaj o czasie – odrzekł na to Rozwadowski, z taką samą obojętnością jak na wszystko inne.

Po wyjściu z budynku zaczęła niemal biec przed siebie, tak szybko, na ile pozwalała jej kulawa noga. Nie patrzyła na spacerujących ludzi, otaczające ją budynki, na to, czy jest na drodze, czy na chodniku, tylko parła do przodu, aż zabrakło jej tchu i musiała na chwilę przystanąć. Potem znów podejmowała intensywny wysiłek, przystawała i wznawiała wędrówkę aż do momentu, gdy znalazła się na plaży.

Zaczął kropić deszcz. Mimo to Marianna usiadła na piasku i wpatrywała się w horyzont, próbując uspokoić gonitwę myśli. Była do niczego, zawiodła Gretę i jej rodzeństwo, tak jak wcześniej zawiodła Krzysię i towarzyszy broni. Nie potrafiła odmienić ich losów ani nawet zamknąć ich historii w godny sposób. Była tylko świadkiem, muchą, która brzęczy swoimi obietnicami, lecz sama w sobie nie posiada żadnej siły przebiccia. Zatoczyła koło i jak początkowo nie wiedziała o bliskich sobie ludziach nic, tak i dziś znajdowała się kilometry od pojęcia prawdy. „Czy naprawdę nie można uchwycić momentów z życia, nie rzucając cienia na całą resztę? Dlaczego jesteśmy jak stare fotografie i musimy blaknąć, nieuchronnie znikać z i tak już nietrwałej materii, jaką jest czas? Dlaczego nasz pigment musi być tak nietrwały i niemal niemożliwy do opisanego? Czy jakakolwiek historia jest prawdziwa, czy może wszystkie są kłamstwem na podstawie odległego echa prawdy rezonującej z co bardziej natchnionych fragmentów?” – myślała.

– Przemokniesz i dostaniesz zapalenia płuc. – Usłyszała głos Rozwadowskiego. Nauczyciel stał tuż przy niej i wyciągał dłoń. Marianna pokręciła głową, więc Rozwadowski usiadł obok niej.

– Myślałam, że jeśli znajdę ten dom, to nadam historii Greta jakiś sens – powiedziała. – Dokonam symbolicznego zamknięcia dla niej i dla Henrietty.

– Przede wszystkim dla siebie – odparł Rozwadowski.

Marianna spojrzała na niego pytająco.

– Słuchając ciebie, mam wrażenie, że odkąd wróciłaś do Polski, żyjesz wyszukiwaniem i opowiadaniem cudzych historii. Nasiąkasz nimi, przeżywasz je, prowadzisz dochodzenia, wszystko w imię pomocy drugiej osobie, ale tak naprawdę najbardziej służąc sobie. Te opowieści są twoją wymówką, by odepchnąć od siebie przeszłość i własne koszmary, bo w ostateczności łatwiej jest zrozumieć i zaangażować się w cudze przeżycia, niż przeanalizować i pogodzić się z własnymi. Jeśli szukasz zamknięcia, powinnaś przestać uciekać i opowiedzieć tę

najważniejszą historię – swoją własną. I tworzyć ją dalej z ludźmi, którzy chcą w niej mieć swój udział – wyjaśnił Rozwadowski.

Marianna poczuła dziwne ciepło na policzku. Przyłożyła dłoń do skóry i zorientowała się, że to jej łzy zmieszały się z kropelkami deszczu.

– Tylu rzeczy nie umiem nazwać... Nawet nie wiem, jak miałabym o nich mówić, jak przyznać się do tak wielu błędów i nie znienawidzić siebie samej – odparła, patrząc niepewnie na Rozwadowskiego.

– A czy każda opowieść ze swojej natury nie jest kompromisem między wypowiedzianym a przemilczanym, przedstawieniem obiektywnych faktów a oddającymi nasz charakter emocjami? Dla autora efekt końcowy jest tak samo ważny jak droga, którą musiał przejść, by go osiągnąć, wszystkie decyzje i poświęcenia, jakich dokonał i to, czego się w trakcie dowiedział o samym sobie – powiedział.

Marianna milczała przez dłuższą chwilę, po czym podniosła głowę i spojrzała dumnie przed siebie, mówiąc:

– W takim razie wiem, od czego zacząć.

EPILOG I



ROK 1943

W „Serbii” Marianna straciła rachubę czasu, gdyż każdy dzień wyglądał dokładnie tak samo: pobudka, przesłuchanie, tortury, powrót do celi, gdzie Krzysia karmiła ją ukradkiem i wegetacja, trwanie, aż jej organizm wreszcie się podda i nie będzie musiała tego dłużej znosić. Niestety, przesłuchujący tak kontrolowali techniki wymuszania zeznań, że choć dziewczyna cierpiała, to nie doznawała poważnych uszkodzeń ciała ani narządów wewnętrznych. Rozmyślnie poddawano ją tej samej rutynie i zadawano te same pytania, jednak Marianna wciąż odmawiała odpowiedzi. Wcale nie ze względu na własny heroizm. Po prostu Ignacy był bardzo dobrym konspiratorem i nie pozwalał na zbyt ni rozrost podległych sobie komórek. Co więcej, przynależące do nich osoby znały wyłącznie swoje zadania i kolegów, z którymi współpracowały. Marianna była tutaj szczególnym przypadkiem, jednak jej brat nigdy nie wyjawiał dziewczynie charakteru swoich działań ani roli, jaką pełnił w organizacji. Innymi słowy, nie wiedziała nic wartościowego, co bynajmniej nie przekonywało przesłuchujących ją ludzi, aż któregoś dnia tortury ustały. W ciągu kilku dni spokoju Marianna powoli odzyskiwała siły i z zadumą obserwowała pozostałe więźniarki.

– Będzie transport – powiedziała jej pewnego dnia Krzysia.

– Transport? – zapytała, bo nie rozumiała, o czym mówi przyjaciółka.

Krzysia skinęła głową.

– Będą nas wywozić. Pewnie do Niemiec – wyjaśniła. – Któraś ze strażniczek sypnęła.

I rzeczywiście, dwa dni później Marianna została umieszczona w bydłym wagonie wraz z masą innych kobiet. Strażnicy zamknęli i zaryglowali drzwi. Pociąg ruszył. Wewnątrz panowała ciemność, gdyż wagon nie miał okien i światło przedostawało się wyłącznie przez maleńkie prześwity między deskami. Kobiety stały blisko siebie, praktycznie nie było miejsca, by się ruszyć, nie mówiąc już o siadaniu czy położeniu się. Gdzieś w kącie zlokalizowano prowizoryczną latrynę, jednak nie sposób było się do niej dostać i po kilku godzinach pasażerki zaczęły załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne tam, gdzie stały. Do panującego w wagonie zaduchu doszła jeszcze odrażająca woń moczu i ekskrementów. Pociąg zatrzymał się, lecz nikt nie otworzył drzwi.

– Masz. – Krzysia wetknęła Mariannie kawałek chleba w dłoń.

Po paru godzinach pociąg ruszył ponownie, lecz podobne postoje przytrafiły się jeszcze kilkakrotnie.

– Pomocy! Pomocy! – zaczął nagle krzyżeć ktoś ochryłym głosem.

– Zamknij się! – szemrała reszta. – Bo ściągniesz uwagę strażników i wszyscy tego pożałujemy!

Kobieta zaczęła szlochać przeciągle.

– Moja siostra... moja siostra osunęła się... nie żyje...

Pozostałe pasażerki umilkły. Jak się okazało, był to pierwszy z całej serii zgonów, które nastąpiły, nim dotarli do stacji końcowej. Marianna poczuła, że Krzysia łapie ją za rękę i mocno ściska.

– Jak to dobrze, że mamy siebie – powiedziała słabym głosem.

Mało ze sobą rozmawiały, starały się oszczędzać siły, zwłaszcza w końcowym etapie podróży. Wreszcie po niemal dwóch tygodniach dotarły do celu i drzwi do wagonu otworzono na oścież, a strażnicy zaczęli popędzać kobiety do wyjścia. Marianna zachłysnęła się świeżym powietrzem i stuknęła Krzysię. Dziewczyna ocknęła się z cichym jękiem i uśmiechnęła się do lekarki.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jeszcze żyjemy –
powiedziała cicho.

Przyszła ich kolej. Marianna poruszała się niczym w transie. Na zeszywniałych od stania nogach zeszła po rampie na peron i odruchowo zapamiętała nazwę miejscowości.

Ravensbrück.

EPILOG II



SZCZECIN, WIOSNA 1950 R.

Marianna obwiązywała sznurkiem naręcze ziół i podwieszała je w kuchni do obeschnięcia. Obok na kuchence, w żeliwnym garnku powoli gotowała się potrawka z królika, roznosząc po pomieszczeniu delikatny, lekko maślany smak. Kobieta wyciągnęła się do góry, stając na palcach i przerzuciła sznurek przez nisko podwieszony reling i ponownie zawiązała. Wróciła do normalnej pozycji i oceniła rezultaty swojej pracy. Suszące się zioła, mięta i lawenda w doniczkach na parapecie oraz poukładane w spizarni przetwory sprawiały, że wcześniej ponure i przytłaczające wewnątrz domu stało się na powrót ciepłe i przyjazne domownikom. Podobną metamorfozę przeszedł ogród, który, poddany reżimowi Rozwadowskiego, z dzikiej krainy przeistoczył się w starannie zaplanowane miejsce wypoczynku. Pod przyciętym orzechowcem znalazło się miejsce na ławkę, a wokół domu ciągnęły się schludne grządki z kwiatami. W wakacje, na tyłach domu, Rozwadowski rozwieszał siatkę i rozgrywał ze znajomymi mecze siatkówki, ku uciesze pana Palińskiego, który mógł obserwować ich zmagania z altany, popijając kawę i przeglądając gazety.

Dla Marianny ostatnie dwa lata były w większości błogim snem, w którym czas leniwie się ciągnął, a jej życie wtoczyło się na pewne tory. Nie oznaczało to, że w tamtym okresie nie doświadczała kryzysów ani że jej małżeństwo z Rozwadowskim okazało się całkowicie bezkonfliktowe, niemniej owe odstępstwa od reguły zdawały się być wpisane w normalne, dorosłe życie. Niedługo również miało się spełnić największe marzenie

Marianny, bowiem na początku następnego roku kończyła specjalizację z zakresu pediatrii. Za namową Rozwadowskiego publikowała również fragmenty swoich wspomnień na łamach „Dziennika Literackiego” i choć niejednokrotnie odkrywała, że redaktorzy wycięli niepoprawne politycznie akapity, to ich wymowa pozostała niezmienna. Otrzymała także propozycję wydania całości w formie książki i obecnie była na etapie przeglądania posiadanych materiałów i zastanawiania się, jak uzupełnić resztę. Ogólnie rzecz ujmując, była zadowolona ze swojego życia, pomimo szarości otaczającego ją świata i surrealnych praw rządzących komunistyczną Polską.

Rozmyślania Marianny przerwał pan Paliński, który wkroczył do kuchni, dzierżąc w ręku listy.

– List do ciebie, moja droga – oznajmił, wręczając bratanicy kopertę.

Lekarka spojrzała na kopertę i jej brwi podjechały do góry. Sulka regularnie przysyłała listy z Poznania, jednak to zdecydowanie nie był jej charakter pisma, poza tym pieczętka wskazywała na Gdańsk. Marianna sprawdziła adresata, lecz imię i nazwisko było jej nieznane. Otworzyła kopertę małym nożykiem i wydobyla z niej dwie kartki. Przebiegła wzrokiem po pierwszej z nich. Charakter pisma wydał się jej znajomy, ale treść była rozczarowująca. Jeden z czytelników „Dziennika” postanowił się z nią skontaktować, aby podziękować Mariannie za opowiedzenie swojej historii. Lekarka odpisywała na każdy list i przechowywała owe podziękowania, czasem także głosy krytyki jako dowody na to, że jej pisanie miało jakiś sens, lecz tym razem liczyła na coś innego. Wzrok Marianny padł na drugą kartkę i jej serce zamarło. Był to szkic przedstawiający fantastyczną postać – kobietę ze smoczymi skrzydłami i rybim ogonem trzymającą w dłoni szablę. Jej ciało było nagie z wyjątkiem wianka z polnych kwiatów, wieńczącego rozpuszczone, ciemne włosy. Była to „dziwo-syrena”, postać, którą wymyśliła z Ignacym w dzieciństwie i której przygody opowiadali później przed stryjostwem.

Znalazł ją. Mając do dyspozycji jedynie pozbawione szczegółów opowiadania, był w stanie ją rozpoznać. Marianna sprawdziła dokładnie adres, a następnego dnia poszła na dworzec kupić bilet.

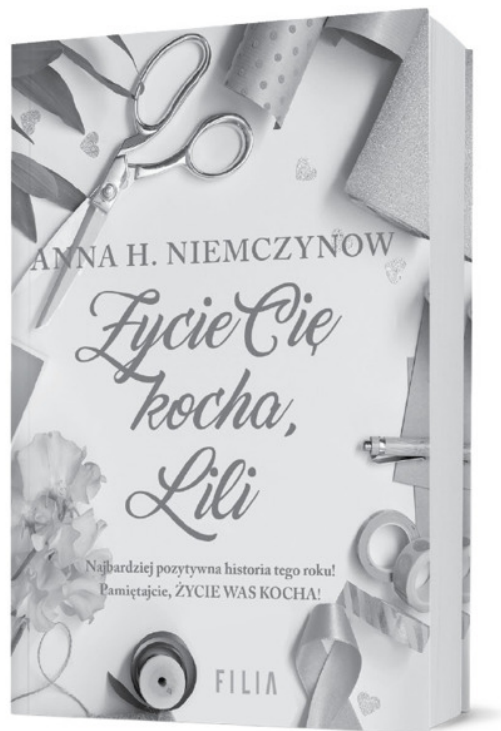
* * *

Kiedy zapukała do drzwi mieszkania na Nowym Porcie, był już późny wieczór. Zacisnęła nerwowo dłoń na rączce od małej walizki podróżnej. Stryjowi i Rozwadowskiemu powiedziała, że jedzie się spotkać z poważnie chorą przyjaciółką. Nie mogła im wyjawiać prawdy o losie Ignacego. Nigdy. Teraz zaś czekała, jednocześnie przerażona i wzruszona, nie mając w głowie żadnych słów powitania.

Otworzył po chwili. Był bardziej postawny, niż go zapamiętała, a jego twarz zdobiła niewielka blizna, jednak nie stracił swojego inteligentnego, przesywającego spojrzenia. Patrzyli na siebie przez ułamek sekundy, po czym wpadli sobie w objęcia.

KONIEC

(Gdańsk maj 2017–marzec 2018)



Spotkanie z radosną i kolorową Lili jest jak piękny letni poranek. Wnosi świeżość, energię, łamie utarte schematy i... daje kopniaka do tego, by w końcu się obudzić i zacząć naprawdę żyć. Bo bez względu na to, ile masz lat, kim jesteś i co robisz, **ŻYCIE CIĘ KOCHA**, i tylko od Ciebie zależy, co zrobisz z tą miłością.

FILIA

SPIS TREŚCI



Okładka

Karta tytułowa

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA. SOPOT

CZEŚĆ DRUGA. 1946. SZCZECIN

ANTRAKT

CZEŚĆ TRZECIA. POCZTÓWKI ZZA GRANICY

CZEŚĆ CZWARTA. PUNKT WYJŚCIA

EPILOG I

EPILOG II

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Agnieszka Gładzik, 2019
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcia na okładce: © Mark Owen/Trevillion Images

Redakcja: Kinga Gąska
Korekta: Marta Akuszevska
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-813-1

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl